

Wojna Afrodyty

ANDREA BUSFIELD

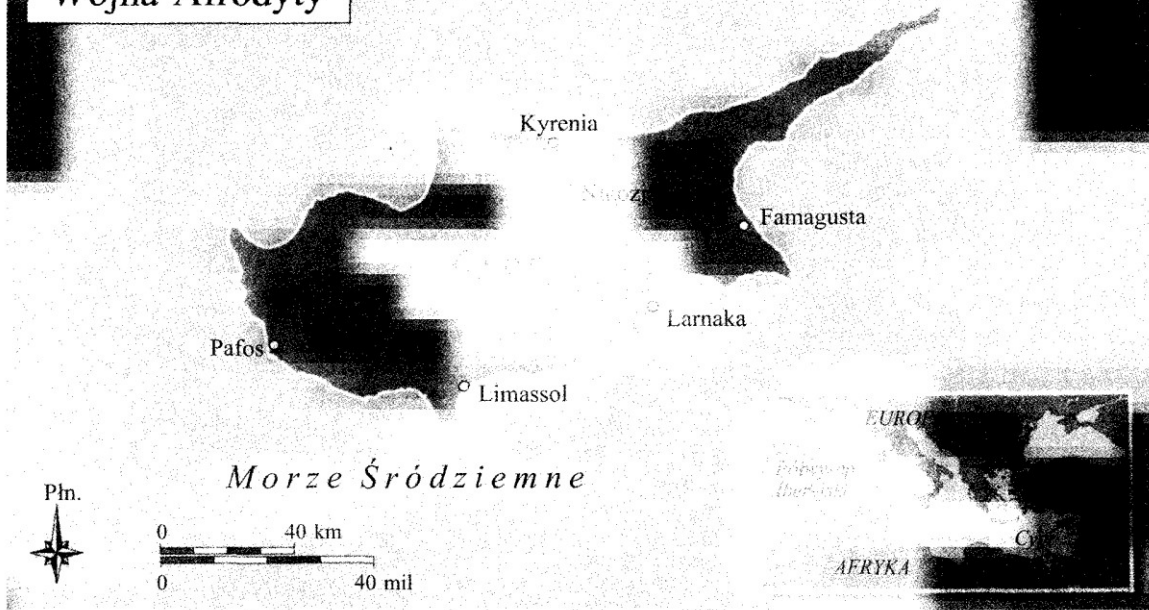
ANDREA
BUSFIELD

WOJNA AFRODYTY

Z angielskiego przełożyła
ELŻBIETA PIOTROWSKA

*Książkę tę dedykuję
Erato Hajisawie, „Mammie”,
drogiemu mej pamięci
Varnavasowi Hajisawie, „Papie”*

Wojna Afrodyty



CYPR

1955

Zgromadzenie Ogólne, biorąc pod uwagę, że w obecnej chwili przyjęcie rezolucji w sprawie Cypru nie wydaje się właściwe, postanawia nie rozpatrywać punktu zatytułowanego „Zastosowanie pod auspicjami Narodów Zjednoczonych zasady równych praw i samostanowienia narodów w odniesieniu do populacji wyspy Cypr”.

Rezolucja Zgromadzenia Narodów Zjednoczonych nr 814 (IX)
17 grudnia 1954

Despina przyrządzała maść na hemoroidy dla pana Televantosa, gdy zobaczyła nagle, że ten, mimo podeszłego wieku, nie idzie, lecz biegnie, laskę trzyma w jednej ręce, a drugą przyciska do siedzenia spodni.

— Loukis! Loukis! — krzyknął chrapliwie i zachwiał się na środku werandy z twarzą zaczerwienioną od wysiłku i bólu.

— Co z nim?

— Wpadł do domu z obłędem w oczach i upadł jak długi przede mną. Zwalił się niby kłoda. Bum! Gruchnął na podłogę jak martwy.

Despina w jednej chwili odstawiała trzymany w ręku słoiczek, wyciągnęła spod stołu dwa metalowe wiaderka i pobiegła z nimi do domu. Drewniane drzwi stały otworem, na podłodze zobaczyła leżącego najmłodszego syna, usłyszała jego zawodzenie. Twarz miał czerwoną, czarne włosy zlepione potem.

— Mamo...

— Nie bój się, Loukis. Mama jest przy tobie. Mama tu jest, synku.

Delikatnie dźwignęła chłopca z podłogi i gdy doprowadziła

go do łóżka, przymknęła okiennice, żeby światło nie raziło jego porażonych strachem oczu.

Loukis od dawna cierpiał na napady paniki, pierwszy wystąpił u niego przed ośmiu laty, kiedy zdechł ich pies Apollo. Ojciec Despiny również był przez całe życie nękany podobną przypadłością, której rozum sprostać nie potrafił, więc od swojej matki Despina nauczyła się trików przynoszących Loukisowi ulgę w cierpieniu: okłady — jeden zimny jak lód i drugi gorący jak letni upał. Od zimna spadała gorączka, ciepło łagodziło nieznośny ucisk w głowie.

Mimo że wiele dowiedziała się od matki i poznała tajemnice ziół rosnących na wyspie, Despina miała świadomość, iż nie ma leku na panikę; to była choroba duszy, a nie ciała. Z doświadczenia jednak wiedziała, że okłady wywrą swój magiczny skutek i na syna spłynie kojący sen, który go wyprowadzi z lęku tak mrocznego, że aż odbierającego przytomność.

Cichutko, żeby nie obudzić Loukisa, Despina cofnęła się od jego łóżka i z wystygłym okładem w ręce podeszła do wiaderka pachnącego rozmarynem. Wdzięczna wąskimi listkami i blado-niebieskim kwiatkom rośliny pocałowała szmatkę przed wrzuceniem jej do gorącej wody. Potem sięgnęła po zimną szmatkę zanurzoną w drugim wiaderku i przyłożyła ją synowi do czoła. Zamrugał w reakcji na zmianę temperatury. Był blady jak widmo, na nagim szczupłym torsie tańczyły cienie od światła świecy stojącej obok figurki Apolla, którą lata temu wyrzeźbił jego najstarszy brat.

Z macierzyńskim oddaniem Despina czuwała przy łóżku najmłodszego syna, pracowicie przemywając jego płonące czerwienią policzki. Wiedziała, że z nastaniem ranka odzyskają naturalną śniadość, gdy panika rozewrze swoje kleszcze.

Mikros Lykos. Mały Wilk. Tak nazwał go Georgios, kiedy

jego oczy spoczęły po raz pierwszy na ich najmłodszym i ostatnim potomku. Loukis przyszedł na świat z czarnym puszkiem na plecach i czterema zębami przebijającymi się przez dziąsła. Miał czarne jak smoła włosy i błyszczące jak węgielki oczy. *Mikros Lykos*, wyszeptał Georgios, a Loukis poruszył na to głową. Wydawało się, że dotarły do niego słowa ojca i mu się spodobały.

W tamtym momencie, gdy jego ciało pokryte było jeszcze śladami krwi, Georgios i Despina uświadomili sobie, że poza owłosieniem jest coś osobliwego w ich piątym z kolei dziecku. Nie to samo co u jednego z bliźniaków, Mariosa, który niepełnosprawność intelektualną nadrabiał łagodnym usposobieniem, lecz coś absolutnie niezwykłego, z czym przyjdzie im się jeszcze zmierzyć.

— Artemida w drodze na łowy musiała przemknąć tuż obok podczas jego narodzin — zażartował Georgios, gładząc delikatne policzki noworodka. — Oddech jej wilczej sfory wyczuwam w naszym synku.

Wtedy Despinę rozbawił pomysł, że ich dziecko mogło zostać pobłogosławione przez boginię, lecz budzące radość słowa męża stopniowo traciły czar, gdy upływał kolejny rok, a Loukis, który wyrósł z niemowlaka na malucha i przeniósł się z kołyski na podłogę, nie zdradzał najmniejszej ochoty, żeby stanąć na dwóch nogach. Do ukończenia trzech lat najmłodszy syn ograniczał się do pełzania i Despina była tym mocno zaniepokojona. Starsi chłopcy uważali to za pocieszne i z chichotem podstawiali braciszкови nogi, by ich kąsał w kostki. Poza domem jednak dziwactwo chłopca budziło współczucie; sąsiedzi uznali najwyraźniej, i nie bez powodu, że Despina urodziła kolejnego idiotę. Jednakże Marios, chociaż umysłowo upośledzony, zaczął chodzić po czternastu miesią-

cach i Despina wyczuwała, że nowego synka też na to stać, tylko on po prostu nie chce, i już. Zorientowała się, że coś jest nie tak, jak tylko jego czarne oczka przestały zezować. Od początku wykazywał nikłe zainteresowanie tym, do czego go zachęcali, ignorował rodzinę całkowicie i tylko uganiał się na czworakach za psem Apollem.

— Wstanie, kiedy przyjdzie j ego czas — pocieszał Georgios żonę, kiedy po raz kolejny poruszyła ten temat przy obiedzie.

— Nie tylko o chodzenie chodzi, Georgiosie. Loukis w ogóle nie próbuje mówić. To nie jest normalne w jego wieku. Nie jest, i tyle.

— Nie zamartwiaj się, Despo. Wszyscy nasi synowie są zdrowi i silni, a *Mikros Lykos* to ta sama krew. Któregoś dnia stanie na nogi, jak to zrobili pozostali, i będzie biegał po domu, wyciągał twoje garnki i patelnie, tłukł porcelanę i zdierał ubranka, które mu szyjesz. Będziesz marzyła o tym, żeby znowu zabawiał się na podłodze z ukochanym psem.

— On ma na imię Loukis, Georgiosie! Nie jest wilczkiem, jest małym chłopcem i im częściej będziesz go nazywał Małym Wilkiem, tym większe prawdopodobieństwo, że wyrośnie na wilka. Przestań tak o nim mówić, błagam.

Georgios westchnął tylko z męzowską uległością. Jego żona była uosobieniem chaosu; wewnętrzna siła walczyła w niej o lepsze z brakiem równowagi emocjonalnej, a w tym momencie zanosilo się na wybuch. Wstał od stołu, żeby wrócić do warsztatu, który zbudował przy osłoniętej oleandrem bocznej werandzie, gdzie żona przyrządzała swoje mikstury. Wychodząc, nie powstrzymał się przed czymś, czego nie powinien zrobić, zważywszy na bliską załamania nerwowego Despinę: pochylił się nad Loukiszem przytulonym do gorącego brzucha Apolla jak do poduszki i zawarczał dla żartu. Malec spojrział

w górę i uśmiechnął się do ojca. Na rozum Despiny, po prostu konspirowali przeciwko niej. Potrząsnęła głową i pomodliła się do Najświętszej Panienki.

Gdy Georgios wychodził, Apollo podniósł się, wygiął grzbiet w łuk i podreptał za panem. Pozbawiony poduszki Loukis poruszył się leniwie i podążył za nimi.

- O Matko Boska! — jęknęła Despina. Jej synek nie raczkował ot tak, na czworakach, on wysuwał małe rączki i nóżki na psi sposób. Ten dzieciak, jej ciało i krew, naśladował rodzinnego czworonoga.

— Niedługo będzie sikał pod drzewem — mruknęła do siebie.

Chociaż w duchu próbowała temu zaprzeczać, zdawała sobie sprawę, że sama jest wszystkiemu winna. Przecież nie kto inny, tylko ona nalegała na wpuszczenie psa do domu, by nie skazywać go na łańcuch, mimo że na Cyprze psy myśliwskie trzymano na uwięzi. To ona zlekceważyła protesty męża i wyszła naprzeciw osobliwym kaprysom synka, pozwalając, by miękkie serce zapanowało w niej nad rozumem. Ale co miała począć, skoro każdego ranka po przebudzeniu zastawała malca warującego u drzwi? Owszem, podnosiła go z podłogi, całowała w obydwie policzki i starała się odwrócić jego uwagę śniadaniem, lecz on zaledwie to tolerował, nie odwzajemniając uczucia, i gdy tylko przekręcała gałkę w drzwiach, żeby wpuścić słońce do domu, zaczynał walczyć o uwolnienie się z jej ramion. Ledwie posadziła go na podłodze, i już go nie było: pełznął po ścieżce, żeby usiąść przy Apollu. Nawet kiedy deszcz, wiatr i wilgoć wymuszały zamknięcie drzwi, Loukis siedział przy nich, czekając aż staną otworem. Nie skarżył się; to nie leżało w jego naturze. Po prostu siedział, nie mówiąc słowa. Despina straciła wreszcie cierpliwość i wmówiła sobie,

że nie ma innego wyjścia jak trzymanie psa w domu. Dwaj bliźniacy, Nikos i Marios, oczywiście zażądali natychmiast takich samych przywilejów dla kozy.

— Jeżeli Atena zgodzi się, żebyście sypiali na jej brzuchu i ciągnęli ją za ogon, jeżeli zacznie jęzorem odganiać wam muchy z buzi, wtedy wprowadzicie ją do środka, ale nie wcześniej — odpowiedziała na to Despina i w następstwie musiała patrzeć, jak chłopcy próbują siłą zmusić biedne zwierzę, żeby legło na ziemi. Toczyli z nią walkę, póki Atena, jak wiadomo najmniej potulna ze wszystkich kóz, nie kopnęła jednego w głowę. Despina nie pamiętała teraz którego.

— Ta koza jest durna jak Turek! — wrzasnął wtedy rozwścieczony Nikos, a ojciec od razu go zbeształ.

— Takie porównania zostaw na szkolnym podwórku! — przykazał i pod nosem mruknął coś o „przeklętym Kościele”, po czym powrócił do warsztatu, w którym ze skór modelował buty.

Upływały miesiące, a Loukis wciąż negował przynależność do ludzkiego gatunku. I wreszcie to mała Praxi, córka Eleny, sąsiadki, przewyciężyła jego opór i dokonała tego, czego nie potrafiła zmienić żadna z dorosłych osób. Praxi urodziła się czternaście miesięcy wcześniej niż Loukis i mały od zawsze budził jej zainteresowanie. Któregoś dnia, gdy jak zwykle obserwowała go poruszającego się po podłodze, zeszła nagle z kolan matki i zbliżyła się do niego. Ukucnęła przed nim, odgarnęła zasłaniającą jej oczy długą grzywkę, potem przycisnęła małe rączki do jego policzków i popatrzyła na niego surowo.

— Masz chodzić, Loukis! — rozkazała. — Już!

Loukis spojrział na Apolla, szukając porady, ale pies zajęty był polowaniem na mrówkę w sierści wokół swego zadka.

— Malec jęknął ciężko i donośnie, niczym uparty starzec, który musi się poddać czemuś nieuchronnemu.

Dorośli patrzyli na to z rozbawieniem, a po chwili z otwartymi w zdumieniu ustami, bo Loukis chwycił nogę stołu i dźwignął się do góry. Zachwiał się lekko, ale szybko złapał równowagę, gdyż jak się okazało, miał zdumiewająco silne nogi, gotowe do podjęcia wyzwania. Praxi wzięła go za rękę i poszli się bawić w ogrodzie z Apollem, który nie odstępował ich na krok.

Przez kolejne dwa lata chłopiec, dziewczynka i pies stanowili nierozłączną grupę, lecz gdy zabrakło Apolla, którego ukąsił wąż, z trójki pozostało tylko dwoje.

Gdy grzebano psa pod drzewem pomarańczy, a ono płakało kwietnymi płatkami nad maleńkim grobem, Loukis nie wydobył z siebie ani słowa. Czterej starsi bracia uronili niejedną łzę, a Praxi nie dawała się pocieszyć. Rozpaczała tak strasznie, że matka zabrała ją do domu, gdzie przez dwa dni mała nie wstawała z łóżka i odmawiała zjedzenia czegokolwiek. Z Loukischem było inaczej, on w ogóle nie płakał. Po prostu stał przy grobie i nie odchodził stamtąd, mimo że reszta rodziny dawno wróciła do domu. Kiedy wieczorem zawołano go na kolację, a na stole czekał ser i gorące mleko, odmówił przyjścia, więc zrezygnowana Despina pozwoliła mu przeżywać ból w sposób, jaki uznał za właściwy.

Zaszło słońce, niebo objął we władanie księżyc. Bliźniacy przestali płakać i zajęli się grą w kulki. Despina zmywała naczynia, obserwując najstarszego syna Christakisa, który dla upamiętnienia Apolla rzeźbił w drewnie jego figurkę. Drugi w kolejności Michalakis uczył się w swoim pokoju, a mąż chrapał głośno na krześle przy piecu. Nagle z zewnątrz dobiegł tak nieludzki głos, że przerażona Despina wypuściła z rąk talerz. Pamiętając, że najmłodszy syn został na dworze, wybiegła do ogrodu. Zobaczyła Loukisa przy grobie psa; przykucnięty, z wyciągniętą szyją, wył do lśniącego nad nim księżyca. Śliczną

twarz zniekształcał grymas niewysłowionego cierpienia, jakby w tym momencie wylewał z gardła w zwierzęcym ryku całą rozpacz świata. Wył jak wilk, bo wilkiem go nazwali, a matka z pękającym sercem nie mogła nic zrobić, tylko stała i czekała, aż to minie.

Następnego dnia w obawie przed komentarzami sąsiadów, którym Loukis już dostarczył powodów do plotek, jako że za późno zaczął chodzić i z ponurą miną odrzucał propozycje zabaw z rówieśnikami, Despina tłumaczyła mu, że na Cyprze wycie do księżyca nie jest dobrze widziane, zwłaszcza gdy się już skończyło pięć lat. Jest przecież chłopcem, mówiła, a nie wilkiem. Oczekiwała, że przytaknie jej słowom, ale mimo że słuchał uważnie, nic nie powiedział. Dwa dni później miał pierwszy napad paniki.

Patrząc na niego teraz, po ośmiu latach, z sercem równie obolałym, chociaż z innej przyczyny, Despina czuła się zawstydzona, że sama wymusiła na nim przemianę w bezradną istotę ludzką, wstrzymującą łzy, póki nie wzbiorą z taką siłą, że zaczynają rozsadzać czaszkę, by znaleźć ujście. Wstyd mieszał się jednak z odrobiną radości; Despina odczuwała satysfakcję, wiedząc, że jest synowi potrzebna. Chociaż demony zniekształcające jego słodkie rysy, unoszące w spazmach tortur jego pierś, i ją dźgały w samo serce, ceniła sobie świadomość, że wyciąga do niego pomocną dłoń i go ratuje. Loukis od urodzenia unikał bliskości i momenty, gdy pragnął jej dotyku, były tak rzadkie i piękne jak kwitnąca zimą róża. Niech Bóg ześle na nią piorun za takie myśli, ale naprawdę kochała bezradność syna i poczucie, że choćby na krótko stawała się dla niego całym światem. Loukis był jej synem i kochała go — Bóg jeden wie jak bardzo — ale nigdy nie czuła, że on do niej należy. Ta prawda dotarła do niej bardzo wcześnie, kiedy

jeszcze miała brzuch wielki i twardy, bo wtedy Praxi położyła na nim małe rączki, uzurpując sobie prawa do niego. Zażądała, by Despina wzięła ją na kolana, po czym owinęła ramionka wokół wypukłości kryjącej Loukisa i nie dała się ruszyć, póki sen jej nie zmorzył. A on leżał sobie spokojniutko w brzuchu i Despina wyczuwała, że jest szczęśliwy.

Siedzące przy kawie kobiety — Lenia, siostra Despiny, oraz Elena, matka Praxi, i pani Germanos, ich sąsiadka — zaśmiewały się wtedy, a Elena zażartowała, że jeśli Despina urodzi kolejnego syna, to wiadomo, z kim on się ożeni.

— Jeżeli nawet nie wywróżą tego fusy w naszych filiżankach, to i tak jest to zapisane w gwiazdach — przepowiedziała Elena, a reszta pań się z nią zgodziła.

Oczywiście na Cyprze nawet najjaśniejsza gwiazda może zgubić drogę w ciemnościach.

Gdy Loukis głęboko zasnął, Despina wzięła do ręki wiaderka i cichutko zamknęła za sobą drzwi, pozostawiając resztę dzieła jego snom.

Teraz, gdy Christakis, mieszkał z żoną, a Michalakis przebywał w stolicy, w Nikozji, gdzie pracował w redakcji gazety, bliźniacy przenieśli się do oddzielnego pokoju i po raz pierwszy Despina była wdzięczna, że najstarsi synowie opuścili dom i jest w nim więcej wolnej przestrzeni. Chłopcy mieli rozwinięty instynkt terytorialny i im wyżej rośli, tym bardziej irracjonalnie się zachowywali. Rozpętałoby się piekło, gdyby bliźniacy musieli się przenieść ze swoich łóżek i zwolnić pokój dla „ulubieńca mamy”, a Despina czuła już wiek w kościach i głowa ją często bolała od natłoku myśli, więc walka z nadąsanymi nastoletnimi chłopakami była ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała.

- Nie martw się, mamó, Loukisowi nic nie będzie — po-

cieszał ją Marios, gdy wróciła do frontowego pokoju. Wyciągnął do niej rękę, uścisnęła ją i pocałowała go w czoło.

— Powinnaś była pozwalać mu wyć, kiedy miał na to ochotę. — Nikos rzucił oskarżenie, ale mówił to żartobliwie i jego promienny uśmiech złagodził kąśliwe słowa.

— No tak, powinnam też pozwolić mu wyrosnąć na prawdziwego wilka, żeby cię zjadł! — odparowała Despina. Bliźniacy, z wyglądu niemal identyczni, w zachowaniu całkowicie się różnili: jeden był ciepły i taktowny, drugi chłodny i złośliwy.

— Gwoli przypomnienia — przerwał potyczkę Georgios — pan Televantos jest wciąż na werandzie, koi ból na naszych poduszkach.

Despina złapała się za głowę.

— Pan Televantos! Dlaczego nie kazałeś mu wracać do domu?

— Ani się ruszył. Upierał się, że musi dostać swoją maść.

— Najświętsza Panienko! — Despina zaśmiała się i zniknęła w drzwiach.

Na werandzie, gdzie półki ugiwały się pod ciężarem słoików z suszonymi ziołami, butelek z octem winnym, słoików z marynowanymi świńskimi uszami i warzywami, rondli i patelni, głośno chrapał Televantos. Oparty plecami o ścianę rozpierał zadek na dwóch wielkich poduszkach, które Georgios najwyraźniej ściągnął z małżeńskiego łóża. Despina wzięła do ręki słoiczek, który wcześniej w pośpiechu odstawiła na półkę, i skończyła napełniać go maścią sporządzoną z nagietków i ruszczyka kolczastego.

Delikatnie szturchnęła starszego pana, żeby go obudzić.

— Panie Televantos. Maść gotowa.

Wyrwany ze snu sąsiad rozejrzał się, mrużąc w zdumieniu oczy, póki nie przypomniało mu się, dlaczego się tu znalazł.

- Powinien pan poprosić żonę, żeby gotowała więcej warzyw, dobrze panu zrobią — rzekła z uśmiechem Despina.

- Cokolwiek ona gotuje, smakuje koszmarnie — narzekał, krzywiąc się z bólu i dokonując skomplikowanych manewrów przy próbie podniesienia się z podłogi.

- Mimo to jarzyny przyniosą ulgę w pańskich dolegliwościach.

— Despinko, moje dolegliwości, jak o nich mówisz, to przekleństwo, ale i błogosławieństwo zarazem. Gdyby nie te kłopotliwe żylaki, żona doprowadziłaby mnie do śmierci w ciągu tygodnia. Ta kobieta jest nienasycona.

Despina uniosła brwi. Televantos wyraźnie posuwał się w latach i Despina jakoś nie mogła uwierzyć, żeby jego żona, także po siedemdziesiątce, czuła potrzebę — o ochocie nie mówiąc — by w taki sposób prześladować zgrzybiałego męża.

— Pomogę wstać. — Despina podtrzymała za ramię dźwigającego się na nogi staruszka. Podała mu laskę i słoiczek z maścią. Włożył go do kieszeni.

— Mam nadzieję, że Brytyjczycy mnie nie zaaresztują, zanim dojdę do domu. — Zaśmiał się. — Chociaż myślą pewnie, że hemoroidy to najświeższe ładunki wybuchowe, jakie nam przysłano z ojczyzny.

— Dojdzie pan bezpiecznie, panie Televantos. O tej porze żołnierze są już w barakach pijani w sztok.

— Co racja, to racja. — Staruszek zachichotał. — Kiedy nie są zajęci kradzieżą na nie swojej ziemi, to siedzą na dupach i piją ciepłe piwo.

Powiedziawszy to, na pożegnanie dotknął laską czoła i pokuśtykał niezdarnie tą samą ścieżką, którą pięć godzin wcześniej pokonywał biegiem.

Despina odprowadziła go wzrokiem, po czym odstawiła

swoje zielarskie utensylia, pocałowała zdjęcie matki wiszące od wewnątrz na drzwiach i ruszyła do domu. Nim weszła, dostrzegła majaczącą w cieniu pod furką sylwetkę skulonej dziewczynki.

— Praxi?

Niewyraźny cień się poruszył, dziewczynka podniosła się z kucek, oblało ją światło księżyca. Z wielkimi oczami i delikatnymi nogami przypominała śliczną sarenkę.

— Pani Ekonomidou, czy Loukis wyzdrowiał?

— Tak, dziecko, teraz śpi. Czy siedziałaś tutaj przez cały ten czas? Dlaczego nie weszłaś do domu?

Wargi Praxi drżały, oczy napełniły się łzami, które potoczyły się po policzkach.

— Nie mogłam wejść. To wszystko przeze mnie. To ja jestem winna — powiedziała, łkając. — To moja wina. Moja śmierć zabierze i mnie, i jego.

Despina spontanicznie ścisnęła jej rękę.

— Co ty wygadujesz, Praxi? Twoja śmierć was zabierze... obydwójce?

— Och, pani Ekonomidou, to takie smutne, jesteśmy tacy młodzi. Też nie mogliśmy w to uwierzyć, ale taka jest prawda. Ja umieram, pani Ekonomidou, nie da się temu zaprzeczyć. Dlatego przez ostatnie dwa dni ja i Loukis szukaliśmy najpiękniejszego miejsca na mój grób. Dzisiaj zdecydowaliśmy, że będę pochowana pod drzewem pistacjowym u stóp zamku Świętego Hilariona. Bardzo lubimy to miejsce, nie ma lepszego skrawka ziemi na mój wieczny spoczynek, a duch szalonego mnicha będzie zawsze nade mną czuwał. Widziałam, że Loukis jest smutny, ale nic nie powiedział, jakby pogodził się z moją nieuchronną śmiercią. Chyba się pomyliłam, bo jak widać, moja choroba sięgnęła i po niego, i nie mogę tego znieść, pani

Ekonomidou. Tak mi przykro... naprawdę... nie chcę pani zabierać syna. W każdym razie jeszcze nie teraz. I nie dziwiłabym się, gdyby pani chciała mnie zabić, jeszcze zanim...

Dziewczynka osunęła się w ramiona Despiny, spazmatyczny szloch odebrał jej siły.

— Praxi, dość! Uspokój się, dziecko, dość tych bzdur. Dlaczego, na Boga, miałabyś umierać?

Praxi z trudem łapała powietrze, usiłując się opanować. Nie przychodziło jej to łatwo, ale pani Ekonomidou należało się wyjaśnienie.

— Więc... tak... już dwa dni... a krew wciąż się ze mnie leje. Nie ustaje, chociaż robiłam wszystko, co tylko możliwe: przykładalam szmatki na ranę, a Loukis przyniósł mi jakieś medykamenty z pani zapasów, ale dalej krwawię i do tego mam straszną biegunkę. To jasne, pani Ekonomidou, moje wnętrzności są zjadane przez raka.

Despina, widząc przerażenie w oczach dziewczynki, powstrzymała narastający w niej śmiech.

— *Mihi mou*, nie umierasz! Uwierz mi. Dorastasz, to wszystko. Zmieniasz się w kobietę, Praxi. A biegunkę, mogę przysiąc, masz od tych leków, których Loukis nie powinien ci przynosić. Chodź ze mną. Pora, żebyś porozmawiała ze swoją mamą.

Wzięła dziewczynę za rękę i poprowadziła drogą do domu Eleny w samym środku wsi.

Christakis był wysoki i miał jasne włosy — obydwie cechy rzadkie u Greków — i chociaż matka gołysła mu głowę w dzieciństwie, żeby zapobiec fatum, którym, jak przesądnie wierzyła, został w ten sposób naznaczony, jego włosy nie odrastały ani

o ton ciemniejsze i zakłęcie wciąż na nim ciążyło. Poślubił śliczną kobietę, od niedawna cieszył się synem i czuł się szczęśliwy. Nie miał ważnej pracy w mieście jak Michalakis, ale powoli wyrabiał sobie nazwisko dzięki talentowi, o którym słuch dotarł nawet do ucha głównodowodzącego oddziałami brytyjskimi na Bliskim Wschodzie. Nie dalej jak cztery miesiące temu przed warsztat Christakisa zajechał wojskowy landrover i żołnierz w szortach khaki przekazał od swego dowódcy obstalunek na stół i osiem krzeseł.

— Zrób to najlepiej, jak potrafisz. — Gość wyszczerzył zęby, a Christakis kiwnął głową. Nie przykładał się w szkole do nauki angielskiego, więc niewiele z przemowy szeregowego do niego trafiło, zrozumiał jedynie, że chodzi o stół i krzesła. Potrząsnął ręką żołnierza i podziękował za zlecenie. Kombinując, że brytyjski dowódca tyłu oddziałów wojska potrzebuje mebli solidnych i budzących podziw, postanowił nie zawieść jego oczekiwań.

Gdy tylko żołnierz odjechał, Christakis wziął do ręki ołówek i zaczął szkicować projekt stołu z rzeźbionymi krawędziami blatu i śmiało wyprofilowanymi nogami, a wszystko z najlepszego orzechowego drewna. Zamierzał się wykazać najwyższym rzemieślniczym kunsztem, by wojskowa szycha i jego żona byli dumni z gotowego dzieła. I tak by było, gdyby nie to, że następnego dnia EOKA wysadziła w powietrze dom zacnego głównodowodzącego. Parę godzin później żołnierz pojawił się znowu u Christakisa i powiedział, żeby zapomniał o meblach i zamiast nich sporządził czym prędzej parę futryn do drzwi. Niezbyt ambitne zadanie, ale stolarz nie odmówił, mimo że wiedział, iż pachnie to kolaboracją. Rzeczywistość jednak była taka, że potrzebował pieniędzy, choćby na opłacenie podatków, jakie wprowadzili Brytyjczycy.

Christakis wszedł do kafejki i skierował się do stolika w kącie, przy którym jego ojciec spędzał zazwyczaj godziny przed obiadem, ustalając w rozmowie ze swym przyjacielem Stavrosem właściwy ład w świecie.

- Gazeta, tato. — Christakis rzucił mu pod nos świeży numer „The Voice”. Otrzymał go w porannej poczcie z Nikozji, a na stronie szóstej znajdował się niewielki artykuł Michalakisa; pisał w nim o garncarstwie. Starając się wspierać brata w jego karierze, Christakis nie łudził się jednak, że wyrób garnków może się stać głównym tematem toczonych w wiosce męskich dysput. Na greckie głowy spadła żelazna pięść przekonanego o swych racjach brytyjskiego gubernatora, Nikozja wybuchła na to ogniem i buntem i nikomu nie starczyłoby energii, żeby w tych dniach rozmawiać o czymkolwiek innym.

Z wyjątkiem starć w 1931 roku, kiedy powstańcy podpalili siedzibę brytyjskiego gubernatora, od roku 1878 na wyspie pod panowaniem Brytyjczyków panował względny spokój, lecz obecnie bijące znowu na alarm kościelne dzwony wywabiły na ulice setki ludzi, którzy protestowali przeciwko wsadzaniu do więzień bez nakazów sądowych, bezprawnym przeszukiwaniom i zatrzymaniom czy sześciomiesięcznym aresztom za posiadanie broni. Na ogłoszenie nowych rozporządzeń stolica zareagowała wściekłością, płonęły budynki, a brytyjskie oddziały odpowiadały użyciem gazu łzawiącego i kul. Co tydzień dochodziło do nowych zamieszek; aresztowano pięćdziesięciu siedmiu Greków. W ciągu zaledwie kilku miesięcy gubernatorowi udało się zamienić Nikozję w strefę działań wojennych.

Niech okupanci nie łudzą się nadzieją, że poskromią tymi metodami powstańców — kategorycznie orzekł Georgios, gdy nie przebrzmiało jeszcze echo radiowych wiadomości z Aten, na które zebrani w kafejce bluznęli wściekłością.

— Czy oni mają wybór? — spytał Stavros, pochylając się do przodu tak gwałtownie, że ogromny brzuch omal nie rozerwał mu paska od spodni. — Grecy tworzą organizację terrorystyczną...

— To nie jest organizacja terrorystyczna — sprzeciwił się Christakis, przysiadając się do stolika obydwu panów. — EOKA walczy o naszą wolność; o wolność Cypru i przyłączenie wyspy do Grecji.

— No dobrze — zgodził się Stavros. — Wasi „bojownicy o wolność” twierdzą, że nie ustaną w walce o „uwolnienie Cypru spod brytyjskiego jarzma”, szmuglują dynamit z Grecji, podkładają bomby pod budynki rządowe, posterunki policji, elektrownie, hotele, a nawet próbowali zabić gubernatora, gdy oglądał film w kinie w Famaguście, a wy mimo to oczekujecie, że Brytyjczycy skapitulują i dobrowolnie zrezygnują ze wszystkiego? Czy historia nie podpowiada wam, do czego oni są zdolni? Jesteście jak chłopcy, którzy bawią się zapalkami.

— Nikt się niczym nie bawi, Stavrosie. To nie zabawa, to poważna sprawa. Chodzi o nasze prawa jako narodu.

Christakis skinął na *kafetzi*.

— Kawę, proszę, *medium* — złożył zamówienie i ciągnął: — Jesteśmy zmęczeni okupacją i chociaż nie we wszystkim zgadzam się z EOKA, oni walczą za nas. Cypr historycznie należy do Grecji, każdy to wie, nasze serca biją jej rytmem.

— A ci z nas, którzy nie są Grekami? — zaprotestował Stavros. — Co powiesz o naszych sercach, o nas, którzy nie tańczymy i nigdy nie będziemy tańczyć w takt greckiej orkiestry? Ten przywódca EOKA, Grivas, wasz lider, mówi, że skąpie Cypr we krwi, jeśli będzie trzeba. I krew się leje, Christakisie, a ja przepowiadam, że będzie się lała, póki na własne życzenie nie zatoniemy w morzu czerwieni.

- Uspokój się, przyjacielu. — Georgios kojącym gestem położył dłoń na kolanie Stavrosa. — Nie dojdzie do tego. Nie pozwolimy na to. Świat na to nie pozwoli.

- Dobrze to słyszeć, Georgiosie, i Bóg świadkiem, chciałbym wierzyć w to, co mówisz, ale widzę kataklizm nadchodzący z szybkością kuli. Świat już umył ręce od tego problemu; na forum ONZ nie chcą o nim dyskutować. Ja ci mówię, że walka z Brytyjczykami rozszerzy się jak nowotwór na całą wyspę i pożre obydwie nasze społeczności. Pomyśl o nas! Pomyśl o moim narodzie. Czy nie widzisz, jak Grecy zaczynają nas postrzegać?! Wystarczyło parę lat, żeby przestali widzieć w nas muzułmanów, jesteśmy w ich oczach Turkami. To zaledwie początek, zapamiętaj moje słowa.

Georgios patrzył na kompana, który liczył się w jego życiu na równi z siedzącym obok synem. Nie dawał wiary jego przepowiedniom, ale poczuł się nieswojo. Stavros był przyjacielem ojca i jedynym Turkiem, którego Georgios zapraszał do własnego stołu i z którym gawędził przy kawie. Pozostali siedzieli na szczęście w swoich sklepach i mieszkali w swojej części wsi. A greckie imię Stavros wymyślił ojciec Georgiosa, bo chciał koniecznie, żeby przyjaciel był jego drużbą w dniu ślubu, więc musiał oszukać prawosławnego księdza. Imię to dobrze służyło Turkowi od czterech dekad aż do tej pory: był muzułmaninem narodowości tureckiej, pijącym grecką kawę w greckiej kawiarni. Gdyby tak Georgios rozejrzał się wokół, wystarczyłyby mu dwa palce, żeby policzyć osoby, które pamiętają imię Stavrosa nadane mu przy urodzeniu, a tymi osobami byłiby tylko on i sam Stavros. Ich przyjaźń narodziła się dzięki zbiegowi okoliczności i była anomalią. Wyspa, czy chcieli się z tym pogodzić, czy nie, była podzielona. Podzielona od zawsze przez historię, religię i wreszcie przez różne ma-

rzenia. Nawet każde miasto miało trojaką twarz: grecką, turecką i ostatnio także brytyjską. Gdzie indziej na świecie można znaleźć trzy nazwy dla jednej miejscowości? Lefkosia, Lefkosa i Nikozja; Lemesos, Leymosun i Limassol; Ammochostos, Gazimagusa i Famagusta. Tę listę można by wydłużać w nieskończoność.

— Widzisz chyba, Georgiosie — ciągnął swój wywód staruszek, jakby odczytując jego myśli — że na naszej wyspie mamy teraz do czynienia z konfliktem tożsamości narodowych. My, muzułmanie, uważamy siebie przede wszystkim za Cypryjczyków, a potem dopiero za Turków. Ale wy od zawsze jesteście przede wszystkim Grekami, a w drugiej kolejności Cypryjczykami. Dlatego Cypr będzie cierpieć, bo wciąż powracacie do przeszłości, podczas gdy my patrzymy w przyszłość.

Loukis siedział na ziemi i czekał. Wkrótce szybko otworzyło się okno.

— Mama powiedziała, że nie umrzesz, tylko masz coś takiego, co nazywa się miesiączką.

— I to prawda — potwierdziła Praxi, wychylając głowę na zewnątrz, żeby dobrze widzieć przyjaciela. Siedział oparty o ścianę domu, skubiąc palcami źdźbła trawy przebijające się przez żwir. — Jutro powinnam przestać krwawić, a może pojutrze, ale wiesz co?

— Co?

— Za miesiąc czeka mnie to samo i w następnym znowu, i w kolejnym, i będzie tak ze mnie lecieć przez całe moje przekłete życie. W każdym razie póki nie stracę zębów i nie wyrosną mi włosy na brodzie. Wiem to od mojej mamy. To naprawdę obrzydliwe, jeśli chcesz wiedzieć, co myślę. Znienawidzę siebie, jak będę kobietą.

Praxi westchnęła i oparła głowę o framugę okna. Poczowała przyjemne ciepło od rozgrzanego letnim słońcem drewna.

— Czy mama pozwoli ci wyjść, kiedy ta miesięczka się skończy? A może będziesz odtąd więźniem, nie tylko kobietą? — spytał Loukis. Czuł się zaniepokojony i nieswój, nie bardzo rozumiał dlaczego.

— Kto to wie? Ale mama mówi, że od tej pory będę musiała zacząć się bawić z dziewczynami w moim wieku, bo jestem narażona na ryzyko.

— Jakie ryzyko? — Loukis spojrział w górę, ale nie widział twarzy Praxi, tylko jej długie włosy zwisające poza parapet.

— Mężczyźni są niebezpieczni — odpowiedziała. — Jestem już kobietą i mogę być ciągle przez nich atakowana. Mężczyźni są jak zwierzęta, mówi mama. Obwąchają cię, zaciągną gdzieś i jak tylko dasz im cień szansy, powalą na ziemię, wsadzą ci język do ust i swoje *poullou* do twojej *poulli*, tak mi mówi mama. A jak to się stanie, będę miała dziecko, okryję się hańbą i nigdy nie znajdę męża.

— To bzdury. A poza tym jakiego męża chcesz znaleźć?

— Nie wiem. — Praxi się zaśmiała. — Święty Antoni zaplanował chyba dla mnie jakiegoś!

Loukis poderwał się na nogi.

— Gdzie idziesz?

— Przed siebie. Może poszukam sobie żony. Tu zrobiło się nudno. Ty mnie nudzisz.

— Hej! To nieładnie z twojej strony, Loukis! Nic nie poradzę na to, że zostałam kobietą. Wcale tego nie chciałam. Cofnij, co powiedziałeś!

Spojrział w górę prosto w brązowe jak czekolada oczy. Nie cofam — rzekł po namyśle i się odwrócił. Cofnij, co powiedziałeś, Loukis, ty świnio!

Loukis był już jednak przy ogrodowej furtce i nie miał zamiaru się z niczego wycofywać. Skoro została kobietą, powinna się nauczyć być dla niego tak miła jak jego mama.

Gdy znalazł się za rogiem, natknął się na Marię, która widocznie szła do domu Praxi na obiad. Uchodziła za najpiękniejszą dziewczynę we wsi i rzeczywiście miała śliczną buzię, ale Loukis uważał ją za kapryśnicę i złośnicę. Zachowywała się jak dziecko, które ma za dużo zabawek.

— *Yassou*, Loukis! — zawołała, przytrzymując rękami włosy targane przez wiatr.

— *Yassou* — odpowiedział na powitanie.

— Gdzie idziesz? — zapytała, zmuszając go, by się zatrzymał.

— Jak najdalej od kobiet — powiedział i ruszył dalej. Gdyby chciał mu się obejrzeć za siebie, zobaczyłby, że Maria odprowadziła go wzrokiem, póki na skrzyżowaniu nie skręcił w prawo i nie zniknął jej z widoku.

Nie mając dokąd pójść ani co robić, skoro nie mógł spędzać czasu z Praxi, gdyż jej dziewictwo było w śmiertelnym zagrożeniu, Loukis skierował swe kroki do tureckiej części wsi. Wyglądała tak samo jak grecka, z tą różnicą, że było tu więcej Turków. Rozejrzawszy się, czy nikt nie widzi, wszedł na teren gospodarstwa należącego do przyjaciela jego ojca, Stavrosa. Mówiło się, że w ciągu lat posiadłość się skurczyła, bo Grecy odzyskiwali tereny zasiedlane przez Turków w czasach osmańskich, ale i tak była imponująca, a sędziwy właściciel, ciesząc się tym, co mu zostało, pozwalał Loukisowi polować na węże na swojej ziemi. Mszcząc się na nich za Apolla, chłopak oddawał się temu z zaciętością od czasu, gdy ojciec pozwolił mu wziąć broń do ręki.

Wolnym krokiem, bo było gorąco i zaprzętały go myśli

o zmianie w jego życiu, Loukis posuwał się między drzewami pomarańczy, patrząc na dojrzewające na nich owoce, które matka nazywała „złotymi jabłkami”. Zagłębiwszy się dalej w sad, zatrzymał się pod gałęziami karobu, z których zwisały płaskie strąki kryjące błyszczące brązowe nasiona. Wiedział, że mięszem strąków Stavros karmi swoje zwierzęta, a jego żona przyrządza z niego słodki *pekmoz*, dobry na kaszel. Jeszcze dalej rozciągał się wielki gaj oliwny i za drzewami, których owoce zmieniały właśnie kolor z zielonego na czarny, Loukis dostrzegł ciężarówkę i wyskakujących z niej czterech brytyjskich żołnierzy. Ustawili się przy drodze; to miał być punkt kontrolny. Ruszył w ich kierunku trochę z ciekawości, a trochę dla oderwania się od złych myśli.

— *Yassou* — powitał nadchodzącego jeden z żołnierzy.

— *Yassou* — odpowiedział Loukis. — Co tutaj robicie?

— Polujemy na bandytów Czarnego Maka — rzucił inny żołnierz. — Chyba nie jesteś jednym z nich, he? — Reszta zachichotała.

Loukis wzruszył ramionami i odszedł.

Pół godziny później znalazł się w porcie kyreńskim, chociaż tak naprawdę nie zamierzał dojść aż do Kyrenii. Z jakiegoś powodu wokół składów z mączką karobową mrowili się brytyjscy żołnierze, wchodzili do nich i wychodzili, kopiąc i rozwalając skrzynie i pudła. Loukis zauważył Yiannisa Christofiego, który oparty o murek popijał coca-colę i palił papierosa. Był starszy o całe pięć lat, ale Loukis podszedł do niego, bo żadnego innego znajomego nie widział, a Yiannis chodził kiedyś do szkoły z jego bratem Michalakisem.

— Co się tu dzieje? Yiannis się roześmiał.

— Jeszcze nie słyszałeś?

Loukis potrząsnął głową.

— W nocy szesnastu z EOKA uciekło z więzienia. — Yiannis wskazał głową w kierunku zamku dominującego nad odległą częścią portu. Przed wiekami bronił wyspy przed Arabami. Teraz służył Brytyjczykom do obrony przed Cypryjczykami. — Chłopaki zsunęły się po murze na powiązanych prześcieradłach. Brytyjczycy są wściekli, nędzne gnojki.

Poczęstował go papierosem. Loukis jeszcze nigdy nie palił, do tego nie lubił Yiannisa, ale nie odmówił.

— Gdzie twoja dziewczyna? — zapytał Yiannis. — Wy dwoje zawsze razem jak papużki nierozłączki, zgadza się?

— Zachorowała — odpowiedział Loukis, ignorując kąśliwą uwagę.

— A to pech! To ładna dziewczyna. Ile ma lat? Piętnaście?

— Czternaście.

— Więc zaraz skończy piętnaście, nie?

— To chyba naturalna kolej rzeczy. — Loukis zgniótł papierosa obcasem i odszedł. Jego brat Michalakis stłukł kiedyś Yiannisa na kwaśne jabłko. Nie pamiętał, z jakiego powodu, ale domyślał się, że nie bez przyczyny.

Niewiele rzeczy rozśmieszało Loukisa do łez, ale Afrodyta niezmiennie. W odróżnieniu od reszty osłów na wyspie, które stukały czterema kopytami w skalistą ziemię, ta oślica przemierzała pola w butach ze skóry — zaprojektowanych i wykonanych przez Georgiosa. Jakiś czas temu Stavros odwołał się do jego umiejętności, bo zorientował się, że gdy Afrodyta, wtedy dużo młodsza, odmawia opuszczania stajni, to powodem nie jest ośli upór, tylko pogoda. Prośba początkowo rozbawiła Georgiosa, ale potraktował ją poważnie i wyjął centymetr, by pobrać wymiary kopyt. W warsztacie, przy wtórce kpiniek synów, którzy zamawiali siodło dla kozy, sandały dla psa, rękawiczki dla kota i kamizelki dla ryb, sporządził dwie pary miseczkowatych butów z najmocniejszej, idealnie wygarbowanej skóry, ze sprzączką z tyłu, żeby się dobrze trzymały. Skończywszy dzieło, pomógł Stavrosowi obuć oślicę, która po krótkim wahaniu wyszła ze stajni z podniesionym łbem oraz wystawionymi do przodu uszami i nie trzeba jej było siłą wyciągać na podwórze.

Nazywają to mysofobią — wyjaśniał Stavros Loukisowi,

ładując na grzbiet oślicy koszyki z pomarańczami. — Ona się boi brudu. Zaczęło się którejś jesieni, kiedy po ulewie ziemia zamieniła się w błoto, trwało przez całą zimę i wiosnę aż do lata. Ona jest typową kobietą: nie ruszy się nigdzie, jeżeli nie jest odpowiednio ubrana.

Poklepał zwierzę po szyi i wyciągnął rękę po sok z melona, który przyniosła żona. Chociaż Pembe kusiła także Loukisa szklanką soku, mówiąc, że dobrze mu zrobi na nerki, chłopak upierał się przy coca-coli.

Loukis od trzech miesięcy pomagał Stavrosowi na gospodarstwie, od kiedy przez jego braci zamknięto szkołę. Naszła ich ochota na wybryk, bez wątpienia z inicjatywy Nikosa, i namazali na białej ścianie niebieski napis: „Chcemy przyłączenia do Grecji, choćby groziło nam jedzenie kamieni!”. Brytyjczycy, od dawna przekonani, że każda szkoła jest wylęgarnią terrorystów, tę zamknęli już następnego dnia, a potem czterysta osiemnaście innych, które z ich punktu widzenia były równie bezużyteczne, zwłaszcza że demonstrowali w nich uczniowie i nie chciano opuścić greckich flag.

Georgios ceniący wykształcenie bardziej niż kunszt rzemieślnika, którym sam został, był rozjuszony. I nie łagodziły jego furii wyrazy solidarności, z jakimi się spotykał, ilekroć pojawił się w kafejce. W oczach mężczyzn ze wsi Nikos i Marios wyrosli na bohaterów narodowych. Nawet ksiądz pogratulował im w niedzielnym kazaniu, wychwalając akt oporu przeciwko okupantom dokonany przez „wspaniałych synów Georgiosa, Cypru i Grecji”. Mimo to bliski apopleksji z wściekłości Georgios zarządził, że jego nieletni synowie będący jeszcze w wieku szkolnym powinni ciężko popracować, żeby zrozumieli swój błąd. Póki Brytyjczycy nie zmiękną i nie otworzą znowu szkoły, wszyscy trzej mają znaleźć sobie robotę. Loukis był

zły nie tylko dlatego, że karanie go za grzechy braci uważał za wielką niesprawiedliwość, ale również z tego powodu, iż ostatnio Praxi widywał głównie w szkole. Kiedy zaczęła miesiączkować, matka zmuszała ją do spędzania wieczorów na „kobięcych” pogawędkach z Marią i innymi ściąganyymi do domu dziewczynami, którym pączkowały piersi. Loukis wolał się zgłosić do pracy u Stavrosa, niż wzorem braci zatrudnić się w składzie na terenie portu w Kyrenii, gdyż pozostając we wsi, był bliżej Praxi.

Stavros z każdym dniem robił się coraz starszy i grubszy, jego bliscy poprzenosili się na południe i pozakładali tam rodziny lub wyjechali na stałe do Turcji, więc chętnie zgodził się płacić funta cypryjskiego tygodniowo za pomoc przy sezonowych zbiorach, jakie dawały jego pola. Praca była ciężka, ale chłopak polubił słony smak potu na wargach, słońce nad głową, od którego brązowiała mu skóra, i dźwiganie koszów, co wyrabiało muskuły ramion.

Colę Loukis wypił duszkiem, bo na drodze zobaczył nadchodzącą Praxi. Ubrana na zielono wymachiwała skórzaną torbą. W niej, jak się domyślał, niosła świeży chleb, słoiczek czarnych oliwek i gomułkę koziego sera. Stavros również zauważył dziewczynę i mrugnął z rozbawieniem do Loukisa.

— Rozumiem, że zmykasz — rzekł. — Zobaczymy się po obiedzie.

Słońce zdążyło już podgrzać morze po zimie, więc nastoletnia para postanowiła spożyć posiłek na plaży. Praxi miała na sobie sukienkę bez rękawów ściągniętą w pasie. Ledwie sięgała jej do kolan i Loukis zauważył, że przyjaciółka sporo urosła od zeszłego roku. Jego oko dostrzegło również brzeg niebieskiej koronki przy dekolcie.

— Nosisz stanik?

— Tak, noszę, jak wszystkie kobiety, wiesz to chyba. A co? Chcesz zobaczyć?

Zachichotała, a Loukis się zaczerwienił, co rozbawiło ją jeszcze bardziej. Praxi była w świetnym nastroju, czuła się odmieniona i piękna, a co najważniejsze — wolna. Odkąd Brytyjczycy wygnali z Cypru arcybiskupa Makariosa, jej matka natchniona świętym oburzeniem modliła się i zalewała łzami, tak że nie starczało jej energii, by pilnować cnoty córki z równą żarliwością, z jaką przystąpiła do ograniczania jej swobody osiem miesięcy wcześniej.

Makarios był duchowym i politycznym przywódcą narodu — oskarżono go o indoktrynowanie młodych Greków antybrytyjską propagandą i zachęcanie do wstępowania w szeregi EOKA. Brat Loukisa, Michalakis, twierdził, że konflikt między arcybiskupem i Brytyjczykami zaczął się po pogrzebie Charalambousa Mouskosa. Charalambous był krewnym Makariosa, ale również bojownikiem EOKA i w potyczce z Brytyjczykami w górach Troodos został zabity podczas strzelaniny. Nabożeństwo żałobne odprawiał Makarios, a Brytyjczycy z obawy przed kłopotami otoczyli kościół. Gdy ceremonia pogrzebowa się skończyła i tłum się nie rozchodził, chociaż rozpętała się gwałtowna ulewa, żołnierze użyli gazu łzawiącego. Makarios nazwał to aktem profanacji oraz „czarną plamą w dziejach brytyjskiej okupacji” — i tę opinię podzielali wszyscy.

W domu Loukisa haniebny brak szacunku okazany przez okupantów przeżywano rym bardziej, gdyż po raz pierwszy gazeta Michalakisa jemu właśnie powierzyła zrobienie reportażu z poważnego wydarzenia politycznego. Matka, dumna z syna, wycięła artykuł i powiesiła go na ścianie obok fotografii arcybiskupa.

Nowy gubernator, sir John Harding, miał widać inne odczucia

niż rodzina Ekonomidou, bo trzy miesiące po owym pogrzebie skazał Makariosa na wygnanie na Seszele. Kiedy ta zbrodnia została ujawniona, wyspa odpowiedziała rozruchami. Zastrzelono brytyjskiego policjanta, stracił życie oficer turecki, strzelano do jakiejś Angielki i jej dziecka. We wsi Vasilia rozpętała się walka między żyjącymi dotąd zgodnie sąsiadami. W wielu miejscach plądrowano sklepy. Podłożono nawet bombę pod łóżko Hardinga, ale nie wybuchła.

O takich rzeczach opowiadał Michalakis, gdy przyjeżdżał z wizytą do matki i ojca, wieszcząc bliski wybuch wojny domowej na Cyprze. Nie wyglądało jednak na to, że ich wieś zostanie nią objęta. Z tego, co obserwowała Praxi, u nich walkę podjęły jedynie kruche staruszki, które w odwecie za wygnanie Makariosa obrzucały kamieniami żołnierskie patrole.

— Wiem, że nie powinnam tego mówić — przyznała, gdy sturlali się po piaszczystym klifie na brzeg morza — ale moje życie zmieniło się na lepsze, kiedy arcybiskup Makarios opuścił wyspę.

— Moje również — zgodził się z nią Loukis. — A powiedz, jak długo twoja matka będzie za nim płakać?

Praxi otworzyła torbę z jedzeniem.

— Kto to wie? Prawdopodobnie przez resztę życia, a przynajmniej do dnia, w którym pozwolą mu wrócić.

— Nie wierzę, że kiedykolwiek do tego dojdzie.

— Raczej nie. Też w to nie wierzę.

Praxi wyjęła dla Loukisa kawałek chleba, ale przytrzymała go w ręku, gdy po niego sięgnął. Oczy miała poważne, czuł jej oddech na swoich wargach.

— Loukis, myślisz, że naprawdę zaczyna się wojna? Patrzył na nią długo. Siedzieli w jaskrawym blasku słońca, tuż u ich stóp między zielonymi i niebieskimi kamykami

pluskała przezroczysta woda Morza Śródziemnego, a problemy wydawały się tak dalekie, jakby nie dotyczyły tego miejsca. Loukis przysłuchiwał się jednak rozmowom ojca i Michalakisa; oni byli przekonani, że problemy narosną, chyba że Brytyjczycy pójdą na ustępstwa i oddadzą Cypr Grecji.

— Nie wiem, Praxi — odpowiedział szczerze. — Tak uważają dorośli, ale ja nie mam pojęcia, dokąd my wszyscy zmierzamy. Osobiście nie czuję w sobie palącego pragnienia, żeby się stać częścią Grecji.

— Przecież jesteśmy Grekami! — krzyknęła Praxi, nie przytrzymując już kromki chleba i sięgając po ser. — Grecja to nasza matka i musimy, po prostu musimy do niej wrócić. Jak byś się czuł, gdyby Brytyjczycy wdarli się do twojego domu i powiedzieli ci, że odtąd nie możesz być z matką? Tak musisz na to patrzeć. Nie możesz chodzić po wsi i mówić, że „nie czujesz palącego pragnienia, żeby się stać częścią Grecji”. Gadasz jak Turek!

Loukis wstał i zrzucił z nóg buty. Zdejmując koszulę i rozpinając spodnie, myślał sobie, że jedyne, czego w życiu potrzebuje, znajduje się właśnie obok niego. Wszystko inne wywoływało mętlik w głowie.

Wbiegł do wody i zanurkował w lodowatą toń. Chwilę potem Praxi dołączyła do niego.

W kantorze, odcięty od dziennego światła i słonej bryzy, pod jarzącą się żółtym światłem żarówką człowiek zlewał się potem. Powietrze było gęste od zastałego dymu papierosowego, w nieładzie zalegały faktury i kartony, a wszystko razem tworzyło przygnębiający klimat. Nikos usiadł przy końcu stołu. Wiedział, dlaczego został wezwany; tego ranka puściły mu nerwy i ofiara jego furii leczyła teraz w domu złamany nos.

- Nie mogę przyzwolić na bójki w moim składzie — powiedział kierownik, wsuwając chesterfielda pod imponujące wąsy i błyskając zapalką. — Czy masz coś na swoją obronę? Jakies usprawiedliwienie?

Nikos zastanawiał się chwilę i potrząsnął głową. Kierownik zamknął oczy, demonstrując rozczarowanie.

— Wiesz, że nie mogę puścić tego płazem. Złamałeś mu nos. Czy naprawdę nie chcesz mi wyjaśnić, dlaczego go poturbowałeś?

Nikos doceniał cierpliwość starszego szefa, ale milczał. Wiedział, kiedy należy trzymać język za zębami, chociaż uważał swój występki za całkowicie usprawiedliwiony. Marios nie miał złych intencji, był po prostu zaciekawiony tym, że w skrzyni, którą podniósł, coś zagrzechotało. Gdy zaglądał do środka, nadbiegł Kostas, szarpnął go za włosy i nazwał durnym *vlaką*, co to wtyka nos w nie swoje sprawy. Nikos widział to z odległości, ale żal i konsternacja na twarzy brata zasnuły mu oczy czerwoną mgłą. Nie mógł pozwolić na to, żeby ktoś nazywał jego brata debilem, i zanim się zorientował, o co chodzi, rzucił się przez halę, skoczył na Kostasa i walnął go pięścią w twarz. Rozległ się trzask i połała krew. Za plecami Nikos słyszał szloch Mariosa.

— Z tego, co wiem od brygadzysty, stanąłeś w obronie brata — rzekł kierownik i zamilkł na chwilę, czekając, że Nikos to potwierdzi. — Jeżeli tak było — ciągnął — masz moją sympatię i nawet uznanie. Zrobiłeś to jednak w miejscu pracy, a nie na boisku czy na ringu. Dlatego potraktuj naszą rozmowę jako oficjalne ostrzeżenie. Na razie zostajesz w robocie, ale jeżeli znowu będę musiał cię wezwać, wylecisz. Zrozumiałeś?

— Zrozumiałem — potwierdził Nikos.

Kierownik wstał z krzesła, co oznaczało, że można odejść,

więc Nikos wrócił do hali z ulgą, że mu się upiekło, ale zdziwiony nie był. Nie miał złudzeń i wiedział, dlaczego został potraktowany pobłaźliwie. Teraz musiał sprawić, żeby zrozumiał to również Marios. Gdyby puścił parę z ust na temat broni, którą zobaczył w skrzyni, żaden z nich nie musiałby szukać nowej pracy, czekałby ich stryzynek.

— Nie zgadniesz, jak nazywają twoich chłopaków?

— Kto nazywa?

— Prawie cała wieś, jeżeli chcesz wiedzieć.

— Aż się boję zgadywać — odrzekła siostrze Despina.

— Nazwali ich braćmi Digenisa, co im nasunęła legenda o Górach Pięciopalczastych!

Despina się uśmiechnęła. Widziała sens w tym porównaniu. Digenis, legendarny olbrzym, bohater bizantyjskiego eposu, uciekł Arabom, przeskakując z Azji Mniejszej na północny Cypr. Lądując, złapał ręką pasmo gór i odcisnął na nim pięć palców, których ślad pozostał na wieki. Powątpiewała wprawdzie, czy poza domem synowie obrosną w legendę, ale wzrostem mogli się chlubić rzadko, spotykanym. Nawet Loukis, chociaż miał dopiero czternaście lat, patrzył na matkę z góry i z każdym dniem robił się ciut wyższy od ojca.

— Uważam, że to do nich pasuje — powiedziała Lenia, wrzucając do torebki buteleczkę z nalewką, którą Despina przyrządziła z żurawin i jagód niepokalanka.

— Sypiasz nadal w reformach?

— Mam je na sobie w nocy, rano i po południu; nigdy ich nie zdejmuję, chyba że robimy... no wiesz co. — Lenia się zaśmiała. — Andreas dostaje szału. Zaczął wołać do mnie *dolmades!*

Despinę aż zatkąło. Żadna szanująca się kobieta nie powinna pozwolić na to, żeby mąż porównywał ją do *dolmades*, liści winogron nadzianych ryżem. Reformy nosi się po to, by zatrzymać w sobie spermę, zwłaszcza jeżeli się je włoży zaraz po seksie, co wie każda baba, i dodatkowo potrzyma nogi w górze. Prawda, że nie są piękne, ale czasami są złem koniecznym i z pewnością nie należy ich wyśmiewać.

— Nie martw się, jest w porządku — uspokoiła ją Lenia. — Wiem, że Andreas tylko żartuje. Wciąż jest we mnie zadurzony.

— Mimo wszystko... *dolmades!*

— Daj spokój. Jeżeli majty i twoje medykamenty okażą się skutecznymi trikami, on zobaczy, że warto było się pomęczyć.

Despina się uśmiechnęła. Lenii nie było lekko na sercu: zameźna od trzech lat wciąż nie miała dzieci. Nikt nie rozumiał dlaczego, zwłaszcza ona sama, zdrowa przecież i silna. A kiedy była małą dziewczynką, srebrny krzyżyk, kołysząc się jak wahadełko nad jej dłonią, wywróżył jej dwie córki. Kilka lat wcześniej Despinę oszołomiła przepowiednia, że będzie miała pięciu synów. Krzyżyk nigdy się nie mylił.

— Czy bliźniacy dobrze się sprawują w magazynie? — zapytała Lenia, wrywając siostrę z zadumy.

Despina podniosła wzrok.

— Tak mówią, ale jak wiesz, pilnują swoich sekretów jak złodzieje. Gdyby podłożyli ogień pod zamek kyreński, dowiedziałabym się o tym ostatnia.

— I nic nie przesadzasz, Despo. Szczerze mówiąc, z góry współczuję kobiecie, która zostanie żoną Nikosa! — Lenia mrugnęła do niej.

Despina się roześmiała, bo nie było powodu do urazy, lecz w istocie słowa siostry dotknęły ją boleśnie. Nie dlatego, by

uważała Nikosa za świetny materiał na męża, wręcz przeciwnie, zdawała sobie sprawę, że ścierają się w nim moce światła i ciemności przy iście diabelskim uroku. Nie mogła sobie wyobrazić syna poddającego się łatwo woli jakiegokolwiek kobiety. Nie dlatego jednak poczuła się zraniona. Chodziło o to, że rozmawiały o bliźniakach, tymczasem Lenia, zapominając o Mariosie, dała wyraz przekonaniu, iż jemu małżeństwo raczej nie jest sądzone. Być może należało się z tym liczyć, lecz Despina nie była w stanie tego zaakceptować, nawet nie chciała o tym myśleć. Marios był równie postawny, silny

I przystojny jak bracia, niestety, żył w swoim ograniczonym świecie i tak musiało pozostać. Gdy z upływem lat jej chłopcy wyrastali na mężczyzn, Despinę coraz częściej prześladowała obawa, że Marios zagubi się, gdy Nikos się ożeni i ustabilizuje. Jej dziecko będzie musiało samodzielnie zmierzyć się ze światem, przeżyć resztę życia w pojedynkę, a dotąd był przy nim zawsze ten drugi.

— No cóż, Despo, noc się zbliża. — Lenia uścisnęła siostrę mocno i pocałowała na pożegnanie w błogiej nieświadomości, że wzbudziła w niej niepokój. Gdy drzwi się zamknęły, Despina przypomniała sobie o ziemniakach, które właśnie zaczęły podskakiwać w garnku na ogniu.

Na drugim krańcu wsi Michalakis zajrzał do kafejki, by zabrać ojca do domu. Wracali koło kościoła, miejscowej piekarni i sklepiku, w którym dawno pogaszono światła. Zbliżała się godzina policyjna, ale Michalakis nie miał zamiaru przyspieszać kroku. Zaczynało się lato, powietrze było rozgrzane, wdychał z rozkoszą zapach jaśminu, czując, że się odpręża po braku otwartej przestrzeni w stolicy i unoszącym się tam smrodkiem wzajemnej nieufności.

— Świetnie sobie radzisz — zauważył ojciec, klepiąc go

po ramieniu zrolowanym egzemplarzem „The Voice”. — Kolejny artykuł na pierwszej stronie. Zostaniesz naczelnym.

— Jeżeli nas nie zamkną — odparł Michalakis półżartem.

Od ogłoszenia stanu wyjątkowego zamknięto parę sprzyjających EOKA gazet. Zakłócano nawet transmisje radiowe z Aten. W kraju tyle się działo, a im więcej, tym mniej było miejsca dla dziennikarzy takich jak on, którzy chcieli uczciwie informować ludzi. W rezultacie plotka stawała się ewangelią, a jasne płomienie słusznego buntu przekształcały się w ponure języki mniej szlachetnego ognia.

Michalakis wiedział, jaka będzie rozmowa, gdy obydwaj dotrą do domu. Matka nakryje do stołu, najedzą się do syta, ojciec wyciągnie butelkę wina i wtedy zacznie się mówić o polityce, bo matka i ojciec czekają na jego relacje i komentarze. Co ma im powiedzieć? Prawdę, tak jak mu się przedstawiała: że ich wyspa zamienia się w jedną wielką trumnę? Wrzucano bowiem granaty do barów, gdzie chodzili żołnierze, a byli to w większości chłopcy zaledwie w jego wieku; wybuchały bomby w bazach wojskowych; zestrzelowano samoloty; toczyły się walki pozycyjne w Famaguście; strzelaniny zakłócały ciszę w górach Troodos. Angielskie matki opłakiwały synów, i Michalakis nie mógł im nie współczuć, pisząc reportaże o okaleczonych i zabijanych młodych ludziach, których ciała były dziurawione przez kule, wnętrzności rozszarpywane przez odłamki szrapneli, a krew wsiąkała w cypryjską ziemię. Nie znosił polityków, ich cynizmu i gierki, ale żołnierzy specjalnie nie winił. Wiedział, że wielu wykorzystuje po prostu okazję do powiększenia zarobku o kilka funtów. Wątpił, żeby znalazł się taki, któremu nie jest obojętne, czy Cypr będzie niezależny, czy też przyłączy się do Grecji. Mimo wszystko umierali tutaj.

I nie tylko Brytyjczycy. Każdego tygodnia greckie matki wypłakiwały oczy za synami, którzy zostali wciągnięci do walki, zwerbowani przez bojowników działających na wygnaniu czy ukrywających się na wyspie. Grivas, szermując patriotyczną retoryką, posyłał chłopców na śmierć, a im więcej ich ginęło, tym liczniejsi szli w ich ślady, przyłączając się do sprawy, której sens od dawna się zacierał. Walka o *enosis* — zjednoczenie wyspy z Grecją — nie była już taka czysta. Nie chodziło po prostu o pozbycie się okupanta, zabijano teraz wszystkich, którzy stali na drodze wielkiej idei, czy byli to Brytyjczycy, czy Turcy, czy Grecy. Konflikt przełamał pierwotne granice i rozlewał się wzdłuż i wszerz po całej wyspie.

— Setki ludzi aresztowano — mówił Michalakis rodzicom, gdy odpoczywając po posiłku, rozprawiali o niekończących się walkach. — Nawet członków partii komunistycznej. Brytyjczycy tłumią każdy przejaw niesubordynacji.

— I deportowali nasze kilkunastoletnie dzieci, nie zapominaj o nich — dodał Georgios, dolewając wina do kieliszków.

— Słyszałam, że wsadzają dzieci do więzień, jak znajdują przy nich kamienie — wtrąciła Despina. — To chyba nie może być prawda?

— A jednak jest, takie ustanowili prawo — potwierdził Michalakis.

— Cholerny absurd — oburzył się Georgios.

— Hańba — wtórowała mu Despina. — Pakują nasze dzieci za kratki, wlepiają mandaty naszym rodakom i zakładają stryczki na szyje młodych ludzi. Brytyjczycy zasłużyli sobie na wszystko, co ich spotyka.

Michalakis podniósł wzrok znad stołu i jego oczy spoczęły na wycinkach z gazet, których rosnąca liczba z trudem znajdowała miejsce na ścianie między rodzinnymi zdjęciami i wi-

zerurikami świętych. Obok okna wisiał jego najświeższy artykuł poświęcony skazanym na śmierć przez powieszenie bojownikom EOKA: Andreasowi Demetriou i Michaelowi Karaolisowi. Byli pierwszymi członkami tej organizacji, którzy dostali wyrok śmierci. Andreas pozostał buńczuczny do końca, mówiąc swoim katom: „Żałuję, że nie zobaczę wolnego Cypru. Nie boję się jednak śmierci, ponieważ życie w niewoli nic nie jest warte”.

— Mimo wszystko nie jestem w stanie zrozumieć, dlaczego zabijamy naszych — mruknęła Despina, odkorkowując dla swoich mężczyzn kolejną butelkę. — Na przykład tego świeckiego kaznodzieję, którego zastrzelono w Kitrei.

— Był zdrajcą — tłumaczył matce Michalakis. — Tak poinformował mieszkańców snajper. Zdrajcy i donosiciele są na celowniku EOKA tak samo jak żołnierze gubernatora, takie nastały czasy.

— Ci z EOKA nie powinni strzelać do Cypryjczyków — rzekła twardo Despina i wstała od stołu, żeby schować do szafek naczynia zostawione do wyschnięcia przy zlewie.

Michalakis i Georgios wymienili spojrzenia, ale nic nie powiedzieli. O eskalacji konfliktu rozmawiali w drodze do domu. Spychani do narożnika Brytyjczycy, poszukając nowych możliwości, coraz chętniej korzystali ze wsparcia mniejszości tureckiej. Ku rozsierdzeniu Greków wielka liczba Turków zasilala szeregi policji. Teraz zabicie policjanta odbierane było jako atak nie tylko na władzę, lecz także na ludność turecką. Brytyjczykom udało się skutecznie poróżnić dwie społeczności. W styczniu w akcie zemsty został zabity turecki oficer policji, za to, że składał zeznania na rozprawie przeciwko kilku członkom EOKA. Reakcją Turków cypryjskich było zawiązanie organizacji, która ogłosiła, że za zabicie jednego Turka straci

życie pięćdziesięciu Greków. Upłynął rok z niewielkim okładem i walka o *enosis* przeobraziła się w walkę o przetrwanie, w której obie strony zaślepiła nienawiść.

Maria była cała spocona i gdy wspinali się coraz wyżej, jej irytacja rosła, bo upał stawał się nie do zniesienia, obcasy co rusz więzły między kamieniami i bała się, że zwicnie nogę w kostce. Do zamku Świętego Hilariona wyprawili się we trójkę. Tymczasem konia z rzędem temu, kto by ich widział idących razem; zostawili ją tak daleko w tyle, że nawet nie słyszała, o czym rozmawiają. Co za niewdzięczność! Gdyby nie zgodziła się na rolę przyzwoitki, Praxi nie udałoby się wymknąć spod oka matki i tyle czasu być z Loukiszem. Kiedy jednak poprosiła, by się zatrzymali na odpoczynek, Praxi zareagowała złością.

— Mówiłam ci, żebyś nie wkładała tych butów! — wydarła się raczej, niż odezwała. Maria ledwie powstrzymała łzy, czuła się przegrzana, zmęczona i rozzalona, byli wobec niej cholernie nie fair.

— Zwolnij, Praxi — zmitygował się Loukis. — Chodź, Mario, odpoczniesz chwilę. — Podprowadził ją za rękę pod głąz w pobliżu. Praxi zirytowana wzniosła ręce do nieba i poszła dalej. Po minucie Loukis się poderwał, by ją dogonić, i Maria znowu została sama.

Gdy dotarła na pobocze drogi, zobaczyła, że siedzą na trawie i czekają na nią. Czuła się wykończona. Najukochańsze buty były porysowane, twarz i szyję miała zlane potem. Choć zbliżał się koniec lata, dni nie przestały być upalne, a upału nienawidziła.

— Nie mogę iść dalej — oświadczyła, padając koło nich

na trawę. Zamek wydawał się bardzo daleko, wisiał nad ich głowami niczym czyhający na padlinę sęp. Przyprawiał ją o dreszcz trwogi. Mama powiedziała jej, że nazwa pochodzi od mnicha Hilariona, który żył tu w dawnych czasach, kiedy w tych górach grasowały demony. Ponieważ stary mnich był głuchy, nie słyszał ich przerażających grózb, więc się znudziły i zostawiły go w spokoju. Patrząc teraz na zmurszałe ruiny, przygnębiająco ponure, Maria nabierała pewności, że święty Hilarion był nie tylko głuchy, lecz także głupi. Nie była w stanie pojąć, jak ktoś mógł zamieszkać w miejscu tak oddalonym od cywilizacji. Kiedy się zgodziła spędzić dzień z Praxi i Loukiszem, miała nadzieję, że wybiorą się do Kyrenii na spacer po pięknym nabrzeżu, gdzie wiatr ją ochłodzi, a mężczyźni będą się za nią oglądać, pogwizdując z uznaniem. Niestety, Praxi uparła się na wspinaczkę do zamku, a Loukis zawsze robił to, co ona chciała, więc przed lunchem we troje wyruszyli w drogę. Teraz Maria żałowała, że się z nimi wybrała, niechby poszli sami. Sęk w tym, że musiałyby się gdzieś zaszyć, by ich nie zdradzić, i skazałyby się na ileś godzin nudy. Poza tym straciłaby okazję do przebywania w towarzystwie Loukisa. Na jej gust był zbyt poważny, ale i tak mogłaby umrzeć z miłości do niego — i pewnie to się zdarzy, jeżeli będą ją zmuszać do dalszego marszu. A tak naprawdę w ogóle nie powinna się tu znaleźć. Matka by się wściekła, gdyby wiedziała, że córka wybrała się na taką wycieczkę, bo na zboczu tej góry zaledwie kilka tygodni temu zabito jakąś Angielkę i jej kierowcę. O tym im przypomniawszy, leżąc skrajnie zmęczona na ziemi. Praxi tylko się zaśmiała.

— To wcale nie jest zabawne — upierała się Maria, zdenerwowana, że Praxi chce ją ośmieszyć w oczach Loukisa. — Teraz jest niebezpiecznie. EOKA atakuje wszędzie.

— Mało prawdopodobne, żeby strzelali do trójki greckich uczniów, nie sądzisz?

— Byłych uczniów — skorygował Loukis.

— No dobrze, nie wezmą nas na cel — zgodziła się Maria. — Ale mogą zabić przez przypadek. Gdyby nagle pojawili się tu okupanci i rozpoczęła strzelanina? Wszyscy wiedzą, że ci z EOKA ukrywają się w górach.

— Tym lepiej, mamy uzbrojoną ochronę, nie? — Praxi położyła się na plecach na trawie, a Loukis zachichotał.

Twarz Marii spochmurniała. Od czasu, gdy powieszono dwóch chłopaków z EOKA, wiele się zmieniło, wiosna przeszła w lato, a wojna, która toczyła się w Nikozji i w innych miastach na wyspie, dotarła także do Kyrenii. Na litość boską, czy oni nie wiedzą, że przed miesiącem wybuchła bomba w urzędzie celnym! Bojownicy EOKA zdobyli nawet posterunek policji koło więzienia i ukradli broń oraz naboje. A kilka dni temu wykonano egzekucję na chłopaku z miejscowej partyzantki, co oczywiście zapowiada dalsze kłopoty. Rodzice się zamartwiają, bo wystarczy włączyć radio, żeby usłyszeć o jakiejś nowej tragedii, trudno to wytrzymać. Niech sobie tych dwoje myśli, co chce, ona, Maria, jest przerażona. Praxi odgrywa twardziela, żeby zaimponować Loukisowi, ale Maria jest dziewczyną i będzie się zachowywała jak dziewczyna. Któregoś dnia, i to niedługo, Loukis zmądrzeje, rozum dogoni wyrosnięte ciało i wtedy spojrzy na Marię inaczej, a Praxi przestanie się wydawać, że jest taka wyjątkowa i świetna.

— No cóż, uważam, że zachowujemy się strasznie głupio — oświadczyła.

— Na miłość boską, Mario, czy ty w ogóle nie rozumiesz sytuacji? — Praxi wstała, położyła ręce na biodrach, a oczy zapłonęły jej ogniem. — EOKA walczy z okupantami nie tylko

w imię naszego zjednoczenia z Grecją, musi walczyć, żeby ratować Cypryjczyków. Brytyjczycy tresują psy i szczują je na nas, stosują tortury, biją w genitalia, kopią w brzuch w taki sposób, żeby nie zostawiać śladów, przypalają gorącym żelazem i podają narkotyki, żeby wymusić przyznanie się do winy. To spotyka niewinnych Greków, Mario! Grecy są torturowani we własnym kraju przez ludzi, którzy nie mają prawa tu być! Twoja śliczna buzia ci nie pomoże, jeżeli cię aresztują za to tylko, że jesteś Greczynką. Kobietom nakłuwają igłami piersi, każą im się kłaść na bryłach lodu. Brytyjczycy to potwory! Ich się boję, a nie EOKA!

— A skąd wiesz to wszystko? — wyzywająco spytała Maria.

— Z ulotek, które dał mi Yiannis Christofi. Loukis spojrział na nią.

— Kiedy się widziałaś z Yiannisem?

— Oj, nie wiem, miesiąc, dwa temu, kiedy pracowałeś u Stavrosa.

Przejeżdżał akurat autem...

— Ma samochód? — Maria szczerze się zainteresowała. Większość chłopaków jeździła na osłach, nieliczni, którzy uzyskali pozwolenie od brytyjskich urzędników, na rowerach.

— Tak, jakiegoś rzęcha...

— Rozmawiałaś z nim? — spytał Loukis.

— Z kim?

— Z Yiannisem, chyba jasne, o kogo pytam.

— Oczywiście, że tak.

— O czym rozmawialiście? — dopytywał się Loukis. Praxi wyglądała na zmieszaną, potrząsnęła głową.

— Nie wiem, właściwie o niczym. Zaprosił mnie do Kyrenii na potańcówkę.

— Zaprosił cię na zabawę? — Loukis poderwał się na nogi- — I co ty na to?

— Loukis, przestań. To nieważne, chciał mi dać ulotki EOKA i przy okazji porozmawialiśmy chwilę.

— To jest ważne. — Twarz Loukisa zrobiła się ponura, Praxi dobierała słowa. Maria cieszyła się konsternacją przyjaciółki.

— Odpowiedziałam mu, że się zastanowię.

— Świetnie, więc się zastanawiaj, Praxi. Chodź, Mario, odprowadzę cię do domu, pójdziemy szosą. Mniej się zmęczysz.

Maria skoczyła na równe nogi i pobiegła za Loukiszem, który już się oddalał.

— Loukis, nie bądź dzieckiem! — zawołała Praxi. Zatrzymał się, spojrzał za siebie, ale gdy go Maria dogoniła, wziął ją za rękę i poszli.

*

Lato zegnało wyspę ciemnymi chmurami, których pofałdowane brzuchy owijały się wokół wapiennych szczytów strzegących Kyrenii. Wobec nasilenia kryzysu sueskiego Brytyjczycy przerzucili część swoich oddziałów z Cypru do Egiptu, a Praxi wciąż nie mogła darować Loukisowi, że ją zostawił samą w górach. Na złość jemu poszła z Yiannisem na zabawę, wynudziła się z nim okropnie, ale na szczęście matka kazała wrócić do domu nie później niż pół do siódmej wieczorem. Ponieważ Loukis nie kwapił się do przeprosin, Praxi uciekła się do sztuczek, których nauczyła się od tutejszych kobiet. Była więc wyniośle uprzejma i demonstrowała brak zainteresowania. Niestety, Loukis, równie uparty jak ona, wciąż ją ignorował.

Despina obserwowała ten teatr z pozycji osoby pozbawionej wpływu na życie własnego syna i zamartwiała się, że znowu będzie miał napad paniki. Na szczęście Loukis jakoś się trzymał,

pracował w ciągu dnia u Stavrosa, wieczorami jednak atmosfera w domu była ciężka.

Georgios wrócił właśnie z warsztatu. Prześlizgnąwszy się wzrokiem po synu, który siedział z nosem wetkniętym w podrzucony po południu przez Christakisa „The Voice”, porozumiał się spojrzeniem z żoną. Pokręciła głową, więc tylko wzruszył ramionami.

— Gdzie bliźniacy? — zapytał.

— Mamy ich z głowy dzisiejszej nocy — odparła Despina. — Musieli dostarczyć jakieś skrzynie do Famagusty i z powodu godziny policyjnej mają zanocować w domu brygadzysty. Zgodziłam się i chyba dobrze, tak?

— Oczywiście — przyznał Georgios. — Już nie są dziećmi. Jeżeli tego zażądano w pracy, musieli pojechać. — Włączył radio. Spiker był Grekiem, ale czytał wiadomości po angielsku.

Dziesiątki tysięcy ludzi wyszło na ulice na Węgrzech, żądając ustąpienia prosowieckich rządów. Zaczęło się od pokojowego wiecu, a skończyło starciami między policją i demonstrantami, podczas których podobno padły strzały. Demonstranci domagają się powrotu usuniętego premiera. Inne ich żądania to wolne wybory, wolność prasy i wycofanie wojsk sowieckich.

Wiadomości z kraju. Brytyjski żołnierz zginął w okrutnym zamachu w miejscowości Lefkoniko. Ten dziewiętnastolatek po meczu futbolowym pił wodę z miejscowej fontanny. Ekspłodowała podłożona wcześniej bomba, zabijając go i raniąc pięciu innych żołnierzy. Ten ostatni atak EOKA zasługuje na potępienie jako kolejna podstępna zbrodnia terrorystów...

— Och, wyłącz go, Georgios, nie mogę tego znieść. — Despina z trzaskiem zamknęła drzwiczki piecyka i postawiła na stole pieczoną jagnięcinę z warzywami. Codziennie nadawali to samo: tylko o walce i śmierci. I teraz ten dziewiętnastolatek, chłopiec w wieku Michalakisa, rozerwany na strzępy, a chciał tylko ugasić pragnienie po meczu futbolowym. Brał udział w niewinnej grze na boisku, nie w napadzie, nie w zasadzce.

Despina zajęła się odkrawaniem mięsa od kości, prosząc Loukisa, by odłożył gazetę. Gdy nakładała im na talerze, rewelacje z radia wciąż brzmiały jej w uszach i mimo wysiłków nie mogła ich wyprzeć ze świadomości, wyobrażała sobie pyły po wybuchu osiadające na ciałach rannych i zabitego chłopaka, który miał po co żyć, a leżał bez ruchu na ziemi z trzewiami wyrwanymi przez eksplozję bomby, zabity przez Greków, jej rodaków. To było potworne i jako matka kilku synów czuła, że gryzie ją sumienie. Loukis wrócił już do swojej gazety, a *kleftiko* na jej talerzu wystygło nietknięte.

Następnego dnia nadal nękał ją obraz tego żołnierza grającego w piłkę i wprawiał w przygnębienie. Była zdenerwowana i rozkojarzona, trapiły ją jakieś złowrogie przeczucia. Cokolwiek robiła, nie była w stanie oderwać się od złych myśli i wciąż nawracało wyobrażenie chłopaka leżącego na ziemi, straszliwie zmasakrowanego, umierającego przy fontannie, w której woda zabarwiła się na czerwono. Bez chłopców hałasujących w domu jej kroki rozlegały się echem w pustce, więc po nieskutecznych próbach wmawiania sobie, że powinna się cieszyć spokojem i ciszą, poszła na werandę, żeby przygotować sobie uspokajający napar. Zdejmując garnek z półki, wyczuła, że ktoś przyszedł.

Wybiegła z werandy i zobaczyła jego rękę z kostkami wymierzonymi w drzwi. Zauważył Despinę i nie zapukał. To

był kierownik z Vassos Trade Suppliers w Kyrenii, z hurtowni, gdzie pracowali chłopcy. Jest mu przykro, powiedział, i widziała, że to prawda. To było straszne, powiedział. Zostali zaskoczeni, byli w szoku, mówił, zacinając się przy kolejnych słowach, a serce Despiny zaczęło walić jak oszalałe. Gdy jej ciało słabło, krew pulsowała w niej z potężnym dudnieniem zagłuszającym niektóre jego słowa. Żołnierz i mecz futbolowy. Dlatego przyszli do miasta. Wściekłość i chaos. Byli żądni zemsty. Napadli na Famagustę, ciężkimi buciorami kopali w drzwi. Drewno pękało z trzaskiem. Kobiety krzyczały. Ludzie byli przerażeni. Tyle nienawiści, straszna nienawiść. Wrzucali ich na ciężarówkę jednego za drugim, kolejnego na już leżących, pękały kości, dusili się. I wreszcie ten dom. Jej chłopcy byli w środku. A tamci przyszli przeszukać dom i niszczyć. Marios nie rozumiał, ale był odważny. Próbował bronić gospodyni, lecz rzucili go o ścianę i znokautowali ciosem w brzuch. Był taki dzielny, tak bardzo dzielny. Nikos skoczył na pomoc, ale dostał kolbą w twarz. Między oczy. Trzask, głośny trzask. Czy to karabin, czy podłoga? Otworzyła się czaszka. Wyciekło z niego życie. Nic nie mogli zrobić, usprawiedliwiał się mężczyzna. Było mu naprawdę bardzo przykro, mówił szczerze. Rozpłakał się.

Po ciało przyszedli wczesnym popołudniem.

Ciężkie chmury wisiały nad osadą, niebo było czarne jak ich ubrania, zanosilo się na ulewę. I tak powinno być: odeszło stąd słońce, gdy odszedł jej syn.

Siedziała przy nim całą noc z oczami utkwionymi w trumnę, w milczeniu przeżywając jego bliskość, pragnąc, by się obudził, podniósł powieki i powiedział do niej, że to był żart i przeprosza za niego. Nie zrobił tego jednak, a nie tak chciała zapamiętać swojego pięknego syna, nie w skrzyni, zimnego i bez życia, uszkodzonego i zabitego, bo rozszalała się nienawiść. Jak mogła dopuścić, żeby to się zdarzyło? Był z jej ciała i krwi, wyrywał się z jej łona na świat, pokonując brata w wyścigu do życia, czerpał siłę ze słońca i napełniał ich życie światłem. Jak to możliwe, że odszedł? W ciągu jednej nocy świat się zmienił, zrobił się ohydny, pozbawiony sensu i nadziei, dusiła się w nim. Nie minęły jeszcze cztery dekady jej życia, a już z dziewczynki, potem żony i matki, stała się *miroloi* — kobietą ubraną w czerń. Za szybko. To było niesprawiedliwe. Nie powinna tu siedzieć, nie powinna tak rozpaczać. Dlaczego jej to zrobili?

Nogi się pod nią ugięły i osunęła się w ramiona Christakisa.

— Nie, nie, proszę... jeszcze kilka minut, błagam, proszę... — Oślepiąca łzami wyciągnęła ręce, by złapać trumnę, gdy go zabierali, ale omdlałe ręce nie zdołały zatrzymać syna. Gdyby tylko dali jej trochę więcej czasu. Chociaż kilka dni, jakąś szansę, żeby mogła coś zrobić, wierzyła, że coś by wymyśliła, musiał być jakiś sposób, żeby nie pozwolić mu tak odejść, żeby został tutaj, z nimi, z rodziną, z tymi, którzy go kochali i potrzebowali. Ziola mają tyle sekretów. Nie zawiodłyby jej, podpowiedziały, jaką maść sporządzić, jaką mieszankę korzonków, pachnących kwiatów i wody, jaką miksturę, żeby powstrzymać zapadanie się policzków, nie dopuścić do rozkładu, żeby mógł tu zostać. Niechby Bóg pozwolił mu z nią zostać.

— Nie, proszę! Proszę, nie zabierajcie go. Jeszcze nie teraz... Nikos! Mój syn! Nie zabierajcie mi mojego syna!

*

Po bokach matki stali Christakis i Michalakis jak dwa potężne filary wspierające ją, żeby ból jej nie powalił. Dawno wyszli z lat chłopięcych, ale po raz pierwszy, teraz już jako mężczyźni, zamieniali się opiekuńczą rolą z rodzicami, a własny smutek przeżywali z godnością, jaka wywierała wrażenie na zgromadzonych mieszkańcach wsi. Gdy ksiądz polewał grób oliwą z oliwek i rzucał garście ziemi z czterech jego rogów, Marios ramieniem otoczył ojca, którego plecy zdrząły od łkania, bo nie potrafił dłużej powstrzymać łez. Georgios, choć wdzięczny za ten ciepły gest, poczuł się upokorzony. Przecież to on powinien dawać wsparcie, niestety, siły go opuściły i poddał się opiece syna. Na prawo od rodzinnej grupy trzymał się Loukis — stał obok nich, ale samotny. Z wyprostowanymi

plecami i suchymi oczami patrzył, jak rzucają ziemię na twarz brata w otwartej trumnie. Praxi odeszła od matki, zbliżyła się do Loukisa i chwyciła go za rękę. Nie spojrział w bok, ale zacisnął palce wokół jej dłoni. Płakała za niego, gdyż wiedziała, że on płakać nie będzie.

Po pogrzebie żałobnicy w posępnej procesji udali się do domu rodziny zmarłego, żeby się pocieszyć *pariorką* — chlebem, oliwkami i winem — ale Praxi i Loukis niepostrzeżenie się wymknęli. Trzymając się za ręce, uciekali z otulonej żałobą wsi.

Przecieli kyreńską szosę, weszli na skalistą drogę, którą przemierzali chyba milion razy, i wspinając się wyżej i wyżej, znaleźli się w cieniu zamku Świętego Hilariona. Zatrzymali się wreszcie pod drzewem pistacjowym, które kiedyś wybrali jako strażnika miejsca wiecznego spoczynku Praxi. Nic do siebie nie mówili, bo słowa nie były potrzebne. Praxi przeżywała ból Loukisa, jakby sama poniosła stratę. Nic nie było w stanie naprawić krzywdy wyrządzonej jego rodzinie. Nie można było przywrócić Nikosa do życia. Teraz jedyne, co mogła zrobić, to być przy Loukisie. Kiedy skrył twarz w dłoniach, delikatnie odchyliła palce jego ręki i przytuliła do niej policzek. Bez zastanowienia przyłożyła wargi do jego ust i tchnęła w nie swoją miłość.

Poderwał się zefirek, targając ich włosy, po chwili zaczęło padać i krople deszczu, tocząc się po ich twarzach, zatrzymywały się w tańcu na ich językach, a do nozdrzy dotarł kojący zapach wilgotnej ziemi. Cypr dzielił z nimi żal po stracie, szepcząc im do uszu wiatrem i całując ich własnymi łzami.

Pod zamkiem mnicha Praxi i Loukis wspólnie stawiali czoło bólowi, walczyły z nim ich głodne usta i niedoświadczone ręce,

które wędrowały po wypukłościach i zagłębieniach poznawanych ciał, a kiedy Loukis wszedł w nią, Praxi odpowiedziała na jego namiętność całkowitym zapamiętaniem. Jakby nie było wojny, pełzającego łęku, obawy przed potępieniem przez matkę wsłuchaną w nauki Kościoła, tylko łomotanie dwóch serc i gorączkowe oddechy. Praxi całowała Loukisa i płakała, ale nie wstydziła się łez, bo płynęły z miłości do niego. W tym akcie wzajemnego oddania przestali być tylko Praxi i Loukiszem, narodziło się coś więcej. Stali się jednością i tak miało być już zawsze.

Marios przesunął palcami po drewnie i się uśmiechnął. Udało się; wygładził dłutem surowe krawędzie dokładnie tak, jak mu pokazywał Christakis.

— Piękna robota — przyznał brat, gdy Marios poszedł mu się pochwalić. — Jeszcze kilka takich prób i nauczę cię sztuki polerowania drewna z użyciem kredy, co sprawia, że uzyskujesz gładziutką powierzchnię.

— To mi się spodoba — rzekł Marios i wrócił na swoje miejsce przy oknie. W pomieszczeniu było dużo jaśniej niż w warsztacie ojca i wolał tu pracować. Chociaż nigdy nie powiedział ojcu „nie”, nie chciał spędzić reszty życia na robieniu butów dla miejscowych ludzi, dla osłów też nie. Nie lubił skóry; dziwnie pachniała, jakby śmiercią, za to drewno to co innego. Stare drzewo można było przywrócić do życia, nadać mu nową i piękną formę. Skóra natomiast wyglądała zawsze jak martwa, choćby pracowały nad nią zręczne ręce ojca.

W pierwszych dniach po tym, jak zabito Nikosa, ojciec potrzebował pomocy i wszyscy byli zdania, że Marios nie powinien wracać do pracy w magazynie, więc bardzo się starał

wprawiać w szewskim fachu. Okazało się to jednak niemożliwe, bo coś złego stało się z ojcem. Gdy podszedł do Mariosa, żeby mu pokazać, jak się dziurkuje skórę, nagle zadrżały mu palce. Po chwili drzenie objęło całe ciało, jakby coś niewidzialnego nim trzęsło, wreszcie załzawiły mu oczy i musiał wypuścić z rąk narzędzia, żeby przytrzymać się stołu.

Wtedy wszedł Christakis. Rzucił jedno spojrzenie na ojca i poprosił Mariosa, by poczekał na zewnątrz. Dwadzieścia minut później brat wyszedł i oznajmił Mariosowi, że odtąd będzie się uczył stolarki, jeżeli ten pomysł mu odpowiada. Odpowiadał jak najbardziej. W warsztacie Christakisa nie czuł się przygnębiony, nikt na niego nie krzyczał ani nie robił głupich dowcipów jak w magazynie, tu mógł spokojnie pracować. Od rana brat obrabiał i rzeźbił drewno, wokół jego nóg zwijały się złote wióry, a Marios zajmował się zleconymi mu zadaniami. W porze obiadu pojawiała się Yianoulla, żona Christakisa, jedną ręką obejmowała malutkiego Angelisa, w drugiej niosła trzy talerze. Słońce im przygrzewało, gdy razem spożywali przygotowany przez nią posiłek, a Angelis zaśmiewał się na kolanach ojca, ciągnąc go za wąsy. Od czasu do czasu Yianoulla przynosiła pieczone ziemniaki, które rozpływały się w ustach, a raz nawet zrobiła dla nich deser lodowy. Ale najczęściej przychodziła z chlebem, serem i oliwą dla okrasy. Wczoraj Christakis powiedział jednak Yianoulli, że ma przestać się o nich troszczyć, bo musi być jej ciężko zwijać się tak z dzieckiem w brzuchu, na co ona tylko się roześmiała i rzekła, że dbanie o mężczyzn to jej praca.

Marios uważał, że bratowa jest miła, do tego bardzo ładna, i miał nadzieję, że kiedy przyjdzie na nią czas, urodzi małą dziewczynkę, a nie kolejnego chłopca. Cypr był dla chłopców niebezpieczny. Kiedy dorastali, ginęli.

O godzinie czwartej Christakis wysłał Mariosa do domu, i dobrze, że tak wcześnie, bo słońce było jeszcze wysoko na niebie, więc chłopak miał dość czasu, żeby pójść odwiedzić Nikosa. Choć Nikos nie żył, to naprawdę nigdzie nie odszedł, Marios czuł jego obecność, gdy był na cmentarzu. Brat nadal chętnie go wysłuchiwał, więc sobie wykombinował, że jest tak, bo przyszli na świat z jednego jaja. Kiedy siadał przy grobie i opowiadał Nikosowi, co się wydarzyło w ciągu dnia i czego nowego się nauczył, brat zadawał mu pytania, na które Marios skrupulatnie odpowiadał. Dzisiaj miał się pochwalić, że Christakis obiecał nauczyć go polerować do gładkości drewno. Wiedział, że Nikos się ucieszy. Będzie pod wrażeniem.

Wielka szkoda, że rodzice nie czują tak jak on obecności Nikosa, gdyż na pewno przestaliby łać łzy i tak szybko się starzeć. Wydawało mu się, że w ciągu ostatnich tygodni ojciec się skurczył, poruszał się wolniutko i niepewnie, a matka z kolei już następnego dnia po tym, jak Nikosa złożyli do snu w nowym miejscu, obudziła się z pasmem siwych włosów z jednej strony głowy. Nikt nic nie rzekł, co Mariosa dziwiło, ale sam bał się o tym mówić, żeby wszyscy nie zaczęli znowu płakać. Kiedy jednak opowiedział o tym Nikosowi, ten parsknął pod ziemią głośnym śmiechem, więc Marios postanowił zapomnieć o sprawie. Gdy teraz patrzył na mamę, nie widział tej siwizny, tylko słyszał śmiech Nikosa.

Yiannis opuścił szybę w aucie i wytknął głowę. — *Yassou*, Loukis. Bardzo mi przykro z powodu twojego brata. To był dobry gość, dobry Grek.

Loukis zatrzymał się na poboczu. Oczy zwęziły mu się ze

złości, był wściekły, że natknęli się na siebie i zwykła przyzwoitość wymaga, by przyjął zdawkowe wyrazy współczucia.

— Przyrzekam ci, że okupanci zapłacą za to, co zrobili — mówił dalej Yiannis.

— A to mnie dopiero pocieszyłeś — zadrwił Loukis. Podeszedł do samochodu i rozmyślnie położył ręce na dachu, żeby Yiannis musiał cofnąć głowę. — Powiedz mi, co dokładnie proponujesz? — spytał wyzywająco. — Wysadzić Brytyjczyków w powietrze, zastrzelić co do jednego czy zasypać ich ulotkami, żeby wymusić kapitulację?

— Nie tak ostro. — Starszy chłopak się zaśmiał, chcąc wziąć słowa Loukisa za żart, ale śmiech był wątry i nerwowy.

Loukis groźnie uniósł brwi i wpatrywał się w niego. Nie wiedząc, jak zareagować, Yiannis nacisnął pedał gazu i zwiększył obroty. Z braćmi Ekonomidou lepiej było nie zaczynać, ale miał też dość odgrywania sympatycznego gościa.

— Słuchaj, dzieciaku, nie masz nawet w połowie pojęcia o tym, co się dzieje — powiedział złowrogo i odjechał. Loukis odprowadzał wzrokiem oddalające się gruntową drogą

auto. Z wściekłości włoski zjeżyły mu się na karku i poczerwieniały policzki. Chevrolet nadjechał od strony domu Praxi i w głowie Loukisa, mimo że starał się trzymać wyobraźnię na wodzy, kłębiły się myśli o tych dwojgu. Słyszał płaskie pochlebstwa Yiannisa, chichot Praxi i zaproszenie do tańca. W ogarniętym zazdrością umyśle rozbrzmiała muzyka taneczna z gramofonu i widział spocone ręce, nie swoje, ściskające jej dłonie. Te ręce prowadziły ją po parkiecie, od czasu do czasu spoczywały frywolnie na jej pośladkach, przyciągały bliżej coraz bliżej...

W jednej sekundzie mógłby skrócić temu facetowi kark. Nie tylko Yiannis jednak wystawiał na próbę jego cierpliwość; od

ponad tygodnia unikała go Praxi. Loukis domyślał się, że próbuje chronić ich przed podejrzeniami, ale przeżywał to jak karę. Po tamtym dniu w górach byli ze sobą jeszcze dwa razy, lecz potem, gdy jej dotykał, kulila się w sobie i odgradzała najrozmaitszymi wymówkami. Krew pulsowała Loukisowi w żyłach i z trudem trzymał ręce przy sobie, ale w miarę jak czas łagodził w Praxi żal po Nikosie, w powstałą próżnię wdzierało się poczucie winy i oddalała się, narzucając im normy przestrzegane przez innych, lecz do nich dwojga nieprzystające. Chętnie by nią potrząsnął i wykrzyczał, że dla niego świat poza nimi może nawet piekło pochłonać, niestety, Praxi już nie dawała mu po temu okazji. Wstyd i wyrzuty sumienia kazały jej szukać oparcia w Marii. Gdziekolwiek szli razem, panna Germanos im towarzyszyła, zadzierała głowę całą w lokach i wszczyniała rozmowy na tematy, które go kompletnie nie interesowały. I znowu się na nią natknął. Siedziała sobie wygodnie, a za jej plecami Praxi walczyła z siekierą.

Ojciec Praxi zmarł, a matka żyła wyłącznie kontrowersyjną sprawą arcybiskupa, więc na barki dziewczyny spadło narąbanie przed zimą drewna na opał. Kilka tygodni wcześniej Loukis by podbiegł i wyrwał siekierę z jej rąk, ale teraz stał w miejscu skwaszony obecnością Marii i naładowany złością. Praxi nie zauważyła go, plotkowała z Marią na temat Yiannisa.

— On naprawdę uważa się za nie byle kogo, nie sądzisz?

— Chce być twoim chłopakiem — oznajmiła Maria, bezczelnie patrząc na Loukisa. Złośliwe iskierki igrały w jej oczach, a na ustach pląsał uśmiech.

— To słuchaj, wpierw piekło zamarznie, niż zostanie moim chłopakiem! Być może na tobie robi wrażenie samochód, ale ja mam powyżej uszu jego głędzenia o EOKA. — Praxi

zamachnęła się z całej siły siekierą, ale nie zdołała rozłupać kłoca jednym ciosem.

— Zastanów się jednak, bo jeżeli Yiannis otworzy kafejkę w Kyrenii, jak zapowiada, będzie partią, że ho, biznesmenem całą gębą...

— Właśnie, jeżeli otworzy... Skąd weźmie na to pieniądze? Dziwię się, że wierzysz we wszystko, co ten zarozumialec opowiada.

— No dobra, jeżeli nie Yiannis, to z kim będziesz chodziła?

Praxi milczała, zmagając się z siekierą, która uwięzła w połowie kłoca. W ogóle nie miała ochoty na taką rozmowę, a już szczególnie z Marią. Ostatnio z trudem zbierała myśli, miała mętlik w głowie i mnóstwo wątpliwości.

— No powiedz — nalegała Maria, patrząc na Loukisa. — Kto zostanie twoim chłopakiem? Może Loukis?

— Hej, Mario, bądź poważna. Loukis to kumpel, nikt więcej. Przecież to jeszcze chłopczyk, na Boga!

Przez moment Praxi dzierżyła siekierę nad głową, po czym opuściła ją gwałtownie, aż drzazgi frunęły w powietrze. Jeszcze nie skończyła mówić, a już się znienawidziła za te słowa, bo zabrzmiały jak zdrada. Gdyby zaś spojrzała do tyłu, zamiast sięgać po następny kloc, znienawidziłaby się jeszcze bardziej.

Loukis odwrócił się plecami do Marii i odszedł.

Była prawie północ, gdy pani Ekonomidou załomotała do drzwi z taką natarczywością, jakby sam diabeł deptał jej po piętach.

— Gdzie Loukis? — żądała odpowiedzi od Praxi, odsuwając ją bezceremonialnie na bok i zaglądnąc do środka. — Widziałas Loukisa?

Praxi nie bez poczucia winy przyznała, że nie spotykała się z nim od paru dni.

- Nie ma go w domu i nie wiem, gdzie się podziewa — mówiła zadyszana Despina. — Kiedy wróciłam z werandy, zobaczyłam na stole jakieś pieniądze, ale nie zaprzętałam sobie tym głowy, pomyślałam, że z jakiegoś powodu położył je tam Georgios, lecz nie są ani jego, ani Mariosa. Więc tylko Loukis mógł je zostawić, chciałam go o to zapytać, ale okazało się, że go nigdzie nie ma. Muszę go znaleźć, Praxi! Przez cały wieczór nie było go w domu. Trzeba go znaleźć!

Matka Praxi, Elena, podbiegła do przyjaciółki, objęła ją mocno i uspokajała.

— Ciii, nie martw się, Despino, znajdziemy go. Nie denerwuj się. Okaze się, że to nic poważnego, wszystko się wyjaśni, jestem pewna. Praxi, włóż coś na siebie, dziecko, idziemy.

Praxi ściągnęła z wieszaka kurtkę, narzuciła na nocną koszulę i wszystkie trzy wybiegły z domu. Elena podtrzymywała panią Ekonomidou, walcząc z wełnianym szalem, którym okryła ją i siebie, a który wciąż zsuwał się z ich ramion, gdy prawie biegły przez wieś, nawołując Loukisa.

Zbliżając się do centrum osady, gdzie skupione były miejscowe sklepiki, usłyszały warkot silników. Nagle rozbłyły reflektory, wdzierając się w ciemność i oślepiając je na krótki moment. Przesłoniwszy ręką oczy, Praxi dojrzała sylwetkę zbliżającego się mężczyzny. Z bliskiej odległości dostrzegła, że jest w wojskowym mundurze. Za nim szło jeszcze dwóch z karabinami w rękach. Wydawało jej się, że na ich bladych twarzach maluje się rozbawienie.

Dobry wieczór, miłe panie — odezwał się ten pierwszy, przybierając władcą pozę dowódcy. — Czy może któraś z was mówi po angielsku?

— Ja znam angielski. — Praxi zrobiła krok do przodu.
— Co on mówi? — spytała Elena.
— Pyta, czy mówimy po angielsku.
— Po angielsku?! — oburzyła się Despina.— Raczej bym ucięła sobie język!

Żołnierz odkaszlnął, przypominając Praxi, że to z nim ma rozmawiać.
— No dobrze, panienko, zechcesz może wyjaśnić, co robicie tutaj w środku nocy, dawno minęła godzina policyjna.

— Szukamy kogoś — odparła Praxi.
— Co on mówi? — pytała znowu matka.
— Pyta, dlaczego wyszliśmy po godzinie policyjnej.
— Godzina policyjna! Ta ich przeklęta godzina policyjna! To nasz kraj, do diabła! Będziemy tutaj chodziły, gdzie chcemy i kiedy chcemy! — Despina ostro ruszyła do przodu, wymijając żołnierza, który odruchowo chwycił ją za ramię. Natychmiast przyszło mu tego pożałować.

— Puść mnie, ty skurwysynie! — wrzasnęła z ogniem w oczach. Zaskoczony żołnierz puścił ją.

— Co powiedziała? — zwrócił się do Praxi.

— Powiedziała, że jesteś skurwysyn.

— *Dolofonoi!* — krzyczała dziko Despina pod adresem dwóch pozostałych. — *Dolofonoi!*

— Teraz mówi, że jesteście mordercami — usłużnie przetłumaczyła Praxi.

Żołnierz wydawał się skonfundowany, znalazł się w kłopotcie. W pobliskich oknach zapalały się światła, a jakiegokolwiek zamieszanie było mu nie na rękę. Za parę dni miał wyjechać z tego cholernego kraju i zająć się przygotowaniami do świąt Bożego Narodzenia we własnym domu i z własną rodziną.

Ostatnia rzecz, jakiej mógłby sobie życzyć, to poważna awantura wywołana przez dwie starsze kobieciny i to młode chuchro.

— Wracajcie do aut! — rozkazał kolegom, którzy zaczęli się wyraźnie denerwować na widok coraz liczniej rozbłyskujących w oknach świateł.

— Tak jest, sierżancie.

Gdy dwaj żołnierze wycofywali się do swoich landroverow, Despina bluzgała im w plecy nienawistnym epitetem.

— *Dolofonoi! Dolofonoi!* — nie przestawała krzyżeć, póki nie straciła z oczu podskakujących świateł pojazdów i nie przycichł warkot silników.

Kiedy odjechali, mieszkańcy powychodzili z domów, ciekawi, co się dzieje.

— Chodzi o Loukisa, zaginał — wyjaśniła Praxi małemu zbiorowisku, w którym kilka kobiet natychmiast wykonało znak krzyża i współczująco zamamrotało.

— Przecież dopiero co go widziałem, dzisiaj po południu — odezwał się niepewnym głosem pan Televantos.

— Gdzie? — Despina wyrwała się z rąk i uścisków kobiet. — Gdzie pan widział Loukisa?

— Na mój rozum szedł w stronę Kyrenii. Powiem jednak, że wydał mi się przerażający. Miał jakiś brzydki grymas na twarzy, droga Despo, wyglądał jak zbój. Oczywiście chciałem go zatrzymać i pogadać, ale bez obrazy, wiesz, jaki jest Loukis, nigdy nie był potulnym chłopcem. W każdym razie mruknął coś bardzo dziwnego, czego w ogóle nie pojąłem wtedy... i dotąd nie rozumiem. Zapytałem nawet żonę, co o tym myśli, ale ona tak samo nie ma pojęcia...

Co powiedział, panie Televantos? — Despinie głos się załamał z irytacji na ten długi wywód.

Mężczyzna kiwnął głową.

— Tak, tak, Despo, przepraszam. Powiedział, pozwól mi pomyśleć, niech sobie dokładnie przypomnę jego słowa... Kazał powtórzyć każdemu, kto powinien to wiedzieć, że odchodzi, bo chce przestać być chłopczykiem. To wszystko było bardzo osobliwe, nie miej mi za złe, ale bardzo osobliwe, naprawdę.

Ksiądz nie był specjalnie zaskoczony, gdy w kaplicy zastał czekającego nań Loukisa. Po tragedii w Famaguście czarno odziany sługa boży i sprzymierzeniec EOKA spodziewał się odwiedzin przynajmniej jednego z braci Ekonomidou, a Loukis ani jednym słowem nie podważył racjonalnego przypuszczenia księdza, że to nagłe zainteresowanie chłopca sprawą *enosis* zostało wywołane zabójstwem jego brata. Ksiądz zaprosił chłopca do zakrystii — miał go oświecić i poinstruować.

Potakując od czasu do czasu, Loukis w milczeniu słuchał patetycznej przemowy i zachowywał powściągliwą minę, gdy od kamiennych ścian odbijały się gromkie słowa entuzjazmu dla uświęconego słusznym celem zbrojnego oporu. Od zawsze stroniąc od religii, czuł się nieswojo twarzą w twarz z księdzem i jego żarliwością. Nigdy nie miał cierpliwości do wysłuchiwania kazań, im był starszy, tym mniej. Wierzył w to, co mógł zobaczyć na własne oczy: w siłę wiatru, potęgę morza, blask słońca i jasność księżyca. Nie był spragniony mitów wyjaśniających ich powstanie czy naturę i nie potrzebował przewodnictwa księdza, który z jednej strony wzywał do broni, a z dru-

giej potępiał grzechy ciała. Zważywszy jednak na okoliczności, tylko ten ksiądz mógł go wprowadzić do organizacji, więc Loukis hamował irytację i trzymał ją na wodzy przez całą noc i rano, aż wreszcie dotarli na obrzeża miasteczka Skilura, gdzie został zaprowadzony do kolejnej małej kaplicy i zakrystii z zasłoniętymi oknami. W półmroku czekał na nich inny ksiądz i trzech nastoletnich chłopaków, w których rozgorączkowanych oczach odczytywał jakąś ponurą determinację. W rogu siedział mężczyzna ubrany w znoszoną kurtkę i ubrudzone błotem spodnie. Wstał, gdy wchodzili.

— Nareszcie — warknął. — Przejdźmy przez to.

Stał pośrodku nielicznej grupki, po czym znużonym głosem wyjaśniał sens walki o *enosis* i tłumaczył, dlaczego wygnanie arcybiskupa rozdmuchało tłący się bunt w ogień prawdziwego konfliktu. Następnie wezwał chłopców do złożenia przysięgi. Loukis, gdy przyszła na niego kolej, mówił beznamiętnie, chcąc uniknąć afektacji, jaką zachowywali się tamci.

— Przysięgam nie zdradzić nikomu w żadnych okolicznościach, choćby mnie torturowano, tajnych informacji dotyczących osób, broni, kryjówek, źródeł finansowania i działalności organizacji — powtarzał formułę. — Przysięgam, że nie sprzeniewierzę pieniędzy organizacji, będę wykonywać bez dyskusji rozkazy przełożonych i zawsze będę gotowy poświęcić wszystkie siły, a nawet życie w imię świętych celów organizacji.

Kiedy skończył, ksiądz pobłogosławił go, a pozostali chłopcy poklepalili po plecach, demonstrując poczucie więzi, na co Loukis pozostał obojętny. Mężczyzna, który odbierał przysięgę, podał mu rękę i poinformował, że jest dowódcą oddziału EOKA w tym rejonie. Sine obwódki pod oczami i bruzdy przecinające czoło mówiły, że żyje w napięciu. Loukis domyślał się, że jest młodszy, niż można by sądzić z wyglądu, i to samo o nim

pomyślał oficer, gdy Loukis ujawnił swój wiek. Był o rok młodszy od pozostałych chłopców, ale o głowę wyższy od wszystkich tu obecnych i mimo wciąż delikatnej budowy zaczynał wyrastać z chłopięcej wybujałości.

— No cóż, jesteś młodziutki — powiedział dowódca. — Nie możemy ci pozwolić na noszenie broni, póki nie skończysz siedemnastu lat, a z pomocą Bożą powinniśmy mieć już za sobą tę wojnę, zanim ten dzień nastąpi.

I jeden, i drugi ksiądz pokiwali głowami na znak aprobaty i w taki sposób po dwudziestu czterech godzinach od podjęcia decyzji o porzuceniu dotychczasowego życia oraz osób, które kochał, Loukis został członkiem cypryjskiego ruchu oporu.

W angielskim bedfordzie jadącym do Nikozji oficer EOKA wskazał Loukisowi miejsce przy oknie, co było miłe, ale swojego nazwiska nie zdradził. Gdy jednak słońce przebijające się przez brudne szyby autobusu ich ogrzało, odprężył się i spojrzał ciepłej na najnowszego rekruta. Pozostałych chłopców zostawili w Skilurze i chociaż Loukis nie spytał dlaczego, partyzant sam wyjawiał powód.

— Nie ma wątpliwości co do ich oddania sprawie, lecz to jeszcze chłopcy, więc wypróbujemy ich przy dystrybucji ulotek oraz malowaniu na murach naszych haseł. Jeżeli się wykażą sprytem i nie dadzą schwytać, przeciwiczymy ich w innych taktykach prowokacyjnych, a na koniec w wojskowych. To rutynowe. Twój przypadek jest wyjątkowy, bo nalegasz na przerwienie cię do innego regionu. Mimo że tutaj mamy trudną sytuację, wykorzystamy cię w Troodos.

— Trudną sytuację? — spytał Loukis, zapalając papierosa, którym został poczęstowany.

W ciągu ostatnich paru miesięcy dostaliśmy cięgi. Wprawdzie konflikt sueski dał nam trochę oddechu, lecz ich

oddziały już wracają i na początku miesiąca przerwali w Limassol nasz szlak przerzutu.

— Właśnie, zawsze się zastanawiałem, skąd macie broń?

— Z różnych źródeł — powiedział partyzant. — Z Grecji drogą pocztową lub przez kurierów. Odzyskujemy również amunicję z okrętów zatopionych przy naszych brzegach podczas drugiej wojny światowej, zdobywamy broń podczas napadów na policyjne posterunki i bazy. Sami konstruujemy bomby, używając materiałów i substancji dostępnych w sklepach. Ale to wszystko nie musi cię interesować na tym etapie. Domyślam się, że zostaniesz kurierem utrzymującym łączność między góorskimi punktami dowodzenia i mniejszymi grupkami, będziesz przynosił meldunki, żywność i cokolwiek będzie trzeba, zależnie od okoliczności.

Loukis słuchał z zainteresowaniem. Ruch oporu był lepiej zorganizowany, niż przypuszczał.

— Moje miejsce w tej organizacji? — zapytał.

— Chodzi ci o to, komu będziesz podlegał, o to pytasz? Loukis kiwnął głową.

— Działamy w standardowej strukturze — wyjaśniał oficer, strąsając z ramion kurtki drobiny łupieżu. — Członkowie są zorganizowani w małe grupki liczące od pięciu do dziesięciu osób, kwaterują w bezpiecznych domach albo w górskich kryjówkach. Kwatera główna jest mobilna, zmieniają miejsca pobytu, żeby nie wykrył ich brytyjski wywiad, wszystkie rozkazy przekazywane są z rąk do rąk. Jak powiedziałem, będziesz zapewne jednym z ogniw tego łańcucha. Jeżeli walka potrwa dłużej i się wciągniesz, prawdopodobnie awansujesz do grupy bojowej, jeśli ci się to spodoba.

Mężczyzna popatrzył na Loukisa, który na jego przenikliwe spojrzenie odpowiedział milczeniem.

- EOKA opiera się na konspiracji — kontynuował oficer. —

To kluczowy element decydujący o przetrwaniu organizacji. Wielu z was, młodych chłopaków, jak ci trzej, których zostawiliśmy w naszym rejonie, mają serca, gdzie trzeba, ale serca łatwo pęcznieją z dumy i to rozwiązuje niekiedy języki. Zawsze lepiej trzymać język za zębami; samo to uczyni cię dobrym nabytkiem dla ruchu oporu. Kiedy znajdziesz się w górach Troodos, spotkasz dowódcę tamtego rejonu, zostaniesz przydzielony do grupy i dostaniesz pseudonim. Będzie znany tylko tobie, twojemu dowódcy i członkom grupy. Nikt poza tym nie będzie go znał, chyba że sam go komuś ujawnisz. Ale pamiętaj, zrobisz to choćby raz, a narazisz się na ryzyko, że ktoś cię zdradzi, zostaniesz zdemaskowany i schwytny. Trzymaj język za zębami, chłopcze, i ufaj tylko członkom własnej grupy.

Loukis podziękował mu za rady, odwrócił się do okna i patrząc na przesuwające się widoki, przetrawiał treść rozmowy. Góry, za którymi kryła się Kyrenia i północne wybrzeże, kurczyły się w tyle, gdy autobus posuwał się coraz dalej w głąb równiny w drodze do stolicy. Jeszcze nie czuł w sobie palącego pragnienia, żeby stać się częścią Grecji, ale krew się w nim burzyła i napięcie potrzebowało ujścia. Kochał swój kraj, jego postrzępione szczyty, piaszczyste brzegi i skaliste płaskowyże, a to na razie wystarczało jako motywacja.

W Nikozji, zatłoczonej i gwarnej, oficer dał Loukisowi drobną sumę na bilet autobusowy do Alony. Tam miał go odebrać inny członek EOKA i zabrać do bezpiecznego domu.

Życzę szczęścia — powiedział partyzant, żegnając go szorstkim uściskiem. Zniknął z widoku, wtopiwszy się w falujący stołeczny tłum. Cztery miesiące później Loukis usłyszał, że ten mężczyzna został aresztowany przez Brytyjczyków

i powieszony w więzieniu w Nikozji. Pochowano go w anonimowym grobie. Miał dwadzieścia cztery lata.

W Alonie czekał na Loukisa zarośnięty olbrzym, który był równie gburowaty co potężny, przy czym jego odraza do angażowania się w rozmowę w jakiegokolwiek formie sprawiała, że małomówny Loukis mógł uchodzić za rozgadana nastolatkę. Ich wspólna podróż, a właściwie piesza wędrówka trudnymi, skalistymi szlakami, upływała w ciężkiej i napiętej atmosferze. Potem jeszcze dwukrotnie, kiedy trasa prowadziła coraz głębiej w las, Loukis był przekazywany w ręce kolejnych nieznanym, już bardziej komunikatywnych, aż wreszcie dotarł do swojego nowego domu: niewielkiej chaty zagubionej w gąszczu sosnowego lasu zdobiącego zbocza masywu Troodos. Gospodarz Demetris Thedosias był sierżantem w cypryjskiej policji.

— Jest nas tu dwadzieścia osób w EOKA — poinformował Loukisa, gdy zasiedli w porze obiadu do *kleftiko* przyrządzonego przez jego żonę Lellę. — Nie wiem, kim są pozostali, bo tak funkcjonuje organizacja; wiedzą tylko ci, którzy muszą. Przechowywanie cię tutaj wiąże się dla nas z ryzykiem, to oczywiste, ale dano za ciebie porękę, więc będziemy ci pomagać w każdym zakresie, póki będzie trzeba, to nasz obowiązek, zaznaczam, że przyjemny. Dodam na koniec, że jeśli nas zdradzisz, ta oto mała kobietka utnie ci twoje *polloi*.

— Demetrisie! — zawołała żona, udając wielkie zgorzzenie.

— Przecież żartuję — zaprotestował. — Chłopak wie, że żartuję.

Loukis wiedział.

Demetris był tęgim chłopem pod każdym względem; uwielbiał jeść, miał ogromny brzuch odpowiadający wielkością jego sercu i wielkie łapska, którymi żywo gestykulował w trakcie

rozmowy. Lella, nieco cichsza od męża, była jak on przy kości i równie jowialna. Cechowała ją macierzyńska spontaniczność w objawianiu uczuć, toteż zaskakiwała Loukisa, ni stąd, ni zowąd całując go w policzki, aż wreszcie do tych czułości przywykł. Od momentu, gdy przekroczył próg ich domu, ta para zaakceptowała go bez zbędnych pytań i z taką serdecznością, że wprost czuł się zawstydzony. Miał się wczuć w rolę członka ich rodziny i praktycznie nim został. W dniu jego przybycia siedzieli razem długo w noc i wspólnie wymyślili jego historię, obgadawszy i kluczowe, i szczegółowe punkty, które mogły rozstrzygnąć, jak mu to uświadomili, czy pozostanie wolny, czy trafi do więzienia. A więc był rzekomo ich krewniakiem z Kyrenii, gdzie mieszkał przy ulicy św. Andrzeja — konkrety były ważne. Jego owdowiała matka o imieniu Lenia, jakoby siostra Lelli, zaniepokojona tym, że syn zaczyna się zadawać z niewłaściwym towarzystwem, chwyciła się ostatniej deski ratunku i cała w rozterce i łzach wysłała małolata do domu ciotki i wuja, żeby go uchronić przed wejściem w kolizję z prawem; miał u nich pozostać, póki zagrożenie nie minie.

— Odtąd to jest twoja prawdziwa historia — rzekł Demetris z rzadką u niego bardzo poważną miną. — Masz w nią uwierzyć, jakby była twoim życiem. My ze swojej strony, ja i Lella, nie będziemy cię w ogóle wypytywać o przeszłość, żeby nie namieszać sobie w głowie. Trzymaj się tej wersji dzień i noc, Loukis, to fundamentalne, nie wyolbrzymiam wagi tego. Jestem policjantem, odwiedzają mnie tu różni ludzie, a to z EOKA, a to koledzy z policji, a nawet sami Brytyjczycy. Kiedy przyjdą, będą ciekawi, więc miej wszystko w pamięci i zachowuj się jak naburmuszony małolat, tak musi być, to twoja najlepsza zasłona dymna! — Demetris zaczął się śmiać, Lella burknęła

na niego i ujawszy twarz Loukisa pulchnymi dłońmi, wycisnęła na jego policzku gorący pocałunek.

Prawie od dwóch tygodni Loukis mieszkał z Demetrisem i jego żoną, pomagał Lelli w zajęciach domowych, towarzyszył sierżantowi policji w obchodach terenu, dzięki czemu miał się zapoznawać z okolicą. Poznawał sąsiadów i zgodnie z udzieloną mu radą witał się z ich znajomymi z policji z ponurą miną. Któregoś popołudnia, kiedy pocił się w zimowym słońcu przy rąbaniu drewna na podwórku, do chaty przyszedł jakiś chłopak. Lella zauważyła go pierwsza i rzuciwszy Loukisowi porozumiewawcze spojrzenie, wycofała się do domu.

— Bracie — powiedział chłopak na powitanie — pójdziemy na spacer.

Loukis odrzucił siekiere i poszedł za nim. Przedzierali się bez słowa przez grząskie podszycie lasu, odchylając bądź łamiąc gałęzie zagradzające drogę, aż wreszcie wyszli spomiędzy drzew na szosę prowadzącą do Pano Platres.

— Mamy do przekazania meldunek — odezwał się chłopak, zatrzymując się, żeby złapać oddech. Miał na sobie sfatygowane ubranie, a skóra po lewej stronie jego twarzy była cienka jak pergamin i pocętkowana czerwonymi bliznami.

— Nie mogę ci powiedzieć, dla kogo jest przeznaczony ani co tam napisano, więc nawet nie pytaj.

— Jasne — rzekł Loukis.

— Udajesz, czy nie jesteś ciekawy?

— Nie na tyle, żeby pytać.

— To dobrze, ponieważ nie mógłbym ci powiedzieć, choćbym chciał, a dla jasności powiem, że nie chcę.

Loukis wzruszył ramionami. Wyglądało na to, że jego „bratu” zależało na zaakcentowaniu swego przywództwa w tym przedsięwzięciu, które było pierwszą akcją Loukisa jako członka

EOKA. Gdy posuwali się wolno asfaltową drogą, mijał ich konwój brytyjski. Jeepy z przodu i z tyłu kolumny miały przednie szyby położone płasko na maskach, a na nich ułożone worki z piaskiem. Ciężarówki chronione były dwuspadową obudową zabezpieczoną warstwami gęstej siatki drucianej.

— Robią tak, żeby rzucające przez nas granaty staczały się z pojazdów — wyjaśniał chłopak z EOKA, gdy ciężarówki przetaczały się z hukiem. — Kładą również worki z piaskiem na podłodze każdego samochodu w obawie przed naszymi minami. Ale i tak udaje nam się upolować coś od czasu do czasu.

— Ilu Brytyjczyków zabiliście? — spytał Loukis.

— Wystarczająco wielu, żeby powiadomić ich parlament i królową — usłyszał w odpowiedzi szydery komentarz.

Pokonali jeszcze ponad sześć kilometrów, gdy nagle chłopak zeszywniał, bo wyszli wprost na posterunek wojskowy. Na straży stało trzech żołnierzy ubranych w ciepłe kurtki, wszyscy trzej palili papierosy i gdy jeden z nich odwrócił się w stronę nadchodzących, pozostałych dwóch zrobiło to samo.

— Te ścierwa nas widzą — rzucił zbędną uwagę chłopak z EOKA. — Nie możemy uciekać, bo zaczną strzelać.

— Możemy próbować czmychnąć w bok, skoro masz pietra — zasugerował Loukis, ale jego towarzysz poczuł się dotknięty.

— Nie mam pietra, kto mówi, że mam? Idziemy, nie ociągaj się! — Wysunął się brawurowo do przodu, a Loukis pomyślał tylko, że jeśli Brytyjczycy nie byli nimi dotąd specjalnie zainteresowani, to wkrótce będą, sprowokowani gniewną determinacją jego partnera. I faktycznie zostali zatrzymani przez żołnierzy, gdy się do nich zbliżyli i znaleźli w zasięgu głosu.

— Gdzie was ciekawość prowadzi? — zapytał jeden z nich raczej dobrodusznie, a drugi kazał podnieść ręce i zaczął obmacywać im kieszenie.

— A co wam do tego? — warknął chłopak, na co Loukisowi serce zamarło.

— Powiem ci zaraz, co nam do tego, synu — rzekł żołnierz, przygniatając papierosa i chwytając za karabin. — Jesteśmy tu na straży, to punkt kontrolny i możecie udawać pieprzonych chojraków, jeśli chcecie, ale na pytania macie odpowiadać, i to grzecznie.

Loukis obserwował reakcję chłopaka z zaciekawieniem, bo ten z chęci popisania się stanął przed trudnym dylematem. Czy udawać dalej gieroja, narażając się na pobicie, czy stracić twarz w obecności nowego rekruta? Loukis wysunął się przed niego.

— Szanowny panie, wybaczcie mojemu przyjacielowi niecierpliwienie, ale przeszliśmy kawał drogi, a mamy pilną sprawę.

Chłopak spojrzał na Loukisa wrogo.

— Czy to prawda, młokosie? A cóż to za pilna sprawa? — Żołnierz nie spuszczał oka z twarzy chłopaka.

— Dziewczyny — odpowiedział za niego Loukis.

— Dziewczyny?

— Tak, właśnie spieszymy się na... jak to powiedzieć po angielsku?

— Loukis zamilkł na chwilę, jakby szukał określenia, które dobrze znał. — Gorąca randka! Mamy obiecaną gorącą randkę...

Żołnierz zwolnił uścisk ręki na karabinie.

— Dlaczego nie powiedziałeś tego od razu? — spytał. — Nic dziwnego, że twój przyjaciel jest taki napalony.

— Prawdopodobnie już zabrudził gacie — zażartował inny.

- Wolna droga, chłopaki — powiedział pierwszy żołnierz. — Wyświadczyć nam jednak przysługę: jeśli znajdziecie we wsi inne chętne dziewczyny, nie zapomnijcie nam powiedzieć, wracając, dobra? Zdychamy tutaj z pragnienia!

— Umowa stoi — zapewnił Loukis.

Gdy żołnierze się rozstąpili, żeby ich przepuścić, towarzysz Loukisa zrównał się z nim i zaczął przedrzeźniać Brytyjczyków po grecku.

— Zdychamy tutaj! Zdychamy tutaj! I zdechniecie... powystrzelamy was. — Wyszczrzył w ich stronę zęby w uśmiechu bez uśmiechu. — Bystrze wymyśliłeś z tymi dziewczynami, spodobało mi się. Oczywiście panowałem nad sytuacją. Chciałem ich tylko trochę podrażnić, ale tak czy owak spisałeś się dobrze. Zrobimy jeszcze z ciebie prawdziwego partyzanta. A tak przy okazji, Stelios jestem.

— Loukis.

— Wiem. Przekazano mi garść informacji o tobie dziś rano. Swoją drogą coś im się tam pokręciło, bo mówili, że masz czternaście lat.

— To prawda.

— Najświętsza Panienko! A czym cię karmili w tej Kyrenii?

— Świńskimi uszami i ślimakami najczęściej,

— Nie trawię ślimaków.

— Nie są takie złe, jeśli się je ugotuje i przyprawi. Surowe są raczej mdłe.

— Surowe? — Stelios spojrzał na Loukisa, marszcząc nos z obrzydzeniem. — Chyba żartujesz?

— Jasne — przyznał Loukis.

— Mimo wszystko jesteś diabelnie wysoki jak na swój wiek. To rodzinne. Żeby cię uspokoić, powiem, że za miesiąc skończę piętnaście lat.

— Po prawdzie to nie robi wielkiej różnicy — rzekł Stelios. — I tak nie będziesz mógł strzelać do tych drani, którzy zabili ci brata. Zamordowali go w Famaguście, tak?

— Tak.

— No cóż, nic to nie pomoże, ale wiedz, że mi przykro. Loukis podziękował.

— I przykro mi również z tego powodu, co się teraz wydarzyło. Szczerze mówiąc, Loukis, dostarczanie meldunków to zabawa dla dzieci, ale kazano mi wprowadzić nowicjusza i nie mogłem powiedzieć „nie”. Mam „wykonywać bez dyskusji rozkazy przełożonych” i tak dalej.

Loukis rozpoznał formułę przysięgi, jaką niedawno składał.

— A może masz jakieś pieniądze organizacji, które moglibyśmy sprzeniewierzyć, co? Umieram z głodu.

Stelios udał zgorzienie. Chciał objąć Loukisa ramieniem, ale był znacznie niższy, więc musiał się zadowolić poklepaniem go po plecach. W najbliższej wiosce wstąpili do sklepiku i kupili chleb oraz dwie butelki coli.

— Czy wiesz, że one służą Brytyjczykom jako broń przeciwko Grekom? — Stelios podniósł rękę z butelką coli, promienie słońca przeświectliły grube zielone szkło. — Gdy ich patrol jedzie na miejsce rozruchów, układają te butelki z tyłu ciężarówki, żeby się cola zagotowała na słońcu. W razie kłopotów chwytają butelki, potrząsają nimi i rzucają przed protestujący tłum. Roztrzaskując się o ziemię, eksplodują jak granaty, rażąc chmurą odłamków szkła. To całkiem sprytna sztuczka, trzeba przyznać.

Loukis kiwnął głową.

Stelios przestał grać twardziela i okazało się, że jest całkiem sympatyczny, toteż gadali przez całą dalszą drogę i na jego oszpeconej szramami twarzy widać było coraz większe oży-

wienie. Dzielił się swoją wiedzą na temat organizacji bez rezerwy, jaka ciążyła niczym chmura na ich wcześniejszej rozmowie. Stelios należał do EOKA od ponad roku. Pokochał takie życie i poświęcił się sprawie, ale to była droga najeżona niebezpieczeństwami i tragediami. Stracił już dwóch przyjaciół — jednego powieszono, drugi zginął na słupie wysokiego napięcia podczas akcji sabotażowej. Jego dowódca z rejonu Troodos był ścigany przez Brytyjczyków, ale — jak zapewniał Stelios — sam Hermes miałby trudności ze schwytaniem go. Nazywał się Gregoris Afxentiou, a za jego głowę wyznaczono nagrodę w wysokości pięciu tysięcy funtów. Mówiło się, że jest najzdolniejszym z przywódców EOKA, cieszy się absolutną lojalnością swoich ludzi i admiracją wszystkich Greków, ale wzbudza również respekt u Brytyjczyków, którzy nie potrafili go upolować. Loukis potwierdził, że istotnie o nim słyszał; Afxentiou był przez jakiś czas dowódcą kyreńskiej partyzantki górskiej i jak wieść niesła, odmówił kiedyś wykonania egzekucji na zdrajcy, ponieważ żona tegoż właśnie urodziła dziecko. Gdy przemieścił się w góry Troodos, jego partyzanckie wypadki były tak skuteczne, że stał się człowiekiem najzacieklej ściganym przez Brytyjczyków.

— Jest teraz chyba równie sławny jak Grivas — ocenił Stelios, a na jego twarzy malowała się duma. Loukis przyznał mu rację.

Stelios tłumaczył mu, że ponieważ okupanci polują na ich dowódcę, jest mało prawdopodobne, by Loukis miał szansę poznania Afxentiou. Dlatego zresztą musiał tak długo czekać na pierwszy kontakt. Któregoś dnia dojdzie jednak do takiego spotkania, pocieszał młodszego kolegę, a tymczasem może działać jako aktywny członek organizacji. W komórce Loukisa są jeszcze trzy osoby, mówił, dwóch wyjadaczy, którzy mają

niezłe zasługi w walce, oraz włączająca się doraźnie w akcje dziewczyna, Toulla, odważna jak mężczyźni, a z większymi piersiami. Loukis nie mógł się nie uśmiechnąć, słysząc to spostrzeżenie, ale przyszła mu na myśl Praxi i spochmurniał.

— Przypuszczam, że będziesz używany jako posłaniec, jak my dzisiaj — ciągnął Stelios — ale wstawię się za tobą i spróbuję wkręcić cię możliwie najszybciej w jakieś akcje prowokacyjne, bo dopiero wtedy jest zabawa.

Loukis wyraził wdzięczność.

— A jak to było z twoją twarzą? — zapytał.

' Stelios z zażenowaniem przesunął palcami po bliznach.

— To sprawka okupantów — rzekł. — Latem Grivas ukrywał się w górach i zasadzili się na niego Brytyjczycy. Wybuchł w lesie wielki pożar. Pewnie o tym słyszałeś.

Loukis kiwnął głową. Gazeta Michalakisa trąbiła o tym wydarzeniu. Rozlało się wtedy morze ognia, pożerając prawie pół lasu.

— Nie sposób było uciec przed ogniem — mówił Stelios. — Drzewa pękały z gorąca jak skorupy, a rozdmuchiwane wiatrem płomienie buchały pod samo niebo. Wracalem wtedy z Kykkou i nagle znalazłem się w pułapce. Ogień pochłaniał Greków, Turków, a także brytyjskich żołnierzy. Słyszałem ich, tych żołnierzy; wybuchali w płomieniach. Gdy ogień dosięgał taśm z nabojami, bo nosili takie taśmy w pasie, dosłownie wylatywali w strzepach w powietrze rozrywani przez własną amunicję. W tym chaosie zapomniano oczywiście o walce. Wszyscy uciekali z pożaru, by ratować życie, ale ogień zawsze był przed nami, był szybszy. Z każdej strony wybuchały w górę płomienie i padały płonące drzewa, zagradzając drogę. Żar był taki, że wysysał powietrze z płuc. Nie kłamię, Loukis, byłem przygotowany na śmierć, nie widziałem wyjścia z tego piekła. I wtedy,

gdy zewsząd otaczała mnie ściana ognia, zobaczyli mnie miejscowi leśnicy i zamachali, żebym szedł za nimi, na wzgórze. Prawie ich doganiałem, gdy złamało się drzewo i buchnęło kulą ognia. Skąd czerpałem siły, nie wiem, ale wyrwałem się z tego kręgu i uciekałem, walczyłem o życie, a moje ubranie i włosy już się zajęły ogniem. Jeden z leśników cofnął się i podbiegł do mnie, to był Turek, co zabawne, i zdusił ogień na mojej głowie i kurtce. Ból był potworny, nie do opisanego, ale ten gość z narażeniem życia odciągnął mnie na już wypalony kawałek lasu. Siedzieliśmy tam na ziemi, a wokół ryczał pożar. Z gorąca straciłem przytomność. Obudziłem się w czystym łóżku i żywy, lecz twarz mi tak poparzyło, że nie mogłem się rozpoznać.

— Jezu — gwizdnął Loukis. — Ale dlaczego winisz za to Brytyjczyków?

— Oni zaczęli — odparł Stelios i oczy rozbłysły mu gniewem, bo bolesne wspomnienie wciąż było żywe. — Zaplanowali wielką operację, żeby dopaść Grivasa, ostrzelali cały teren z moździerzy i broni maszynowej. Po letniej suszy drzewa były jak podpałka i pożar mogła wywołać jedna iskra, a co dopiero grad kul, którymi Brytyjczycy zasypali las.

— A co się stało z Grivasem?

— Uciekł. — Stelios wzruszył ramionami. — Podobno ukrywa się teraz w bezpiecznym domu w Limassol, wreszcie ma wygodę.

*

Praxi wymierzyła Marii policzek z taką siłą, że widome świadectwo jej wściekłości pozostawało na twarzy dziewczyny przez trzy dni. Gdyby jej matka nie wypadła z domu, żeby je rozdzielić, Praxi chybaby rywalkę zabiła.

Od dawna podejrzewała, że Maria czuje miętę do Loukisa, ale lekceważyła to jako romantyczną głupotę, która aż biła w oczy. Maria pielęgnowała w sercu obraz chłopaka, który nie istniał. Spodobał jej się, bo był przystojny, lecz nie miała bladego pojęcia, co kryje się pod wyglądem. W ogóle nie znała Loukisa. Nie dostrzegła nawet jego zwierzęcej dzikości. Kiedy zaciskał szczęki, hamując gwałtowne słowa, w oczach Marii był pewnie trochę humorzasty i tajemniczy, a gdy wziął ją za rękę, by odprowadzić do domu po pamiętnej wyprawie do zamku, uznała to za okazaną jej czułość, on zaś mścił się na Praxi. Zadurzona jak dziecko pozwoliła sobie na intryżki i gierki, a w konsekwencji chłopak wyjechał ze złamanym sercem. Praxi zniechęciła ją i równie gwałtownie samą siebie.

Wystarczył moment otumanienia, chwilowa słabość pod naporem sprzecznych emocji, wstydu i lęku przed ujawnieniem prawdy. Wszystko byłoby inaczej, gdyby zarzucana wtedy pytaniami przez Marię zdobyła się na szczerść i odwagę. Gdyby wyznała, że kocha Loukisa, gdyby pokonała wstyd i przyznała się do namiętnego uczucia: powiedziała, że rozpałił w niej ogień, że gorąca krew pulsuje w jej żyłach, gdy on się zbliża, że przeszywa ją dreszczem jego dotyk, że w jej snach tańczą obrazy jego oczu i uśmiechu, że oddałaby za niego życie. Nic takiego jednak nie powiedziała. Kłamała. Nosila go w sercu, a publicznie się go zaparła i przez to zrujnowała życie sobie i jemu. Nie mogła uwierzyć, że do tego doszło. A wszystko mogło być takie proste: za miesiąc zaczęliby jawnie ze sobą chodzić jak para, potem by się zaręczyli, pobrali, mieli dzieci i żyli razem długo i szczęśliwie. Teraz nie wiedziała nawet, kiedy znowu go zobaczy. Domyślała się jednak, że nieprędko. Loukis odszedł od niej, żeby wyrosnąć na mężczyznę, bo nazwała go chłopczykiem. A ponieważ Bóg karze winnych,

więc zanim Loukis jej wybaczy i wróci, będzie już za późno. Nie było czasu na czekanie. Uwiodła go pogrążona w żalu, wyrzekła się go z lęku i teraz była zgubiona.

Kartkę z meldunkiem zostawili niecałe dwa kilometry od Pano Platres pod kamieniem u stóp małej kapliczki. Zanim stamtąd odeszli, Stelios wyjął zapalki i zapalił świeczkę, żeby dać sygnał miejscowym partyzantom, że są nowe informacje.

Wrócili tą samą drogą, ale wojskowego punktu kontrolnego już nie było, a światło dnia ustępowało nocy. Rozstali się na szosie, planując, że się wkrótce znowu zobaczą, i Loukis zanurzył się w ciemność lasu. Kiedy wyszedł spomiędzy drzew po przeciwległej stronie, zobaczył austina champa parkującego przed bramą jego obecnego domu. Wewnątrz Demetris rozmawiał przy herbacie z brytyjskim żołnierzem. W pokoju było straszliwie zimno, kominiek ział czernią, a gorące oddechy dwóch mężczyzn tworzyły obłoczki w powietrzu.

— O, przyszedł Loukis, mój krewniak, i najwyższy czas na niego. — Demetris wstał i kiwnął na chłopaka, żeby się zbliżył. — To major Harvey z brytyjskiego wywiadu. Zajrzał do nas z życzeniami świątecznymi, choć bez prezentu pod choinkę.

Mężczyzna wstał z uśmiechem. Był dobrze zbudowany, miał gęste kasztanowe włosy i groźne wąsy.

— Miło cię poznać, Loukisie. — Major wyciągnął do niego rękę.

— Mnie również, majorze.

— O, mówisz po angielsku, to wspaniale.

— Podlegam angielskiemu systemowi szkolnemu — zauważył Loukis.

— No tak, jasne — odparł major i wrócił na krzesło. — Jak ci

się tu podoba? Domyślam się, że trochę nudno, nie ma twojego kuzyna i do towarzystwa masz tylko staruszka.

— Jeszcze daleko mi do staruszka— jęknął Demetris, robiąc dla żartu wielce urażoną minę.

— Cóż, małym latem nie jesteś, stary — ciągnął major — a twój krewniak po atrakcjach Kyrenii pewnie po ścianach teraz chodzi. Gdyby twój chłopak nie opuścił jeszcze domu, mógłby spędzać trochę czasu z Loukiszem, chociaż z tego, co pamiętam, Kostas jest o kilka lat starszy, chyba się nie mylę?

— O parę lat — wtrącił Loukis, a widząc, że z twarzy Demetrisa znika uśmiech, dodał: — Powinien pan popracować nad swoją pamięcią albo sprawnością swojego wywiadu, majorze, bo mój kuzyn ma na imię Kypros, nie Kostas.

— Ach tak, Kypros. — Major się zaśmiał. — Aż dziwne, że nie pamiętałem.

— Złóż to na karb swojego wieku. — Demetris, wyraźnie zrelaksowany, pozwolił sobie na lekką złośliwość.

— Racja, starzeję się. I nie mogę siedzieć tu całą noc. Nawet w Wigilię trzeba ścigać terrorystów. — Wstał i podał Lelli swój kubek.

— Dziękuję za herbatę, pani Thedosias. Wkrótce znowu się zobaczymy i pogadamy, Demetrisie.

— Jasne — odpowiedział policjant. — Widzieć cię tutaj to zawsze przyjemność. Ale następnym razem przynieś kropelkę tej whisky, co ją trzymasz w samochodowym schowku.

Demetris odprowadził gościa do bramy i odczekał, aż odjedzie. Potem rzucił się do kominka.

— Cholera, mało brakowało do wpadki. — Odsunął kratę i wyjął przesłonę wylotu komina. Zaledwie po kilku sekundach wychynęli z czeluści dwaj mężczyźni, otrzepując ubrania z czarnej sadzy. I jeden, i drugi z karabinem przewieszonym przez ramię i uśmiechem na osmalonej twarzy.

- No, pora rozpalić w palenisku! — krzyknął Demetris, klasnąwszy ogromniastymi łapskami. — Zimno tutaj jak diabli.

Loukis wyszedł na zewnątrz przynieść polana. Gdy wrócił, dwaj mężczyźni rozgrzewali ręce kubkami gorącej kawy, Lella już stawiała na stole mięso i ziemniaki, Demetris zaś opowiadał gościom o „pocziwym” majorze. Rozpaliwszy ogień, Loukis usiadł przy stole, ciekaw wyjaśnienia całej sytuacji. Zamiast tego wysłuchał wykładu na temat dziejów programu szkolnego.

— To prawda, że podlegasz angielskiemu systemowi edukacji, jak powiedziałaś majorowi — mówił Demetris, maczając chleb w sosie mięsny zalewającym talerz. — Dla ciebie nasza wojna to, jak myślę, walka o uwolnienie się z narzuconych przez okupanta obcych reguł i prywatna zemsta za brata, ale dla ludzi z dawnych szkół, jak ja, ta wojna ma głębsze korzenie. Nam chodzi o spełnienie się naszego przeznaczenia. Kiedy byłem chłopcem, uczono nas jednej podstawowej rzeczy: wierzyć w naszą wspólną przyszłość z Grecją, naszą matką, i wszystkie lekcje nas do tego przygotowywały. Gdy Brytyjczycy przejęli Cypr od otomańskiej Turcji, my, Grecy, uwierzyliśmy, że zjednoczenie z macierzą stanie się wkrótce rzeczywistością, i na początku nie wyglądało to najgorzej, bo Brytyjczycy tylko ograbili nas z pieniędzy. Niestety, z czasem umacniali się na naszej wyspie, próbując wytępić w nas tęsknotę za matką. Działali jak właściciele sadów, którzy chcąc zniszczyć drzewo, zaczynają od ucinania jego gałęzi i polewania kikutów olejem; te gałęzie to były nasze szkoły, chłopcze. Brytyjczycy wprowadzili do nich wspólny program dla obydwu naszych społeczności i naukę greckiego zamienili w lekcje języka: to nie miało nic wspólnego z nauczaniem ojczystych dziejów i mowy. Historia Grecji stała się fragmentem ogólnej historii

Bałkanów, mapy Grecji wyrugowano ze szkół, także wizerunki naszych królów. Nie uczono greckiego hymnu i nie świętowano rocznic odzyskania niepodległości. Wkrótce zakazano wywieszania greckiej flagi, a w gruncie rzeczy białe i niebieskie jako barwy narodowe w ogóle były źle widziane. Jak widzisz, Loukisie, EOKA nie walczy o samo poszerzenie naszych praw i przywilejów, tylko toczy bój o zjednoczenie z Grecją, do czego predestynuje nas nasza historia. Przez lata Brytyjczycy dążyli do tego, żeby pozbawić nas nadziei na taką przyszłość, ale to im się nie uda. Poniosą w końcu klęskę, ponieważ nie można odebrać człowiekowi tego, co jest jego przeznaczeniem.

Kiedy Demetris skończył z błyszczącymi od emocji oczami, do Loukisa dotarło po raz pierwszy, że policjant współpracuje z EOKA z poczucia obowiązku, a nie dlatego, że boi się partyzantów, i nawet nie dlatego, że nienawidzi Brytyjczyków. Głęboki patriotyzm przekazali mu z dziedzictwem krwi dawno zmarli przodkowie, zapisana na nagrobkach historia była źródłem jego determinacji, by zrealizować marzenia ojców.

Demetrisa zagrzewało umiłowanie Cypru i przywiązanie do Grecji, i gdy Loukis to zrozumiał, poczuł się zawstydzony, jednak w głębi duszy czuł, że nic z tego, co mówił starszy od niego przyjaciel, jego własnej motywacji nie zmieni. Jego punkt widzenia był inny: Cypr, swoją ojczyznę, kochał, to prawda, ale matkę miał jedną, tę, z której krew się polała, gdy go rodziła, do walki zaś przyłączył się z powodu dziewczyny.

Po posiłku Demetris i Lella przenieśli się do kuchni, a przed wyjściem Demetris położył ciężką rękę na ramieniu Loukisa, sygnalizując mu, żeby został. Chłopak nie ruszył się od stołu i w milczeniu patrzył wyczekująco na dwóch nieznanym mężczyzn.

- Jestem Antoniou, a to Harris — odezwał się wreszcie ten siedzący naprzeciwko. Był niewysoki, żyłasty, twarz o ostrych rysach częściowo przesłaniała mu nasunięta na czoło czapka.

Ten drugi, Harris, miał na lewym policzku łańcuszek pieprzyków, które wyglądały jak brudne łzy, za to z jego brązowych oczu biła pogoda ducha i szczerłość.

— Będziesz nas znał także jako Ksantusa i Baliusa — kontynuował prezentację Antoniou.

— Który z was to Ksantus? — zapytał Loukis. Harris się uśmiechnął.

— Ja jestem Balius — rzekł. — Rozumiem, że wiesz, z jakiego powodu mamy pseudonimy.

— Tak — potwierdził Loukis.

— To dobrze — wtrącił Antoniou. — Nie mamy za dużo czasu.

W ciągu dwudziestu minut dwaj „wyjadacze” z jego komórki wyjaśnili zasady komunikowania się. Każdego przedpołudnia, poinstruowali go, o różnych godzinach, ale dość wcześnie, żeby dzień nie był stracony, powinien pójść do wsi. Od czasu do czasu na drzewie przy publicznej studni zauważy wełnianą nić zaczepioną na drugiej gałęzi od dołu, co będzie znaczyło, że jest potrzebny. Widząc ten sygnał, ma natychmiast udać się do kryjówki grupy. Gdzie ona jest, dowie się nazajutrz z samego rana od Steliosa, z którym ma się spotkać we wsi przed kafejką dokładnie za dwadzieścia dziewięć, to jest w porze, kiedy ludzie są w kościele.

— Nie potrzebujemy chyba mówić, że masz trzymać język za zębami? — zapytał ostro Antoniou.

Nie, nie potrzebujecie — odpowiedział Loukis spokojnie. Dobrze. Zobaczymy się, kiedy będziesz potrzebny. — Obydwaj mężczyźni wysączyli do dna szklaneczki *zivanii*.

— Jeszcze jedno, Loukis — dodał Antoniou. — W kontaktach konspiracyjnych będziesz znany jako Echion?

— Może być — zgodził się chłopak.

Gdy Demetrius sprawdził, że droga jest wolna i nie zastawiono zasadzki, dwaj mężczyźni zniknęli w ciemności. Następnego ranka w kafejce Stelios nie krył irytacji.

— Czy ja aby dobrze usłyszałem? — narzekał. — Twój kryptonim to Echion, jeden z tych *spartoi*, „zasianych”, którzy wyrosli z rzuconych w ziemię zębów smoka z gaju Aresa?

— Chyba tak — odparł Loukis niepewnie. — Bo co? A ciebie jak nazwali?

— Jestem Priapos.

— Priapos? Masz jakieś zastrzeżenia? To zdaje się bóg płodności, tak?

— Tak, to prawda — potwierdził Stelios. — Był jednak straszliwie brzydki, nawet rodzona matka nie mogła na niego patrzeć i wygnała go z domu.

*

Yianoulla, która pomagała nakładać jedzenie, wahała się przez chwilę, widząc dwa dodatkowe talerze na długim stole.

— Nie nakładaj Nikosowi — podpowiedziała Despina.

— A Loukisowi? — zapytała synowa.

— On będzie jadł to co my. Zmarli nie mogą jeść, ale zaginieni nie tracą apetytu. — Despina usiadła na swoim miejscu z drugim z kolei wnuczkiem na rękach, a Christakis, który trzymał na kolanach płaczącego Angelisa, spojrzał na żonę, dając jej oczami znak, żeby zastosowała się do życzenia matki.

— Muszę przyznać, Mariosie, że to ci się udało. — Georgios przesunął palcem po krawędzi drewnianej podkładki, na której stał gorący, wyjęty z piecyka rondel z mięsem. Marios aż

pojaśniał z dumy, bo i Christakis w dowód uznania poklepał go po plecach. Na pomysł robienia podkładek wpadł sam, widząc walające się w kącie warsztatu końcówki desek, które miały skończyć żywot jako drewno na opał. Zapytał, czy może je wykorzystać, a Christakis nie miał nic przeciwko temu. Marios zabrał się więc do pracy, piłował, szlifował i wkrótce powstał okazały asortyment kwadratowych i prostokątnych podkładek. Nabrawszy pewności siebie, Marios nadawał im przeróżne kształty i rzeźbił na nich wzory, jakie podpowiadała mu wyobraźnia. Stworzona przez niego kolekcja dzięki swej oryginalności wzbudziła zainteresowanie klientów przychodzących do sklepu.

— Mam jeszcze inny pomysł — oznajmił ojcu Marios.

— Pewnie znowu udany, synu. Jest tyle rzeczy, o których się nie pomyśli, a okazują się potem bardzo przydatne.

Georgios czuł, że ściska go w gardle. Śmieszne, że ostatnio tyle rzeczy go wzruszało. Marios bez wątpienia miał talent; dar od Boga, dotąd uśpiony. Czyżby trzeba było śmierci jednego bliźniaka, żeby ten drugi odnalazł swoją drogę? Być może Marios wszedłby na nią, nawet gdyby miał przy sobie Nikosa. A może jednak nie. Tak czy owak, start miał za sobą i Georgios nie potrafiłby wyrazić słowami, jak bardzo jest z niego dumny.

— A więc, Michalakisie, jakie przynosisz nowiny ze stolicy? — Georgios zmienił temat, żeby się wyrwać z melancholijnej zadumy.

— Jedyne nowiny, jakie chciałabym usłyszeć z Nikozji, to radosna wiadomość, że mój syn znalazł wreszcie kobietę, z którą się ożeni — wtrąciła się w rozmowę Despina.

— Prędzej arcybiskup Makarios powróci do władzy, niż ten zatwardziały kawaler się ożeni. — Christakis się zaśmiał.

— On wie, co mówi — zgodził się z bratem Michalakis. —

Upolował najpiękniejszą dziewczynę na wyspie, więc jakkolwiek bym przyprował do domu, będzie rozczarowaniem zarówno dla mnie, jak i dla ciebie, mamó.

— Aż spłonęłam rumieńcem, Michalakisie! — Yianoulla uśmiechnęła się radośnie. Mąż prawil jej raczej niefortunne komplementy, czuła w brzuchu ciężar kolejnego dziecka, więc słowa szwagra, choć powiedziane żartem, sprawiły jej mimo wszystko przyjemność.

— Michalakis ma absolutną rację! — wykrzyknął Georgios zadowolony, że jest okazja do podtrzymania lekkiego nastroju. — Uważam, że to zasługuje na toast!

— Ale co? Że raz wreszcie mam rację? — dopytywał się Michalakis. — Czy mamy wypić za piękną Yianoullę?

— Wypijmy za to, że masz rację jak zawsze, za to, że Yianoulla jest piękna, wypijmy za to, że Bóg w swej łaskawości obdarza naszą rodzinę inteligencją i urodą.

Georgios napełnił szklanki i Despina mimo rany w sercu podjęła grę, bo tego oczekiwała od niej rodzina. Przez cały dzień w milczącym porozumieniu robili, co mogli, żeby odegnąć zjadający ją smutek, i była wdzięczna za ich starania. W dzień Bożego Narodzenia bardziej niż kiedykolwiek potrzebowała troski z ich strony.

Podczas porannego nabożeństwa modliła się z gorączkową żarliwością, jaka nawiedza jedynie tych, którzy prawie utracili nadzieję. Błagała Boga o okazanie łaski i sprawienie cudu, całowała figury świętych, żeby skłonili Wszechmogącego do przyjścia jej z pomocą. Niestety, nie pomagało zaklinanie wizji, by przybrały realny kształt, drzwi kościoła pozostawały zamknięte, więc z nadzieją pomyślała, że może cud się zdarzy przy grobie Nikosa.

Gdy wyszli z kościoła, do okrojonej rodziny przyłączyli się

Stavros i Pembe, a na cmentarzu, mimo że byli innej wiary, modlili się za duszę zmarłego z rękami wzniesionymi ku niebu. Despina podziękowała im za zrozumienie i chociaż cud się nie zdarzył, nie straciła nadziei, bo dzień był jeszcze młody.

Krótko przed obiadem wpadły Elena i Praxi. Dziewczyna wyglądała na skrępowaną i chyba nie czuła się dobrze, a na zaproszenie Despiny, żeby zostały i razem z nimi usiadły do stołu, wymówiła się brakiem czasu. Musiała się przygotować na umówione spotkanie, wyjaśniła. Randkę z Yiannisem, jak wiadomo bogatym chłopakiem, Despina odczuła to w imieniu zaginionego syna jako zdradę i słowa uwięzły jej w gardle. Elena szepnęła jej w ucho, że córka przeżywa żal na swój sposób, lecz Despina pokiwała głową bez przekonania. Nie widziała smutku w oczach dziewczyny, tylko emocjonalny dystans. To już nie była Praxi, a przynajmniej nie taka Praxi, jaką знаła. Miała przed sobą jakiegoś podmieńca, ze znajomych oczu, które do tej pory kochała, wyzierał zimny duszek. Nie sądziła, że będzie potrafiła wybaczyć tej dziewczynie.

Kiedy z apetytem zjedli pieczone i rozmowa przy resztkach wina zaczęła przycichać, Christakis z rodziną wyszli do domu pożegnani gorącymi pocałunkami i uściskami. Wkrótce potem Marios i Michalakis udali się do swoich łóżek i dopiero wtedy Despina wzięła ze stołu dwa nietknięte talerze, jeden pusty, drugi z jedzeniem.

— Hej, Despo, pozwól, że ja to zrobię. — Georgios wyciągnął ręce po naczynia, ale żona z ledwie skrywanym gniewem odepchnęła go łokciem.

— Potrafię sprzątnąć ze stołu! — Wyrzuciła to z siebie tak opryskliwie, że zszokowała Georgiosa, ale nie był w nastroju do kłótni, więc tylko zwiesił głowę i wyszedł. Miała ochotę biec za nim i przeproszać, lecz paraliżowało ją uczucie do-

znanego zawodu. Wmówiła sobie, że Loukis wróci, żeby spędzić Boże Narodzenie z rodziną, i w dniach poprzedzających święta wciąż odgrywała w marzeniach scenę jego powrotu, łzy i gniew, pytania i odpowiedzi, wzburzenie i słodką radość, że znowu ma go w domu. Jego krzesło jednak pozostało puste, nie było żadnych pocieszających wieści i przeżywała ten dzień, jakby syna ponownie utraciła.

Zmuszając się do aktywności, Despina przechyliła talerz Loukisa nad kubłem. Gdy zimne kartofle zsuwały się do resztek przeznaczonych dla kozy, nagle przytrzymała ręką kawałek mięsa, bo serce podpowiedziało jej, że powinna zanieść coś Apollowi. Zdawała sobie sprawę, że to bliskie świętokradztwa, ale Bóg nic dotąd nie zrobił, żeby jej pomóc, więc poszła z kolacją syna do małego kopczyka pod drzewem pomarańczy.

W księżycowym świetle kawałek jagnięciny wyglądał w jej palcach wstrętnie i odrażająco, pomarszczona skóra pocętkowana była białymi plamami tłuszczu. Zdenerwowała się, powinna przyjść tu wcześniej, kiedy mięso było gorące, a wtedy jego zapach na pewno obudziłby duszę psa.

— Apollo, proszę, opiekuj się nim — wyszeptała.

Schyliła się, żeby położyć mięso na grobie, lecz wzdrygnęła się, gdy ręce dotknęły twardej ziemi. Pies nie jest niczym więcej jak kupką kości; ulubieniec zamienił się w proch. Czy może przywrócić jej syna? Upadła na kolana, a narastająca bezradność uderzyła w nią falą dzikiej rozpacz. Jęk skargi poczynający się gdzieś w trzewiach wstrząsnął całym jej jestestwem.

Jęcząc, kołysała się w przód i w tył, w tym rytmie ból ścisnął ją za gardło i wydarł się z niej w spazmach krzyku wypełniających pustkę pozostawioną przez synów. Gwałcąc nocną ciszę, zawodziła z dziką furią i ostatecznie poddała się zwie-

rzecemu instynktowi, obwieszczając mękę przeciągłym, żalonym wyciem. Wyła do księżyca jak niegdyś jej syn, bo krew krążąca w jego żyłach była taka sama.

Słyszając przerażający skowyt Despiny rozlegający się echem po dolinie i niechybnie przyprawiający o gęsią skórę sąsiadów, Georgios przybiegł do żony. Gdy jej dotknął, wrzasnęła, jakby jej skórę objął ogień, ale przytrzymał ją mocno w objęciach, aż wreszcie sił jej zabrakło do walki, a krzyki porwał wiatr i poniósł w dal. Przeniósł je ponad pokrytymi śniegiem szczytami, popędził z nimi po zamarznętej równinie i w wiecznie zielonych lasach Troodos obsypał nimi liście drzew, a one drżącym szeptem przekazały jej przesłanie.

Loukis obudził się ze snu zlany potem.

Wraz z ogrzewającym ziemię wiosennym słońcem gniew, który trzymał Loukisa w kleszczach, zwolnił swój uścisk. Przestał go prześladować obraz Praxi wznoszącej siekiere, by rozłupać mu serce, pojawiło się w to miejsce wspomnienie dotyku jej skóry i miękkich rzęs muskających jego policzki. Przypominał sobie isierki w jej oczach, gdy się z nim drażniła, i jej gorące wargi, gdy go całowała. Wyspa budziła się ze snu i w zapachu strzelistych sosen, aromacie kwiatów i piźmowej woni ziemi wyczuwał obecność Praxi. Minęły kolejne jego urodziny i z każdym dniem był bliższy tego, żeby jej wybaczyć. Bo gdy wróci i się o nią upomni, będzie już dorosły i ona też dostrzeże w nim zmianę. Gniew i frustracja podzieliły ich, gdy był chłopcem, a ona dziewczynką, lecz wkrótce razem zmierzają się ze światem już jako mąż i żona. Niestety, życzeniowe myślenie ograniczało horyzont Loukisa, dlatego nie rozumiał, że pozostawił po sobie chaos i że jego nagłe zniknięcie

może być brzemiennie w straszliwe następstwa. Nie miał pojęcia, że jedyna dziewczyna, którą kochał, rozsunęła nogi dla innego mężczyzny, żeby uczynić go ojcem dziecka poczętego z ukochanym, i nic nie wiedział o zawierającym w przyspieszonym trybie ślubie między pobladłym z szoku panem młodym i białą jak ściana z powodu nudności panną młodą. Ponieważ nie miał świadomości, że dzieją się takie rzeczy, mógł w promieniach cudnego słońca napełniać sobie głowę płónnymi marzeniami o wspólnej przyszłości z Praxi.

— Co się z tobą dzieje? — Od bramy kaczkowatym krokiem zbliżała się Toulla, dziewczyna z EOKA.

— O co ci chodzi?

— Uśmiechasz się — powiedziała.

— Słońce pięknie grzeje, to dlatego. Siadaj, nie obciążaj nóg, kobieta w twoim stanie nie powinna stać. — Loukis zerwał się z krzesła, by zrobić jej miejsce.

Pogłaskała się delikatnie po brzuchu i potrząsnęła głową.

— Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, wołałabym od razu ruszyć dalej i dostarczyć, gdzie trzeba, nasze „dziecko”.

Loukis się roześmiał. Wiedziała, co mówi. Konstruowane domowym sposobem bomby bywały nieprzewidywalne.

— Więc chodźmy, kochana. Dziecko nie może za długo czekać. — Wziął ją pod rękę i wyszli z ogrodu. Lubił chodzić na akcje z Toullą jej frywolny śmiech i bezpośredni sposób bycia sprawiały, że czuł się dobrze w jej towarzystwie. Mówiła wprost, co myślała, a myślała zdroworozsądkowo. To było uczciwe. Chociaż nie wyróżniała się specjalną urodą — miała duży nos i za cienkie wargi — wydawała się na swój sposób atrakcyjna, żywiołowością nadrabiała inne braki. No i miała fantastyczne, pełne piersi. Stelios nic nie przesadził.

— Brytyjczycy trwają w przekonaniu, że dopadli Afxentiou,

i oblegają klasztor Machairas — poinformowała go Toulla, gdy wspinali się pod górę, żeby wyjść na główną drogę.

- Przynajmniej jedna pocieszająca wiadomość — rzekł Loukis.

Wiadomo było, że w ciągu ostatnich dwóch miesięcy ruch oporu poniósł poważne straty w następstwie serii ofensywnych akcji przeciwnika. Brytyjczycy wpadli na trop siedemnastu kryjówek i wypłoszyli z nich dziesiątki partyzantów. Sam Afxentiou został ranny w walkach i szukał schronienia u mnichów. Szczęśliwie zdążył uciec z klasztoru, zanim okupanci zwietrzyli, gdzie się ukrywa. Loukis i jego grupa dostali teraz zadanie wspomagania akcji mających odwracać uwagę od znajdującego się w opałach dowódcy rejonu. W nocy przecinali linie telefoniczne i rozpalali ogniska, żeby zmylić żołnierzy. A bomby, które produkował Stelios — jedną z nich umocowaną w pasie niosła Toulla — mieli zostawiać w wyznaczonych punktach, żeby uciekinierowi i jego ludziom nie zabrakło zaopatrzenia.

— Afxentiou wydał odezwę — powiedziała Toulla, gdy weszli na drogę. — Mówi, że choć ponieśliśmy straty, nie jesteśmy w odwrocie. Twierdzi, że powinniśmy się rzucić do walki z jeszcze większą determinacją, że „nasza wiara w zwycięstwo pozostaje nienaruszona”.

— Prawdę mówiąc — rzekł jej na to Loukis — w tym momencie szczytem szczęścia dla mnie będzie nienaruszona bomba na twoim brzuchu.

Dziewczyna zaczęła chichotać. Lubiła Loukisa. Nie słyszała z jego ust wzniosłych deklaracji ani kwiecistych frazesów, jakimi popisywali się inni chłopcy. Robił, co mu polecono, i w każdych okolicznościach, dobrych czy złych, zachowywał spokój. Czowała się przy nim bezpiecznie. Chociaż starała się tego nie okazywać, często bywała wręcz sparaliżowana ze

strachu, zwłaszcza gdy szła opasana materiałem wybuchowym. Przerazała ją myśl, że bomba może przez przypadek wybuchnąć albo brutalne łapska bezceremonialnego żołnierza niechcący uruchomią zapalnik. Spokój i opanowanie towarzysza były dla niej ostoją i pozwalały zapomnieć o lęku. Ilekroć natknęli się na brytyjski patrol, Loukis rozwiewał ich podejrzliwość, pozorując swobodną bez troskę i dobroduszość.

— Zatrzymaj się. — Loukis delikatnie pociągnął Toullę za ramię, gdy weszli w zabudowania. Na drzewie przy studni dostrzegł wełniane nici i nie było wątpliwości, że zostały zawieszane na drugiej gałęzi od dołu. — Czy widzisz to co ja? — zapytał.

— Aha. — Toulla kiwnęła głową. — Domyślam się, że mamy przerwać akcję i wrócić do kryjóWKi.

— Co z „dzieckiem”?

— Wygląda na to, że musi wracać z nami — odparła z uśmiechem.

Gdy skierowali się na szlak wijący się wokół stromego zbocza, zauważyli nagle Steliosa. Szedł ze zwieszoną głową, powłócząc nogami.

— Dobrze, że was widzę — powiedział, podchodząc. — Oszczędzę wam trudu wspinania się dalej. — Nabrał powietrza, żeby przekazać wiadomość, ale słowa uwięzły mu w gardle i w oczach pokazały się łzy. Pokonał jakoś emocje i zdołał wyartykułować nowinę, zanim osunął się na ziemię.

— Afxentiou nie żyje — wykrztusił.

Szlochał, nie wstydząc się tego, a pod Toullą ugięły się nogi. Loukis podskoczył, żeby przejąć od niej groźny ciężar. Gdy oni płakali, objąwszy się ramionami, usunął się na bok, nie mogąc na równi z nimi dzielić bólu. Ukrył bombę pod dużym głazem, zapamiętując miejsce, żeby przyjść po nią później.

- Chodźmy już — powiedział wreszcie, szturchając ich, by się ruszyli. — Idziemy z powrotem do wsi.

Gdy weszli we troje do kafejki, okazało się, że wieść o śmierci Afxentiou już dotarła do zebranych tu mężczyzn. Niektórzy mieli twarze mokre od łez.

— Okupanci zostali doprowadzeni do kryjówki Afxentiou — poinformował ich Stelios chrapliwym szeptem. — Okrążyli go, był helikopter i duże siły. Kiedy kazali mu wyjść, odmówił, więc wrzucili do schronu granat. Odpowiedział draniom tym samym, tylko w większej ilości. Wtedy dowieźli ze dwieście litrów benzyny, polali ziemię wokół i wznieśli ogień. Bóg jednak chroni sprawiedliwych i lunął deszcz, który ugasił płomień. Użyli więc plastycznych ładunków, żeby rozwalić dach schronu. I to też im się nie udało. Powstały jednak szczeliny, w które mogli wlewać benzynę, zamieniając kryjówkę w ogniste piekło. Na dodatek wrzucili jeszcze kilka granatów do wejścia i zasypali miejsce gradem kul. Nawet Afxentiou nie mógł przeżyć takiego natarcia. Od wczoraj nie żyje.

Gdy skończył opowiadać, Toulla się przeżegnała i razem lali łzy. Chociaż dla Loukisa nie było to aż tak bolesnym wstrząsem, uważał śmierć dowódcy za porażkę, bardzo też żałował, że nie miał okazji go poznać.

Afxentiou, syn rolnika z Lysi, podobny był do mitycznych bohaterów starożytnej Grecji i po jego śmierci dziwna cisza zawisła nad górami Troodos, jakby nawet ptaki nie miały serca do śpiewu. Żal przerodził się w gniew i gdy partyzantka górską dostała kolejnego dowódcę, walka nabrała nowego wigoru i zacięcia. Afxentiou poświęcił życie i EOKA nie mogła się sprzeniewierzyć pamięci o jego odwadze. Nieco ponad trzy tygodnie później Loukisa wysłano na pierwszą akcję bombową.

Ponieważ był nowicjuszem, siedł z nim Stelios z własnoręcznie skonstruowanym ładunkiem wybuchowym, który wraz z akcesoriami niósł w słoiku po dżemie schowanym w wydrążonym melonie.

— To proste, jest lont prochowy, potem lont detonujący i sam detonator — wyjaśniał. — Nie zapalasz lontu detonującego, bo działa błyskawicznie, a prochowy z kolei nie jest aż tak gorący, żeby pobudzić detonator. Więc zapalamy lont, kiedy jesteśmy blisko celu, i odrzucamy ładunek z nadzieją, że zajmie się lont detonujący i detonator odpali, inicjując właściwą eksplozję... wielkie bum!

— Pięknie, pod warunkiem że to nie odpali i nie będzie wielkiego bum, póki nie dotrzemy do celu — mruknął Loukis.

— Przykro mi, ale tego nie mogę zagwarantować, kolego. — Stelios potknął się i chwycił gałąź, żeby nie upaść. Szli przez las z napiętą uwagą, okrążając groźne wykroty, podstępnie ich zaskakujące. Wybrali tę drogę, ponieważ okupanci, licząc się z wendetą, ogłosili pełną mobilizację, więc nie można było ryzykować, że na punkcie kontrolnym uda się wcisnąć im jakiś kit. Na szczęście chłopcy dobrze znali teren, jako że posterunek policji, dokąd zmierzali, był ulubionym celem ataków ich sabotażowej grupy i co parę tygodni czołgali się przez gęstwinę, żeby przeciąć naziemną linię telefoniczną łączącą policję ze stacjonującym w rejonie batalionem piechoty. Maskowali potem miejsce przecięcia taśmą wykradzioną wojsku przez sympatyka EOKA. Taki zabieg powodował, że wojskowy łącznościowiec musiał pod ochroną eskorty przejść wzdłuż całego kabla i sprawdzić wszystkie poprzednie naprawy, by wykryć ostatnie uszkodzenie. Zrobienie szkody zajmowało Loukisowi kilka sekund, na jej naprawienie Brytyjczycy poświęcali wiele godzin.

- Co to za okazja? — spytał Loukis, bo we wsi u stóp zbocza, kilka metrów poniżej miejsca, gdzie się znajdowali, rozległo się szaleńcze bicie dzwonów kościelnych.

- Nie mam pojęcia, ale spójrz na to. — Stelios wręczył mu ulotkę, którą oderwał od najbliższego drzewa.

Napisana w języku greckim wskazywała jednak na brytyjską rękę, a nagłówek na wymiętym papierze obiecywał: „Nagrody za broń”. Loukis głośno odczytał listę: pięćset funtów za moździerz i karabin maszynowy Bren; pięćdziesiąt funtów za stena; czterdzieści funtów za strzelbę; trzydzieści funtów za pistolet automatyczny; dwadzieścia funtów za rewolwer i dziesięć funtów za karabinek sportowy.

— Do diabła, gdybym dostarczył im całą broń rozproszoną po tej wyspie, mógłbym wykupić Grecję, nie mówiąc o zjednoczeniu z nią— zauważył Stelios. Ponieważ posterunek policji był tuż za łukiem drogi, wyjął zapalki. Zgodnie z planem po zapaleniu lontu mieli dość czasu, żeby pokonać zakręt, wrzucić bombę przez okno i bezpiecznie wziąć nogi za pas. — Czy wiesz, że skonstruowałem już tyle tych pięknotek, że praktycznie mogę je robić z zamkniętymi oczami? — przechwalał się, nie okazując cienia lęku, gdy zapalał lont. Niestety, jego nogi okazały się mniej posłuszne niż nerwy i osunęły się na krawędzi wykrotu. Robiąc wygibasy, żeby złapać równowagę i nie runąć ponad trzy metry w dół, wolną ręką chwycił się gałęzi. On się uratował, ale melon nie. Wysunął mu się z drugiej ręki i zatrzymał na chwilę na korzeniach drzewa.

Obydwaj patrzyli na to osłupiali z przerażenia. Po sekundzie żółta kula drgnęła, powoli ruszyła do przodu i staczała się coraz szybciej po kamienistym zboczu. Loukis i Stelios rzucili się w pogoń za nią.

— Jezu! — wrzasnął Stelios.

Stopy ślizgały im się na stromym zboczu, kaleczyli ręce, chwytając się ostrych kamieni, kłujące gałęzie rozdzierały im ubranie, ale pędzili szlakiem budzącej grozę podróży melona, który zniknąwszy im na moment z oczu za murkiem oddzielającym las od drogi, wylądował wreszcie na niej tuż obok czwórki dzieci bawiących się marmurowymi kulkami. Zauważywszy owoc, który pojawił się tak nieoczekiwanie, mała dziewczynka w żółtej sukience i z takiegoż koloru kokardą we włosach wstała z kolan i ruszyła w jego kierunku.

— Nie! — krzyknęli jednym głosem Loukis i Stelios. Cofnęła się odruchowo, widząc wyskakujących z lasu dwóch

dzikusów w poszarpanych ubraniach i z obłędem w oczach. Loukis pierwszy dobiegł do melona, podniósł go i odrzucił jak najdalej od dzieci, które rozplakały się z przerażenia. Po niespełna sekundzie dał się słyszeć huk wybuchu i Stelios rzucił się w stronę maluchów, żeby je przykryć swoim ciałem. Echo eksplozji jeszcze pobrzmiwało między kamiennymi zabudowaniami i chmura pyłu nie opadła, gdy na dymiącym ganku kościoła pojawił się ksiądz, oszołomiony i ogłuszony.

— Dajemy drapaka! — rozkazał Stelios i zaczęli w popłochu uciekać, nie mając odwagi przeproszać ani nawet spojrzeć do tyłu.

Zważywszy na rozmiar własnego błędu, gnali co sił w umówione miejsce, gdzie mieli się odmeldować po wykonaniu zadania. To była stara obora, dawno zapomniana, zamieszкана przez króliki i węże.

— Niech to dobrze zrozumiem — odezwał się Antoniou surowo, gdy obydwaj wpadli do kryjówki i ze wstydem przyznali się do niefartu. — Zostaliście wysłani, żeby rzucić bombę na posterunek policji, a zamiast tego zaatakowaliście miejscowy kościół.

- Tak — potwierdził Stelios. — Na to wygląda.

- A czy dotarło do was, że biły dzwony kościoła? — spytał Harris, z trudem tłumiąc rozbawienie.

— Tak, skoro o tym mowa, to przypominam sobie, że zastanawialiśmy się, dlaczego biją. Pamiętasz, Loukis?

— Mówiliśmy o tym, Stelios.

— A czy wiecie chociaż, dlaczego się rozdzwoniły? — dociekał Harris.

— Prawdę powiedziawszy, nie — przyznał Stelios.

— To ja wam powiem, dlaczego dzwoniły — odezwał się Antoniou. Patrzył na nich z powagą w oczach, mówił powoli i dobitnie jak do dwóch idiotów. — Dzień dzisiejszy to jeden z najjaśniejszych w historii Cypru... i Grecji, i EOKA. Otóż, chłopcy, Brytyjczycy skapitulowali w obliczu grożącego narodowego powstania i na całej wyspie cypryjscy Grecy rozkoszują się odniesionym sukcesem i czują smak nadchodzącej wolności. Dzisiaj, dzielni panowie, biły dzwony, ponieważ nasi kolonizatorzy mają wkrótce uwolnić arcybiskupa Makariosa. A co wy zrobiliście, żeby to uczcić?

— Zbombardowaliśmy kościół — jęknął Stelios.

— Otóż to. — Antoniou ze wzrokiem pełnym niedowierzania kiwnął głową. — A wy zbombardowaliście kościół.

W autobusie do Kyrenii panowało niecodzienne ożywienie, jedni pasażerowie cytowali z pamięci zdania z historycznej audycji na żywo Radia Ateny, inni relację z uwolnienia arcybiskupa ubarwiali radosnymi wytworami własnej wyobraźni.

— Ani bliskowschodnia ropa, ani potęga Zachodu, ani sprzeciw Turków nie powstrzymają aspiracji Cypru do decydowania o swojej teraźniejszości i przyszłości — obwieszczał dobitnie jakiś mężczyzna, powtarzając fragment wypowiedzi Makariosa.

— Witano go jak króla — rozrzewniła się siedząca obok kobieta. — Nasz arcybiskup, duma naszej macierzy.

— Jest naszą chlubą, pani Papadopoulos, nie inaczej — zgodził się mężczyzna.

— Słyszałam, że rzucali mu pod nogi kwiaty i przepychali się, żeby całować jego rękę — dodała siedząca za nimi kobieta. — A nieśli go ulicami w srebrnej lektyce.

— Mój siostrzeniec był w tłumie — odezwał się jakiś staruszek, przycisnąwszy ręką krzyżyk wiszący u szyi. — Mówił, że czegoś takiego jeszcze nie widział. Miasto było

skąpane we łzach, a jakiś sparaliżowany chłopiec poderwał się na nogi, gdy przejeżdżał Makarios.

— O wielki Boże — zamruczały jak jedna wszystkie kobiety, a kilka musiało wyciągnąć chusteczki, tak się wzruszyły wiadomością o cudzie.

Michalakis słuchał trajkotania podekscytowanych współpasażerów puszczających wodze fantazji i jednocześnie obserwował dwóch muzułmanów zajmujących miejsca w tyle autobusu. Siedzieli nieruchomo z oczami wbitymi w podłogę. Oko dziennikarza rozpoznało czający się w nich lęk — rozruchy i podpalenia w stolicy każdego trzymały w stanie napięcia — tu jednak Turcy nie byli w tłumie patriotów wzniesających zamieszki, tylko w towarzystwie greckich starszych kobiet i ich mężów. Do tego zbyt pochłoniętych przeżywaniem własnej radości, by zauważyć, że ktoś jej nie dzieli.

Ponad miesiąc upłynął od wyrwania się Makariosa z Seszeli, ale opowieści o jego uwolnieniu wciąż krążyły po całej wyspie i w każdym kolejnych ustach nabierały większego patosu. To, co mówiono w autobusie, w zasadzie odpowiadało prawdzie: przetrzymywany przez ponad trzynaście miesięcy na Szeszelach Makarios odzyskał wolność, ale bez prawa powrotu na Cypr. Przejechał jednak dumnie ulicami Aten, w białym cadillacu z opuszczonym dachem niczym bohater nie do pokonania, jakiego widzieli w nim wierni wyznawcy. Triumfalnemu powitaniu towarzyszyła histeria kobiet i wiwaty mężczyzn, ludzie tłoczyli się na chodnikach, stali na dachach i wychylali się z balkonów, żeby choć przez moment rzucić okiem na wielkiego człowieka. Rzeczywiście obsypywano kwiatami samochód, ulice były udekorowane transparentami, na budynkach widniały hasła z żądaniami *enosis*, natomiast o cudach Michalakis nie słyszał. Uwolnienie arcybiskupa zostało uznane przez Greków

za zapowiedź końca epopei walki. Sam Michalakis nie był o tym przekonany. Cypr był pogrążony w chaosie, ścierały się polityczne aspiracje, pogłębiała międzyludzka podejrzliwość, szerzyła przemoc. Wielka Brytania, zmęczona zarówno tym konfliktem, jak i oskarżeniami podnoszonymi w kraju i za granicą, szukała możliwości wyplątania się z sytuacji przez podjęcie rozmów trójstronnych, w których obok niej uczestniczyłyby Grecja i Turcja. Makarios odmówił jednak poparcia negocjacji bez jego udziału, z kolei rząd turecki stanowczo sprzeciwiał się włączeniu arcybiskupa do konsultacji. Wobec tego perspektywa przywrócenia spokoju wydawała się równie odległa jak dotąd, a wydany przez Grivasa rozkaz powstrzymania ataków zbrojnych z okazji uwolnienia Makariosa przestał obowiązywać. Akcje EOKA stały się bardziej krwawe i brutalne, podsycając ogień nienawiści etnicznej i nadając impetu żądaniom Turcji, żeby oddzielić od siebie obydwie społeczności dla ich bezpieczeństwa. W rezultacie obok greckich nawoływań do *enosis* pojawiły się tureckie żądania *taksim*. Krótko mówiąc, powstała sytuacja absolutnego pata: w imię pokoju Brytyjczycy optowali za autonomią wyspy, Grecy wierzyli jedynie w zjednoczenie z Grecją, Turcy żądali zaś *taksim*, czyli podziału wyspy. Michalakis miał zaledwie dwadzieścia lat, ale horror ostatnich dwóch odcisnął na nim swoje piętno, czuł się niewyobrażalnie zmęczony, niczym starzec, mając w oczach widoki, jakich był świadkiem, a w uszach opowieści, jakie słyszał. Gdy dorastał, na wyspie panował spokój, i do niego tęsknił.

Wysiadłszy z autobusu w porcie, ostatnią część drogi przebył pieszo. Kiedy zbliżał się do domu, zobaczył matkę odprowadzającą do bramy atrakcyjną młodą kobietę. Jej długie czarne włosy lśniły w zachodzącym słońcu. Nawet z odległości widział, że jest niepospolitej urody.

_ Kto to był? — spytał.

_ Maria Germanos. Przychodzi codziennie sprawdzić, czy nie ma wiadomości o Loukisie. Wydaje mi się, że jest w nim trochę zakochana.

Słowa matki ukłuły go w serce i zaskoczony tą reakcją aż się uśmiechnął. Nie był podatny na kobiece wdzięki, więc ta nieoczekiwana słabość tym bardziej pobudziła jego zainteresowanie objektem. Postanowił, że gdy czas mu pozwoli, postara się zbliżyć do Marii Germanos, by się przekonać, czy jest równie dobra jak piękna.

Wewnątrz domu powietrze było ciężkie od aromatu jakichś mikstur, a w skulonej nad stołem sylwetce rozpoznawał kobietę, chociaż głowę miała pochyloną nad parującą misą, a włosy schowane pod czarnym szalem. Gdy zakasłał, drgnęła, podniosła wzrok i pospiesznie otarła mokrą od pary twarz. To była Elena, matka Praxi.

— O, Michalakis, dobrze cię widzieć — ucieszyła się i wstała, żeby go pocałować. Pochylił się, by jej to umożliwić. — Co za miła niespodzianka! Jak ci idzie praca? Wiedz, że wszyscy jesteśmy z ciebie dumni.

— W gazecie jak zawsze człowiek się nauwija i zmęczy, ale nudno nie jest nigdy — odpowiedział zgodnie prawdą. — A co słyhać u Praxi?

Gdy tylko pytanie wysnęło mu się z ust, natychmiast tego pożałował.

Elena rzuciła przepaszające spojrzenie w stronę Despiny i wymamrotała kilka dobrze wyuczonych frazesów o małżeństwie, które Bóg łaskawie pobłogosławił. Czując, że kark mu czerwienieje z zakłopotania, Michalakis wyraził radość, że jej córka znalazła dobrego męża, nie żeby tak uważał, tylko nie widział innego sposobu naprawienia popełnionej gafy. Nie

miął żadnej innej intencji poza zdawkową uprzejmością, tymczasem bezmyślnym pytaniem dotknął przykrego dla biednej kobiety tematu. Pospieszny, brany pod przymusem ślub córki to koszmarny sen każdej greckiej matki i Elena miała za sobą wiele bezsennych nocy, które porały jej twarz widocznymi zmarszczkami.

Michalakis, podobnie jak wszyscy, był zszokowany, gdy usłyszał o tym ślubie, częściowo z uwagi na pośpiech, jaki mu towarzyszył, częściowo ze względu na młodszego brata, lecz przede wszystkim dziwił się, że Praxi wychodzi za mąż za Yiannisa Christofiego. Po tym jak za czasów szkolnych ten go z zaskoczenia pocałował, za co dostał pięścią w nos, Michalakis uważał go za *omofulofilos*.

— Gdzie ojciec? — zapytał.

— W warsztacie — odpowiedziała matka, więc Michalakis skorzystał z okazji, żeby się wymknąć, bo krępowała go atmosfera, którą sam wywołał.

— To woła o pomstę do nieba! — zgodził się z nim ojciec, gdy Michalakis relacjonował niezręczną wymianę zdań z panią Germanos.

— Bóg jeden wie, jak to przyjmie Loukis, gdy wróci.

— Jeżeli wróci — rzekł Michalakis, na co ojciec poderwał się z krzesła i pociągnął syna za ucho. — Hej! — zaprotestował syn.

— Zasłużyłeś na to — powiedział Georgios i wrócił do naprawy butów pana Televantosa.

— Tak tylko powiedziałem. W końcu nie ma żadnych wieści o nim od ponad sześciu miesięcy.

— To nie znaczy, że się któregoś dnia nie pokaże — stanowczo rzekł ojciec. — Twoja matka by wyczuła, że coś się stało, a ona czeka.

— Miejmy nadzieję, że ma rację.

_ Czy twoja matka kiedykolwiek się myliła?

— Nigdy nie ośmieliłbym się jej tego powiedzieć — dyplomatycznie odparł Michalakis, a Georgios zachichotał.

Jego żona budziła respekt, była niezwykłą istotą. Od ponad dwudziestu lat pozostawał pod urokiem jej nieokiełznanego temperamentu i leniwie kołyszających się bioder. Jej przyjaciółki z biegiem lat więdły w oczach, a ona, osiągnąwszy wiek średni, z każdym rokiem miała w sobie coraz więcej ciekawości i życia, wciąż była piękna. Z jej żywotności czerpał siłę, ale cierpienie oddaliło ich od siebie, miażdżąc go psychicznie z siłą ciężarówki. Po śmierci Nikosa i zniknięciu Loukisa zagubili się obydwój. Na szczęście lunatyczny epizod przy grobie Apolla, jaki przydarzył się Despinie, zmienił wszystko; wtedy w ciemnym ogrodzie Georgios, mocując się z nią, odzyskał kobietę, którą poślubił, chociaż z dodatkiem pasma siwizny i utyłaną w ziemi. Mimo że ich życie nieodwracalnie się zmieniło i nie było od tego ucieczki, Despina znowu zaczęła warzyć swoje mikstury i zarządzać domem ze spokojną determinacją. A w nocy odnajdywał miękkość jej ciała jak niegdyś. Każde miało serce obolałe z żalu, ale dźwigali straszliwe brzemię wspólnie, a nie jak dwie dusze oddzielnie zmagające się z tymi samymi duchami.

Yiannis obudził się z uczuciem lęku i suchości w gardle. Mrugał, odpędzając obrazy burzy ze snu, lecz odgłos smaganych wiatrem drzwi wciąż kołatał mu się w głowie. Rozejrzawszy się po pokoju, zobaczył cień żony wyciągającej szufladę komody. Usiadł na łóżku i śledził Praxi wzrokiem. Przesunęła się ku szafie, otworzyła drewniane żaluzjowe drzwi i zamknęła je z łoskotem. Potem podeszła do łóżka, przykucnęła, jakby czegoś

pod nim szukała. Następnie ruszyła w stronę drzwi sypialni i wtedy poderwał się, żeby ją zatrzymać.

Górował posturą nad figurką z uwydatnionym brzuchem i sam sobie wydał się brzydkim olbrzymem, potworem polującym na słowika. W mroku jego żona wyglądała jak dziecko, budziła wzruszenie kruchością i bezbronnością. Ten widok poruszył w nim emocje, na jakie chciał się otworzyć. Wciąż liczył na trochę ciepła w tym małżeństwie i chociaż na razie brzydził się jej rosnącym brzuchem, uważał, że uda mu się pokochać żonę, jeżeli tylko ona to ułatwi.

— Praxi?

Odwróciła się i wtedy zdał sobie sprawę, że jedynie jej ciało wyrwało się ze snu, natomiast oczy były szkliste, niewidzące.

— Czego szukasz? — zapytał łagodnie i delikatnie ujął ją za ramię, powstrzymując przed wyjściem z sypialni.

— Nie mogę go znaleźć — odpowiedziała, a jej głos był słaby jak umierające echo.

— Kogo, Praxi? Kogo nie możesz znaleźć? Przechyliła na bok głowę, patrząc na niego, ale przez niego.

— Loukisa — odparła. — Nie mogę znaleźć Loukisa.

*

— No, skończyłem. — Stelios teatralnym gestem odłożył pióro.

— Ja też prawie kończę — oznajmiła Toulla, bazgrząc zapamiętałe w notatniku.

— I ja też — dołączył do nich Loukis, który na próżno szukał natchnienia i miał już tego dość.

Odkąd decyzją EOKA zamilkły karabiny, ta trójka umierała z nudów w skwarze kolejnego lata, Loukis wręcz zazdrościł swoim dowódcom, którzy uciekli na południowe wybrzeże.

Pomimo rozejmu Antoniou i Harris ukrywali się, odrzucając brytyjską ofertę amnestii.

— Bądźcie w gotowości — rozkazał Antoniou podczas ich ostatniego spotkania. — Honorujemy rozejm, żeby pomóc Makariosowi, ale pamiętamy, że Brytyjczycy są przebiegli, a Turcy to szczone lisy, więc wszystko może się w każdym momencie zmienić. Obowiązuje was czujność, sprawdzanie drzewa we wsi i trzymanie buzi na kłódkę. Niech was Bóg ma w swojej opiece.

Po tych słowach obydwaj mężczyźni zniknęli w gęstwinie, pozostawiając swoich mniej rozpoznawalnych protegowanych samym sobie. Skoro nie trzeba było przecinać linii telefonicznych, rzucać bomb i przenosić karabinów, uchwalili we troje, że zamiast zbijać baki, będą działać na rzecz *enosis*, pisząc obelżywe listy do gubernatora Hardinga. Steliosa zainspirowała matka, która od dwóch lat spędzała większość czasu na wspieraniu ruchu oporu piórem.

— Więc co tam masz? — zapytała Toulla Steliosa.

— Chyba wam się spodoba. — Błysnął zębami w uśmiechu. Zakasłał teatralnie i wszedł na stołek.

Drogi Gubernatorze Harding!

Chciałbym skorzystać z okazji, by pogratulować Panu pogazowej wojny eksterminacyjnej, jaka Pan wytoczył cypryjskim grekom- Od czasów Dżyngis-chana nikt bardziej nie zasłużył sobie na miano psychopaty. Żeby zappełnić szkatuły waszej krwiożerczej królowej, poranił Pan serca milionów matek,, karmił Pan swój nienasycony, zrobaczały brzuch ciałem naszych odważnych bohaterów. Wydaje się, że największą satysfakcję czerpie Pan z niesławnych prób łamania ludzi prawych, polowania na nich, obdzierania ich z mienia, a radość sprawia Panu oglądanie ich bliskich skąpanych we łzach, (popelniał Pan, gubernatorze, masowe morderstwa

z uśmiechem na ustach i nikczemnością w sercu. Jak, wyspa długa i szeroka, pogardzają Panem jak. nikiem innym i nadejdzie dzień, kiedy Pana odmóżdżona głowa zostanie odcięta od szyi i wyrzucona z katapulty przez tych, których Pan nie zdążył zamordować. Jest Pan splamionym krwią ludożercą, gubernatorze Harding, Pańskie ręce ociekają krwią niewinnych ofiar.

*Z poważaniem,
Pani T.*

— Naprawdę świetne! — wykrzyknęła z zachwytem Toulla. — To jeden z twoich najlepszych listów!

— No cóż, dziękuję ci, towarzyszeko. A co ty masz? — Stelios zeskokczył ze stołka i poplamionymi atramentem rękami złożył list.

— Och, daleko mi do twojego dzieła — powiedziała Toulla skromnie. — Czytam...

Gubernatorze Harding!

Uważa się Pan za militarne go geniusza, lecz Pańskie poczynania na polu walki natchnione są chyba koszmarnymi wizjami sennymi największych tyranów. Niczym Tamerlan wdziera się Pan na Cypr, by przejąć absolutną władzę, łamiąc prawo i zaprzeczając swemu człowieczeństwu. Jedynym celem jest grabież i sianie terroru w sercach niewinnych greków. Pragnie Pan wymordować naszych dzielnych mężczyzn i z ich czaszek, jak, Tamerlan wznosić wieże koloru kości słoniowej file nigdy Pan nie zatriumfuje, ponieważ...

— Nie skończyłam, przepraszam.

— Jak dotąd to świetny list — pochwalił Stelios. — Szczególnie podobają mi się wieże z czaszek.

— Dziękuję. O tym opowiadał mi dziadek. Chciałabym

dodać jeszcze, że Harding nosi płaszcz z ludzkiej skóry z guzikami z gałek ocznych. Co o tym myślicie?

— Zdecydowanie bym to dodał — poparł pomysł Stelios. —

— Przecież nie chodzi o prawdę, tylko o wzbudzenie nienawiści. A co tam u ciebie, Loukis?

Loukisowi serce zamarło.

— Jeszcze nie skończyłem — wydukał.

— Mój też nie był skończony — zauważyła Toulla. — Przeczytaj, co masz.

— Wolałbym nie.

— Nie kryguj się, nie może być aż tak złe — zachęcał go Stelios.

— No dobrze. — Loukis westchnął. — Uprzedzam, jest krótki.

— I bez wątpienia subtelny — dodał Stelios.

— Tego nie wiem. — Loukis otarł pot, który wystąpił mu na czoło, i zaczął czytać.

Gubernatorze Harding!

Jesteś świnią. Niedługo umrzesz. W chlewie. Jak świnia.

Loukis spojrział na dwójkę przyjaciół.

— To wszystko? — zapytała Toulla.

— Tak.

— Hm... — mruknął Stelios.

Christakis wpadł jak burza do kafejki i rzucił na stolik „The Voice”. Na pierwszej stronie krzyczał tytuł: *Turcy zamierzają ukraść polowę Cypru*. Georgios zmarszczył brwi, a Stavros odwrócił się bokiem do gazety w bezskutecznej próbie zignorowania zarzewia konfrontacji.

— Co tam słychać u Mariosa? — zapytał.

— U niego wszystko w porządku, ma się dobrze — burknął Christakis, gniewnie wskazując palcem gazetę. — Czy widzieliście to? Czy jesteście w stanie w to uwierzyć?

Dwaj starsi panowie milczeli. Nie potrzebowali czytać artykułu, ponieważ radio cytowało i komentowało jego treść przez całe przedpołudnie. Lider Turków cypryjskich, dr Fazıl Kucuk, ogłosił, że Turcja zażądała dla swoich cypryjskich rodaków, którzy stanowili osiemnaście procent ludności na Cyprze, pięćdziesięciu procent obszaru wyspy. Grecy pienili się z wściekłości.

— Czy wiesz, że gdy byłem dzieckiem, greccy chłopcy dokuczali mi na drodze do szkoły, nazywając mnie małym śmierdzącym Turkiem — powiedział Stavros do Christakisa.

— To normalne, szczeniaki lubią się nad kimś pastwić — odparł szorstko stolarz.

— Być może — ciągnął Stavros — ale co powiesz o ich matkach, które wbijały im do głowy, że Turcy to dzikie psy i śmierdzą, ponieważ nie są ochrzczeni? Nie zrozumcie mnie źle, my też nie byliśmy aniołami, moja własna ciotka powtarzała wciąż, że nie można wierzyć żadnemu Grekowi, bo wszyscy mają diabła za skórą, są zatruwani przez Kościół jadem nienawiści. Próbuję ci uświadomić, Christakisie, że nasze społeczności dzieli odwieczna niechęć i zawsze dochodziło do przemocy, owszem, po obu stronach, ale jeżeli ziści się marzenie Greków, co będzie z nami, Turkami?

— Będą nadal częścią tej wyspy jak przez ostatnie trzysta lat — upierał się Christakis. — Świadome konspirowanie, żeby się odłączyć, odbierając nam nasze domy i ziemię, to niewybaczalne wykorzystywanie powstałego problemu.

— Nie zapominaj, że my też mamy domy i ziemię — rzekł Stavros.

— Oto słowa naszej starej pieśni: „Jeżeli

ścisnę garść tej ziemi, popłynie z niej turecka krew, jeżeli przekopię tę ziemię, wyjdą na wierzch tureckie kości, bo na niej cierpieli Turcy". Możesz w to wierzyć lub nie, Christakisie, ale twoi tureccy sąsiedzi boją się ciebie, siedzą przerażeni w swoich domach i coraz powszechniejsza jest opinia, że tylko przez podział wyspy mogą odzyskać poczucie bezpieczeństwa.

_ Nie wierzę, żeby ktokolwiek uważał rozdzielenie się za właściwe wyjście — kategorycznie orzekł Georgios. — To, z czym mamy do czynienia, to tylko pobrzękiwanie szabelką.

— Przyznaję ci rację — zgodził się Stavros. — Osobiście również nie uważam podziału za dobre rozwiązanie problemu, ale czy przywódca EOKA nie wygłosił przypadkiem takiej oto opinii: „Kiedy ogień i woda zostaną kochankami, kiedy raj i piekło się zjednoczą, wtedy, ale tylko wtedy zaprzyjaźnimy się szczerze z Turkami.”?

— Nie przywiązuj wagi do słów Grivasa — rzekł Georgios, popijając wodą ostatni łyk kawy. — Czas pułkownika minął. Grę prowadzi teraz Makarios. On jest człowiekiem, który wyprowadzi nas z tego żalosego chaosu.

Marios pędził na cmentarz jak uskrzydłony. Nigdy nie zwracał uwagi na małe dzieci, ale dziś to się zmieniło. Gdy na ulicy natknął się na Praxi — nogi miała mokre, a obok niej na bruku leżał nieprzytomny mąż — pobiegł po lekarza i postanowił zobaczyć, co będzie dalej. Dwie godziny później krzyk noworodka zastąpił wrzaski jego matki i po chwili z domu wyszedł lekarz i z szerokim uśmiechem oznajmił, że dziecko przyszło na świat z szybkością błyskawicy. Następnie zajął się bandażowaniem skaleczonej głowy Yiannisa.

Gdy Marios wsunął się do pokoju, zobaczył Praxi siedzącą na łóżku, a wyglądała tak pięknie jak nigdy. Tuliła do siebie jakieś zawiniątko, a gdy podszedł bliżej, zobaczył ukrytą w kocykach istotkę niewyobrażalnie małą, z czerwoną skórą, błyszczącymi czarnymi oczkami i główką pokrytą czarniutkimi jak smoła włoskami.

— Kto to? — zapytał.

— To ona. — Praxi się uśmiechnęła i czule pocałowała małą główkę.
— A na imię ma Elpida.

Ulegając naleganiom Praxi, Marios ostrożnie wziął dziewczynkę na ręce i kołysząc ją, pomyślał, że choćby się szukało na całym świecie, nie udałoby się znaleźć odpowiedniejszego imienia, bo *elpida* to nadzieja.

— Myślę, że Praxi ma nadzieję, że dziecko nie będzie podobne do ojca — zażartował Nikos, gdy Marios stanął nad jego grobem, by obwieścić mu nowinę.

— Nie ma takiego niebezpieczeństwa — odpowiedział Marios. Yiannis nie był wprawdzie blondynem jak ich brat Christakis, ale włosy miał brązowawe, a oczy jasnoorzechowe. — Dziecko jest ciemne — wyjaśnił. — Jest bardziej podobna do Praxi albo do któregoś z nas.

— Ho, ho, Mariosie, co ty kombinujesz? — Zmarły brat zachichotał. Marios się zarumienił.

— Zamknij się, Nikos, ty ośle!

Natychmiast zawstydził się tych słów, pocałował nagrobek i powiedział „przepraszam”, nim odszedł.

*

Usłyszawszy o narodzinach wnuczki, Elena chwyciła trzymaną w pogotowiu przy drzwiach paczkę z wyprawką i pobiegła w stronę miasta. Droga wiodła koło gospodarstwa Stavrosa

i gdy Elena wyjaśniła mu powód pośpiechu, kazał jej wskoczyć na swój nowy traktor. Mimo strachu, że towarzystwo Turka może zwracać uwagę, przyjęła ofertę, bo nogi już jej nie niosły jak za młodu.

W drodze do Kyrenii Stavros starał się podtrzymać rozmowę, przekrzykując warkot silnika, ale ani słowem nie nawiązał do tego, że dziecko przyszło na świat ponad miesiąc przed czasem, więc Elena była mu wdzięczna za takt. Bóg jeden wie, że ona ma opuchnięte wargi od całowania figur wszystkich znanych pod słońcem świętych, bo chciała ich udobruchać i wyblagać późniejszy poród, co mogłoby podreperować nadszarpniętą reputację córki. Każdy wie, że pierwsze dziecko rodzi się trochę później, więc się modliła, żeby trzymało się łona jak najdłużej i przyszło na świat po dziewięciu miesiącach małżeństwa. Tymczasem pozostało w brzuchu niewiele ponad siedem miesięcy, bo jak widać, grzesznica musi być ukarana i teraz zapłaci za niemoralne prowadzenie się, mając dziecko z piętnem słabowitego wcześniaka.

Przed domem, w którym zięć Eleny miał wkrótce otworzyć kawiarnię, Stavros pomógł nieszczęsnej wysiąść z traktora. Podziękowała mu za uprzejmość i pobiegła zewnętrznymi schodami na górę do części mieszkalnej. Gdy weszła do sypialni, ze zgrozą spojrzała na szeroko otwarte okna. Niedomagający potrzebują przecież ciszy i mroku, jaskrawe słońce nikomu dobrze nie robi, zwłaszcza takiemu maleństwu.

Praxi, skończywszy właśnie karmienie, wkładała niemowlę do łóżeczka stojącego w kącie sypialni. Yiannis pocałował teściową na powitanie i zostawił kobiety, by sobie pogawędziły, a sam zszedł na dół zając się interesami. Gdy drzwi się za nim zamknęły, Elena podeszła do kołyski. Stała nad nią i odebrało jej dech z przerażenia; jej wnuczka wyglądała jak uosobienie

zdrowia, oczka miała błyszczące i żywe, policzki zaokrąglone, wręcz pulchne. Dzwony zadźwięczały w głowie Eleny, gdy pełna prawda o hańbie córki uderzyła w nią z siłą gromu. Odwróciła się od kołyski, by wymierzyć córce siarczysty policzek.

Praxi przyjęła go bez słowa, tylko jedna łza spłynęła jej po policzku w reakcji na wściekłość matki. Elena zaś opamiętała się i chwyciła ją w objęcia, rozszlochawszy się z głową wtuloną w jej włosy. Dopiero gdy zobaczyła niemowlę, zrozumiała po raz pierwszy, na jak straszne poświęcenie zdobyła się córka dla dobra dziecka.

Cykanie chóru świerszczy urywało się nagle, gdy tylko chłopcy się poruszyli. Półksiężyc z rzadka pokazywał się zza osłony chmur, ciężkie powietrze gniotło im piersi, jakby się zmówiło z ciemnością, by potęgować ich strach.

— Rany, a węże? — spytał jeden.

— Rany, a węże? — przedrzeźniał go drugi przenikliwym szeptem.

— Pytam poważnie. Czy tu są węże?

— Nie bądź babą.

— Nie boisz się, że cię ukąszą i utną ci nogę?

— One nie ucinają nóg, to są węże, nie mają rąk.

— Nie mówię teraz o węzach! O lekarzach! Słyszałem, że przeprowadzają amputację, jeżeli jad się rozejdzie.

— Będziesz martwy, zanim dostaniesz się do lekarza.

— To pocieszające... nienawidzę węży.

— Zamknijcie buzie, dobra? — Chłopak na przedzie odwrócił się, żeby uciszyć tych dwóch za nim. Toni miał nerwy napięte jak postronki i tracił cierpliwość, słysząc tę bzdurną wymianę zdań. Pod mokrą od potu koszulą serce waliło mu ze

strachu, a broń wyslizgiwała się ze spoconych z nerwów dłoni. Przeszedł długą drogę od czasu złożenia przysięgi w ciemnej kaplicy w miasteczku Skilura, ale teraz znalazł się poza swoim rejonem i nie czuł się pewnie w obcym terenie.

— Sza! — rozkazał, stając w miejscu jak wryty, tak że chłopak idący z tyłu wpadł na niego.

— Co jest? Usłyszałeś coś?

— Sza, do diabła!

Reagując odruchowo na dziwne odgłosy, wszyscy trzej padli jednocześnie na ziemię. W pewnej odległości przed nimi trzaskały suche gałęzie w rytm czyichś stąpień.

— Boże miłosierny — wezwał niebiosa chłopak z ofidiofobią. — Jak myślisz, ilu ich jest?

— Przynajmniej dwóch — ocenił Toni. Przeciągnął spoconymi dłońmi wzdłuż spodni i wycelował broń tam, skąd dochodziły odgłosy. Chłopcy nieśli dynamit i detonatory do punktu przerzutowego w Kyrenii. W razie schwytania czekała ich kara śmierci. Toni miał siedemnaście lat i zamierzał żyć przynajmniej drugie tyle.

— Kto idzie?! — krzyknął groźnie po grecku, usiłując przewyciężyć strach pozorami odwagi. W odpowiedzi stąpieńca ucichły i zamilkła orkiestra świerszczy. Chłopcy patrzyli na siebie. Białka ich oczu lśniły w ciemności.

— Myślisz, że to Brytyjczycy?

— Mam nadzieję, że nie — szepnął Toni.

Gdy wyteżali wzrok, żeby dojrzeć coś przez gęstwą powykręcanych gałęzi drzew oliwnych, znowu usłyszeli kroki.

— Kto idzie?! — zawołał znowu Toni, tym razem bardziej piskliwie, gdyż lęk mocniej ścisnął mu gardło. Krople potu skapywały mu z czoła i podrażniały oczy. Gdy przecierał twarz, odgłos naginanych gałęzi i suche trzaski pod ciężarem stóp

stały się głośniejsze i nagle zaczęły się gwałtownie przybliżać. W śmiertelnej trwodze chłopcy otworzyli ogień. Wśród błysków i huków wystrzałów ciszę nocy rozdarł piekielny ryk. Rzucili się naprzód, każdy szarpał dziko za spust, wypływając jedną kulę za drugą. W tym chaosie adrenalina przyćmiewała im wzrok i parli przed siebie przez sad oliwny, opętani strachem i zdecydowani na wszystko. Już nic nie widzieli i nic nie słyszeli poza własnymi chrapliwymi wrzaskami i pokrzykiwaniami. Ucichli natychmiast, gdy wypadli na prześwit między drzewami. Wszyscy trzej w niemym szoku stanęli jak wryci. Chmury odsłoniły księżyc, jasna poświata oblała trupa ich wroga, a chłopiec lękający się węży zaczął głośno wymiotować. Przed nimi leżał osioł szarej maści, stary, cały pokryty świeżą krwią. Zdziwiło ich, że na kopytach ma coś w rodzaju skórzanych, już nieco zdartych miseczek, jakby był w butach.

Następnego dnia rano Stavros natknął się na ofiarę zbrodni i ten widok rozdarł mu serce. Kartka z przeprosinami była wetknięta w pysk poczciwej oślicy. Przeczytał: „Pomyliliśmy tożsamość obiektu. Przepraszamy. EOKA”. Z oczu Stavrosa popłynęły gorzkie, niekontrolowane łzy, gdy wbijał łopatę w ziemię.

— Nawet Brytyjczycy nie strzelają do osłów! — krzyknął do żony. Pochował Afrodytę w ziemi i wraz z nią wszelką nadzieję.

*

Samolot po raz drugi przelatywał nad ich głowami, zakłócając ciszę w górach warkotem dwóch silników i komunikatem z systemu Tannoy.

— Co oni właściwie nadają? — zapytała Toulla, wykręcając szyję, żeby spojrzeć w niebo.

— Domyślam się, że wzywają nas, byśmy się poddali — rzekł Loukis. Upływał piąty miesiąc od wstrzymania ognia przez EOKA i Brytyjczycy zaczęli bombardować odezwanymi ukrywających się członków organizacji, obiecując im bezpieczeństwo, jeżeli złożą broń. Nieliczni skorzystali z oferty, by się przekonać, że ich decyzja posłużyła okupantom jako atut w kampanii propagandowej. Większość bojowników ignorowała amnestię motywowana lojalnością, brakiem zaufania czy też poczuciem wstydu.

— Zastanawiasz się nad odejściem? — zapytał Loukis.

— Nie! Nigdy! — odpowiedziała dziewczyna, przekręcając się na plecy. Leżeli na skrawku suchej trawy przed domem Steliosa, czekając, aż matka zwolni go z obowiązków domowych. — Dlaczego pytasz, sam rozważasz odejście?

Loukis uchylił się od odpowiedzi, wzruszając ramionami, ale czuł w sobie niepokój, ciągnęło go do domu i... do Praxi. Krągłe kształty Toulli tuż obok intensyfikowały pragnienie powrotu do życia, jakie wiódł niegdyś.

— Dlaczego jesteś taka zdecydowana?

— Z powodu brata — odparła. Determinacja w jej głosie wymagała wyjaśnienia i Loukis czekał. Toulla nigdy dotąd nie mówiła o swojej rodzinie, zresztą on też nie opowiadał o swojej.

— Aresztowali go Brytyjczycy — ciągnęła z pewnym wahaniem. — Torturowali go tygodniami, wreszcie wypuścili, ale życie dla niego praktycznie się skończyło.

— Dlaczego? Co się stało?

— Samobójstwo — powiedziała zdławionym głosem. — Miał osiemnaście lat, gdy zgarnęli go Brytyjczycy. Te potwory z jednostki specjalnej policji biły go czym popadło. Wbijali mu w ciało szpilki i gasili na nim papierosy, chcąc wymusić przyznanie się do win, których nie popełnił. Przez większość

czasu trzymali go w celi nagiego ze związanymi razem rękami i nogami. Od czasu do czasu kładli mu na twarz mokre szmaty, pod którymi się dusił. Niektórzy cierpieli jeszcze bardziej. Brat mówił mi, że jeden z więźniów był regularnie atakowany przez innego Cypryjczyka, chorego psychicznie, opłacanego przez służbę więzienną. Obląkańca, który śmiał się i płakał na jednym oddechu, gdy gwałcił swoje ofiary kijem od szczotki i tańczył na ich zmaltretowanych ciałach. Każdego dnia w tej piekielnej celi mój brat myślał, że będzie następną ofiarą szaleńca. Kiedy go zwolniono, bo naprawdę nie był kimś znaczącym, tylko chłopakiem przyłapanym na przenoszeniu meldunku, nie poznawaliśmy go, my, jego własna rodzina. Jego krzyki budziły w nocy cały dom. To było potworne, przerażające, straszne. Nie możesz sobie tego wyobrazić. Wreszcie któregoś dnia się poddał. Nie potrafił się pozbyć strachu i jego stan się nie poprawiał. Ojciec znalazł go w naszym ogrodzie, mój brat powiesił się na drzewie. Nad jego grobem przysięgłam sobie, że nie spocznę, póki oni nie opuszczą naszej wyspy lub cała ich krew nie wsiąknie w naszą ziemię. Niech ich rodziny przeżyją taki sam ból, niech z nim żyją, niech wiedzą, jak to jest, gdy śmierć puka do drzwi.

Toulla zalała się łzami, Loukis odruchowo wyciągnął do niej rękę. Wtuliła się w jego ramiona, poczuł na szyi gęstwę jej włosów.

— Przepraszam. — Szlochała. — Przepraszam, że płaczę akurat przy tobie.

— Daj spokój, to ja przepraszam — powiedział szeptem Loukis.

Było mu naprawdę przykro. Czuł się winny, że doprowadził ją do łez przez swą ciekawość. Kiedy więc podniosła głowę i przycisnęła wargi do jego ust, nie powstrzymał jej. Ale gdy

odpowiadał na pocałunek, zbudził się w nim opór. On już taką chwilę przeżył, też w bólu i łzach, i chociaż gorące ciało Toulli go podnieciło, wiedział, że nie ma dziewczynie nic do zaoferowania poza fizycznym pożądaniem, którego nie kontroluje. Wiedział, że nie może dać Toulli tego, czego by pragnęła. Po prostu nie byłby w stanie. Ślepy nie był i widział, w jaki sposób Toulla zerka na niego podczas spędzanych razem długich, próżniaczych dni, i był świadom różnych jej sztuczek, jakich się imiała, żeby dotrzymywać mu towarzystwa, kiedy Stelios był zajęty. Ponieważ ją lubił i podziwiał, bo miał za co, nie chciał jej okłamywać.

— Nigdy cię nie pokocham, Toullo — powiedział, gdy ich usta się rozłączyły.

— Wiem. — Rozszlochała się jeszcze bardziej.

Elpida gruchała rozkosznie za każdym razem, gdy Yiannis zanurzał twarz w fałdy jej kocyka, a Praxi przyglądała się z zadowoleniem tej zabawie. Wprawdzie mąż walczył z obrzydzeniem, jakie budził w nim widok ulewanego pokarmu czy kupek, nieraz pobladł na twarzy i tłumiał odruch wymiotny, ale poza tym okazywał niezwykle przywiązanie do małej. Po paru tygodniach od jej urodzenia przytulanki kupowane w sklepiku stowarzyszenia wdów przestały się mieścić w łóżeczku i już został zamówiony koń na biegunach w warsztacie Christakisa, chociaż mała mogła docenić dar dopiero za parę lat. Patrząc, jak Yiannis skubie wargami wyciągające się do jego ust małe paluszki, śmieje się i pomrukuje, Praxi zastanawiała się, czemu przypisać jego czułość. Nie łączyły go z dzieckiem więzy krwi, więc te oznaki uczucia były rzeczą dziwną, lecz jednocześnie błogosławieństwem. Czy wynikały z niewiedzy, czy właściwego

ludzkiej naturze instynktu opiekuńczego, Praxi nie miała ani chęci, ani odwagi dociekać, tym bardziej że Yiannis nigdy nie napomknął, iż żywi jakiegokolwiek podejrzenia. Tulił w ramionach ciemnooką dziewczynkę jak swoją córeczkę, a jej buzia rozjaśniała się w uśmiechu.

— Teraz do mamusi — rzekł Yiannis, przerywając zabawę. Gdy podał małeństwo matce, skrzywiło się z niezadowoleniem. Praxi przystawiła Elpidę do piersi i ukołysała, zanim protest przeszedł w płacz.

— Czy kawiarnia będzie gotowa na czas? — zapytała.

— Jeżeli nie zawiodą dostawy — odpowiedział roześmiany. Pocałował żonę we włosy i zszedł na dół.

Do takich zdawkowych czułości ograniczał się po narodzinach Elpidy i nie rościł sobie pretensji do większej intymności, co umacniało w Praxi determinację, żeby w każdym innym zakresie być dobrą żoną. Nie rozumiała, co nim powoduje, ale właściwie go polubiła. Obejmował ją delikatnie, zanim zasnął, czasem jego ręce przesunęły się po jej piersiach, lecz nie było natarczywości w jego dotyku. Wydawało jej się, że Yiannis czuje przymus, by coś zrobić w łóżku, ale zdobywał się jedynie na parę pieszczotliwych gestów. Po ślubie kochali się ileś razy, najczęściej jednak lękliwe eksploracje jej ciała kończyły się upokarzającymi przeprosinami z jego strony. Na początku nalegała na współzycie — żeby się ratować — choć to żałosne powielenie szaleńczej miłości, jakiej doświadczyła wcześniej, nie miało dla niej znaczenia, służyło osiągnięciu celu.

Praxi była pewna, że mąż jej nie pożąda, lecz jednocześnie dostrzegała, iż ma dla niej uznanie. Wielokrotnie pytał ją o radę w sprawach biznesowych i niewątpliwie doceniał jej zaangażowanie. Czasami przyłapywała go na tym, że ją obserwuje, gdy jednak odwzajemniała spojrzenie, w jego oczach nie było

głodu, tylko jakiś smutek i wdzięczność. Nie kochała go i wiedziała, że nigdy nie pokocha, ale mogła myśleć o nim ciepło, a przecież nie liczyła na to, kiedy podstępnie wmanipulowała go w ratowanie jej przed hańbą. Chociaż więc nie był zbyt lotny, a w zacniejszym towarzystwie uchodził za krzykliwego mądralę, wspierała go jako lojalna i dobra żona.

— Jakkolwiek będzie, masz zawsze troszczyć się o mężczyznę — przykazywała jej matka kilka dni po narodzinach Elpidy, gdy zostały same, bo Yiannis zszedł na dół dopilnować wnoszenia przywiezionych do kawiarni mebli. Obydwie wiedziały, o czym, a raczej o kim jest mowa. Praxi przyrzekła solennie, że nigdy nie zrobi niczego, co mogłoby zranić męża, i nie sprawi zawodu córce. Dlatego gdy pojawiła się z wizytą Despina i wsunęła palce do buzi Elpidy — w poszukiwaniu ostrych ząbków — Praxi niczego nie wyjawiała, choć prawda kłuła w oczy.

— Rozpoznaję dziecko — rzekła Despina.

— To jest moje dziecko, które ma kochającego ojca, dobry dom i szansę na godne życie — rzekła Praxi chłodno. Despina wychodziła ze łzami w oczach.

Kiedy wróciła do siebie, poszła najpierw na werandę, gdzie postawiła garnek na ogniu. Do wrzątku wsypała garść płatków róży i mieszając zawartość, oddychała głęboko. Chociaż wdychany aromat powoli kołował jej nerwy, nie zmniejszył przygniatającego serce ciężaru bolesnej prawdy.

— Córka Praxi to dziecko Loukisa — oznajmiła mężowi, zanim Marios przyszedł na obiad.

— Czy Praxi ci powiedziała? — zapytał Georgios.

— Nie, ale mała jest podobna do naszego syna, jakby skórę zdjął, a poza tym ja to intuicyjnie czuję.

Georgios westchnął. Nie wątpił w intuicję żony, a nagle zainteresowanie Praxi Yiannisem, pospieszny ślub i wczesny

poród przemawiały za tym, że się nie myliła. Wiedział jednak, że nie mają prawa się mieszać, choćby nawet Elpida naprawdę była ich wnuczką.

- Twoja intuicja to za mało, żeby burzyć życie trzech osób — rzekł jak najbardziej powściągliwie. — Jeżeli prawda ma wyjść na jaw, to znajdzie drogę, ale my nie możemy naciskać. Przyrzeknij mi, że zachowasz rozwagę.

— Co innego mogę zrobić? — Despinie głos załamywał się pod wpływem emocji. — Gdybym ogłosiła, jaka jest prawda, napiętnowałabym własną wnuczkę. Niech Bóg mi wybaczy, ale byłabym teraz zdolna zabić Loukisa!

Georgios wstał i przytulił żonę. Wszedł na to Marios i zasygnalizował swą obecność, z impetem rzucając torbę na podłogę.

— No nie, i wy dwoje też — jęknął.

— Co ma znaczyć to „wy dwoje też”? — spytał Georgios, odsuwając się od żony.

— Michalakis i Maria czulą się przy bramie.

— Naprawdę? — spytała Despina zadowolona, że pojawia się nowy temat, który może przepędzić smutne myśli.

— Jako żywo — potwierdził Marios, skubnąwszy kebabu czekającego na stole. Matka trzepnęła go po palcach. — Nikos pozdrawia — dodał pospiesznie.

— Pozdrawiamy, Nikosie — powiedzieli jednocześnie Georgios i Despina, uśmiechając się do siebie smutno, a w tym momencie w drzwiach ukazał się Michalakis z rozpromienioną jak rzadko twarzą.

— Boże, umieram z głodu! — wykrzyknął.

— Michalakisie! — napomniała go Despina. — Ile razy mówiłam...

— Wybacz mi, mamó — przeprosił. — Gwoli sprawiedliwości powiem jednak, że jak na kogoś, kto przyrządza więcej

magicznych mikstur niż niejedna czarownica, wykazujesz się niezwykłą pobożnością, gdy chodzi o wzywianie imienia Pana nadaremno.

— Czarownica. — Marios zachichotał. — Podoba mi się. A ze swoją dziewczyną randkę skończyłeś?

— Jeżeli masz na myśli, że skończyłem rozmowę z Marią, to faktycznie tak jest, skoro znalazłem się tutaj i patrzę na twoją małą twarz.

— Wiem, czyje oblicze ja osobiście wolałbym oglądać — wtrącił Georgios, a Despina szturchnęła go w głowę, idąc do kuchni po misę z sałatą.

— Więc zostajesz na noc na tańce? — zapytała syna w przelocie.

— Nie, pracuję na drugą zmianę. Muszę się stawić z powrotem przed piętnastą.

— I dzięki Bogu, bo spędzasz tu więcej czasu niż w swoim wynajmowanym pokoju, na który marnujesz pieniądze — przygryzł mu ojciec.

— Georgiosie! — krzyknęła z kuchni Despina zgorzona bluźnierczym życzeniem, by syn mniej bywał w domu.

— Przepraszam, Despo! — odkrzyknął Georgios, mrugając porozumiewawczo do synów. — Więc nad czym pracujesz jutro?

— Jest kilka spraw, zajmę się narastającym oporem Turków albo ostatnimi atakami na związkowców.

— Czy rzeczywiście Turcy stawiają opór? — zdziwił się Georgios.

— Sądzę, że tylko wznecają drobne zamieszki w odwecie, no i mają na sumieniu trochę podpaleń. To nie jest zorganizowany opór.

— W istocie — przyznał Michalakis. — Ale kilka tygodni temu jeden Turek zginął, a trzech zostało poważnie rannych,

gdy wyleciał w powietrze dom na tureckim przedmieściu. Przypuszcza się, że mężczyźni konstruowali bomby z myślą o użyciu ich przeciwko Grekom, gdyby EOKA znowu się uaktywniła.

-Byłe nie bomby — mruknął Marios. — Co będzie z nami?

- To tylko przypuszczenia — uspokajał brata Michalakis, klepiąc go po ramieniu, ale gdy ojciec rzucił mu pytające spojrzenie, pokręcił głową.

— Czy to możliwe, że EOKA znowu się uaktywni? — spytała matka, przysiadłszy się do stołu.

— Tego zdania są Brytyjczycy — odrzekł Michalakis. — Poczynili ostatnio odkrycia, które uznali za „prawdopodobne dowody” przygotowań. Niedaleko Nikozji znaleźli duży skład amunicji, w innych miejscach małe składziki, a w Pafos bomby rurowe.

— Nie wiem, czy EOKA działa, czy nie, ale do osłów strzelają — ponuro dorzucił swoje Marios.

— To był przypadek— zapewnił Georgios najmłodszego syna.

— Powiedz to, tato, panu Stawosowi.

— Hej, podsuń mi ten kebab — zwrócił się Michalakis do brata. Miał dość rozmawiania i słuchania o śmierci. Chciał się cieszyć życiem, zwłaszcza że teraz pojawiła się w nim młoda kobieta, i to rzut kamieniem od miejsca, w którym siedział. Dzięki zawieszeniu broni miał więcej czasu, żeby się wyrwać ze stolicy do domu, i chociaż na razie pozostawał w konkurach na etapie grzecznych rozmów, miał nadzieję, że jeżeli na wyspie będzie nadal panował spokój, znajdzie wiele okazji, by się starać o względy Marii w sposób, na jaki taka kobieta jak ona zasługiwała.

Niestety, następnego dnia, gdy wrócił do Nikozji i uczestniczył w zwołanej w nagłym trybie konferencji prasowej, stało

się dla niego oczywiste, że musi się pożegnać z myślami o miłych wakacjach.

Przed tłumem dziennikarzy i fotoreporterów brytyjski szef sztabu ujawnił, że istnieją jednoznaczne dowody na to, iż EOKA planuje wznowienie działań zbrojnych. Jeżąc z oburzenia blond wąsy, mówił o dokumentach znalezionych w górskiej kryjówce jednego z dowódców EOKA, który musiał się poddać. Zawierały plany wysadzenia w powietrze największej elektrowni, ataku na komendę policji i wykonania wyroków śmierci na zdrajcach.

— Na liście EOKA znajduje się ponad setka konkretnych osób, które zostaną zgładzone przez terrorystów, gdy ci wznowią walkę — poinformował brygadier. Michalakis sporządził relację z konferencji z rozpaczą i wściekłością w sercu.

Zobaczywszy na ścieżce Lellę potykającą się pod ciężarem worka z ziemniakami, Loukis i Stelios poderwali się do biegu. Gdy Loukis schylił się, żeby przejąć worek, z trzaskiem pękła mu koszula. Poczł na plecach powiew zimnego jesiennego wiatru.

— Wygląda na to, że trzeba ci kupić ubranie w większym rozmiarze — powiedziała z uśmiechem „ciotka”.

— Mam ze swej strony prośbę, pani Thedosias — błagalnie odezwał się Stelios — żeby nie zapomniała pani o nowych spodniach dla niego, bo te, w których chodzi, są opięte do granic nieprzyzwoitości.

— To zostało zauważone — odparła Lella, chichocząc. — Biedny Demetris we własnym domu zaczyna cierpieć na kompleks niższości.

— Ludzie! Błagam, dość! — protestował Loukis.

Minął już prawie rok, odkąd uciekł z domu, żeby dojrzeć i stać się mężczyzną, i chociaż jego najpoważniejsza akcja partyzancka skończyła się niefortunnie lekkim uszkodzeniem greckiego kościółka, miał poczucie, że jednak swój cel osiąga, sądząc po tym, jak mężnieje jego ciało.

- A teraz, chłopcy, czy dacie się skusić na filiżankę kawy i szklaneczkę *zwami*? — zapytała Lella.

— Z największą przyjemnością, pani Theodosias — skwapliwie odparł Stelios. — Z największą przyjemnością.

Loukis się zaśmiał. Bardzo polubił Steliosa, znacznie bardziej, niż mógłby przypuszczać po ich pierwszym kontakcie, ale drażnił go zarówno jego język, w którym z niewytłumaczalnych powodów rozpleniły się afektowane, z lubością powtarzane zwroty, jak i nagłe upodobanie przyjaciela do fajki. Mógł sobie tylko wyobrazić, jak by reagował na to Christakis, gdyby on i Stelios kiedykolwiek się zetknęli.

Kiedy Lella zajęła się parzeniem kawy, dwaj przyjaciele przysiedli na ganku, żeby złapać ostatnie promienie słońca. Wyciągnąwszy fajkę, Stelios zwierzył się, iż wydaje mu się, jakoby Toulla miała wobec niego jakieś zamiary.

— Ostatnio lubi przebywać w naszym obejściu. Nie miała zwyczaju tak często przychodzić. Co o tym myślisz?

Chociaż Loukis wiedział, dlaczego dziewczyna zaczęła w ten sposób zabijać czas, Steliosowi dał wymijającą odpowiedź, mówiąc, że kobiety są dla niego zagadką i nie potrafi ocenić, czy Toulla zainteresowała się przyjacielem, czy nie.

— To dziwne — rzekł Stelios. — Byłem przekonany, że ona raczej ciebie ma na oku.

Loukis zastanawiał się, jak to skomentować bez ujawniania krępującej dla dziewczyny prawdy, ale na szczęście pojawił się Demetris, który zacierając wielkie dłonie, obwieścił dobrą nowinę.

— Koniec z Hardingiem! — krzyknął.
— Z gubernatorem? — upewniał się zaskoczony Loukis.
— Tak, z nim.
— Co za pomyślny zwrot sytuacji — zauważył Stelios, nabijając fajkę tytoniem. — Doprawdy bardzo pomyślny zwrot sytuacji.
Loukis kręcił głową.
— Ale jak? Co się stało?
— Szczegółów dokładnie nie znam — odrzekł Demetris, przyciągając krzesło, żeby się do nich przysiąść i też wystawić na słońce. — Domyślam się, że Makarios odmówił współpracy ze świnią, która go wygnała, i dlatego nowy gubernator jest w drodze. Nazywa się Hugh Foot, to dotychczasowy gubernator Jamajki.
— Więc arcybiskup może do nas wrócić? — spytał Stelios. Zwilgotniały mu oczy, a Loukis nie był pewien, czy w reakcji na dobrą nowinę, czy raczej podrażnił je dym z fajki.
— Za wcześnie wyrokować, ale jest na to większa szansa w związku z odejściem Hardinga — stwierdził Demetris.
Zrobił przerwę, by podziękować żonie za kawę, którą mu podała, i ciągnął dalej, wyjaśniając, że sueska lekcja otrzeźwiła Brytyjczyków. Porzucili myśl o dominacji w regionie i przestali uznawać Cypr za sprawę kluczową. Ponieważ Harding jako gubernator kojarzony był ze strategią represji, musiał odejść, skoro Wielka Brytania miała nadzieję na polityczne rozwiązanie problemu. Z tego, co wiadomo, Hugh Foot zrobił karierę jako zręczny dyplomata i na wyspie dobrze wspomina się czasy, kiedy nią zarządzał jako administrator kolonialny podczas drugiej wojny światowej. Lubili go zarówno Grecy, jak i Turcy.
— Jeśli Brytyjczycy chcą przyłożyć balsam na jątrzącą się ranę, jaką otworzyli w tym miejscu, to wyznaczenie nowego

gubernatora jest krokiem we właściwym kierunku — wyjaśniał Demetris. — Makarios prowadzi grę polityczną, domagając się samostanowienia po wstępnym okresie autonomii, i jeżeli uda nam się powściągnąć tureckie zapędy w dążeniu do *taksim*, być może będziemy się cieszyć końcem konfliktu i początkiem naszej wspólnej przyszłości z Grecją.

Demetris wysiorbał resztkę kawy i poklepał się mięsistymi dłońmi po ramionach. Słońce rozpoczęło powolny skłon w stronę Pafos, zabierając ze sobą ciepło dnia.

— Matko Boża, jakie ostre się robi powietrze — mruknął do nikogo w szczególności. — Czuć, że zima nadchodzi.

Jakby w odpowiedzi zaskrzypiały pod chłodnym podmuchem gałęzie drzew. Policjant wstał i wprowadził chłopców do chaty, gdzie ich nosy polechtał zapach wieprzowiny i wina.

— Mój Boże — westchnął Stelios. — Czy może być coś rozkoszniejszego niż *afelia* wyczarowana przez Lellę?

— Potrafiłbym wymienić jeszcze parę rzeczy w jej wykonaniu — odparł Demetris, na co dobiegł z kuchni pisk protestu zakłopotanej żony.

— No jasne, ja też — Stelios przyłączył się do żartobliwej nuty. — Przecież twoja pani słynie również z cudownej *szeftalii* i wyśmienitego *stifado*.

— Nie miałem na myśli jedynie kuchni, chłopcze!

— Rany, dajcie spokój — wyjąkał Loukis. — Jeszcze chwila i będę miał ściśnięty żołądek.

— Zostanie więcej dla twojego kolegi — powiedział ze śmiechem Demetris. — Rozumiem, że zasiądziesz z nami do stołu, Stelios?

Za nic w świecie nie potrafiłbym się oprzeć zaproszeniu po takim ataku na moje gruczoły ślinowe — odparł chłopak. Podszedł do kominka i wystukał do paleniska popiół z fajki.

Nim Stelios opróżnił swój talerz i zebrał się do wyjścia, by nie nadużyć gościnności, zapadła noc i popołudniowy wicherek nabrał siły porywistego wiatru. Z podniesionym kołnierzem dla ochrony przed chłodem dotarł do domu krótko po dziewiątej. Zamknął drzwi, beknąwszy przy tym z ulgą, i zaczął się rozglądać, gdzie jest matka, żeby ją poinformować o rokującej nadzieje zmianie gubernatora.

Gdy bliski ekstazy pałaszował przygotowane przez nią klopsiki, na zewnątrz rozpętała się burza i przez szczeliny między kamieniami a drewnem wdzierał się do chaty wiatr, wypełniając ją kakofonią wycia i jęków. Nawałnica przetoczyła się przez góry i na chwilę zawisała nad stolicą, przepędzając resztki dziennego światła. W ciemności nocy do mokrych zabytkowych drzwi meczetu, niegdyś kościoła pod wezwaniem świętej Zofii, przyłgnęła ulotka. Kawałek papieru z nagłówkiem „Biuletyn numer jeden” informował, że powstała organizacja tureckiego oporu Turk Mukavemet Teqkilati i wzywa każdego cypryjskiego Turka do oczekiwania „w pełnej gotowości” na instrukcje.

Uzbrojone w kije, cegły, płyty chodnikowe i bomby zapalające tłumy przewalały się ulicami Nikozji. Wybijano okna. Podpalano sklepy. W domach kryły się przerażone rodziny. Po dwóch nocach niewyobrażalnego zamętu oddzielono od siebie dwa sektory miasta zaporami z drutu kolczastego.

Następnego dnia Michalakis wędrował przez zmaltretowaną i zszokowaną stolicę. Szkło trzeszczało mu pod butami, przez pozbawione szyb framugi okien zaglądał w czarne brzuchy splądrowanych sklepów, patrzył na plamy moczu i ekskrementów na drzwiach kamienic. Przeszedł obok dwóch wywróconych na bok ciężarówek, metalowych bestii powalonych siłą nienawiści. Dzień później zniszczenia oglądał nowy gubernator. Szkło już sprzątnięto z ulic, a okna pozabijano deskami. Rozmawiał z greckimi i tureckimi właścicielami sklepów, a ich opowieści o straszliwych przeżyciach były prawie identyczne. Różniły się przypisaniem winy. Grecy demolowali dzielnicę turecką, Turcy napadli grecką. Obydwie strony siały spustoszenie, strzelając i podpalając.

Trzy dni później Zgromadzenie Ogólne Narodów Zjedno-

czonych zakończyło dwunastą sesję głosowaniem nad greckim wnioskiem o przyznanie Cypru prawa do samostanowienia bez zbędnej zwłoki. Trzydzieści jeden państw członkowskich opowiedziało się za, dwadzieścia trzy przeciw, a dwadzieścia cztery wstrzymały się od głosu. Głosowanie nie dało rozstrzygającego wyniku i na wyspie, na której jedna społeczność domagała się *enosis*, a druga żądała *taksim*, status kolonii został zachowany. Nic się więc nie zmieniło. Świat pochylił się nad problemem i zajął czym innym.

— Słowo daję, Mariosie, to jest piękne! — Praxi trzymała w górze zabawkę i wpatrywała się w drewniane figurki. Najwyraźniej miały wyobrazać jakieś stworzenia, ale ani rusz nie mogła odgadnąć jakie.

— Rozpoznajesz? — dopytywał się Marios. Pracował nad gwiazdkowym prezentem dla Elpidy niemal miesiąc. Jak wszystkie jego najlepsze pomysły, tak i ten przyszedł mu do głowy przy grobie Nikosa.

— Hm... ten tutaj — zaryzykowała Praxi — wygląda jak lew...

— Tak! Właśnie! — wykrzyknął z radością Marios, zabierając zabawkę z rąk Praxi. — Lew to Christakis, bo jest przywódcą i ma jasne włosy.

— Zgadza się. — Praxi kiwnęła głową, kwitując uśmiechem trafne skojarzenia Mariosa.

— A tutaj jest sowa i to ma być Michalakis, bo jest mądry jak sowa i czyta dużo książek. Anioł to Nikos, ponieważ umarł i jest w niebie. Owca to niby ja, dlatego, że Nikos nazywał mnie potulną owieczką. Wilkiem jest Loukis, on się urodził podobny do wilka. Elpida już nigdy nie będzie się bała w nocy,

ponieważ będzie czuwało nad nią pięciu braci... w tym życiu i potem też.

Marios ułożył zabawkę na stole i z dumą popatrzył na Praxi. Nie zdołała powstrzymać łez wzruszenia i mocno go uścisnęła. Płaczem Marios był zaskoczony, spodziewał się innej reakcji, ale uspokoił się, gdy Praxi uwolniła go z uścisku i zobaczył, że się uśmiecha.

Pozbawiony umiejętności analizowania złożoności uczuć Marios bywał często zbity z tropu dziwnym zachowaniem kobiet. Kiedy się złościły, skrywały gniew, a kiedy były szczęśliwe, mazały się jak małe dzieci. Na przykład ostatniej nocy, gdy ogłoszono przez radio, że nowy gubernator zwolnił stu więźniów, chcąc zrobić świąteczny prezent ich rodzinom, matka zalała się łzami, jakby Brytyjczyk oznajmił właśnie światu, że wyciągnął tych ludzi z celi i kazał wszystkich rozstrzelać.

— Praxi, jak myślisz, czy Loukis wróci do domu na te święta?

— Nie wiem — odpowiedziała z wahaniem, odwracając się w stronę Elpidy, żeby nie wyczytał z jej twarzy wzruszenia i nadziei. — Dlaczego pytasz?

— Pomyślałem sobie, że Loukis siedział może w jednym z więzień gubernatora i dlatego tak długo nie pokazywał się w domu. Jeżeli tak było, teraz jest wolny i wreszcie do nas wróci.

— Być może — rzekła Praxi. — Ale nie rób sobie wielkich nadziei, że już teraz. Loukis wróci, kiedy będzie na to gotowy. Jestem pewna.

— Też tak myślę — zgodził się Marios. — Loukis ma diabła za skórą, to pewne.

Praxi się roześmiała.

- Oj, ma, wiadomo, ale mimo to go kochamy.

Gdy tego wieczoru zawieszała zabawkę nad łóżeczkiem

córeczki, przesunęła dłonią po figurkach i zatrzymała palce na wilku, który był Loukisem. Nachyliła się i pocałowała go.

— Wesołych świąt, moja miłości, gdziekolwiek jesteś — wyszeptała.

*

Dla upamiętnienia święta Trzech Króli Demetris i Lella obdarowali Loukisa parą luźnych spodni i dwiema koszulami, niebieską i szarą. Podziękował za prezenty i przeprosił, że nie może się zrewanżować za ich życzliwość podarunkami. Miesiąc później zaskoczyli go, wręczając mu na urodziny brzytwę. Policjant pokazał mu, jak golić zarost, instruując, że najpierw trzeba namydlić twarz pędzlem, żeby złagodzić pociągnięcia ostrzem. W Loukisie, chociaż był Demetrisowi wdzięczny, odezwało się poczucie winy, gdy ten podnosił mu brodę i przytrzymywał czubek nosa, ponieważ taki inicjacyjny rytuał jest normalnie przywilejem ojca. Przez następny miesiąc brzytwa nie była w użyciu, jednak nie z powodu lojalności synowskiej, lecz dlatego, że EOKA ogłosiła bojkot wszystkich produktów brytyjskich i mydła do golenia zostały wykreślone z listy zakupów.

— Golenie jest potrzebne jak wrzód na dupie — zgodził się Stelios, gdy czekali w kafejce na Toullę. — Osobiście zapuściłbym wąsy i brodę, problem w tym, że nie chcą mi rosnąć na poparzonej stronie twarzy, więc musiałbym się zadowolić połową brody.

Loukis przyjrzał mu się i widząc delikatną skórę na zdrowej połowie twarzy, nie bardzo mógł sobie wyobrazić, by przyjaciel zdołał wyhodować choćby połowiczny zarost.

— Czy wciąż cię boli? — spytał. — Ta strona po oparzeniu? Stelios pokręcił głową.

- Właściwie nie. Muszę unikać słońca, ale nic mnie nie boli. W gruncie rzeczy cierpię tylko wtedy, gdy patrzę w lustro. Ko i niespecjalnie mi pomaga to, że pokazuję się w towarzystwie cypryjskiej wersji Victora Mature'a.

Loukis zmarszczył lekko czoło, jakby trochę urażony porównaniem; po raz pierwszy usłyszał, że wygląda jak gwiazdor filmowy, ale skądinąd dobrze wiedział, że pochodzi z rodziny słynącej z dobrych genów. Christakis był wprawdzie za sprawą diabelskiego figla jasnym blondynem, ale wyrósł na potężnego mężczyznę i miejscowe kobiety poddawały się urokowi jego ujmującego uśmiechu. Michalakis prawie mu dorównywał wzrostem, choć nie był tak szeroki w barach i miał ostrzejsze rysy, a Mariosa natura obdarowała nie tylko imponującym wzrostem, lecz także pięknymi zębami i sarnimi oczami. Teraz, gdy zabrakło Nikosa, uchodził za najprzystojniejszego z braci.

Loukis uważał, że jest najbardziej podobny do Michalakisa, i nie czuł się z tym źle.

— No, nareszcie — powiedział Stelios, wstając na widok nadchodzącej Toulli.

— Przepraszam, panowie — przywitała ich. — Diabelnie trudno było mi się wyrwać.

— Nie ma problemu, został jeszcze kawał dnia... wystarczy. — Stelios podniósł dwa puste plecaki, które trzymał przy nogach. — Spotkamy się później — rzekł do Loukisa i ten kiwnął głową.

— Powodzenia! — rzucił.

— Dzięki. — Toulla odpowiedziała nieśmiałym uśmiechem, ujęła Steliosa pod ramię i razem odeszli.

Stelios i Toulla mieli wykonać konkretne zadanie poruczone mi przez Antoniou i Harrisa, którzy powrócili do rejonu cztery dni wcześniej, natychmiast po tym, jak gubernator Foot w na-

stępnym braku wsparcia ze strony Narodów Zjednoczonych odciął się od idei *enosis*. Na cmentarzu koło Pano Platres, w grobie ziemnym kryjącym kości dziadka Harrisa, partyzanci ukryli mały składzik broni: kilka rewolwerów, karabin i trochę amunicji. Antoniou chciał, żeby trafiły do ich aktualnej kryjówki, a Stelios z chęcią podjął się odgrywania wraz z Toullą roli kochanków na beztroskiej przechadzce. Na wypadek gdyby brytyjski patrol nie dał się nabrać na mistyfikację, Stelios został zaopatrzony w karton papierosów marki Woodbine, które miały posłużyć za dowód lekceważenia przez niego zalecanego przez EOKA bojkotu brytyjskich towarów, a rym samym świadczyć o tym, że tych dwoje w żadnym razie nie sympatyzuje z „terrorystami”.

Stelios był już nieuleczalnym miłośnikiem fajki i nie mogąc zabrać ich na wyprawę, zostawił kilka w rękach Loukisa, któremu nie chciało się ruszyć z nasłonecznionego miejsca po papierosa, więc zapalił sobie jedną, delektując się nowym smakiem i aromatem, z jakim zapoznawał się jego język i gardło. Obserwując dym wijący się w powietrzu, rozsiadł się wygodniej i pozwolił, by jego myśli powędrowały ku Praxi. Deliberował przez chwilę, czy Victor Mature jest w jej guście. Wprawdzie nigdy nie wymieniła nazwiska gwiazdora, ale każdy może się zmienić z upływem czasu, a Loukis ukrywał się już ponad rok. Ciekaw był też, czy podczas jego nieobecności Praxi utyła, czy do przesady schudła. Może zaczęła biegać do kościoła, a może dała się ogarnąć szaleństwu amerykańskiego rock and rolla. Niewykluczone jednak, że nic się nie zmieniło i siedzi przyklejona do okna, czekając na jego powrót. Pewien mógł być tylko tego, że on przez ten czas zmienił się na korzyść; był wyższy, zmężniał i dojrzał.

Kiedy zostawiał dom i ruszał w góry, nawet przez sekundę

nie zastanawiał się, jak długo potrwa jego nieobecność; chciał po prostu uciec w miejsce, gdzie nikt go nie zna i gdzie spędzi ileś czasu, by odetchnąć i zebrać myśli. Uspokoił zamęt w głowie i z coraz większą regularnością jego myśli błądziły wokół miejsca chłodzonego bryzą od morza, bo tam w powietrzu unosiła się słodka woń kapryfolium i cytrusów, a nie ostry zapach sosny, tam jego nogi stąpały pewnie po skalistych górskich szlakach, a na plaży lśniące w wodzie kamyki prześlizgiwały się rozkosznie między palcami stóp. Marzył mu się teraz powrót, żeby znowu mógł się położyć na wodzie, poczuć na piersi palące słońce i popatrzeć na błyszczące w jego promieniach fale obmywające ciało. Tęsknił do wszystkiego, co było mu bliskie, a przede wszystkim do kobiety, którą kochał. Bez Praxi czuł się nikim, zawieszonym w czasie duchem. Chociaż był wyższy, rozrósł się w ramionach i wyrobiły mu się mięśnie ramion, miał poczucie, że jest mniej niż połową siebie samego sprzed roku. Praxi stanowiła ważniejszą od ciała i kości część jego istoty, ona była jego sercem. Zdumiewające, że tak długo bez niej przetrwał. Zastanawiał się, czy jej dłonie szukają go w nocy, podobnie jak jego ręce wyciągają się do niej.

*

Stavros siedział na zwalonym drzewie z obwisłą twarzą ukrytą w dłoniach. Świat kręcił się wokół niego zbyt szybko i staruszek przestał dostrzegać w nim jakikolwiek sens. Na początku tygodnia odwiedził Gönyeli, gdyż dowiedział się, że tam uciekł wraz z rodziną jego siostrzeniec, nie wytrzymując gwałtów dokonywanych w Nikozji. Uciekli z części stolicy zamieszkaney głównie przez Greków, szukając schronienia w miejscowości zasiedlonej wyłącznie przez Turków. Byli tak przerażeni, że zamknęli za sobą drzwi, zostawiając w domu

wszystko poza paroma walizkami z odzieżą i garścią rodzinnych pamiątek. Gniew Stavrosa zwrócił się najpierw w sposób oczywisty przeciwko Grekom, bo to oni zrujnowali życie tej rodzinie, ale w kolejnych dniach z przerażeniem dowiadywał się o wyczynach własnych współbraci. Obydwie społeczności na wyspie odwróciły się do siebie plecami i jedynym, co je jeszcze łączyło, była wzajemna nienawiść. Wydarzenia wymykały się spod kontroli, nakręcając spiralę potworności dokonywanych przez jedną i drugą stronę. Centrum stolicy zostało zbombardowane i cypryjscy Turcy wylegli na ulice uzbrojeni w pałki i metalowe sztachety. Krzycząc: „Podział albo śmierć!”, atakowali auta policyjne, podpalali budynki i plądrowali sklepy w starej dzielnicy. W płonących fabrykach oraz urządach zginęło czworo ludzi i mnóstwo zostało rannych.

Dwa lata temu w jego i żony snach pojawiały się cymbalki i flety, które rozbrzmiewały na ich weselu, oraz biały koń, który w chmurach czerwonych wstążek wioził pannę młodą. Teraz jej śnili się mężczyźni z karabinami, martwe osły w sadzie i własny dom ogarnięty płomieniami. Gdy drżąca z trwogi Pembe budziła się w nocy, Stavros nie znajdował dla niej słów pociechy. Jak mógł ją zapewniać, że to śmieszne wytwory fantazji, skoro sam miał takie wizje w ciągu dnia?

Zatopiony w czarnych myślach nie zwrócił uwagi na to, że obok niego ktoś przysiadł. Dopiero usłyszawszy łagodne chrząknięcie, podniósł głowę, by zobaczyć koło siebie Georgiosa. Sąsiad podał mu srebrną piersiówkę i Stavros był wdzięczny za łyk ognistej *zivanii*.

— Nie pokazujesz się od jakiegoś czasu w kawiarni — powiedział Georgios. — Zaczęliśmy się martwić.

— Martwisz się o mnie czy o to, że płacisz za siebie rachunki? — próbował zażartować Stavros.

- Szczerze mówiąc, jedno i drugie. — Georgios zaśmiał się ostrożnie. — Chodź, przyjacielu, niech spłacę długi wobec ciebie. Nie pora siedzieć teraz na martwym pniu.

Chociaż Stavros nie miał ochoty ani na spacer, ani na towarzystwo Greków, to jednak wstał. Pomyślał, że pójście do kawiarni ulży mu trochę w depresyjnym nastroju. I miał nadzieję, że tym razem nie będzie musiał czyścić butów z plwociny — pamiętał dobrze bezsłowną dezaprobatę ze strony jednego ze swoich współziomków po ostatniej wizycie w kafejce.

Idąc wolno drogą, dwaj przyjaciele omijali starannie temat polityki niszczącej kraj i prowadzili rozmowę o pogodzie i cenach ziemniaków, ale gdy zbliżali się do rynku, rzuciły im się w oczy oznaki jakiegoś poruszenia: starsi mężczyźni nie grali w karty, tylko gorączkowo dyskutowali, wymachując rękami. W kafejce Georgios i Stavros zajęli jak zwykle miejsca w kącie sali. Gdy tylko podszedł do nich *kafetzi* z napojami, Georgios zapytał go, co się dzieje.

— Ośmiu Greków zamordowano wczoraj w pobliżu Kioneli — odpowiedział kelner. — Z tego, co wiadomo, siły bezpieczeństwa zgarnęły trzydziestu pięciu mężczyzn z miejscowości Skilura i Kondemenos i natychmiast ich wypuszczono.

— Co? Zamordowano ich w Kioneli? — pytał Georgios z niedowierzaniem. — Przecież to co najmniej jednaście kilometrów od ich domów?

— To był podstępny plan! — krzyknął Televantos, włączając się z ożywieniem w rozmowę. — Brytyjczycy zrobili to celowo, bo wiedzieli, że tureccy poganie zaszlachtują naszych chłopców, jeżeli stworzy im się cień szansy. I zrobili to. Rozszarpali ich jak dzicy ludzie.

A czego możesz się spodziewać po Turkach? — wtrącił Fotis, jeden z rolników.

— Słuchajcie, wybierzmy się tam i pokażmy im, jak smakują ich metody — podsunął Kostas, kierowca autobusu. — Pamiętacie, co powiedział kiedyś Katalano? „My, dzielni Hellenowie, powinniśmy zawrzeć przymierze, zjednoczyć się, a wtedy nadziejemy tych tureckich niewiernych psów na rożen jak kebab”.

Mężczyźni w kafejce zareagowali na słowa Kostasa wiwatami i oklaskami, na co Stavros wstał z krzesła, mimo że Georgios chciał go powstrzymać. Televantos zrozumiał w jednej chwili, chociaż nie przeszło mu oburzenie, że popełniają straszny nietakt.

— Hej, Stavrosie — odezwał się. — Siadaj, chłopie. Nie mówimy o tobie, ty jesteś praktycznie jednym z nas.

Stavros odwrócił się powoli w jego stronę. Na sali zapanowała cisza i wszystkie oczy zwróciły się na niego. Dopiero co miał zamęt w głowie, teraz ogarnęła go determinacja i pasja, wróciła jasność myśli.

— Moje prawdziwe imię — odezwał się głośno i dobitnie — to Mehmet. Prawie od siedemdziesięciu lat żyję w tej wsi i znalazłem wśród was wielu przyjaciół. A obecnie wstydzilibym się nawet przyznać, że jesteście moimi sąsiadami...

— Miarkuj się — przerwał mu Kostas.

— To ty się miarkuj, Kostasio Mavrommatis! — odpalił starszek. — Przez trzysta lat władali tą wyspą Turcy otomańscy. Czy was prześladowali w ciągu tego długiego czasu? Nie, a w każdym razie nie nękali was bardziej niż swoich. Czy grozili wam, że będą was obracać na rożnie jak pieczyste? Nie, nie robili tego. Czy traktowali was jak równych wobec prawa, choć nie zawsze całkiem sprawiedliwie? Tak. Czy nie pozwalali wam wyznawać własnej religii? Pozwalali. Oczywiście nie pamiętacie o tym wszystkim, bo oładnęła wami tak zwana

Wielka Idea. Wy, Grecy, głosicie hałaśliwie, że ta wyspa należy do macierzy, a powiedzcie mi, kiedy ostatnio mogliście upajać się jej pieśczętą? Od zarania dziejów Cypr przechodził z rąk do rąk kolejnych najeźdźców. Najpierw byli Fenicjanie, potem mówiący po grecku Achajowie, a dalej władali tu Syryjczycy, Macedończycy, Egipcjanie, Persowie, Rzymianie, Bizantyjczycy i Saraceni. Kiedy jednak w roku tysiąc osiemset siedemdziesiątym ósmym Brytyjczycy zakładali tu swoje bazy, wyspa należała do imperium otomańskiego, do nas, do Turków! My przyznaliśmy Brytyjczykom prawo do administrowania wyspą, zapomnieliście o tym? A potem w tysiąc dziewięćset cztertnastym roku Wielka Brytania zaanektowała wyspę i tym samym sprzątnęła Grecji Cypr sprzed nosa. Więc mówię wam, że jeżeli ktokolwiek ma prawo czuć się pokrzywdzony i mieć uzasadnione roszczenia do wyspy, to tylko mój naród, my Turcy. Oczywiście wy tego nie widzicie, żaden z was, bo tak jesteście zaślepieni waszą wersją niesprawiedliwości historycznej. Gorsze jest jednak to, że przestaliście patrzeć na tych, którzy przez stulecia żyli między wami, jak na ludzi, tylko uznaliście nas za zwierzęta. Zatem posłuchajcie. Nie jestem zwierzęciem czekającym na to, że mnie zarżniecie, poćwiartujecie i upieczecie na rożnie. Jestem człowiekiem. Z krwi i kości. Mam rodziców, dziadków i pradziadków pochowanych w tej ziemi i mam dzieci oddychające cypryjskim powietrzem. Jestem cypryjskim Turkiem i jak wy mam serce i duszę. Mam także prawo do życia. Słyszycie? Ja mam prawo do życia! A nazywam się Mehmet Kadir.

*

Stelios oparty o mur nabijał fajkę. Zeszpecona bliznami twarz miała wyraz powagi.

— Do niedawna byłoby dla mnie nie do pomyślenia, że mógłbym zabić Turka, nawet gdybym dostał taki rozkaz — powiedział. — Wiesz przecież, iż tylko dzięki tamtemu tureckiemu leśnikowi stoję tutaj żywy. Teraz jednak, po tym, co oni zrobili, nie zawahałbym się ani chwili.

Loukis słuchał wynurzeń przyjaciela, ale nie chciało mu się odpowiadać, chociaż był innego zdania. W głowie miał obraz żony Stavrosa, Pembe, wylewającej wodę z miski za każdym razem, gdy wychodził z ich domu, bo zgodnie z przesądnym wierzeniem miało to zapewnić mu szczęśliwą drogę i szczęśliwy powrót. Trudno było pogodzić wizerunek kobiety, którą znał, z barbarzyństwem, jakiego dopuszczono się w Larnace. Cokolwiek by mówił Stelios, Loukis nie widział powodu, żeby obciążać pocziwą kobietę winami jej rodaków.

Wedle docierających do nich relacji przed komendą policji w stolicy pozostawiono forda konsula. Przez drzwi porzuconego auta wyciekała ciemna ciecz, więc nic dziwnego, że samochód zwrócił uwagę funkcjonariuszy. Kiedy wyszli, żeby mu się przyjrzeć, znaleźli w środku szczątki trzech dosłownie zaszlachtowanych cypryjskich Greków. Byli porąbani na kawałki, a odcięte penisy wepchnięto im do ust, naśladując barbarzyński rytuał, który miał rzekomo zapobiegać wstąpieniu duszy do nieba.

— Dość, chodźmy, pora coś zjeść — mruknął Loukis. Przeciął drogę i zagłębił się w las, nie oglądając się na Steliosa przedzierającego się za nim przez krzaki. Jak nigdy wcześniej czuł, że decyzja o powrocie do domu jest ostateczna i pozostaje mu tylko powiadomić wszystkich, że odchodzi.

Drzewa przerzedziły się na zboczu schodzącym ku domowi Demetrisa i zaskoczeni chłopcy zatrzymali się na widok czterech citroenów parkujących przed bramą i czterech żołnierzy stojących na warcie.

Co jest, u diabła? — szepnął Stelios. Podpełzli bliżej, kryjąc się w krzakach. Po kilku minutach z domu wyłonił się Demetris, miał zakrwawioną twarz i ręce skute z tyłu kajdankami. Do wozu ciągnął go brytyjski major, ten sam, którego Loukis poznał wkrótce po swoim przybyciu. Tuż za nimi szła Lella bez kajdanków, zszokowana przyciskała obydwie ręce do policzków.

— Zostawcie moją żonę! — krzyknął Demetris, gdy zorientował się, że ją także zabierają. — Ona nie miała z tym nic wspólnego, przysięgam! Zostawcie ją, przekłete dranie!

— Uważaj na słowa! — wrzasnął major, wpychając Demetrisa na tylne siedzenie citroena. Lellę prowadzono do innego wozu. Za nią szło kilku żołnierzy. Mundury mieli ubrudzone sadzą i każdy niósł naręczce karabinów.

Zrozpaczony i przerażony Loukis poderwał się na nogi. Demetris i Lella okazywali mu wiele dobroci, ale major też o tym wiedział. Było jasne, że ze wschodem słońca rozpocznie polowanie na siostrzeńca Demetrisa, który nie wpadł mu w ręce.

Jako osoba poszukiwana Loukis musiał porzucić myśl o powrocie do domu.

Po kilku tygodniach bezdomności Loukis miał ciało zarośnięte brudem, swędziała go skóra głowy. Musiał znosić te uciążliwości wraz z przytłaczającym poczuciem winy, że jest wolny, podczas gdy ci, którzy dali mu schronienie, gnili teraz za kratami. Skądinąd wolność oznaczała dni spędzane albo w całkowitej beczynności, albo na podrywaniu się do wyczerpującej ucieczki na każdy sygnał zagrożenia.

Brytyjczycy, którzy wydawali mu się raczej mglistą i odległą groźbą, gdy miał zapewniony dach nad głową, teraz czaili się wszędzie. Gdy nagle ucichł śpiew ptaków czy zatrzeszczała gałąź, Loukis drżał, że za chwilę go schwytają. Mięśnie miał tak napięte, że groziły zerwaniem, a kark sztywny i bolesny od spania w zimne.

Chociaż EOKA wznowiła aktywność, Loukis i jego grupa nie byli w stanie podejmować żadnych prowokacyjnych akcji. W następstwie konsekwentnego dziesiątkowania przez okupantów partyzanckiej siatki w górach Troodos ich głównym zadaniem było rekrutowanie nowicjuszy. Unikając punktów kontrolnych i patroli, prowadzili agitację, przy czym chłopcy mówili

o chlubnym oddaniu sprawie, a Toulla, by pozyskać ochotników, czarowała rzucającymi się w oczy kobiecymi atutami. Szło im jednak ciężko. Ludzie niechętnym okiem patrzyli teraz na bojowników, a przyczynił się do tego incydent w Framaguście.

Radio podało, że zastrzelono tam Brytyjkę, Catherine Cutliffe. Wraz z córką Margaret i niemiecką przyjaciółką robiła zakupy w mieście. Na ulicy otworzyli do nich ogień dwaj młodzi ludzie, trafiając Brytyjkę w plecy. Gdy zalana krwią leżała na ulicy, strzelili do niej jeszcze dwa razy. Ciężko ranili również Niemkę, ale przeżyła. Margaret jakimś cudem udało się uciec. Media donosiły, że była niemal w przededniu ślubu i niosła w rękach zakupioną suknię ślubną.

Burmistrz Nikozji wyznaczył nagrodę w wysokości pięciu tysięcy funtów cypryjskich za schwytanie zabójców. EOKA natychmiast zaprzeczyła, jakoby odgrywała jakąkolwiek rolę w tym mordzie, a minister spraw zagranicznych Grecji sugerował, że zbrodnia jest krwawym dziełem odrażonego kochanka. Miejscowi ludzie w Troodos nie uwierzyli ani w jedno, ani w drugie wyjaśnienie, a skutkowało to tym, że Loukis i jego towarzysze pozostali grupą tylko pięciorga osób.

Z nastaniem listopada powiały ostre wiatry. Dokuczała im beczynność i żeby zabić nudę, Stelios, spec od konstruowania bomb, przekazywał swoje umiejętności Loukisowi. Toulla dzieliła się z nimi wyrobami matczynej kuchni, a zahartowani w boju Antoniou i Harris nie szczędzili im perełek swojej mądrości. Zdarzyło się kiedyś, że brytyjscy żołnierze omal nie potknęli się o jedną z kryjówek grupy. Nie wiadomo, czy Bóg ich ocalił, czy fart, czy gapiostwo patrolu, ale było faktem, że żołnierskie buty dudniły im nad głowami i u wejścia do schronu, lecz na szczęście wataha oddaliła się nieświadoma, że w zasięgu ręki mieli trzech poszukiwanych mężczyzn. Harris rzucił wów-

czas Loukisowi karabin i gdy serca wróciły im do normalnego rytmu, broń pozostała już w rękach Loukisa i stała się nieodłączną częścią jego rynsztunku, jak butwiejące na nim ubranie.

Idea, że zabicie człowieka bywa aktem patriotycznym, nigdy nie przemawiała do Loukisa, natomiast taki czyn w obronie własnej nie budził jego skrupułów. Gdyby przyszło mu ratować własne życie, nie miałby wątpliwości, czy strzelać i ujsć cało, czy zgodzić się na śmierć. Niekiedy podczas niekończących się nocy zaczynał się modlić o to, by jakaś zasadzka położyła kres wiecznej niepewności uciekiniera. Zmienił się stan jego ducha, gdy rozsrożyła się zima i śnieg pokrył góry Troodos, bo paradoksalnie życie stało się znośniejsze, jako że nie mogli już polegać wyłącznie na własnej przemyślności, lecz musieli szukać gościny u zaufanych sympatyków. Zamiast marznąć w jaskiniach, opuszczonych stajniach czy zapomnianych szałasach, znajdowali schronienie w przyjaznych domach, najadali się do syta, a opiekuńcze kobiety na wyścigi rwały się do prania ich zawszonej odzieży.

— Robi się lżej w drugim roku takiego życia, gdy już wiesz, czego możesz oczekiwać — zapewniał Antoniou. — Kiedy po raz pierwszy przyszło mi się ukrywać, miałem głowę nabitą romantycznymi wyobrażeniami i byłem cały w gotowości, by umrzeć od kuli z żołdackiego karabinu. Oczywiście po jakimś czasie dotarło do mnie, że prędzej umrę z nudów lub zimna.

— Albo od tego, co sam ugotujesz — przerwał mu Harris. Na początku miesiąca Antoniou ukradł kurę i ją ugotował.

To, że była niesmaczna, było niczym w porównaniu z tym, że po zjedzeniu eksplodowała z tyłków biesiadników z mocą granatów. Stajnię, w której się ukrywali, uznali za strefę skażoną

i gdy tylko stanęli na nogi, ewakuowali się pospiesznie, podpalając miejsce własnej hańby.

- Powiem wam, co dolega mi najbardziej — ciągnął Harris. — To brak kobiet.

Wszyscy trzej roześmiali się szczerze i pokiwali głowami.

- Mówię serio — upierał się przy temacie. — Pomyślcie tylko, walczymy o nasz ukochany Cypr, na dobrą sprawę jesteśmy bohaterami narodowymi, a odkąd sięgam pamięcią, jedyna osoba, która odwiedza mnie w nocy, przychodzi z małym arsenałem broni i ma dwa jądra! Bóg jeden wie, ile bym dał za nagą kobietę w moich ramionach, jej delikatny pocałunek na moich ustach i rytmiczne poruszenia jej bioder.

— Nic dodać, nic ująć — mruknął Antoniou.

Loukis milczał, chociaż nie była mu niemiła myśl o towarzystwie kobiety. Czuł się jednak skrępowany rozmową w sytuacji, gdy wszyscy trzej siedzieli golusieńcy, patrząc na swoje ubranie suszące się przy ogniu.

Despina skinęła głową, przyzwalając, by Georgios przyniósł ze stołu talerz z nietkniętym jedzeniem.

— Atena czy Apollo? — spytał z uśmiechem.

— Atena — odpowiedziała, nie przestając zmywać naczyń.

W trzecie kolejne święta Bożego Narodzenia Despina oczekiwała, że najmłodszy syn wróci do domu, i po raz trzeci ją zawiódł. Smutek nie opuszczał jej nigdy, ale tym razem dni świąteczne były łatwiejsze do zniesienia, ponieważ zapanował radosny harmider z powodu powiększającej się rodziny Christakisa.

Oto, co się dzieje, gdy w domu nie ma radia — Michalakis ostrzegwał Mariosa, wskazując na pokaźny brzuch Yianoulli, która właśnie strofowała dwóch swoich malców.

— Sza, Michalakisie! — upomniała go Despina.

— To nie ma żadnego związku z radiem — przekomarzał się z bratem Christakis. — Racz dostrzec różnicę między posługiwaniem się piórem i posługiwaniem się dłutem.

— Christakis! — zaprotestowała Yianoulla i trzech mężczyźni zarechotali ubawieni nadwrażliwością kobiet.

Mimo że nie było przy stole takiej osoby, która nie pragnęłaby, żeby otworzyły się drzwi i pojawił się w nich Loukis, pomyślność wracała pod ten dach, a nawet zdarzył się cud, o czym świadczyła pełniejsza figura młodszej siostry Despiny. Zarumieniona ze szczęścia Lenia i jej mąż oznajmili rodzinie, że nareszcie ona też jest w ciąży.

— Gratulacje! — zapiszczała z radości Despina i niemal zdusiła siostrę w uścisku.

— Dobra robota. — Rozradowany Georgios mocno poklepał Andreasa po plecach.

— Czy macie radio? — dopytywał się Michalakis.

— Nie — przyznała Lenia. — Przestało grać trzy miesiące temu.

— A nie mówiłem! — Michalakis zrobił głęboki teatralny ukłon z szeokim zamachem ręki. Despina, która stała tuż obok, pchnęła go ze śmiechem na podłogę.

Następnego dnia Michalakis, niewątpliwie inspirowany męskimi sukcesami w rodzinie, wybrał się z wizytą do Marii. Drzwi otworzyła pani Germanos i wyraźnie zadowolona z tego, że córka wzbudziła jego zainteresowanie, zachęciła młodych do utrwalania przyjaźni na spacerze. Nieco onieśmieleni przyznali obydwójce, że to wspaniały pomysł. Szli bez określonego celu cichymi bocznymi uliczkami i rozmawiali, ale każde nieco innym językiem.

Z rwącej się czasem rozmowy Maria wyniosła wrażenie, że

Michalakis wyjątkowo dużo wie o świecie, ale jest trochę ponurakiem. Ponieważ jednak był starszy i bardziej wyrobiony niż którykolwiek z chłopców wcześniej ją adorujących, a ponadto przypominał jej Loukisa, uznała go za godnego zainteresowania. Z kolei Michalakis zorientował się szybko, że w głowie Marii panuje pustka, ale to nie miało dla niego znaczenia. Nigdy nie patrzył na równie uroczą istotę i wcale nie drażnił go jej bezmyślny szczebiot, co więcej, uznał jej ignorancję za urzekającą naiwność.

Góry zmieniły już barwę z czerwonej na czarną, gdy dotarli do portu w Kyrenii i zwabieni ciepłym światłem weszli do kawiarni, która dopiero co otworzyła w tym miejscu podwoje. Sala była przytulna, ogień z kominka rzucał pomarańczowe blaski na ceglane ściany, wesołe płomienie świec oświetlały małe kameralne stoliki. Maria była pod wrażeniem, ale Michalakis miał powód, by się najeżyć.

Za wysokim drewnianym kontuarem zobaczył Yiannisa. Stał przy kasie i przeliczał pieniądze. Kiedy podniósł głowę i napotkał wzrok Michalakisa, jego policzki spurpurowiały, nie zdołał ukryć szoku i zażenowania.

— Nie wierzę własnym oczom! — Od stolika w kącie poderwała się Praxi i biegła przez salę, by rzucić się Michalakisowi na szyję.

— Praxi *moul* — Pocałował ją czule w obydwie policzki. — Wyglądasz ślicznie.

A ty jesteś jeszcze przystojniejszy, niż byłeś. — Roześmiała się. — Ale nie wstyd ci, że tak długo zwlekałeś, żeby tu przyjść i nas zobaczyć?

Tak jakoś wyszło — odpowiedział. — Przyrzekam jednak poprawić się w przyszłości. Ten lokal wygląda wspaniale. Moje gratulacje.

Komplement sprawił Praxi prawdziwą radość, zwłaszcza że świece to był jej pomysł. Wypuściwszy Michalakisa z objęć, spojrzała na jego dziewczynę.

— Dzień dobry, Mario — rzekła.

— Dzień dobry, Praxi.

— A kim jest ta urocza istotka? — spytał Michalakis, który lekceważąc chłodne przywitania pań, podszedł do wózka pozostawionego przy stoliku przez Praxi. — Czyżby to była mała Elpida?

— Pochylił się i wziął dziewczynkę na ręce. Pисnęła z radości, a gdy podniósł ją wysokość swojej twarzy, położyła rączki na jego policzkach, patrząc na niego z zachwytem. Pocałował mały nosek, a Praxi mocno zabiło serce.

— Co mogę wam podać? — zapytała.

— Ja poproszę piwo, zimne keo — odpowiedział Michalakis. — A ty, Mario?

— Ja coca-colę — rzekła i ruszyła do stolika przy oknie, wymuszając na Michalakisie, by oddał dziecko matce i przerwał z nią rozmowę.

Kiedy usiadł na krześle tyłem do sali, rzuciła Praxi spojrzenie triumfującej kobiety.

*

— Czy znasz opowieść o zimie? — zapytała Toulla. Loukis pokręcił przecząco głową. Oszukał przyjaciółkę, mit o Persefonie znał bardzo dobrze, ale przebywanie w towarzystwie Toulli wyjątkowo sobie cenił, więc nie chciał robić jej przykrości i zamienił się w słuch.

— Persefona — zaczęła opowiadać Toulla — córka Zeusa i bogini urodzaju Demeter, była bardzo piękna i wszyscy ją kochali, nic dziwnego, że zapragnął jej Hades. Któregoś dnia, gdy zbierała kwiaty na łące koło Enny, ziemia się rozwarła, z wnętrza wyłonił się Hades i porwał Persefonę. Nikt oprócz

Zeusa i Heliosa, wszytkowidzącego boga Słońca, tego nie widział. Zrozpaczona i rozgniewana Demeter przestała się troszczyć o urodzaj na Ziemi. Wiedząc, że tak dłużej być nie może, Zeus nakazał Hadesowi uwolnić Persefonę. Ten zgodził się na to niechętnie, ale przed wypuszczeniem żony dał jej do zjedzenia owoc granatu. Zjadła tylko jedno nasienie, lecz to wystarczyło, żeby jąna zawsze związać z podziemnym światem, gdzie odtąd miała pozostawać przez jedną trzecią roku. Pozostałe miesiące spędzała z matką. Kiedy Persefona przebywała w Hadesie, Demeter odmawiała troszczenia się o urodzaj i nastawała na świecie zima.

— Ładna opowieść — skomentował Loukis posępnie. — I bardzo tragiczna.

— Jak samo życie, prawda? — Toulla westchnęła. Czapka skrywała burzę jej niesfornych włosów, a twarz miała po-szczypaną mrozem. — Wiem, że nie powinnam tak mówić, ale mam serdecznie dość tego nonsensu — mruknęła, głębiej wsuwając ręce do kieszeni kurtki. — Szczerze mówiąc, nienawidzę tego. Kiedy zdecydowałam się na poświęcenia w imię naszej wolności, nawet mi się nie śniło, że to będzie trwało tak długo. Zdajesz sobie sprawę, że wkrótce minie czwarty rok? Kiedy to się skończy? Naprawdę mam dosyć. Nie widać końca naszej walki, a tymczasem robię się starą panną.

Loukis popatrzył na Toullę. Nie miał pojęcia, ile dokładnie ma lat. Osiemnaście? Może dziewiętnaście? Na pewno powinna mieć już męża i rodzić dzieci.

Nie wyglądasz na starą pannę — zapewnił ją szczerze. — Jesteś tryskającą energią, piękną młodą kobietą.

Nie dość piękną jak dla ciebie, no powiedz? — Próbowwała się roześmiać, ale obydwójce wiedzieli, że w jej pytaniu zabrzmiał żal, więc Loukis nic nie odpowiedział.

— Czy Stelios mówił ci, że chce, bym się za niego wydała? — zapytała nieoczekiwanie.

— Nie, nic mi nie powiedział — odparł Loukis, mocno zaskoczony tą rewelacją. Gdy zostawiał przyjaciela w kryjówce, ten był w świetnym humorze, ale Loukis przypisał to zupełnie czemu innemu: Stelios większą część dnia poświęcił na majstrowanie przy zapalniku czasowym do bomby z gwoździami i zbliżał się do szczęśliwego finału. — Co mu odpowiedziałas? Wyjdiesz za niego?

— Nie wiem, nie myślałam o tym.

— Kochasz go?

— A co to jest miłość?

Loukis dobrze wiedział, co to miłość, i przykro mu było, że dziewczyna odpowiedziała pytaniem na jego pytanie. Stelios był przyzwoitym gościem i zasługiwał na kobietę, która by go szczerze pokochała, a nie wybierała na męża tylko dlatego, że ten bardziej pożądanym jej nie chciał.

— A niech to! — zawołała Toulla, zatrzymując się nagle na drodze i obmacując kieszenie. — Zostawiłam portfel w naszej norze.

— Żaden problem, zawrócimy. Bez pieniędzy nie uzupełnimy zapasów.

— To moja wina. Ty tu zaczekaj — upierała się. — Pobiegnę z powrotem, zajmie mi to parę minut.

Loukis wzruszył ramionami i gdy Toulla ruszyła w górę, znikając między drzewami, znalazł sobie nasłonecznione miejsce pod rozwalającym się murkiem. Chociaż dzień był bardzo zimny, Loukis skwapliwie skorzystał z okazji, by się wyrwać z klaustrofobicznego klimatu kryjówki. Przed wyjściem Antoniou ostrzegł go, żeby z uwagi na swoje bezpieczeństwo nie towarzyszył Toulli aż do samej wsi, i Loukis mu to przyrzekł.

I tak cieszył się, że przynajmniej po drodze wystawi twarz do słońca. Teraz, czekając na Toullę, zauważył, że jego buty są w strasznym stanie, oblepione błotem zmieszany z topniejącym śniegiem. Schylił się po patyk, żeby poodrywać grudy przylegające do podeszew. Akurat gdy pierwsza bryłka błota rozpryskiwała się o murek, potężny huk wstrząsnął powietrzem i Loukis odrzucił kijek.

Odepchnął się od muru i pobiegł w górę, w kierunku eksplozji. Potykał się i ślizgał na grząskim podłożu, modląc się do Boga, w którego nie bardzo wierzył. Sądząc po odgłosie, wybuchła bomba, ale tak być nie musiało... to mogło być coś innego... nie widzieli przecież ni śladu Brytyjczyków... to okolica rolnicza, a chłopci mają petardy... odstraszą nimi wrony.

Pędził głową naprzód przez las do kryjówki, gałęzie smagały go po twarzy i czepiały się ubrania. Po chwili był na miejscu. Krzaki maskujące wejście zostały wyrwane i odrzucone przez podmuch, smugi dymu unosiły się w powietrzu. Schyliwszy się nisko, zanurkował w ciemną czeluść. Swąd spalenizny zaatakował mu nozdrza. W mroku potknął się o leżącą bez ruchu na ziemi Toullę. Oczy i usta miała szeroko otwarte jakby w zdumieniu. Ciało pokryte krwawymi plamami, w których tkwiły gwoździe. Gdy przestąpił nad jej zwłokami i zobaczył kolejny przerażający widok, żołądek podjechał mu do gardła, w ustach poczuł smak własnych wymiocin. Na krześle, na którym Stelios bawił się swoimi bombami, pozostała tylko dolna połowa jego korpusu, na ziemi leżała para skrzyconych nóg. Klatkę piersiową, ręce i głowę wraz z bliznowatą twarzą rozerwało na strzępy i oblepiały teraz wilgotne ściany jaskini w groteskowym kolażu^z krwi, mięśni i kości. Naprzeciwko Steliosa drgały jeszcze opadające powieki Harrisa, który wydawał ostatnie tchnienie z krtanią przebitą ostrym kawałkiem metalu.

— Loukis?

Odwrócił się błyskawicznie, szukając źródła głosu na śmiertelnym poboju. W samym kącie jaskini zamajaczyła sylwetka Antoniou.

Loukis zbliżył się do niego. Zobaczył zmiażdżoną nogę i poharataną odłamkami żelastwa twarz.

— Antoniou, Jezu...

— Uciekaj stąd! — rozkazał dowódca, wydobywając resztkę sił ze wstrząsanego konwulsjami ciała. Krew pociekła mu z ust. — Uciekaj! Już! Nic tu nie masz do zrobienia... Żołnierze... przyjdą. Uciekaj!

Loukis stał przed człowiekiem, którego uważał za swojego przyjaciela. W szoku cały dygotał.

— Pryskaj! — krzyknął Antoniou. Loukis odwrócił się i uciekł.

Przedzierał się na oślepe przez las, mając w oczach koszmarnie obrazy: twarz Toulli zastygła w śmiertelnej masce zdumienia; Antoniou oszepecony, umierający; Harris konający na jego oczach, i Stelios. Miłościwy Boże, Stelios. Siła wybuchu zdarła mu spodnie z nóg, które — chociaż oderwane od ciała — pozostały niczym w koszmarnym żarcie obute, a te buty dostał od matki na ostatnie urodziny. Loukis zatrzymał się i zwymiotował. I dalej uciekał. Krew buzowała mu w głowie, ale uczucie przerażenia powoli ustępowało miejsca niewyobrażalnej rozpacz, która żelazną obręczą ścisnęła mu czaszkę. Nie przestawał biec, parł do przodu, nic nie widząc przed sobą. Umysł już niczego nie ogarniał, morderczy wysiłek rozsadzał mu piersi. Już nie mógł oddychać. Boże, pomóż, pomyślał. Musiał uciekać, a brakowało mu tchu. Przewrócił się na ziemię i staczał w dół, świat rozmył mu się przed oczami, czuł jeszcze, jak korzenie drzew rozrywają ubranie i rozdrapują skórę. Wreszcie znieruchomiał.

Gdzieś z daleka dobiegały chyba jakieś głosy. Wchłonęła go jednak ciemność, a walenie w skroniach stłumiło wszystko poza krzykiem wydobywającym się z jego własnych ust.

*

W odległej wsi, w domu, który Loukis nazywał swoim domem, poderwała się ze snu Despina. Georgios obrócił głowę na poduszce.

— Co się dzieje, Despo? Coś cię dręczy?

— To Loukis — odparła. — On wraca do domu.

Wszystkie drzwi niezmiennie były zamknięte na klucz, tylko jedne nie i te otwierały się ze zgrzytem zawiasów. Za nimi zawsze ta sama scena: gęsta ciemna ciecz pokrywała kawałki mięśni i odłamki kości, czasem błyskało z niej oko z drgającą powieką lub wyłaniały się wykrzywione w krzyku bezzębne usta. Rozrzucone na podłodze leżały pulsujące narządy wyrwane z ciał osób, które znał. Wycofywał się. Za drzwiami korytarz prowadził go do holu z jeszcze większą liczbą drzwi, ale wszystkie były zamknięte na klucz, tylko jedne otwierały się ze zgrzytem zawiasów i znowu widział przyjaciół: zmasakrowanych, zalanych krwią, martwych. Loukis wiedział, że śni, więc nie wpadał w panikę. Nie mógł się jednak obudzić. Ciało było bezwładne i tak ciężkie, że nie był w stanie się poruszyć, a w miejscu żołądka czuł kamień. Wiedział, że nie ma ucieczki, znalazł się w potrzasku. Od czasu do czasu ukazywała mu się kobieta i go uspokajała. Ręce miała szorstkie, ale dotyk delikatny. Raz wydawało mu się, że słyszy donośne dźwięki dzwonów.

Kiedy wreszcie wyrwał się z okowów snu, zorientował się,

że leży na łóżku pod zrobioną na drutach kołdrą i jest zupełnie nagi. Poczul woń i ciepło palącego się w kominku drewna i zobaczył na tle okna sylwetkę starej kobiety z rękami skrzyżowanymi na obfitym biuście. Stała na małym dywaniku. Po chwili opuściła ręce wzdłuż ciała i uklękła, dotykając czołem podłogi. Siadłszy z powrotem na piętach, obróciła głowę w prawą stronę, potem w lewą. Znowu się pochyliła do przodu i zastygła na moment z twarzą przy podłodze. Kobieta odprawiała muzułmańską modlitwę, a Loukis głowił się, jakim cudem znalazł się całkiem nagi w domu cypryjskiej Turczynki. Niczego nie pamiętał.

— Nareszcie wróciłeś do świata, he? — odezwała się kobieta, która zwinawszy modlitewny dywanik, zauważyła, że Loukis na nią patrzy.

— Gdzie jestem?

— W Pano Platres — odpowiedziała. — Odpoczywaj, przyniosę ci coś do zjedzenia. Chyba umierasz z głodu.

Przyniosła parujący gulasz z kury z ziemniakami i wyjawiała, że nazywa się Hawa Husseyin, jej mąż dawno już zmarł, a synowie mieszkają w Nikozji. To są dobrzy chłopcy, zapewniła, nie tak jak niektórzy.

— W jaki sposób tu trafiłem? — spytał Loukis. Kobieta pokręciła głową i jej ramiona zatrzęsły się od cichego śmiechu.

— To zabawna historia — rzekła. — Założę się, że ci się spodoba. Otóż przynieśli cię tu Brytyjczycy.

Hawa wyjaśniała dalej, że trzy dni wcześniej Loukis „spadł z nieba” prosto przed wóz wojskowego patrolu.

Wyglądałeś przerażająco — ciągnęła. — Ubranie w strzępach, zakrwawione ręce, podrapana twarz. Żołnierze nie wiedzieli, co o tobie myśleć. A na domiar wszystkiego straszliwie

się darłeś, na twoje szczęście nie dawało się rozpoznać, w jakim języku. Tak czy owak, wyglądałeś na zagubioną duszę i postanowiłam cię ratować. Powiedziałam żołnierzom, że jesteś moim wnukiem lunatykiem i wtedy wnieśli cię do domu.

— Dlaczego?

— Przecież sama nie dałabym rady. Spójrz na siebie, jaki jesteś wielki.

— Nie to — dociekał dalej Loukis. — Dlaczego pani zdecydowała się mnie ratować?

— Aha, rozumiem. Widzisz, sama nie mam bladego pojęcia dlaczego. Chyba użaliłam się nad tobą. — Hawa wstała i rozsunęła zasłony. — Masz co prawda ciało mężczyzny, ale widzę, że jesteś jeszcze dzieckiem, czyimś dzieckiem, ja jestem matką, coś mnie chwyciło za serce. Nie wiem, co ci się przydarzyło, czy też w jaki sposób doprowadziłeś się do takiego stanu, ale sumienie mnie ruszyło i nie mogłam cię tak zostawić, więc znalazłeś się tutaj.

Loukis miał zamęt w głowie, ale wzruszyła go dobroć kobiety. Nie wiedział, co powiedzieć poza zwyczajnym „dziękuję”. Wciąż słabiutki, ponownie zapadł w sen.

Przez następne dni Hawa karmiła go, by nabrał sił, i poddawał się tej opiece, a także słuchał jej opowieści i wspomnień z dzieciństwa spędzonego w jednej z wiosek z mieszaną ludnością. Nie częstowała go wszakże wstrząsającymi historiami o biedzie i etnicznej niesprawiedliwości, tylko wracała myślą do czasów, kiedy życie było prostsze, toteż jej pogodna narracja pomagała łagodzić jego ból.

— Ale kto to jest Praxi? — spytała trzeciego dnia jego rekonwalescencji.

Zaskoczony Loukis otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale nie wydobył głosu. Stara kobieta odpowiedziała sobie sama.

- Kiedy spałeś, wykrzykiwałeś imię Praxi na przemian z wzywaniem mamy. Czy to twoja dziewczyna? A może nawet żona? Wyjaśnił, że ani jedno, ani drugie.

- Przynajmniej jeszcze nie — dodał.

- Spróbujesz to chyba naprawić. — Uśmiechnęła się ciepło.

- Na pewno — zgodził się. — Jak tylko wyspa będzie wolna.

— Rety! — wykrzyknęła, klepiąc się w policzki. — Całkiem zapomniałam, to przez te emocje, radość, że wracasz do przytomności. Wojna się skończyła, dziecko, jeżeli na to czekasz. Tak, to koniec wojny!

Hawa przysunęła się bliżej z krzesłem, żeby nic nie uronił z relacji o ostatnich wydarzeniach. Loukis z trudem je przyswajał. Niewiele z tego rozumiał. Wydawało się to zbyt szybkie i zbyt proste. On zapadł w sen, a w tym czasie wyspa się obudziła.

— Taka jest prawda — przekonywała Hawa. — Premierzy Grecji i Turcji spotkali się z brytyjskim premierem gdzieś w Europie, porozumieli się, a potem w Londynie wszyscy trzej i arcybiskup Makarios podpisali jakieś dokumenty i to ma być koniec okupacji wyspy. Brytyjczycy zachowają dwie bazy, ale Cypr uzyska niepodległość i będą nim rządzić wspólnie Grecy i Turcy. Byłam zdziwiona, że nie obudziły cię dzwony. Biły dobre dwadzieścia minut. Wtedy jeszcze nikt nie wiedział, o co chodzi, dopiero radio podało informacje. Cypr jest wolny, Loukisie!

Słuchając rozradowanej Hawy, z trudem dusił w sobie narastający gniew. Jeżeli wszystko, o czym mówiła stara kobieta, było prawdą, to jego przyjaciele zginęli zaledwie parę dni przed nastaniem wolności, o którą walczyli. Toulla, która

chciała pomścić śmierć brata, rozpacziała dosłownie parą minut przed własną śmiercią, że nie może się doczekać końca walki. Antoniou i Harris, oddani bez reszty sprawie wyzwolenia, marzyli o kobietach. I wspomniał także Steliosa z jego kwiecistą mową i słodko pachnącą fajką.

— Czy wiesz, kiedy EOKA wystąpiła zbrojnie przeciw okupantom?

— W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym piątym — odpowiedział Loukis ponurym głosem.

— Tak, ale pytam o dzień, nie o rok. Loukis potrząsnął głową.

— Zaczęli walczyć pierwszego kwietnia — rzekła Hawa i uśmiechnęła się smutno. — W prima aprilis.

— Dobrze wybrali. — Loukis kiwnął głową i wyszedł z pokoju na powietrze i słońce, żeby zobaczyć, jak smakuje wolność.

Skończyła się walka, jego przyjaciele nieodwołalnie rozstali się ze światem, więc postanowił tylko jeden dzień dłużej pozostać w domu Hawy, by pomóc jej w gospodarstwie. Zajął się sprawami, które wymagały męskiej ręki: gwoździami przybił chwiejącą się nogę stołu, narąbał drewna na opał, naoliwił zawiasy w drzwiach i oczyścił werandę z pozostałości po zimie. Na pożegnanie ucałował kobietę serdecznie w obydwie policzki.

Hawa popłakała się, gdy odchodził, ale przysłoniła twarz chustą, więc jej łez nie widział. Wracał do domu, mając jedynie ubranie na grzbiecie, pieczołowicie przez Hawę uprane i naprawione. Szedł główną drogą, więc był pewien, że natknie się na brytyjski patrol, tymczasem jedyną przeszkodą okazało się stado rozbrykanych kóz.

Wędrował od rana, po południu wszedł w las porastający zbocze prowadzące do małego domu w pobliżu typowej wsi

cypryjskiej. - W przydomowym ogródku na starym drewnianym krześle siedział Demetris. Gdy odwrócił głowę, Loukis zobaczył, że były sierżant policji ma lewą stronę twarzy zeszpeconą bliznami i bielmem na oku.

Demetris natychmiast poderwał się na nogi i objął gościa gorącym uściskiem. Do oczu napłynęły mu łzy, złe i dobre, a gdy zawołał Lellę, ta przybiegła z kuchni i obsypała Loukisa pocałunkami. Od czasu, gdy ich ostatnio widział, i jedno, i drugie zgubiło warstwę tłuszczu okrywającą niegdyś ciało miękkim kokonem i wydawali się nie tylko mniej postawni, ale także starsi.

Tej nocy z brzuchem napchanym ziemniakami i pieczystym z jagnięcia Loukis spał w swoim starym łóżku, a rano towarzyszył Demetrisowi w łazience i po raz ostatni dokonali wspólnie ceremoniału golenia. Żadne z małżonków ani słowem nie wspomniało o tym, co przeszli, więc Loukis też nie zadawał pytań. Wiedział już z własnego doświadczenia, że niektórych wspomnień lepiej nie przywoływać. Po śniadaniu złożonym z chleba i sera Demetris wsunął Loukisowi do kieszeni garść funtów cypryjskich i kazał mu przyrzec, że kiedyś ich odwiedzi. Loukis przysięgał, że się postara. Policjant odwiózł go do Alony, skąd odchodził autobus do stolicy.

Nikozja zaskoczyła Loukisa oblepiającymi mury plakatami z wizerunkiem Makariosa i powiewającymi na ulicach niebiesko-białymi flagami greckimi. Przytłaczająca niegdyś miasto ciężka atmosfera rozgoryczenia znikła bez śladu, dlatego Loukis z trudem oswajał się z tą zmianą. Świat oblała jasność, jakby ktoś nagle włączył światło.

W zatłoczonym autobusie do Kyrenii z trudem znalazł miejsce. Wylądował z tyłu, wciśnięty między tęgą kobietę i niepozornego mężczyznę wiozącego ze sobą kurę.

— Ładny ptak — zagadnął Loukis.

— Jest dorodna! — Właściciel się rozpromienił.

Z rozmów toczonych przez pasażerów Loukis dowiedział się, że arcybiskup Makarios powrócił na wyspę poprzedniego dnia witany jak triumfator. To był punkt kulminacyjny radosnego tygodnia, w którym do stolicy ściągnęły tysiące obywateli, by witać wypuszczonych na wolność dziewięciuset więźniów politycznych. Po raz pierwszy od dnia, kiedy opuścił Pano Platres, Loukis zaczął wierzyć, iż rzeczywiście zakończyła się walka, w którą się włączył niezupełnie świadomie. Uśmiechnął się, patrząc na góry na horyzoncie, strażniczki Kyrenii, i ledwie mógł opanować podniecenie.

Wysiadłszy z autobusu w Kyrenii, zdecydował, że nie odmówi sobie przyjemności i pójdzie do domu brzegiem morza. Późno-popołudniowe słońce jeszcze grzało i zatrzymał się na chwilę, żeby rozkoszować się pięknym widokiem złotych promieni igrających na falach. Nie oparł się pokusie, zrzucił ubranie i wbiegł do lodowatej jeszcze wiosną wody, a w zetknięciu z nią na moment doznał szoku i odebrało mu oddech. Pod stopami poczuł znajome ukłucia kamyków i rzucił się w łagodnie falującą toń. Nie ma wspanialszego miejsca na świecie, pomyślał.

Gdy zadowolony z siebie wracał na brzeg, zobaczył siedzącą na kamieniu młodą kobietę, która go najwyraźniej obserwowała, a w dodatku trzymała rękę na jego ubraniu.

— Cześć, Mario — powitał ją, gdy się zbliżył.

Jej oczy błyszczały radością i szelmostwem. Wyciągnęła rękę z jego ubraniem, ale nie oddała mu go od razu.

— Cześć, Loukisie. Nie poznałam cię w pierwszej chwili. Bardzo zmężniałeś.

— Gdzie najbardziej? — zapytał, na co rzuciła mu szybko spodnie z zażenowaną miną.

- Tęskniliśmy za tobą — powiedziała, gdy ubierał się, odwróciwszy do niej tyłem. — Gdzie byłeś przez cały ten czas?

- Daleko — rzekł sucho i odszedł.

Wspiął się po piaszczystym zboczcu i wkroczył na pola należące do gospodarzy, których znał od dziecka, a gdy przechodził obok oliwnego sadu Stavrosa, rozglądał się pilnie, ale nie zauważył ani staruszka, ani Afrodyty, jego oślicy, więc poszedł dalej, schylając się pod gałęziami drzew, które dziwnie zniżyły się do ziemi podczas jego nieobecności. Gdy skręcił za rogiem, natychmiast dostrzegł matkę siedzącą na stołku przed frontowymi drzwiami.

— Wiedziałam! — krzyknęła. — Wiedziałam! Byłam pewna. Georgiosie, chodź tu szybko! Twój syn wrócił do domu!

Loukis podbiegł do matki, porwał ją na ręce i obracał się z nią w kółko. Czuła się lekka jak piórko i piszczała z uciechy jak nastolatka. Gdy się zatrzymał, czule przesunęła ręką po jego twarzy i na policzkach wycisnęła długo wymarzone dwa pocałunki. Wzięła go za rękę i pociągnęła do domu.

— Czułam, że wracasz — mówiła podniecona. — Twój ojciec uważał oczywiście, że mówię głupoty, ale ja cię wyczuwałam, Loukisie, i od dwóch tygodni wysiadywałam na tym stołku przed domem, czekając na ciebie, pewna, że to ja mam rację, a nie on. Widzisz, Georgiosie! To kto jest zwariowaną babą?

Georgios poderwał się z krzesła przy piecu i mocno przycisnął syna do piersi. Puścił go po chwili, potem ujął jego twarz w obydwie ręce i ucałował mocno w policzki i czoło.

Mój Boże, chłopcze, tęskniliśmy — rzekł, pociągając nosem ze wzruszenia. — Gdzie ty, u licha, byłeś?

Nie teraz — wmieszała się Despina. — Będzie mnóstwo czasu na rozmowy. Teraz chcę się nacieszyć tym, że syn jest ^w domu, żadnych pytań, gdzie, jak i dlaczego.

Loukis spojrział na matkę i w jego oczach wyczytała wdzięczność. Otrząsając się ze szczęścia, które ją niemal paraliżowało, zajęła się przygotowaniami do uczczenia jego powrotu w tradycyjny cypryjski sposób: dobrym jedzeniem i grzanym winem.

W trakcie przygotowywania obiadu Despina pomagała synowi nadrobić stracony czas, informując go, co zaszło podczas jego nieobecności. Że jest wielka radość, bo Lenia oczekuje dziecka, że Christakisowi urodził się drugi syn, a Marios objawił prawdziwy talent do stolarki. Z kolei panu Televantosowi od czasu ogłoszenia niepodległości wyspy hemoroidy dokuczają bardziej niż zwykle.

— Trzeba ci było widzieć tego starego głupca — mówiła roześmiana Despina, gdy usiedli do stołu. — Tańczył, jakby miał naście lat, i jadł jak koń. Oczywiście następnego dnia ledwie się ruszał, ale uśmiech nie schodził mu z twarzy nawet wtedy, gdy nie mógł się doczekać na swoje lekarstwo.

— Wygląda na to, że wreszcie będzie dobrze — mruknął Georgios. Otwierał drugą butelkę wina, gdy z hukiem otworzyły się drzwi i wyrosła przed nimi potężna sylwetka Christakisa, a zaraz za nim pojawili się Marios i Maria.

Loukis wstał, żeby się przywitać, ale powalił go mocny cios Christakisa w szczękę. Olbrzym podniósł go natychmiast z podłogi, szarpnąwszy za kołnierz koszuli, po czym zakleszczył w ramionach, wyciskając z biedaka resztkę życia.

— Dobrze cię widzieć w domu, bracie — powiedział głosem nabrzmiałym wzruszeniem.

Kiedy wypuścił Loukisa z objęć, podszedł Marios i uściskał młodszego brata równie mocno, choć kary mu nie wymierzał.

— Tęskniłem za tobą — powiedział.

- A ja za tobą — zapewnił Loukis szczerze.

Pocierając obolałą brodę, podniósł krzesło przewrócone podczas wymiany serdeczności z Christakisem i usiadł z powrotem przy stole. Bracia również usiedli i nakładali sobie na talerze, a Georgios nalewał wina do szklanek. Pół godziny później dom zaszczyli wizytą Stavros i Pembe. Jak zawsze ta para ożywiała atmosferę specyficznym humorem, lecz Loukis dostrzegł coś nowego czającego się w ich oczach, nieznanego, i uświadomił sobie, że naprawdę długo go tu nie było. Czas nie stał w miejscu, to było widoczne. Ogarnięty niecierpliwością wstał od stołu. Dłużej nie mógł czekać.

— Dokąd idziesz? — zapytała matka.

— Jeżeli ona jest tak zawzięta, że nie potrafiła przyjść do mnie, to ja muszę się udać do niej. Idę się zobaczyć z Praxi.

Po tych słowach rozmowa przy stole nagle ucichła. Loukisowi ciarki przeszły po grzbiecie, nabrał strasznych podejrzeń.

— O co chodzi? — zapytał. — Co się z nią dzieje? Popatrzył na posępne twarze obecnych i w wyobraźni

wykreował kolaż straszliwych wizji inspirowanych makabrycznymi scenami z jaskini w Troodos. Panika ścisnęła mu gardło.

— Co jest? — zażądał odpowiedzi. Despina wstała.

— Synku, Praxi nie mieszka już w naszej wiosce, przeprowadziła się do Kyrenii...

— O to chodzi... — Loukis wydał westchnienie ulgi, ale matka jeszcze nie skończyła.

Mieszka w Kyrenii ze swoim mężem, Loukisie. Z mężem i dzieckiem...

Loukis poczuł, że brakuje mu powietrza, i przytrzymał się krzesła, żeby nie upaść. Żołądek podjechał mu do gardła.

— Nie, nie. Nie wierzę ci, nie zrobiłaby tego...

— Jest zameżna, Loukisie.

Despina powtórzyła tę wiadomość cicho, ale dobitnie, po czym pobladała, widząc, że jej słowa docierają powoli do świadomości najmłodszego syna i zaraz go zdruzgoczą.

Loukis miał wrażenie, że pękło mu serce. Nie mógł oddychać. Pokój zawirował mu przed oczami. Słowa matki uderzyły w niego z taką siłą, że zrobiło mu się słabo i poczuł mdłości. Nadzieje, jakie pielęgnował w myślach, roztrzaskały się i w głowie zaległa czarna pustka, która wchłonęła całą jaźń, póki nie wróciła mu świadomość tego, co stracił, a wraz z nią wybuch nowej fali bólu. Rycząc z rozpacz, kopnął w stół, który przewrócił się z hukiem. Ogarnięty szałem złapał krzesło, wymachiwał nim nad głową, by po chwili roztrzaskać je o podłogę. Jego ręce chwyciły wszystko, co było w ich zasięgu, rzucał talerzami i szklankami o ściany, aż wreszcie oślepiiony wściekłością poczuł, że nie może się ruszyć. To Christakis, który zaszedł go od tyłu, chwycił jego ręce w żelazny uścisk. Loukis kopał i wykręcał się w furii, ale nie mógł się wyrwać. Christakis był silniejszy i nie zwalniał chwytu. Zmagali się ze sobą, ślizgając się po resztkach jedzenia na podłodze. Choć Loukis też był silny, im zacieklej się szarpał, tym dotkliwiej czuł siłę rąk Christakisa. Wreszcie się poddał, wściekłość powoli w nim wygasła i rozmazany obraz pokoju nabierał ostrości. Zobaczył wpatrzoną w niego przerażoną twarz matki. Kulila się na podłodze, a z jej rozciętego policzka lała się krew.

— O Boże, nie... — jęknął Loukis, uświadamiając sobie, co zrobił.

Mimo że Christakis nadal przytrzymywał Loukisa, ten przestał wierzczać i zrzucić go z grzbietu. Próbował się unieść, wyciągając szyję w stronę matki.

- Zostawcie nas samych — rozkazała Despina stłumionym głosem.

Dźwignęła się na nogi, na co Christakis z pewnym wahaniem rozluźnił swój żelazny uścisk, pozwalając bratu wyciągnąć do niej rękę. Pokój opustoszał i gdy tylko zamknęły się drzwi, Loukis się rozszochał.

Despina delikatnie ułożyła sobie głowę syna na kolanach i śledziła wzrokiem jego łzy, każdą po kolei.

Elena bała się, że Praxi jest na granicy niekontrolowanej hysterii. Zawsze była bardzo pobudliwa i bez wątpienia odziedziczyła to po ojcu. Elena czym prędzej westchnęła do Boga, by miał w opiece duszę męża. Żadnego spokoju w nim nie było i czynił jej codzienność męczącą do czasu, kiedy w małżeńskim łóżu skończył żywot na atak serca. Praxi, jak ojciec, miała w sobie jakiś niepokój, graniczący z dzikością i choć sama została już matką, pozostała w niej skłonność do awanturnictwa, miała to w genach. Elena podała jej szklaneczkę brandy na uspokojenie. Dziewczyna trzęsła się cała i matkę to przeraziło, ale ktoś musiał jej powiedzieć, że chłopak wrócił do wioski, i dobrze, że usłyszała to z jej ust.

Praxi przechyliła szklaneczkę i ku osłupieniu Eleny wypła brandy duszkiem.

— Muszę go zobaczyć.

— Nie zrobisz tego.

— Muszę.

— A co mu powiesz, kiedy go zobaczysz? — zapytała matka surowo. Praxi otworzyła usta, jakby chciała odpowiedzieć, ale nic nie rzekła i Elena zrozumiała, że do niej nie trafi.

- Och, mam, mam! — Z tym okrzykiem Praxi opadła na łóżko.

- Nie zachowuj się głupio. Wstawaj.

- jak mam żyć? Mam dziewiętnaście lat i jestem nieszczęśliwa niczym wdowa. Nie mam po co żyć. - jest twoja córka — oburzyła się Elena.

— To nasza córka, moja i jego.

- Zamilcz! Nie będę dłużej słuchała tych głupot. Słyszysz?

Byłaś dość dorosła, żeby się wpakować w taką sytuację, bądź na tyle dorosła, żeby jej sprostać. Masz piękny dom i dobrego męża, który świata bożego poza tobą i Elpidą nie widzi. Masz mu się za to odwdzięczać małżeńską lojalnością.

— Małżeńską lojalnością! — Praxi się zaśmiała. Nie pamiętała już, kiedy ostatnio mogła się czuć żoną Yiannisa, chyba że chodziło tylko o pranie jego koszul. — Nie martw się, mam. Znam swoje powinności. Nie musisz mi o nich przypominać.

Odwróciła się na łóżku, więc Elena, nie chcąc służyć jako publiczność w historycznym przedstawieniu córki, wymaszerowała z pokoju, zabierając ze sobą wnuczkę.

— Chodź, dzieci, pójdziemy do tatusia.

Drzwi zamknęły się za nimi z trzaskiem, a Praxi zwinęła się w kłębek, zadowolona, że została sama. Po tych paru latach Loukis wrócił do domu. Był tak blisko, że niemal czuła jego zapach i jej sfrustrowane ciało przeszywały dreszcze. Dziecięca miłość wydawała się jej odległa, niewinne uczucie zostało wyparte przez wspomnienie ostatniego zbliżenia, zachowane w pamięci jako coś do głębi przejmującego, bardziej prawdziwego i dorosłego. Praxi nie tęskniła do chłopca, którego długo kochała, lecz do mężczyzny, którego ledwie poznała. Pragnęła poczuć na ustach dotyk jego warg, miłość do niego rozrywała jej serce.

Zwlokła się z łóżka i naląła sobie kolejną szklaneczkę brandy. Alkohol palił jej gardło i żołądek żywym ogniem, ale napełniła szklaneczkę znowu i podreptała do okna. Poniżej Yiannis sprzątał ze stolików brudne szkła, trzymając na biodrze Elpidę. Zdała sobie sprawę, że każda normalna matka odczuwałaby wdzięczność za dowód takiego przywiązania ojca do dziecka. W niej ten widok pogłębił jedynie uczucie beznadziei, więc wróciła do łóżka. Zamknęła oczy i próbowała znaleźć ukojenie, puszczając wodze fantazji. Rozpaczliwie szukała szczęśliwego zakończenia, choćby miała je wykreować tylko wyobraźnia.

Gdy zagłębiła się w marzenia o dorosłym Loukisie, kilka kilometrów od miejsca, gdzie leżała w łóżku, obiekt jej frustracji też toczył walkę wewnętrzną. Jednakże Loukis nie próbował wyczarowywać pięknych wizji, lecz usilnie starał się je zablokować. Przegrywając tę bitwę, postanowił odwiedzić człowieka, którego przez lata nazywał Stavrosem.

Zastał go w sadzie pomarańczowym, ale wcześniej przespacerował się przez całą posiadłość, strasznie zaniedbaną.

— Dla mnie to stało się za trudne — przyznał Mehmet, gdy Loukis poruszył ten temat. — Postarzałem się, a mówiąc szczerze, nie mam już serca do ciężkiej pracy. Dzisiaj martwię się tylko tym, żeby jakoś przeżyć.

— Pozwólcie sobie pomóc — nalegał Loukis.

Mehmet uśmiechnął się z wdzięcznością, lecz potrząsnął głową.

— Nie stać nas na pracownika, synu. W szkatułach zrobiło się pusto, gdy straciłem siły.

Loukis rozumiał jego sytuację, ale nie dawał za wygraną. Bardziej potrzebował oderwania się od czarnych myśli i zajęcia się uczciwą ciężką pracą niż pieniędzy. Loukis chętnie pilnował-

by zbiorów w sadach, naprawił walące się płoty i wykonywał inne niezbędne prace. W zamian Mehmet mógłby mu wydzielić kawałek gruntu pod dom i pozwolić polować na dzikie króliki i ptaki. Loukis sprzedawałby je w wiosce.

Mehmet rozważał tę ofertę, kiwając głową.

— Widzi mi się, że to niegłupi pomysł — przyznał. — Muszę jednak przedyskutować go z żoną, nie zapominaj o niej. Pomyślimy może o jakimś procencie dla ciebie od sprzedaży produktów.

Podali sobie ręce dla przypieczętowania umowy. Mehmet przytrzymał jego rękę, nie pozwalając mu odejść. Minę miał poważną.

— Muszę cię o coś zapytać — rzekł. — Byłeś w EOKA, tak? Loukis powściągliwie kiwnął głową. Nie mówił o tym wiele po powrocie do domu.

— Tak myślałem — przyznał się staruszek. — A powiedz, czy zabiłeś jakiegoś Turka?

— Nie, nigdy — zapewnił Loukis i wtedy Mehmet puścił jego rękę.

— I nigdy nie zabiłem żadnego Brytyjczyka. Moje sumienie obciąża jedynie uszkodzenie greckiego kościółka, ale to długa historia.

Mehmet parsknął śmiechem i przez mgnienie oka Loukis zobaczył go takim, jakim znał go niegdyś.

— Jak widzę, masz wojskowe doświadczenie, ale jeżeli będziesz się trzymał z dala od naszego meczetu, jestem pewien, że współpraca między nami się ułoży. Grecki kościół, mówisz? Przebieram nogami, żeby opowiedzieć o tym mojej kobiecie.

Następnego dnia po rozmowie z Pembe Mehmet pokazał Loukisowi kawałek ładnego terenu dobrze widocznego z okien ich domu. Nie wybrał go dlatego, by żywił jakieś podejrzenia,

że Loukis będzie rozrabiał, chodziło raczej o to, żeby był blisko dla ich własnego bezpieczeństwa. Wydarzenia ostatnich paru lat pozostawiły ślady w ich psychice, a przy tym z wiekiem czuli się coraz bardziej bezbronni.

Początkowo Loukis protestował przeciwko aż takiej szczodrości, lecz Mehmet upierał się, że to miejsce lub żadne, więc pozostawało tylko podziękować z uśmiechem.

Z nastaniem lata Loukis harował przy budowie domu z dziką determinacją, co pozwoliło mu odpędzić myśli o wyprawie do Kyrenii. Wiedział, że kiedyś zobaczy się z Praxi, ale był w stanie jeszcze poczekać. Na razie dobrze mu służyła otwarta przestrzeń posiadłości Mehmeta, gdzie jego gniew znajdował swobodne ujście i powoli wracał mu rozum. Chciał zbudować dom i przebudować swoje życie, przekonany, że gdy ostatnie drzwi zawisną na zawiasach, będzie wiedział, co robić.

W ciągu dnia Loukis trudził się sam, ale wieczorami przychodzili pomagać, nie żałując sił, ojciec oraz bracia i po raz któryś łączyła ich więź wspólnego wysiłku, gdy dźwigali cegły i belki lub kombinowali, jak ułożyć rury wodociągowe i kanalizacyjne. Dom nie miał być duży, parterowy, w kształcie litery L, dwupokojowy z łazienką, za to każdy etap prac wart był otwarcia butelki wina, a ilekroć Despina przychodziła ocenić postępy, piała dla zachęty z zachwytem. Chociaż nie było jej spieszno rozstawać się znowu z synem, cieszyła się, że jego przyszły dom pnie się do góry, i gdy przyglądała się swoim mężczyznom przy pracy, żałowała jedynie, iż nie ma z nimi Nikosa.

Od powrotu Loukisa Despina wciąż była bliska wyjawienia mu całej prawdy, nie potrafiła nawet zliczyć, ile razy. Jednakże Georgios nieomylnie wyczuwał, kiedy jej usta otwierały się bezwiednie, wbrew rozumowi, i powstrzymywał ją ostrzegawczym spojrzeniem. Prawdopodobnie miał rację: jeżeli prawda

miała wyjść na jaw, powinna sama znaleźć drogę. Wydawało im się, że to nawet lepiej dla Loukisa, iż pozostaje w nieświadomości. Musiał się uwolnić od bólu przeszłości, żeby móc się otworzyć na nowe życie. Nie był na to jeszcze gotowy, nawet daleki od tego, ale oku Despiny, niestety także i Michalakisa, nie umykało, że Maria czatuje w tle.

Kilka spacerów z dziewczyną rozgrzało w Michalakisie krew, więc by ukryć rozczarowanie, wycofał się do stolicy i rzucił w wir pracy, która także w rodzinnym domu została godnie uhonorowana. Wśród wycinków przypiętych do ścian znajdowały się już cztery jego artykuły z pierwszej strony: na temat triumfalnego powrotu Makariosa, oficjalnego zawieszenia broni przez EOKA, wycofania się Grivasa do Grecji i zdawania broni przez partyzantów. Despina dobrze jednak знаła syna i chociaż wierzyła, że jest potrzebny w gazecie, miała też świadomość, jak bardzo został zraniony przez Marię. Zdawała sobie również sprawę, iż Loukis o niczym nie wie.

Cegły i kamienie zgromadzone na działce na ziemi Mehmeta przyoblekały się w kształt nowego domu Loukisa, a Cypr zajęty był politycznymi wyzwaniem, jakie niosła ze sobą niepodległość.

Ludzie zaczęli wierzyć w przyszłość bez represyjnych obcych rządów i bez wewnętrznych konfliktów etnicznych, które ich niszczyły. Jakby dla potwierdzenia, że idzie ku dobremu, Lenia tego lata szczęśliwie powiła córeczkę. Dała jej na imię Niki przez pamięć dla Nikosa, co usłyszawszy, Despina popłakała się z zadowolenia i wdzięczności.

Jest zachwycająca — powiedziała do Lenii, biorąc malutką na ręce i całując delikatne jasne kędziorki na jej główce.

Mówiłem, że nasze blondasy pochodzą z waszej linii rodzinnej — zażartował Georgios, który jako następny w kolejności trzymał małą na rękach.

— Radzę ci, Lenia, pilnuj, żeby mama nie próbowała golić dziecku główki, kiedy nie patrzysz — podjął żartobliwy ton Loukis. — Dość już, tato, daj mi ją.

Gdy Loukis trzymał niemowlę, Despinie oczy zaszły mgłą. Za kilka tygodni jego własne dziecko miało skończyć trzy lata i bolała nad tym, że syn tak wiele traci. Poczula na ramieniu rękę Georgiosa, położyła na niej dłoń i go pocałowała. Dwa tygodnie temu obydwójce widzieli wnuczkę skaczącą po bruku nabrzeża w Kyrenii. Wyrastała na śliczną dziewczynkę, matka ostatnio podcięła jej grzywkę, która podkreślała nocną czerń jej oczu — dar od ojca, który jej nie znał.

*

Praxi wyskoczyła z sukienki i pochyliła się nad umywalką, wsadzając głowę pod kran. Yiannis i Elpida oraz wszechobecna matka wybrali się na zakupy, skorzystała więc z okazji, żeby przed ich powrotem zmyć z włosów zadawniony pot i brud. Czas dla siebie był w jej wypadku wyjątkowym luksusem, gdyż córeczka wkroczyła w wiek nieustannego testowania swoich możliwości, a jednocześnie rosła popularność kawiarni, więc Praxi nie miała chwili oddechu. Nie uskarżała się na to, im mniej bowiem miała czasu na myślenie, tym lepiej.

Podsuszony włosy ręcznikiem, zaczęła je rozczesywać. Za jej plecami otworzyły się drzwi.

— O czym tym razem zapomniałeś? — zapytała, odwracając się z pewnym zniecierpliwieniem.

— O czym ja zapomniałem?

Serce prawie wyskoczyło jej z piersi. Spodziewała się zobaczyć męża z przepaszającą miną, a stał przed nią nieprawdopodobnie wysoki mężczyzna, którego czarne oczy patrzyły na nią spod szerokich ciemnych brwi z bólem i wściekłością.

Przez całe dwie minuty nie poruszyli się, stali w niemym szoku obezwładnieni mieszanymi uczuciami.

Loukis pierwszy się otrząsnął, zrobił dwa długie kroki, chwycił Praxi za mokre włosy nad karkiem i wpił się w jej usta, zanim zdążyła wydobyć słowo. Na jego gwałtowność odpowiedziała taką samą namiętnością. Gdy się całowali, poczuła w ustach smak krwi.

Żywiąca się dotąd marzeniami i blaknącymi wspomnieniami tęsknota objawiła się z całą mocą i gwałtownością. Upadli na łóżko, szukały siebie chciwe ręce i wygłodniałe usta. Praxi szarpała na Loukisie koszulę, póki jej dłonie nie poczuły gorąca jego umięśnionej piersi. On ściągnął z niej resztę ubrania i zatracili się w miłosnym zespoleniu. W splocie rąk i nóg, współgraniu ich ciał i krwi, w przyptywie i odpływie, w braniu i dawaniu, umacniała się ich pewność, że egzystencja jednego zależy od tego drugiego i chociaż jest ich dwoje, są jednością.

Zanim ochłonęli z szaleństwa, w pokoju zapadł półmrok. Powróciwszy do rzeczywistości, Praxi przeraziła się tym, co zrobili.

— O Boże! — wykrzyknęła, wyskakując z łóżka. Ubrała się w wielkim pośpiechu. — Yiannis będzie tu za chwilę. On nie powinien... mój Boże... Loukis... to nie jest...

Loukis też poderwał się z łóżka, żeby wciągnąć spodnie. Zagrało w nim wzburzenie, głos miał chrapliwy.

— Jak mogłaś? — zapytał po prostu.

Wiem... przepraszam... — Praxi jąkała się, nie wiedząc, od czego zacząć. — Kiedy mnie zostawiłeś, poczułam się bardzo samotna i...

Tak szybko? — zadrwił Loukis. — Moje łóżko jeszcze na dobre nie ostygło, a ty już poczułaś się samotna?

— To nie tak, jak myślisz — próbowała wyjaśniać Praxi przez napływające łzy.

— Nie tak? To jak, no powiedz, jak? — Był już ubrany i gniew, który usiłował hamować, wybuchnął znowu. — Dlaczego nie czekałaś, Praxi? Odszedłem, żeby dojrzeć... dla ciebie. Nigdy cię nie zostawiłem!

— Zostawiłeś! — odkrzyknęła. — Zniknąłeś z mojego życia bez jednego słowa!

— Wiedziałaś, że wrócę!

— Ale kiedy, Loukisie? Kiedy? Minęły trzy lata!

— I przez te trzy lata nie myślałem o żadnej innej, tylko o tobie. Zawsze byłaś tylko ty!

— A nie pomyślałeś, że ja czułam i czuję dokładnie to samo? Co noc trzymałam cię w ramionach, każdego dnia modliłam się, żebyś do mnie wrócił, ale nie miałam czasu, musiałam...

— Praxi?

Obydwoje odwrócili się jak na komendę w stronę drzwi. Stał tam Yiannis z pobladłą twarzą.

— Mój Boże — jęknęła Praxi i zrezygnowana rzuciła się na łóżko.

— Co robisz w moim domu? — Od drzwi padło pytanie do Loukisa. W głosie Yiannisa pobrzmiwało więcej odwagi, niż jej czuł, a ręce trzęsły mu się i z oburzenia, i ze strachu. Chłopak, którego znał, przeobraził się w mężczyznę, i to daleko roślejszego od niego.

— A co mogę robić w twoim domu, jak myślisz? — spytał szyderczo Loukis i Yiannis zrozumiał, że niestety musi się zachować po męsku.

Z całej siły pchnął Loukisa, zanim zdołał rozważyć możliwe konsekwencje takiego ataku. Loukis ledwie się zachwiał, chwycił go za gardło i przycisnął do ściany.

- A co teraz zrobisz, co masz do powiedzenia?! — krzyczał, ale Yiannis nie był w stanie wydobyć głosu ani się uwolnić, twarz mu nabrzmiała i nabiegła krwią.

- To coś wolałaś ode mnie?! — z pogardą krzyknął Loukis do Praxi.

Zerwała się na nogi i zaczęła szarpać go za ramiona, lecz nie rozluźniła chwytu.

- Proszę, nie rób mu krzywdy! — krzyczała. — To nie jego wina.

— Czy mówisz poważnie? — spytał Loukis z niedowierzaniem. — Naprawdę zależy ci na tej żalostnej namiastce mężczyzny? — Wypuścił Yiannisa z rąk, ten osunął się na podłogę, charcząc głośno. — Weź go sobie, Praxi. Weź go i bądź szczęśliwa. Nie będę cię więcej niepokoił.

Wymaszerował z pokoju, trzaskając drzwiami. Chociaż każda cząstka jej jestestwa chciała się rzucić w pogoń za kochankiem, Praxi przyklękała przy mężu i położyła mu rękę na ramieniu. Yiannis wzdrygnął się i odwrócił głowę.

— Nie dotykaj mnie — wymamrotał.

Nie widziała jego twarzy, ale w drżącym głosie słyszała głęboką urazę. Wstała i spojrzała na zwiniętego w pozycji płodowej człowieka. Mężczyznę, którego poślubiła. Skulony pod ścianą, budził współczucie, ale w niej w tym momencie jedynie obrzydzenie. Westchnęła do Boga, by jej to wybaczył.

— Gdzie jest Elpida? — zapytała.

— Na dole z twoją matką.

Gdy przechodziła koło niego, chwycił ją za nogę w kostce. Praxi, nie dbam o to, co robisz. Nie dbam o to, że mnie nie kochasz. Błagam cię jednak, żebyś nie zabierała mi córki.

— Nigdzie się nie wybieramy — powiedziała zimno i zeszła na dół do kawiarni.

Elenie udało się jakoś powściągnąć język i bez słowa przekazała dziewczynkę córce. Praxi była jej wdzięczna za milczenie, przeszła z Elpidą w drugi koniec sali. Tuląc ją mocno do siebie, zanurzyła twarz w jej włosy i się rozplakała. Czuła jeszcze na ciele zapach miłości, lecz brzemie osamotnienia nigdy nie było cięższe.

*

Upalne lato przeszło w chłodną jesień, ta w mroźną zimę, a Praxi wciąż czekała na Loukisa, przekonana, że nie będzie w stanie oprzeć się tęsknocie do niej, jednak tak jak powiedział, nie niepokoił jej. Mąż sypiał w biurze, a w ciągu dnia udawał, że jej nie dostrzega. Jego miejsce w łóżku Praxi wypełniała wyobrażeniem mężczyzny, którego kochała.

Z nadejściem wiosny w jej sercu żywiej zagrała namiętność i obudziła pokusę, by iść do Loukisa, ale ilekroć Praxi zdobywała się na odwagę, zawsze zdarzyło się coś takiego, co przywoływało ją do rozsądku. Czasami był to widok rozchichotanej córki w ramionach jedyne go ojca, jakiego znała, czasem potępiające spojrzenie matki, a nieraz wystarczyła świadomość tego, co słuszne.

Kolejnego lata wypadały czwarte urodziny Elpidy. Praxi ochłonęła, pogodziła się z myślą, że ma złamane życie, i gdy pod koniec tego dnia z prezentem dla małej pojawiła się Despina, nie zapytała ją o Loukisa. Despina nie wyszła jej naprzeciw i nie powiedziała słowa na jego temat, za to w skrytości ducha ucieszyła się, gdyż samo dziecko, do którego prawa mu odmawiano, było widowym świadectwem prawdy. Elpida wyrastała na zdumiewająco śliczną dziewczynkę i chociaż

niemal od urodzenia miała uśmiech po matce, Despina dostrzegła też w niej coś ze swojego syna. W drodze powrotnej wstąpiła do nowego domu Loukisa, żeby rzucić okiem na krzaczki rumianku, które posadziła kilka miesięcy temu. Była mile zaskoczona, że tak dobrze się mają.

— To Maria — przyznał się Loukis, gdy wyrażała zdumienie — Ona się nimi opiekuje. Nie wiem, dlaczego zadaje sobie ten trud.

Despina dobrze wiedziała, dlaczego młoda kobieta poświęca czas na dogładanie roślinek Loukisa, i była pewna, że on też wie. Trochę było jej żal dziewczyny, ale nie potrafiła jej przebaczyć, że unieszczęśliwia innego jej syna.

Od powrotu Loukisa Michalakis był rzadkim gościem w domu rodzinnym. Despina rozumiała oczywiście, że jest potrzebny w stolicy; miał swoje zadanie do wykonania, i to ważne, ważniejsze niż kiedykolwiek przedtem, bo tej nocy miał spisać relację z historycznego wydarzenia.

— Czy będziesz z nami dzisiejszego wieczoru? — zapytała Loukisa.

— Nie darowałbym sobie nieobecności w tym dniu. — Uśmiechnął się.

— Liczę na to, przyprowadź koniecznie Mehmeta i Pembe.

Loukis przyrzekł, że to zrobi. Tego wieczoru przyszli oczywiście Christakis i Yianoulla wraz z trzema synkami. Rodzina oraz tureccy goście zasiedli do kolacji w ogrodzie. Lekki wietrzyk łagodził duchotę upalnego lata, roznosząc także zapach kebabów i papierosowego dymu, bo mężczyźni palili. Po paru godzinach, gdy prawie uporali się ze skrzynką piwa Keo, którą Marios przydźwigał z miasta, rozmowa stała się bardzo żywa i głośnie, ale gdy Georgios wyniósł z domu radio, wszyscy zamilkli. Był piętnasty sierpnia 1960 roku i z wybiciem północy

spiker ogłosił, że flaga brytyjska powiewająca nad siedzibą rządu jest właśnie opuszczana.

Ze swego miejsca w ławce dla dziennikarzy Michalakis usłyszał fanfarę tręb wojskowych, a zaraz potem dwadzieścia jeden wystrzałów salwy honorowej. Wraz z dźwiękiem ostatniego z nich, rozchodzącego się echem po Nikozji, narodziła się niezależna Republika Cypru. Michalakis dał się ponieść fali niezwyklej emocji — wyspa była wolna.

W trakcie walk prowadzonych przez EOKA zginęło sześćuset ludzi, głównie Greków. Tysiąc dwieście sześćdziesiąt osób zostało rannych, życie straciło również stu pięćdziesięciu sześciu Brytyjczyków. Wolność została okupiona ogromnym kosztem i chociaż Michalakis był dumny, że jest świadkiem i będzie komentatorem tego wydarzenia, zadał sobie pytanie, czy rodziny zmarłych uważają, że jest ono warte takiej ceny.

Dziesięć godzin po zdjęciu flagi brytyjskiej zebrał się pierwszy w trzysięczonej historii kraju parlament, żeby formalnie wprowadzić na urząd prezydencki arcybiskupa Makariosa i na wiceprezydencki Fazila Kueuka. Zawieszono flagę Cypru. Widniała na niej na białym tle złota sylwetka wyspy, a pod nią dwie oliwne gałązki mające symbolizować pokój i jedność. Prezydentem został Grek, wiceprezydentem Turek. Władza została podzielona, by dać jednej społeczności prawo do walki o spełnienie ich marzeń na drodze demokratycznego procesu, a drugiej prawo do godności, którą im dotąd odbierano. Brytyjczycy wycofali się do dwóch baz: w Dhekelii i Akrotiri. Przez cypryjskie radio ostatnie słowo do ludności, którą próbował ujarzmić, wygłosił dotychczasowy gubernator brytyjski.

W krótkich zdaniach i z nienagannym brytyjskim akcentem

powiedział: „Jaka będzie przyszłość? Do was należy odpowiedź. Niektórzy czarno widzący komentatorzy mówią, że mieszkańcy Cypru zniszczą się nawzajem. Mówią, że rozszarpią się na kawałki — Grecy staną przeciwko Turkom, lewica przeciwko prawicy. Paru twierdzi, że wyspa pogrąży się w morzu krwi i nienawiści. Może... ale ja w to nie wierzę. Ludzie, którzy znaleźli się na krawędzi piekła, nie będą chcieli jej przekroczyć”.

CZĘŚĆ DRUGA

1963

W razie pogwałcenia postanowień niniejszego traktatu Grecja, Turcja oraz Zjednoczone Królestwo zobowiązują się wzajemnie do konsultowania w sprawie zaistniałej sytuacji czy też podjęcia kroków niezbędnych do zapewnienia przestrzegania wspomnianych postanowień.

Jeżeli wspólna i zgodna akcja okaże się niemożliwa, każde z trzech państw zastrzega sobie prawo do działania, ale wyłącznie w celu przywrócenia ustanowionego tym traktatem stanu prawnego.

Traktat gwarancyjny, artykuł IV, 1960

Dożyła pięknego wieku, każdy to mówił, co nie znaczyło, że długowieczność ułatwiała pogodzenie się z jej śmiercią. Śmierć rzadko kiedy jest dobrze widzianym gościem, choćby nawet nie spieszyła się z zapukaniem do drzwi. Z perspektywy czasu Despina zdała sobie sprawę, że były widome oznaki: narastająca melancholia, nietknięte jedzenie, ale przypisywała je zmianie pory roku, bo wiosenny wietrzyk ucichł z nastaniem upalnego lata i wszyscy mieli mniejszy apetyt. Przyznawała ze wstydem, że zaprzeczała temu, co widziały oczy. Gdy obudziła się rano i zastała staruszkę nieruchomą jak we śnie, wtedy zrozumiała i było to jak uderzenie obuchem w głowę.

— To była poczciwa koza, mamó.

— O tak, Mariosie. Taka była.

Despina oparła łopatę o pień drzewa pomarańczowego, wyjęła z kieszeni garść różanych płatków i posypała nimi grób. Zeby Atena wiedziała, iż była doceniana i bardzo kochana.

Kupimy ci nową kozę — obiecał Georgios. — Jak tylko będziesz na to gotowa.

Despina uśmiechnęła się na wypowiedzianą w dobrej intencji pociechę, chociaż obydwójce wiedzieli, że tej straty nie da się zastąpić, podobnie jak nigdy nie mieli serca, żeby wprowadzić do domu nowego psa. Despina miała dość usypywania kopczyków ziemi. Nosila czarne suknie, a pragnęła być szczęśliwa jak w młodości.

Śniadanie, na które podała ser *halloumi* i szynkę, upłynęło w posepnym nastroju, Georgios z przepaszającą miną szybko wstał od stołu, a Marios ruszył do warsztatu brata. Despina wybrała się do Loukisa. Wypatrzyła go siedzącego na kamieniu przed domem. Obdzierał ze skóry dzikiego królika, ręce ociekały mu krwią. Ścisnęło ją w gardle. Jej dziecko wyrosło na mężczyznę. Twarz zgubiła młodzieńczą delikatność rysów i teraz nawet z odległości widziała twardo zaciśniętą szczękę, gdy zdecydowanym ruchem odrywał futro zwierzęcia od mięśni. Jak zwykle ubrany był niedbale, w czarne spodnie i szarą koszulę z wystrzępionymi mankietami. Białe ściany za nim podkreślały ciemną tonację ubioru. Na tle niepozornego domu wydawał się nienaturalnie wielki, do tego stopnia, że nawet ksiądz, który błogosławił dom, wpraszał się żartem na kolejny obrządek *agiasmos* po rozbudowaniu domu do takich rozmiarów, by mógł pomieścić właściciela. Cicho zachodząc Loukisa od tyłu, Despina ujęła w dłonie jego podbródek, przechyliła mu głowę do tyłu i pocałowała go w czoło.

— Coś nie tak z tobą? Marnie wyglądasz.

— Atena nie żyje.

Loukis oderwał wzrok od prawie obdartego ze skóry królika.

— Szkoda jej. Ale żyła długo.

— To prawda — zgodziła się Despina.

Spojrzała na prawo i pomachała do Pembe, która siedziała na ganku i dekorowała koszyki liśćmi daktyla. Staruszka

odkrzyknęła radośnie na powitanie, nie wypuszczając z rąk *cuvaldiz*, wielkiej igły, jaką Turcy cypryjscy posługują się przy wyrobie mat i koszyków.

_ Czy myślałeś nad tym, o czym mówiliśmy? — Despina spojrzała znowu na syna.

_ Nie bardzo — odrzekł, udając, że nie widzi zatroskanej miny matki.

_ To nie jest w porządku wobec dziewczyny. Powinieneś się z nią ożenić albo nie zawracać jej głowy.

— Niezachęcający wybór, mamo...

— To nie miejsce na żarty, synu. Od ponad dwóch lat pozwalasz na to, żeby dziewczyna uganiała się za tobą. Nie może wisieć przy tobie niczym martwy królik dyndający u twego paska. Pora podjąć decyzję, Loukisie. Sprawa staje się żenująca. Kiedy natykam się na jej nieszczęsnych rodziców, nie potrafię spojrzeć im w oczy.

— Dobrze, pomyślę o tym.

— Niech to nie będą tylko słowa — rzekła stanowczo Despina, wyciągając rękę, by chwycić go za brodę.

Szarpnął głową do tyłu.

— Powiedziałem, że pomyślę. Czy mogłabyś dać mi teraz spokój? Chcę ugotować gulasz.

Wstał i obdarował matkę pozornie beztroskim uśmiechem. Gdy wszedł w półmrok panujący w domu, na jego ustach nie było już cienia uśmiechu.

*

Elpida popatrzyła na talerzyk stojący przed nią, pochyliła głowę i walnęła czołem o blat stołu.

— Mam dość jabłek... Są zdrowe.

— Znudziły mi się! Praxi zacisnęła usta i dalej wydłubywała pestki z gniazd

nasiennych pokrojonych owoców i wrzucała je do miseczki.

— *Yiayia* mówi, że powinnam jeść mięso, bo wtedy będę silna — upierała się Elpida.

Ale twoja babcia nie próbuje zabić swojego męża. Tak w duchu odpowiedziała jej Praxi, a głośno nakazała:

— Masz zjeść jabłko, Elpido.

Praxi nie była pewna, kiedy przyszło jej do głowy, że chce otruć męża. Taka myśl pojawiła się znikąd, by po paru dniach stać się natrętną fantazją. Mało było przyjemności w jej życiu i wbrew rozumowi, obojętna także na marudzenie córki, nie zamierzała się pozbawić satysfakcji snucia niezdrowych rojeń, choćby miała przez to zasłużyć na wieczne potępienie.

Nie miała bladego pojęcia, ile pestek potrzeba, żeby otruć Yiannisa, lecz sama czynność wydłubywania ich i wrzucania do miseczki w jakiś sposób ją pokrzepiała. Potem Praxi potrafiła na całe godziny oddać się potwornym kalkulacjom: czy utrzyć pestki i dodać masę do marynowanego mięsa; czy raczej przyrządzić z nią sos do sałaty; a może powtykać nasionka w chleb. Wprawdzie ostatnio Yiannis przytył, ale wierzyła, że potrafi go wykończyć jednym posiłkiem. Naturalnie pod wpływem wyrzutów sumienia otrząsała się nieraz z niecnych rojeń o zabójstwie, ale w gruncie rzeczy deprimowała ją głównie świadomość, że zabraknie jej odwagi do popełnienia zbrodni. Podobnie jak rozwód, morderstwo to występki przeciwko Bogu i społeczeństwu, a wolałaby uniknąć zarówno piekła, jak i więzienia. Doszła do wniosku, że najlepszy byłby cud. Niestety, na boską interwencję raczej nie mogą liczyć złoczyńcy, więc natchnięta taką refleksją zaczęła biegać do kościoła, co przyniosło krótkotrwałą ulgę jej matce.

Kyreński biskup upodobał sobie sentencję: „Im bardziej człowiek zbliża się do światła, tym więcej światła na niego pada, im bliżej jest ognia, tym bardziej on go rozgrzewa, im bliższy jest rzeczy świętych, tym lepszym się staje”. Zachęcona takimi słowami Praxi energicznie modliła się do Pana z nadzieją, że spłynie na nią Jego łaska, ciepło i świętość. Mimo usilnych starań, by się skupiać na tekstach Pisma Świętego, nie zawsze jej się to udawało i same usta układały się w modlitwę do miłosiernego Boga z prośbą o zesłanie na męża śmiertelnej choroby, odebranie mu życia w tragicznym wypadku, porażenie piorunem. Wystarczająco wiele razy Praxi była w kościele, żeby wiedzieć, iż nic dobrego nie czeka grzesznika wznoszącego do nieba tego typu błagania, więc jak błogosławieństwo powitała zmianę postawy matki, która przestała zachęcać ją do jawnej pobożności. Córka przyjmowała komunię z taką regularnością, że wzbudziło to u pozostałych wiernych podejrzliwość: ugruntowane było w nich bowiem przekonanie, jakoby niezwykła żarliwość religijna wynikała ze skruchy po popełnieniu jakiejś ohydnej zbrodni, najczęściej morderstwa lub zdrady małżeńskiej. Dlatego gdy matka z zażenowaniem, ale stanowczo odradziła jej religijną ostentację, Praxi powróciła do punktu wyjścia, do nietypowej i ryzykownej modlitwy: desperackiego roztrząsania, jak się pozbyć męża.

Nie mogła odejść od Yiannisa — to było jasne. Gdyby ruszył do niej z pięściami, a tak powinien się zachować każdy mąż, przyłapawszy żonę na zdradzie, mogłaby się posłużyć siniakami jako biletem do wolności. Oczywiście obrażenia musiałyby być poważne. Kilka wybitych zębów, złamana kończyna. Niestety, Yiannis nigdy jej nie uderzył — nawet nie podnosił na nią głosu w gniewie — dlatego jedynym wybawieniem mogło być jego odejście z tego świata. Gdyby tak Bóg powalił go

jakąś straszną chorobą! Gdyby kazał piorunowi trafić w jego niekształtną głowę! Nagła śmierć uchroniłaby ją od rozwodowego skandalu związanego ze wzajemnymi oskarżeniami, od brzemienia niesławy, od potępiających spojrzeń ludzkich. W gruncie rzeczy im więcej rozmyślała o jego śmierci, tym mniej widziała jej przykrych następstw: trochę łez Elpidy co rano, ale i one by wyschły. Niestety, Boga nie wzruszało cierpienie Praxi. Yiannis wydawał się zdrowy jak ryba, a przy tym rzadko kiedy ruszał się z domu przy złej pogodzie z obawy, że to zaszkodzi kondycji jego włosów.

Praxi westchnęła i odeszła od stołu, żeby postawić miseczkę obok przypraw w szafce nad zlewem poza zasięgiem rączek Elpidy. Gdy zamykała drzwiczki na haczyk, dotarło do jej świadomości, że kiedyś będzie musiała wyrzucić pestki, i ta myśl przyprawiła ją niemal o mdłości. W pustce mijających dni te brązowe nasionka stały się iskierkami nadziei w jej życiu. Nie było w niej okrucieństwa, zdawała sobie sprawę, że te myśli to rozpaczliwa i ponura fiksacja. I tak naprawdę nie czuła nienawiści do Yiannisa. Raczej był jej obojętny. Widomymi objawami miłości darzyła córkę, miłością skrywaną wypełniała pustkę pozostawioną przez Loukisa. To nie wystarczało. Nie znajdowała chwili spokoju. W tamtych dniach, kiedy Loukisa uznawano za zaginionego, i potem po jego powrocie wierzyła, iż czas zrobi swoje i pozwoli jej pogodzić się jakoś z sytuacją, tymczasem wraz z upływem lat jej męka się potęgowała. Nie wyobrażała sobie życia bez Loukisa, a innego sposobu na wyrównanie niesprawiedliwości losu poza pogrzebaniem mężczyzny, który stał na drodze do jej szczęścia, nie widziała. Jako wdowa uwolniłaby się od zobowiązań wobec Yiannisa, który przecież nie powinien być jej mężem. Po wymaganym okresie żałoby mogłaby za społecznym przyzwoleniem zacząć nowe życie.

W ciągu sześciu lat małżeństwa stopniowo wygasało uczucie wdzięczności do męża i ostatecznie prawie nic doń nie czuła poza urazą. Przestali dbać o zachowywanie małżeńskiej fasady, żyli w tym samym domu jak dwoje lokatorów, a w popularnej kawiarni wcielali się w rolę miłych gospodarzy. I co najbardziej rozwścieczało Praxi, Yiannis był najwyraźniej gotów kontynuować tę farsę, póki nie umrą. Manifestowanie przywiązania i niezgrabne obejmowanie jej w pasie na oczach przyjaciół z greckiej armii przyprawiało ją o mdłości. Wdzięczna mu była wprawdzie za to, że trzymał się na dystans, kiedy drzwi kawiarni zamykały się za ostatnimi gośćmi, ale mimo wszystko trwała w przekonaniu, że jej los musi się zmienić, a tę zmianę wizualizowała jako trumnę, w której leży mąż.

Napełniała więc miseczkę skrywaną w szafce i wyobrażała sobie finał zgodny z przeznaczeniem. Tak jak wierzyła w powrót Cypru do Grecji, tak była pewna, że znowu będzie leżała w ramionach Loukisa. Dlatego gdy wpadła na Marię w jednym ze sklepów w Kyrenii i zamieniła z nią parę słów, świat usunął się jej spod nóg.

Z uśmiechem i ledwie skrywanym triumfem Maria radośnie oznajmiła, że właśnie szuka nowej sukienki, przygotowując się jako narzeczona na przyjęcie błogosławieństwa od księdza — Loukis się oświadczył i Maria wychodzi za niego za mąż.

*

Michalakis sączył kawę, rzucał okiem na zegarek, popijał wodę ze szklanki, palił papierosa i usiłował zapanować nad irytacją. Kyriakos się spóźniał. Zawsze się spóźniał. Wiedząc o tym, Michalakis był raczej zły na siebie, że niepotrzebnie przyszedł na czas do jednej z najbardziej uczęszczanych kawiarni w Nikozji. Już wielu bywalców spoglądało pożądlivym

okiem na wolne krzesło z drugiej strony stolika i zaczął się czuć jak zlekceważony absztyfikant, który z uporem pilnuje miejsca dla damy swego serca.

Był przy drugiej filiżance kawy, odparł pokusę zamówienia piwa i nareszcie jego przyjaciel opadł ciężko na puste krzesło. Z łysiny skapywały mu krople potu, krótkie rękawy koszuli odsłaniały straszliwie owłosione ręce. Naprawdę nie był mężczyzną, na którego widok kobiety omdlewałyby z zachwytu, a jednak udało mu się osiągnąć to, w czym Michalakisowi się nie poszczęściło — złowił właśnie żonę.

— Ozdrowiałeś już chyba po weselu? — zapytał Michalakis, machając na *kafetzi*.

— Małżeństwo, jak odkrywam, jest ciągłym procesem zdrowienia. — Kyriakos się zaśmiał. — *Sketto!* — Złożył zamówienie u *kafetzi*, a Michalakis uniósł brwi w niemym zdziwieniu.

— Żona — wyjaśnił Kyriakos. — Po dwóch miesiącach małżeństwa doszła do wniosku, że jestem za gruby, więc piję kawę bez cukru. Szczęśliwie dla niej wciąż odurza mnie jej nagość, więc zgodziłem się zrezygnować ze słodzenia kawy. Posłuchaj mojej rady, przyjacielu, nigdy nie żeń się ze szczupłą dziewczyną, zwłaszcza gdy ma pełne piersi. Zwariujesz z taką.

Michalakis przyjął radę z rozbawieniem, bo nie miała dla niego znaczenia. Odkąd awansował na szefa działu politycznego, przebywał wyłącznie w towarzystwie osób wąsatych, mniej lub bardziej owłosionych i z czołami coraz bardziej zrytymi zmarszczkami.

W trzeci rok pełnienia funkcji rząd wchodził w stanie paraliżu. Nieefektywna struktura podziału władzy dawała nieproporcjonalne prawa osiemnastoprocentowej mniejszości. Wiceprezydent miał przyznane prawo weta i Turcy cypryjscy bronili swoich przywilejów z większą determinacją niż cnoty

swoich córek. W rezultacie machina państwowa zgrzytała, grożąc bezwładem.

- Nie jesteśmy partnerami w sprawowaniu władzy, jesteśmy partnerami w cierpieniu — mówił mu Kyriakos podczas ich pierwszego spotkania przed ponad rokiem. Michalakis skontaktował się z tym wyznawcą Makariosa zaraz po tym, jak z Aten odezwał się głos potępienia z ust Grivasa. Przebywający na wygnaniu pułkownik nazwał traktat z 1960 roku kupczeniem sprawą cypryjską. Jedynie *enosis* było do przyjęcia dla zwolenników twardej linii EOKA i byli partyzanci już zarzucali miasta i wsie ulotkami.

Kyriakos mlasnął językiem z irytacją.

— Bezsensowna jest teza, że prezydent zdradza ideę *enosis*. Nawet głupiec widzi, że Makarios prowadzi długofalową grę. Ludzie dostaną szansę przy urnach wyborczych i zagłosują za zjednoczeniem z macierzą.

— Jednak traktat blokuje szanse zarówno na *enosis*, jak i na *taksim*...

— Tak, to prawda, ale istnieje tajny plan — rzekł z wahaniem Kyriakos. — Że nieoficjalny, to oczywiste.

— Powiedz więcej.

Kyriakos przesunął się na krześle, zbliżył twarz do twarzy Michalakis. Ściszył głos, z jego ust wionął zapach czosnku.

— Makarios dąży do zniesienia powolnymi krokami nadmiernych praw przyznanych cypryjskim Turkom i obniżenia ich pozycji do statusu mniejszości etnicznej, która ma się zadowolić uregulowaniami międzynarodowymi, jakie takowych mniejszości dotyczą. Pierwszy etap to wprowadzenie poprawek do konstytucji... oczywiście przy poparciu społeczności międzynarodowej.

Kueuk i jego ludzie w żadnym wypadku nie zgodzą się na poprawki.

— Nie liczymy na ich zgodę. Jeżeli jednak Turcy uciekną się do użycia siły, wówczas wkroczyć ma policja, by przywrócić ład i porządek. Jeżeli temu nie sprostają, do akcji wejdą oddziały paramilitarne, które będą miały rozkaz ograniczenia się do działań niezbędnych dla stłumienia rewolty, i to pod warunkiem że nie spowodują interwencji samej Turcji.

— Chryste, to piekielne ryzyko. Kyriakos pokręcił głową.

— Nie, tylko trzeba dać szansę nowelizacji konstytucji, niech wejdzie w życie. Obecnie republika jest w ślepych zaułku. Nie możemy iść do przodu, nie możemy się cofnąć. Nie możemy nawet, na miłość boską, porozumieć się w kwestiach podatkowych. Rząd tego kraju ma związane ręce z powodu regulacji ustanowionych przez obcych. To fiasko. Nikt nie chce się na nic zgodzić i większość nie może niczego narzucić mniejszości, ponieważ Kuęiikowi przyznano prawo weta. Zgodnie z traktatem na naszej ziemi stacjonują kontyngenty wojskowe Grecji i Turcji; mamy dwie brytyjskie bazy na terenach, które przestano uznawać za nasze; przy tym rząd w obecnych uwarunkowaniach praktycznie nie rządzi. To paraliżująca sytuacja, z jaką nie pogodziłby się żaden kraj na świecie. Jedyna nadzieja w tym, że prezydent wywalczy wreszcie dla tej wyspy prawo do pełnej niezależności. Gdyby ją uznano, byłoby to przez pewien czas krzywdzące dla tureckiej mniejszości, ale ostatecznie okazałoby się korzystne dla wszystkich.

*

Meczet był zatłoczony jak nigdy, nie bywało tak nawet na piątkowych modlitwach, i Mehmet poczuł się niespokojny. Z lewej strony imama twarzą do wiernych stał mężczyzna, który wydawał się znajomy, lecz Mehmet nie potrafił zlokalizować go w tłumie.

zować go w pamięci. Ubrany był po cywilnemu, ale gdy się odezwał, jego głos i słowa zdradzały wojskowego.

- Bracia! — wykrzyknął i wyciągnął ramiona do zgromadzonych mężczyzn, z których część ledwie skończyła trzynaście lat.

- Mówię do was w chwili krytycznej i nie będzie przesady, gdy powiem, że życie nas wszystkich zależy od waszej dyskrekcji i honoru. Z uwagi na naturę spraw, o których was poinformuję, muszę nalegać na to, aby żadne słowo, jakie dziś usłyszycie, nie zostało powtórzone poza tymi świętymi murami, ani w waszym domu, ani w pracy, ani w kawiarni. I chociaż sprawia mi to ból, przysięgam na Święty Koran, który trzymam w ręku, że jeżeli ktokolwiek z was złamie nakaz milczenia, zostanie surowo ukarany w tym życiu i w przyszłym.

Gdy przerwał, żeby złapać oddech, Mehmet rozejrzał się wokół siebie, ale żadnemu z wiernych wpatrzonych w obcego mężczyznę nawet nie drgnęła powieka.

— Bracia — ciągnął tamten — pójdźcie teraz za przykładem waszego hodży.

Imam wysunął się do przodu i pocałował świętą księgę. Twarz mu jaśniała powagą. Głośno i wyraźnie złożył przysięgę:

— Przysięgam na Allaha i na Święty Koran, że wszystko, co widzę i słyszę tu dzisiaj, zabiorę ze sobą do grobu. Wiem, że jeśli złamię tę przysięgę, zostanę za to zabity, i zgadzam się na taką karę.

Podczas gdy Koran przekazywany był powoli z rąk do rąk, Mehmet obserwował w oszołomieniu, jak chłopcy, którzy wciąż byli dziećmi, powtarzali te słowa za swymi ojcami, a dziadkowie wysłuchiwali ich zobowiązania ze łzami dumy w oczach. Kiedy przyszła na niego kolej, Mehmet złożył przysięgę, wiedząc, że jej dochowa, lecz drżąc z niepokoju w oczekiwaniu na wyjawienie owego sekretu.

Koran wrócił do rąk bojownika, wyraźnie zadowolonego, że zgromadzeni są mu posłuszni.

— Bracia — odezwał się znowu — ta wyspa lada chwila wpadnie w szpony Grecji. Nikomu z waszych sąsiadów Greków nie podoba się nasze pełnoprawne uczestnictwo w rządzie republiki i zapewniam was, iż pracują nad tym, żeby spełniło się ich marzenie o *enosis* bez względu na koszty. Są nawet gotowi nas wymordować.

Zrobił przerwę, żeby zebrani wchłonęli grozę jego słów, i w tym czasie wędrował wzrokiem po rzędach oczu wpatrzonych w niego. Mehmet zarumienił się, poczuwszy na sobie jego badawcze spojrzenie.

— Tak, wiem — ciągnął mówca, jakby odczytując myśli nielicznych. — Wiem, że ta wieś uniknęła widoku krwi obficie przelanej wszędzie indziej na tej wyspie, ale są wśród was tacy, którzy musieli oddać winnice i sady pod greckie bazy. Straszono wasze dzieci, od trucizny padały wasze zwierzęta, strzelano do waszych osłów. Bracia moi! Gdyby Grecy zrobili tylko tyle, moglibyśmy dziękować Allahowi za łaskawość. Ale mówię wam, mówię wprost, oni przygotowują takie plany, że to, cośmy na razie wycierpieli, wyda nam się rajem. Nasz wywiad przekazuje ze stolicy informacje, że EOKA zamierza chwycić znowu za broń i siłą opanować wyspę, by ją oddać Grecji. Czy macie dożyć takiego dnia, czy wyobrażacie sobie, jak będzie wyglądało wasze życie? Odsunięci od faktycznej władzy, zmuszeni do milczenia pod żelazną stopą Aten, zdegradowani do poziomu chłopów, wy, potomkowie królów! Mówię z całą powagą: to tylko kwestia czasu, kiedy żądna krwi bestia pojawi się w waszej wsi. Musimy zacząć działać zaraz. Odtąd jesteście w pogotowiu i nalegam na wspieranie nas, bo wszyscy jesteśmy braćmi. Przyszliśmy tu dla was i obiecuję, że wkrótce wezwiemy was do działania.

Kiedy skończył, w meczecie rozległ się pomruk aprobaty.

- Prawdę mówi — odezwał się starszy pan obok Mehmeta, a napotkawszy jego spojrzenie, kontynuował: — W zeszłym tygodniu kierowca autobusu nie otworzył drzwi, gdy chciała wsiąść moja żona, chociaż stała na przystanku w Kyrenii i było jasne, że czeka. Pytam, kim jest człowiek, który kieruje swoją nienawiść przeciwko starej kobiecie? Wiadomo, to Grek. Przeklęty Grek.

Mehmet dotknął lekko jego ramienia i wyszedł. Ledwie znalazł się za drzwiami meczetu, przypomniała mu się Afrodyta i zastygły w jej oczach strach przed śmiercią. Zamyślił się także nad wrogością, z jaką coraz częściej spotykał się na targu. W powietrzu wisiała zmiana. Nadejdzie? Pomruk pioruna sygnalizował początek jesiennych burz. Mehmet zadrżał, lecz nie z zimna, tylko z lęku.

Obudziła się na łoskot przetaczającego się po niebie grzmotu.

Wytrącona ze snu przesunęła ręką po zmiętym i wilgotnym prześcieradle. Przewracała się i rzucała w nocy nawiedzana przez niechciane sny, a teraz wysychające plamy potu chłodziły skórę. Skronie jej pulsowały i waliło serce, owionął ją chłodny powiew wiatru. Wyszła z pokoju i zeszła po zewnętrznych schodach.

Pod stopami poczuła twarde, ale swojski bruk, jej włosami targnął wiatr kołujący w pułapce portu i jednocześnie spadły pierwsze krople deszczu. Jej zmysły były całkowicie odrętwiałe. Nie czując zimna, biegła z wiatrem, który z oświetlonej latarniami ulicy pchał ją w ciemność. Gładki bruk zmienił się w zwir. Ostre kamyki kłuły w stopy, a mokra koszula nocna oblepiała nogi. Przyspieszyła biegu, uciekała przed tym wszyst-

kim, co zostawało za nią. Krew waliła jej w uszach z każdym oddechem.

Od momentu, gdy bosymi stopami dotknęła ziemi, Praxi wiedziała, dokąd biegnie, a szalejąca burza grzmiała zachętą i błyskawicami oświetlała jej drogę. Czuła, że siły natury ją wspomagają, pchają naprzód, każą walczyć.

Gdy zbliżyła się do tego domu, zwolniła na widok migoczącej w oknie świecy. Szyba była zamglona od jego oddechu, wyczuwała, że tam jest. Nigdy nie widziała tego miejsca, ale słuchała w kawiarni gadaniny o tym i owym przy opróżnianiu przez gości kolejnych filiżanek kawy, dzięki czemu miała w głowie wizję domu, który sobie zbudował; rozpoznałaby każdy kamień. W wyobraźni milion razy przemierzała izby, w których powinni mieszkać obydwój.

Pomalutku zbliżyła się do światła, ale zanim zdążyła zapukać do drzwi, same się otworzyły. Spotkały się jej i jego oczy. Za jego plecami Maria zapinała płaszcz.

— Loukis...

— Co, na Boga?

Patrzył na małe stworzonko stojące przed nim. Była przemoczona do suchej nitki, gołe nogi miała zachlapane błotem i podrapane. Maria stanęła obok Loukisa, zaskoczenie i wściekłość brzydko ściągnęły jej twarz.

— Zamknij drzwi! — zażądała, próbując go wciągnąć do środka. Strząsnął jej rękę i zrobił krok w stronę Praxi.

— Musiałam cię zobaczyć — wyszeptwała.

— Zamknij drzwi! — piskliwie wrzasnęła Maria. Loukis spojrzał na nią ostro i zamknął drzwi... za sobą, ją zostawiając samą wewnątrz.

— Trzeba cię odprowadzić do domu — powiedział kategorycznie, lecz Praxi wywinęła mu się i z wrodzoną dzikością

chwyciła go za twarz. W oczach miała determinację, unikał jej wzroku.

- Musisz mi coś przysiąc! — krzyczała, przyciągając go do siebie. — Przysięgnij na wszystko, co nas łączyło, że nigdy mnie nie zdradzisz!

— Praxi, dość...

- Nie wolno ci się ożenić z Marią! Jeżeli to zrobisz, zabijesz mnie, więc raczej weź do ręki swoją strzelbę i strzel mi w głowę. Przymknij, Loukisie, że się nie ożenisz! Przymknij, że tego nie zrobisz!

Loukis przyklęknął przed nią.

— Jak możesz mnie o to prosić?

— Bo do mnie należysz! — odkrzyknęła. — Zawsze należałeś tylko do mnie i przysięgam na życie, że nie oddam cię nikomu! Nigdy! Jesteś mój aż po grób, mój, póki ziemia się kręci! Dlatego mogę o to prosić, Loukisie! Dlatego mogę!

Po tych słowach osunęła się przed nim na ziemię, tracąc przytomność.

W kolejnych latach, kiedy polityczny pragmatyzm pozwolił na trochę oddechu i refleksji, Michalakis osobiście przewidywał, że względny spokój skończy się jak za naciśnięciem guzika.

W listopadzie 1963 roku prezydent Makarios ujawnił projekt zmiany konstytucji. Trzydzieści poprawek miało znieść wice-prezydenckie weto oraz podział na greckie i tureckie rady miejskie. Przedstawił propozycję jako niezbędną próbę przezwyciężenia przeszkód paralizujących rząd i stojących na drodze do pojednania dwóch społeczności, ale nie był w stanie ukryć tego, że zmiany będą działały na korzyść etnicznej większości.

W następnym miesiącu Turcja zaprotestowała przeciwko poprawkom i w ciągu kilku dni wyspa znowu zmieniła się w beczkę prochu. W Nikozji wysadzono w powietrze pomnik greckiego bohatera EOKA, w odwecie patrioci greccy chwycili za broń. Bojownicy z TMT (Organizacji Bojowej Turków Cypryjskich) rozmieścili na dachach meczetów stanowiska karabinów maszynowych. W stolicy oddzielono buforową strefą części grecką i turecką. Szesnastego grudnia wezwano policję

do kłótni o prostytutkę w tureckiej części Nikozji. Zebrał się wzburzony tłum, padły strzały i uśpiona przez trzy lata wrogość wybuchła z całą siłą.

W ciągu dwóch pierwszych dni zamieszek zginęło sześć osób, Grecy w policji i żandarmerii zostali postawieni na nogi, a Turcy w analogicznych siłach rozbrojeni. Pod koniec trzeciego dnia doliczono się siedemnastu poległych Turków cypryjskich i jedenastu cypryjskich Greków, a walki rozszerzyły się na inne miasta wyspy: Larnakę, Famagustę, Limassol, Pafos i Kyrenię. Samorzutnie organizowały się lokalne oddziały uzbrojone w moździerze, strzelby, karabiny automatyczne i wyposażone w broń buldożery. Odcięto łączność telefoniczną skupiskom tureckim i po obu stronach brano szturmem w niewolę całe wsie. Walki się nasilały i pod koniec miesiąca dzwony obwieszczające Boże Narodzenie konkurowały w stolicy z rykiem tureckich bombowców wysyłanych na loty ostrzegawcze. Wybuchła panika, gdy rozeszły się wieści o trzech tureckich desantowcach, które wpłynęły na wody terytorialne Cypru. Prezydent Makarios ogłosił zawieszenie broni. Brytyjczycy, którzy dotąd próbowali uniknąć uwikłania się w kryzys, szybko rzucili na wyspę siły rozjemcze, żeby spacyfikować obie społeczności i uspokoić obawy świata, że dwa państwa członkowskie NATO, Grecja i Turcja, staną przeciwko sobie. Dzień po zawieszeniu broni wymieniono jeńców, ale szkody były nieodwracalne. Współpraca między dwiema społecznościami na Cyprze została zerwana, Turcy wycofali się z rządu, by już nigdy do niego nie wrócić.

W napiętej atmosferze impasu na wyspie Michalakis przyłączył się do grupy zagranicznych dziennikarzy zaproszonych do obejrzenia zniszczeń na jednym z przedmieść Nikozji. W Kumsal wprowadzono ich do domu, gdzie pod butami

chrzęściło rozbite szkło. W kącie jednego pokoju leżał przewrócony dziecięcy rower. W drugim ciało kobiety z roztrzaskaną przez kulę głową. Któryś z reporterów, Brytyjczyk, mamrotał coś z oburzeniem, ale gdy grupa weszła do łazienki, zamilkł na widok sceny, która ukazała się ich oczom. W spryskanej krwią wannie zobaczyli zwłoki trojga dzieci rzucone na ciało zamordowanej matki. Zszokowanych dziennikarzy poinformowano, że dom to własność tureckiego majora. Z jego rodziny zostały tylko te ciała, był też trup sąsiadki, która znalazła się w niewłaściwym miejscu w bardzo niewłaściwym czasie.

Gdy wyszli z tego domu, Michalakis odłączył od grupy. Skręcił za róg i oparłszy się o mur, zwymiotował śniadanie. Wiedział, że makabryczny widok zostanie z nim już na zawsze. Ta masakra nie tylko wyzwoliła w nim odrazę do rodzaju ludzkiego zdolnego do takiego bestialstwa, ale także wprawiała go w osłupienie, ponieważ ciała zmarłych wystawiano na widok osób postronnych jak gnijące dowody rzeczowe w sądowej farsie, a było to pięć dni po tym, jak ci nieszczęśnicy zostali zamordowani.

*

— Wskaż mi zwierzę obrzydliwsze od Turka!

Victor rzucił kurtkę na stołek, wszedł za kontuar baru i sięgnął po butelkę brandy. Yiannis naszykował szkło i zamknął drzwi na klucz. Szklaneczki postawił na stoliku blisko kominka. Światło było zgaszone, świece dopalone do końca.

Kiedy Victor przysunął się z krzesłem, płomienie z kominka rzuciły tańczące cienie na jego brwi. Yiannis patrzył na niego jak zahipnotyzowany: młody oficer miał prawdziwie klasyczny grecki nos, który zwieńczał jego piękne, wyraziste rysy.

- Ciężki miałeś dzień? — zapytał, częstując gościa papierosem.

- Czy bywają inne? — odparł Victor.

Dotknął bandaża na przedramieniu. Poprzedniego dnia został ranny w potyczce. Po walkach w stolicy żołnierze tureccy opuścili koszary, żeby przejąć kontrolę nad drogą z Kyrenii do Nikozji. Oddziały Greków cypryjskich, dowodzone przez Vic-tora i innych oficerów, walczyły zaciekle, żeby odzyskać strategiczną przełęcz, ale poniosły dramatyczną klęskę, tak więc Turcy pozostali na swoich pozycjach i ich snajperzy mogli strzelać do woli.

— Ciężko to przyznać, ale zostaliśmy zręcznie wymanewrowani przez Turków — rzekł Victor. — Prezydent zabawiał się w gry polityczne, a w tym czasie Turcy cypryjscy zbroili się, otrzymując dostawy z Turcji. Wycofali się do swoich bastionów, tak naprawdę realizując pod naszym nosem ideę *taksim*, i wyreżyserowali sytuację dającą Turcji pretekst do interwencji, bo podnieśli wrzask, że ich się morduje, a przecież to oni sami mordują swoich.

— Chytra nacja, trzeba przyznać — mruknął Yiannis. Przemknęło mu przez głowę, że rzucił nedorzecznie banalny komentarz, ale na niewiele mógł się zdobyć. Był całkiem rozkojarzony.

— To wszystko ich propaganda — ciągnął Victor. — Te ich tak zwane morderstwa. Chcesz znaleźć prawdziwych zabójców? Podpowiem ci: szukaj ich w tureckich slumsach. Tam znajdziesz karabiny z krwią na lufach. Wiemy dobrze, że ci barbarzyńcy nawet okiem nie mrugną, mordując swoich braci dla dobra sprawy.

Yiannis kiwnął głową i dołączył brandy do szklaneczek. Twarz miał już zaczerwienioną, bo pił w oczekiwaniu na przyjście

Victora, a teraz walczył usilnie, żeby nie skupiać uwagi na jego wilgotnej dolnej wardze.

— Policja jest w waszych rękach? — zapytał. Victor zaśmiał się krótko i gorzko.

— Na razie tak, ale nie wiem, jak długo to potrwa. Mimo że kraj jest w niebezpieczeństwie, nasi przywódcy nie mają ducha walki.

— Nie możemy z nich zrezygnować! — krzyknął Yiannis z przejęciem. — Potrzebni są do negocjacji i w ogóle...

Victor stuknął dnem swojej szklaneczki o brzeg szklaneczki Yiannisa, dając tym znak, że się z nim zgadza. Wprawdzie żołnierze tureccy przejęli kontrolę nad drogą, ale cypryjscy Grecy szybko zareagowali, ochraniając Kyrenię, a w Boże Narodzenie aresztowali policjantów z formacji tureckiej. Mieli dzięki temu zakładników i mogli grozić, że ich zabiją w razie interwencji Turcji.

— Problem w tym — rzekł Victor, odgarniając gniewnym gestem włosy z twarzy — że to my jesteśmy postrzegani jako agresorzy. Zapomina się, że gdy dojdzie do połączenia Cypru z macierzą, Turcja zrobi wszystko, by nie mógł nas ogrzać matczynej oddech Grecji. Zapomina się, że Turcy prześladowali nas przez wieki. Zapomina się o tureckim ludobójstwie w czasie pierwszej wojny światowej! Mówię ci, Yiannisie, Turcy i ich tutejsze bękarty dobrze to rozgrywają. Turcy cypryjscy odwracają się od rządu z powodu kilku drobnych poprawek do konstytucji; wyciągają ludzi z pracy, twierdząc, że są zastraszeni; zapędzają ludność do enklaw, żeby mieć tam wsparcie; przejmują kontrolę nad najbardziej strategiczną drogą na wypadek inwazji; a potem, i to jest naprawdę genialnym conceptem, płaczą, że są ofiarami, by Grecja i Makarios zostali zganieni przez zagranicę. Powiem jeszcze, że twój prezydent nie pomaga,

zalecając się do Sowietów. Ameryka i jej sprzymierzeńcy nie będą narażać swoich bezcennych baz szpiegowskich. Uwierz mi, Makarios źle to wszystko rozgrywa.

_ Potrzebujemy więc Grivasa — rzekł ugodowo Yiannis, po raz czwarty tego wieczoru napełniając szklaneczkę przyjaciela.

_ Być może — zgodził się Victor. — Z pewnością potrzebny jest człowiek niepuszczający oka z celu, tylko wtedy uda nam się wziąć Cypr w ramiona. — Zrobił przerwę, porozumiewawczo uśmiechnął się do Yiannisa i dodał: — Należymy do siebie.

Nachylił się potem w jego stronę i wreszcie go nagroził, na co Yiannis tak pożądliwie czekał.

Przez trzy tygodnie Praxi dryfowała w malignie, to odzyskując, to tracąc przytomność, powalona gorączką, która pokryła szkarłatem jej twarz i splątała włosy. Przyszedł doktor, ale nie pomógł, więc zrozpaczona Elena szukała ratunku u Despiny, która przyniosła papkę z ziół na twarz i dwa wiaderka. Natychmiast to z rozmarynem napełniła gorącą wodą, a drugie, z lodem na dnie, wodą zimną.

Gdy obydwie zajmowały się przepędzeniem choroby, którą Despina nazwała „paniką”, bawiła się przy nich Elpida. Despina spozierała na nią z ciepłymi błyskami w oczach, co napełniło serce Eleny niepokojem i goryczą. Kiedy Elpida zawołała ją do okna, pokazując mężczyznę z czarnymi oczami stojącego przed gankiem, Elena szybko podziękowała Despinie za pomoc, mówiąc, że dalej sama zajmie się córką.

Kto to jest, *yiayia!* — dopytywała się Elpida, gdy drzwi zamknęły się za Despiną.

Wstydząc się samej siebie, Elena wyjaśniła wnuczce, że to znany we wsi wariat.

*

Przez lata Yiannis czekał każdej nocy na wschód słońca, by móc uciec z łóżka, ale tego ranka, gdy jego oddech muskał plecy Victora, nie wyobrażał sobie, że mógłby się znaleźć w miejscu bliższym raju. Ostatnio wydawało mu się, że świt przychodzi za wcześnie, kiedy miał jeszcze snem zalepione oczy, ale też chyba nigdy jeszcze do tego stopnia nie doceniał spokoju i z całego serca życzył sobie, by przebudzenie do rzeczywistości przenigdy nie nastąpiło — niechby żona została u matki na zawsze.

Podczas krępującej jak zwykle między nimi rozmowy Elena wyjaśniła mu, że Praxi miała epizod lunatyczny i dlatego powędrowała nocą daleko do wsi. Yiannis był świadkiem wędrowania Praxi we śnie i z łatwością przyjąłby taką wersję, gdyby nie to, że złapał ją również na zdradzie. I chociaż minęły trzy lata i nie dostarczyła nowych dowodów niewierności, nie mógł się pozbyć wrażenia, że znowu został wystrychnięty na dudka. Mimo to, dziwiąc się sam sobie i nawet wstydząc tego, zdał sobie sprawę, że mało go obchodzi, co wyczynia Praxi, póki nic o tym nie wie dziecko i sąsiedzi. Irytujące oczywiście było wyobrażanie sobie żony w ramionach na pół zdziczałego robotnika rolnego, ale nie miało to nic wspólnego z zazdrością. Raczej zdejmowało z niego ciężar własnej winy.

Zachowanie Praxi bardziej go poruszyło nieco ponad rok temu. Podejrzewał wówczas, iż wznowiła romans, bo przy każdej sposobności wymykała się do kościoła. Wtedy jednak wciąż doskwierało mu poczucie upokorzenia, jakiego doznał we własnym domu. Potem, gdy przekonał się, że Praxi nie

oszukuje i naprawdę chodzi do kościoła, wściekłość w nim wygasła, bo uwierzył w nawrócenie żony pod ciężarem winy. Chociaż szybko wygasł również zapał pokutny Praxi, Yiannis uznał, że wszystko jest w porządku i może się trzymać na dystans, a im dłużej to trwało, tym bardziej obojętniał wobec kobiety, którą poślubił. Nie można natomiast powiedzieć, by nie tęsknił za córką. W pierwszym tygodniu zdrowienia Praxi był bliski ściągnięcia jej do pomocy w barze, tak źle znosił ciszę w domu pod nieobecność Elpidy. Wtedy jednak, jak gdyby los tak chciał, pojawił się Victor.

Poznali się przed trzema miesiącami. Macierz Grecja ukradkiem zalewała wyspę swoimi oddziałami i ku skrytej radości Yiannisa Victor stacjonował ze swoimi żołnierzami w jednym z obozów na zachód od Kyrenii. Po jego pierwszej wizycie w kawiarni, kiedy przyszedł w gronie innych oficerów, stał się regularnym bywalcem i przy jakiejś okazji opowiadał nawet o pozostawionej w kraju żonie i dwóch synkach. A mimo to Yiannisowi wydawało się, że natarczywe spojrzenia Victora dają wiele do myślenia.

To było osiem dni po tym, jak Praxi bosobiegła do wsi. Gdy ostatni goście rozeszli się do domów, Victor zaofiarował mu pomoc przy sprzątanii. Yiannis wyraził wdzięczność i od razu wyczuł zmianę atmosfery, tak że ledwie panował nad trzęsącymi się rękami, kiedy znosił do zlewu filiżanki z osadem po kawie i kufle z zaschniętą pianą. Odkręcił kran i gdy woda lała się na naczynia, za jego plecami stanął Victor i sięgając po ścierkę, powoli przesunął brzuchem po jego pośladkach. Yiannis odwrócił się twarzą do oficera i już nie wrócił do zmywania.

Po ich pierwszej wspólnej nocy Victor przez trzy dni nie pokazywał się w kawiarni, a Yiannis zaczął odczuwać naras-

tający wstyd na wspomnienie tego, co zrobili. Tracił też nadzieję na powrót Victora, aż tu czwartego dnia ten z rozmachem otworzył drzwi i wszedł z uśmiechem, który mówił, że Yiannis nie ma się czego obawiać poza własnymi wątpliwościami.

Yiannis nie ośmielał się nigdy marzyć, że zazna tyle radości, i to nowe przeżycie pochłaniało wszystkie jego myśli. Nie zawsze było tylko przyjemnie. Victor był dumnym mężczyzną, z pewnością siebie wygłaszał opinie, które uderzały z mocą twardych faktów. Kiedy Yiannis otworzył się przed nim i opowiedział o małżeństwie bez miłości, o uczuciu Praxi do Loukisa i o zdradzie Victor nie szczędził mu słów pogardy.

— Gdyby to była moja żona, zabiłbym ją... albo jego... najprawdopodobniej obydwójce.

Victor obrócił się na łóżku i podparł głowę ręką.

— Są takie momenty, kiedy trzeba być mężczyzną — dodał jeszcze i te słowa ugodziły Yiannisa w samo serce, jak dźgnięcie mieczem.

Pilnował się potem, by nie mówić o żonie, tym bardziej że przypała mu do gustu przejściowy status mężczyzny żyjącego samotnie; niestety, Victor był dociekliwy. Kiedy wyszło na jaw, że facet, z którym sypiała Praxi, mieszka u Turków, grecki oficer z obrzydzenia niemal splunął Yiannisowi w twarz.

— Pozwalasz żonie brykać ze zdrajcą to plama na twoim honorze, której nie zmyjesz do końca życia — szydził.

Teraz, patrząc w bladym świetle rodzącego się ranka na kształtne nagie plecy Victora, Yiannis wciąż z trudem przetrwał obelgę.

*

Pembe taszczyła akurat kosz z polanami do domu, gdy zobaczyła, że przy bramie zatrzymuje się jakieś auto. Postawiła

kosz i wyprostowała się, by powitać gości, ale ją zignorowali i poszli prosto do domu Loukisa. Nie spodobały jej się takie maniery, ale tylko wzruszyła ramionami i podniosła kosz. Przed drzwiami obejrzała się jeszcze i włosy stanęły jej na głowie. Mężczyźni spod długich płaszczy wyciągnęli łańcuchy i drągi. Gdy podchodzili pod dom Loukisa, podsunęli szaliki w górę, zakrywając nimi twarze.

Dwaj stanęli z jednej i drugiej strony drzwi, a trzeci zapukał.

— Loukisie, nie! — krzyknęła Pembe.

Niestety, otworzył drzwi i ledwie uniósł brwi w zdziwieniu, już dostał pałką po brzuchu. Dwaj napastnicy chwycili go za ramiona i powlekli do jabłoni. Pembe, biegnąc po męża, widziała, że przywiązują Loukisa do drzewa. Krzyczeli, że jest „kochającym Turków zdrajcą”. Słyszała to tak wyraźnie, jakby to ona sama stała przywiązana do pnia.

Prawie od dziesięciu lat Pembe niechętnie przyspieszała kroku, więc gdy mąż zobaczył ją śmigającą między oliwnymi drzewami, przeraził się.

— Ratuj Loukisa! — krzyczała. — Przyszli go zabić! Mehmet odrzucił kosę i chwycił żonę za ramiona.

— Gdzie on jest?

— W sadzie. Przy drzewie. Na Allaha, Mehmece, pomóż mu!

— Zostań tu! — nakazał.

Pobiegł do traktora, który stał na skraju sadu. Zapukał silnik i z hukiem ruszył alejką wijącą się przez posiadłość. Usta układały się w modlitwę, by dane mu było zdążyć. Nie czuł lęku, tylko pragnienie, żeby uratować chłopaka, a gdy wyjechał z zakrętu, doznał szoku, widząc scenę prawdziwego barbarzyństwa. Broda Loukisa odbijała się od jego piersi przy

każdym ciosie w głowę, z ust ciekła mu krew, łańcuch wrzynał się w ramiona przez poszarpane rękawy bluzy. Mehmet wjechał w bramę, poleciały drzazgi.

— Zostawcie go, dranie!

Jechał ostro, traktor podskakiwał na białych kamieniach. To Marios ułożył niedawno ścieżkę prowadzącą do drzwi frontowych domu Loukisa. Zrobiwszy skręt w prawo, Mehmet kierował się wprost na drzewo jabłoni.

— Zostawcie go! — wrzasnął na całe gardło, aż ochrypl. Gdy podjechał blisko, mężczyźni odwrócili się do niego twarzami. Przejechał obok nich, potracił jednego, rozległ się wrzask zaskoczenia. Mehmet zawrócił z furją, spod kół poleciały kamienie i kępy trawy. Teraz najeżdżał prosto na nich, szykowali się do ataku i wtedy usłyszał odgłos wystrzału. Odwrócił głowę i zobaczył żonę, delikatną staruszkę, spokojnie ładującą kolejny nabój do myśliwskiej strzelby.

Napastnicy wymienili spojrzenia, jeden z nich trzasnął jeszcze Loukisa pięścią w twarz i ruszyli pędem do chevroleta.

*

Despina szykowała napar z selera dla Mandaleny, córki piekarza, kiedy nadjechał Mehmet, ostro pokonując traktorem zakręt. Na wieść, że jej syn został pobity, Despina błyskawicznie wpakowała do torby wszystko, co mogło się okazać potrzebne, a gdy pojawiła się zapowiedziana dziewczyna, wskazała dzbanek z herbatą i przeprosiła, że nie może się teraz zająć nią i stanem zapalnym jej pęcherza. Natychmiast pobiegła do chaty Loukisa, a Mehmet pojechał do budki telefonicznej, żeby wezwać lekarza.

Widząc syna leżącego na łóżku — mocno poturbowanego, całego w siniakach i ledwie przypominającego jej ukochanego

chłopca — Despina przystąpiła do działania. Macając palcami jego zakrwawioną głowę, odkryła na niej cztery wielkie guzy; stwierdziła, że Loukis ma złamany nos i wybite dwa ząby, na szczęście z tyłu; badając puchnące w oczach ciało, znalazła paskudne krwawe rozcięcia na ramionach, klatce piersiowej i udach, a na jednym kolanie podejrzaną dziurę.

- Czy dźgnęli cię także nożem? — spytała, stawiając na piecu garnek z wodą.

Loukis próbował odpowiedzieć, ale w poranionych ustach słowa zamieniły się w bełkot.

— Czy dźgnęli cię nożem? — powtórzyła pytanie Despina, czując narastającą furię.

— Kijem! — Loukis wy dobył z siebie jedno słowo i zamknął oczy, walcząc bezskutecznie z bólem.

Nim przyszedł doktor, Despina obmyła zranienia miksturą z tasznika pospolitego, którą przyniosła ze sobą. Doktor uśmiechnął się z uznaniem i wyjął z walizeczki własne akcesoria.

— Cztery złamane — oznajmił po sprawdzeniu żeber. — Oddychanie w normie.

Gdy skończył bandażowanie klatki piersiowej, wprawnymi rękami obmacał twarz Loukisa.

— Może troszkę zabołec — powiedział miękko.

Ujął nos leżącego w palce i zręcznie go nastawił, ale zachręściło nieprzyjemnie. Loukisowi z oczu popłynęły łzy, a z ust wyrwało się przekleństwo. Zważywszy na okoliczności, Despina go nie strofowała.

Skończywszy zabiegi, lekarz przepisał środki przeciwbólowe i zalecił leżenie. Despina, choć nieprzekonana do wymysłów nauki medycznej, pogodziła się z podawaniem synowi pigulek, żeby tylko nie cierpiał z bólu.

Kiedy doktor wyszedł, obiecując, że przyjdzie z wizytą następnego dnia, zmieniła pościel. Pomagając Loukisowi wgramolić się z powrotem na materac, pocałowała go w czoło, potem zasunęła zasłony w oknach. Tłumiony dotąd szloch wyrywał jej się z piersi, więc wyszła z domu. Czekali na nią Mehmet i Pembe. Staruszka też miała twarz we łzach. Despina podeszła do niej i delikatnie je otarła, nie szczędząc słów wdzięczności.

— Nie dziękuj nam — odparła Pembe, łkając. — Gdyby nie my... gdyby Loukis tu nie mieszkał...

Wtuliła twarz w miękką pierś męża, nie będąc w stanie mówić dalej.

— Niech nas Allah strzeże, Despo — dokończył za nią Mehmet. — Pembe ma rację. Słyszała, co te oprychy wykrzykiwały, atakując twojego chłopca. To naprawdę stało się przez nas, dlatego że tu z nami mieszka, z dwojgiem cypryjskich Turków. Nazwali go zdrajcą.

Despina podniosła ręce do twarzy i gniewnie potrząsnęła głową.

— Mój syn nie jest zdrajcą! A wy nie jesteście winni temu, co zrobiły te kanalie. To oni są winni, na tej wyspie oni są zdrajcami. Podłe kreatury, oto kim są. To, co zrobiliście dzisiaj... mój Boże... Mehmece... Pembe... uratowaliście życie mojemu synowi.

Nie była to pora ani miejsce na przierzucanie się argumentami, więc staruszkowie podziękowali Despinie za gorące słowa, ale nadal poczuli się do winy i zaciążyła im jeszcze bardziej, gdy pojawiła się reszta rodziny Loukisa.

Kiedy Georgios spojrział na opuchniętego, bledziutkiego syna, ogarnęła go wściekłość i oznajmił, że wzywa policję. Loukis wymamrotał coś w proteście, a Despina oświadczyła stanowczo,

że nie życzy sobie, aby cała wieś mieszała się w ich sprawy. Nikt się nie dziwił, że Marios, który przybiegł zobaczyć, co się dzieje, wybuchnął płaczem. Christakis próbował się otrząsnąć z poczucia bezradności, wypytując o wszystko Mehmeta i Pembe.

W ciągu kolejnych dni stan Loukisa powoli się poprawiał, od cienkich zup przeszedł na potrawkę z soczewicy, ale uparcie odmawiał rozmowy o napadzie.

— Jak się czuje Praxi? — Takie ku rozpaczy Despiny było jego pierwsze konkretne pytanie.

— Czuję się dobrze, wróciła do Kyrenii — skłamała. Loukis sprawiał wrażenie, jakby znowu dostał mocno

w twarz, ale Despina jako matka na razie troszczyła się tylko o jego zdrowie. Troskę o uczucia syna odsuwała na później.

Kiedy przyszedł do siebie na tyle, że mógł już się ubierać bez pomocy rodziców, na poważną rozmowę zjawił się Christakis.

— Pembe mówi, że napastnicy przyjechali chevroletem — poinformował brata.

Obydwaj wiedzieli tylko o jednym takim aucie w sąsiedztwie, więc olbrzym czekał na reakcję. Loukis milczał.

— Pójdę do niego — powiedział wreszcie Christakis.

— I co zrobisz? — zapytał Loukis.

— A jak myślisz? Zrobię mu z gęby miazgę.

Loukis spojrzał na potężną pięść brata i nawet się uśmiechnął. Zbyt często dostawał od niego niezłe lanie, gdy byli jeszcze wyrostkami, by nie mieć szacunku dla jego siły. Pokręcił jednak głową.

To nie twoja bitwa.

Słuchaj mnie, Loukisie, jeżeli ktoś podnosi rękę na

któregoś z nas, podnosi rękę na nas wszystkich. — Gdy to mówił, łza spłynęła mu z oka i zginęła w gęstym wąsie.

— Muszę to przemyśleć — rzekł mu Loukis. Christakis otworzył usta w proteście, ale brat go ubiegł.

— Powiem ci we właściwym czasie — przyrzekł. — Teraz nie pora, jeszcze nie jestem gotowy.

Christakis niechętnie kiwnął głową. Spieszno mu było, żeby oddać draniom wet za wet, ale nie do niego należała inicjatywa. Kiedy wyszedł, u Loukisa zjawili się Mehmet i Pembe, żeby spędzić z nim wieczór. Przynieśli miche mięsa z ziemniakami, co ich ratowało w momentach niezręcznego milczenia, gdyż rozmowa jakoś się nie kleiła.

Przed wyjściem Mehmet sprawdził, czy Loukis ma dość drewna do kominka na nadchodzącą noc, na koniec uścisnął go delikatnie, a Pembe ostrożnie pocałowała w niezagojony policzek. Kiedy księżyc zawisł na niebie i świat pograżył się we śnie, para staruszków wyszła ze swego domu, zamykając drzwi, i z dwiema walizkami pomaszzerowała na koniec wsi na przystanek autobusowy. Zająwszy miejsca, skinieniem głów przywitali się z pozostałymi pasażerami. Wszyscy co do jednego byli cypryjskimi Turkami i nikt nie wyrzekł słowa, ich oczy mówiły wszystko. Kierowca zamknął drzwi i ruszyli na południe.

Następnego dnia rano Despina przyszła odwiedzić syna i zaniepokoiła ją martwa cisza u jego sąsiadów. Drzwi do domu Pembe były zamknięte, ale nie na klucz, więc weszła do środka. Wewnątrz wszystko znajdowało się na swoim miejscu. Naczynia pozmywane, łóżka pościelone, właściwie panował niecodzienny porządek. Zaniepokoiła się jeszcze bardziej. Kiedy wróciła do domu i właśnie chciała opowiedzieć Georgiosowi o swoich obawach, ten ją ubiegł.

- Czy widziałaś Mehmeta i Pembe? — zapytał.

Pokręciła głową.

- Niech Bóg ma nas w swojej opiece — rzekł Georgios.

Opadł ciężko na krzesło przy stole i drżącymi palcami przeczesywał włosy. — Wyjechali stąd, Despo. Turcy uciekli z naszej wsi, wszyscy co do jednego.

Praxi pchnęła okiennice, ale nie drgnęły. Przekrzywiła głowę, żeby sprawdzić, o co chodzi, i uniosła w zdumieniu brwi.

— Mamo? — zawołała. — Dlaczego zabiłaś okiennice gwoździami?

Elena przestała ścielić łóżko, odwróciła się do córki. Przemknęły jej przez głowę różne kłamliwe wyjaśnienia, ale żadne nie miałyby sensu.

— Żebyś nie wychodziła do niego i żeby on nie wchodził do ciebie.

Praxi oparła się o ścianę, osunęła się wzdłuż niej i przycupnąwszy na podłodze, kręciła z niedowierzaniem głową. Matce ośmieliła się powiedzieć, że „padło jej na mózg”. Elena udała, że nie słyszy.

Poczuła się mocno dotknięta niewdzięcznością córki. Przez całe dwa miesiące Praxi toczyła walkę z chorobą, prawdziwą i urojoną, a Elena dzień i noc czuwała przy niej, będąc więźniem we własnym domu — przywiązana do łóżka chorej i oblegana przez wilka, który warował pod drzwiami i nie dawał za wygraną. Nerwy miała kompletnie zszargane; zrezygnowała z poranków przy kawie z sąsiadkami; nie chodziła do kościoła; nawet nie mogła się wyrwać do sklepu. Listę zakupów i pieniądze wciskała każdemu, kto przechodził obok domu. Nie wyobrażała sobie, żeby jakakolwiek inna matka zdobyła się na

takie poświęcenie i cierpliwość. Tymczasem, choć dzięki magii kompresów robionych przez Despinę gorączka zelżała, Praxi odmówiła powrotu do zdrowia, wiła się i rzucała na łóżku, bliska szaleństwa. W końcu straciła energię i apetyt, a Elena musiała na siłę wpychać jej jedzenie do gardła. Potem przyszła depresja i albo z jej oczu ciurkiem lały się łzy, albo leżała ze wzrokiem utkwionym w ścianę, co przyprawiało Elenę o gęsią skórkę. Dopiero po wizycie pani Televantos zaczęła dostrzegać poprawę stanu córki.

W odróżnieniu od żylastego, trapionego bolesnymi hemoroidami męża pani Televantos cieszyła się regularnymi wypróżnieniami i pokazywała światu wydatny brzuch sterczący dumnie nad cienkimi nogami w czarnych pończochach. Wyglądała trochę jak jajko na patykach. Była błyskotliwa i raczej przyjazna, ale przede wszystkim znana z tego, że strasznie plotkowała, i to przywiodło ją do domu Eleny.

Ta zaś po paru miesiącach dobrowolnego odcięcia od świata, znużona wypełnianiem powinności matki, żądna była codziennych nowinek, które przekazywane z ust do ust czyniły wiejskie życie jednocześnie przyjemnym i nie do zniesienia. Mężczyźni mieli kawiarnię, a kobiety sklep spożywczy i piekarnię, przepływ wiadomości nad ładami był szybki i sprawny i nic, co warte uwagi, nie mogło się przemknąć bez komentarza. Mimo obycia z miejscowymi intrygami Elena, częstując gościa pączkami oblanymi syropem, przyznała ku zadowoleniu pani Televantos, że od tego, co z jej ust słyszy, włosy stają na głowie. Pani Televantos, rozemocjonowana tym, że pierwsza przynosi nowiny, miała trudności z ułożeniem szczegółów w klarowną całość, a zaczęła od wiadomości, że Turcy z wioski zniknęli, wszyscy jednej nocy, sześćdziesiąt osiem osób, nawet nie obejrzeliby się na swoje domy. Wstyd powiedzieć, ale „źli ludzie”

wśród nas, Greków, mówiła, natychmiast wykorzystali ten exodus i zaopatrzyli swoje domy w lodówki, podwójne łóżka i inne sprzęty, do których nie mieli żadnego prawa. Doszło nawet do tego, że jeden dom nie tylko splądrowali, lecz także podpalili.

- Ogień nie zajął domu, ponieważ poczciwy Panayiotou, oczywiście Lambros, a nie ta świnia Elias, dusił płomienie własną kurtką, aż mu się rozsypała w rękach. A to była porządna kurtka. Kostas radził mu wziąć jakąś kapotę zostawioną przez Turków, co byłoby sprawiedliwą wymianą, ale pan Panayiotou nawet nie chciał o tym słyszeć. Powiedział, że wolałby raczej nago chodzić, niż kraść czyjąś kurtkę, na co pani Miltiadous zaśmiała się, że nie miałyby nic przeciwko temu, by go nago zobaczyć. A przecież nie było się z czego śmiać. Bo zdarzyła się rzecz hańbiąca, usiłowano spalić dom wczorajszych sąsiadów.

Pani Televantos kłapnęła z oburzeniem szczękami i szybko przeszła do kolejnych interesujących tematów. Powiedziała, że naczelnik wsi jest rozjuszony. Doros przejechał psa, który należał do Eleftheriosa, i sprawcy kazano dać poszkodowanemu w zamian kozę, ale odmówił. Takis, rzeźnik, odciął sobie nożem kawałek palca i teraz wszyscy boją się u niego kupować kielbasę. Kostas Charalambous znowu ruszył z pięściami do żony po popijawie z rolnikiem Fotisem. Mówi się też, że Maria Germanos znalazła się w szpitalu w Nikozji, bo podcięła sobie żyły kawałkiem rozbitego szkła. Jej matka twierdzi, że to nieszczęśliwy wypadek, ale niektórzy powiadają, że próba samobójcza — szepnęła pani Televantos, robiąc znak krzyża i zerkając na Elpidę bawiącą się w kącie lalkami.

Niepewna, czy dziecko przypadkiem nie słucha, uniosła

tylko brwi i kiwnęła głową na znak, że raczej to drugie jest prawdą.
— To straszne — powiedziała Elena, szczerze poruszona nieszczęściem w rodzinie Germanosów. — Czy nigdy nie będzie końca cierpieniom matek?

— Ja na pewno tego nie dożyję — odpowiedziała pani Televantos i sięgnęła po torebkę.

Gdy staruszka wyszła z obietnicą powrotu następnego dnia, Elena zorientowała się, że na progu stoi Praxi. Nie wychodziła ze swego pokoju od dnia, kiedy się tu znalazła, więc Elpida podbiegła do niej szczęśliwa, że matka wreszcie opuściła łóżko.

Tego wieczoru Praxi zdawała się cudownie uzdrowiona: wykąpała się, ubrała i zjadła samodzielnie posiłek. Gdy do tego przechylona nad stołem kroїła mięso na talerzu Elpidy, Elena poczuła, że brzemię odpowiedzialności zsuwa się z jej barków. Niemało siwych włosów przybyło jej z powodu pilnowania wnuczki, by nie wymykała się z domu, i naprawdę była już wyczerpana. Tymczasem następnego dnia Praxi, zanim jeszcze przyzwoicie się ubrała, otworzyła drzwi i wypuściła dziecko na dwór.

— Po co w ogóle się tak męczyłam? — burknęła Elena, na co Praxi ucałowała ją we włosy, prosząc, by się nie martwiła.

— Żadna krzywda jej w wiosce nie spotka — zapewniła, ale obydwie wiedziały, dlaczego Elena z takim uporem trzymała wnuczkę za zamkniętymi drzwiami.

Ośmielona uśmiechem matki, nakręcona nagle wyzwoloną energią, Elpida pobiegła przez ogród i podskoczyła do najbliższej jabłoni, by się pohuścić na gałęzi, potem podskakiwała pod drzewem migdałowym na końcu alejki, zrywając owoce. Wreszcie odwróciła głowę i spojrzawszy na zachęcającą minę matki, wybiegła przez bramę.

Praxi wróciła do domu. Elena siedziała przy piecu z miną manifestującą dezaprobatę.

Despina wytarła zlew, a potem starła kurze z kredensu. Na kolanach usuwała pajęczynę spod toaletki Pembe, a gdy się wyprostowała, pozwoliła oczom spocząć na rzędzie czarno-białych fotografii ustawionych na honorowych miejscach na półkach. Delikatnie odkurzała ramki, z których patrzyły na nią twarze dobrze znane i nieznane w ogóle, co do których mogła tylko snuć domysły. Jedno z najstarszych zdjęć przedstawiało dumnie wyglądającego mężczyznę ubranego w szerokie białe spodnie wsunięte w długie czarne buty ze skóry i w białą koszulę przepasaną paskiem. Na głowie miał fez z chwostem. Czy to ojciec Pembe? — zastanawiała się. A może Mehmeta? Mogła tylko zgadywać, co się z nim stało. Przed ponurą zadumą uchroniło ją wejście Mariosa.

— Swoją pracę wykonałem — oznajmił. — Chce mi się pić. Marios za przyzwoleniem Christakisa wyręczał Loukisa w zajęciach na gospodarstwie.

— Idź do brata, zobacz, co tam u niego, i nalej sobie soku — poleciła Despina. — Ja prawie kończę.

Marios dał matce spokój, by mogła skończyć sprzątanie. Pięćdziesiąt trzy kroki dalej, bo liczył, na krześle siedział już ubrany Loukis i gmerał przy butach. Marios schylił się i pomógł mu zawiązać sznurowadła.

— Muszę się stąd ruszyć — rzekł Loukis. — Duszę się tutaj.

— Dokąd chcesz iść?

— Nie wiem, gdziekolwiek.

— Pójdiesz ze mną odwiedzić Nikosa?

Loukis odczytał prośbę w oczach brata i nie potrafił mu odmówić.

Spacer do kościoła zajął mnóstwo czasu, bo Loukis kuśtykał, bolały go nogi i żebra, a gdy dotarli do grobu Nikosa, z grymasem bólu przysiadł na trawie. Marios podłożył mu pod plecy swoją torbę i zaczął wyrywać chwasty, które przebijały się spod ziemi do życia. Cmokał przy tym z niezadowoleniem.

— Jak często tu przychodzisz? — spytał Loukis. On sam odwiedził zmarłego brata zaledwie kilka razy i miał się czego wstydzić.

— Przychodzę codziennie — rzekł Marios.

— I co tu robisz?

— Rozmawiam z nim... robię porządek, bo chwasty tak szybko odrastają... takie rzeczy... co mi przyjdzie do głowy.

— O czym z nim rozmawiasz?

— Bo ja wiem, chyba o wszystkim. Teraz głównie o tobie i tych draniach, którzy cię pobili. Mówiłem, że powinniśmy pójść na policję, ale Nikos radził, że lepiej wziąć grube kije i tłuc ich, póki nie wyzioną ducha.

Loukis się roześmiał. Dziwne, ale myśl, że zmarły brat odczuwa gniew, była pokrzepiająca, choćby się tak tylko roiło w głowie jego żyjącego bliźniaka. Gdy ostrożnie układał się wygodniej na torbie Mariosa, mignęła mu w oddali lśniąca czernią włosów główka. Popatrzył w stronę bramy cmentarza.

— Ktoś nas szpieguje — powiedział.

Marios rozejrzał się i szeroki uśmiech pojawił się na jego twarzy.

— Elpida! Chodź tutaj i się przywitaj.

Poszedł po małą do bramy i namówił ją, by do nich podeszła. Ciekawość wzięła w niej górę nad niepewnością. Loukisowi wydawała się bardzo malutka, ale w jego oczach wszystkie

dzieci takie były. Chciał się jej przyjrzeć, wykręcał głowę, lecz Elpida chowała się za nogami Mariosa.

- Hej, Elpido *mou*, podejdź, nie bój się, powiedz dzień dobry.

Mała ostrożnie wysunęła się zza Mariosa. Stała oblana słońcem, z jedną nogą wysuniętą do przodu, gotowa zerwać się do ucieczki.

_ Czy wiesz, kto to jest? — spytał Marios, wskazując na brata.

Elpida kiwnęła głową.

— No kto to?

Głęboko zaczerpnęła powietrza.

— To wariat znany we wsi.

Loukis wybuchnął na te słowa głośnym śmiechem, który przeszedł w paskudny grymas, bo przeszył go ostry ból. Marios się nie śmiał, był zadziwiony.

— To nie jest żaden wariat, Elpido. To mój brat Loukis. Elpida otworzyła szeroko oczy. Spojrzała jeszcze na Mariosa,

który uśmiechał się zachęcająco, i zrobiła kilka kroków do przodu.

Powolutku wyciągnęła prawą rączkę i ostrożnie dotknęła twarzy Loukisa.

— Loukis? — spytała.

Trochę oszołomiony niespodziewanym gestem Loukis ostrożnie skinął głową, by rączka się nie cofnęła.

— Loukis — powtórzyła Elpida, ale już zdecydowanie. — Wilk Loukis.

Marios spęczniał z dumy, przypomniawszy sobie prezent, który podarował małej, gdy była jeszcze niemowlęciem.

— Tak! — wykrzyknął. — Tak, Elpido. To wilk Loukis. Jesteś wilkiem. — Mała zachichotała w twarz Loukisa. —

I zawsze będziesz mnie bronił.

Cypr jest najbardziej urokliwy wiosną i częściowo dlatego Loukis zaczął odbywać długie spacery, na które decydował się nie do końca świadomie: budził się gotowy do pracy, ale gdy wciągał buty, odchodziła mu ochota, by zabrać się do zajęć, na jakie poprawa zdrowia już mu pozwalała, i zamiast tego wyruszał w drogę wcześniej, gdy tylko anemony otwierały swe kielichy ku słońcu, i wracał, kiedy je zamykały o zmierzchu. Jeżeli poczuł głód w porze lunchu, kupował coś u nieznanych chłopów, a pragnienie gasił wodą z potoków. Wędrował zboczami ciągnącymi się wzdłuż morskiego brzegu, bielejącymi w słońcu kamienistymi ścieżkami, na które bezprawnie wdzierały się krzaki, wspinał się wysoko w góry, gdzie spokoju nie zakłócały już ani patrole, ani snajperzy. Właściwie było mu wszystko jedno, dokąd idzie, byleby udało się uniknąć ludzi.

Od czasu do czasu mijał go samochód z turystami z południa, ale po sekundzie znikał i znów powracały wrzaskliwe nawoływania i przekomarzania ptaków, by przekrzyczeć harmider jego myśli.

Gdziekolwiek się obrócił, oczy syciły się kolorami: łąki

grały barwami karminowych cyklamenów oraz białych i żółtych narcyzów; czarne tulipany wyzierały między zielonymi pędami pszenicy; na tle szarości kamieni czerwieniały kwiaty posłonka z błyszczącymi żółtymi oczkami. Matka nazywała Kyrenię klejnotem Cypru. Dla Loukisa to wiosna otwierała szkatułę pełną klejnotów: przed nim barwami błękitu, fioletu i purpury mieniły się kwiaty, podrywały się do lotu na delikatnych skrzydełkach motyle Kleopatry. Natura w swoim kolorowym tańcu budziła jednak drżącą w nim tęsknotę, a akrobatyczne loty jaskółek krążących wokół gniazd z młodymi przypominały o narastających podejrzeniach.

Lato tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego siódmego roku, jak powiedział Marios.

Dokładniejszej daty nie potrafił podać, chociaż był w domu Praxi w dniu narodzin, ale upierał się, że dziecko urodziło się przed czasem, co wystarczyło, by skruszyć przekonanie Loukisa, że Praxi go zdradziła. I jeżeli jego przypuszczenia były słuszne, oznaczało to, że upłynęło niemal siedem lat, siedem długich i bezpowrotnie straconych lat, w ciągu których niemowlę wyrosło na dziewczynkę, a on nie odgrywał w jej życiu żadnej roli, zaistniał tylko przy poczęciu. Gdyby mógł winić za to jakiegoś boga, pogroziłby pięścią niebu, ale pozostało mu tylko pomstować na własną głupotę.

Ze spaceru wracał, kiedy zmęczony umysł domagał się odpoczynku. Matka jak zwykle czekała na niego. Ostatnio, gdy nakładała na talerze jedzenie przyprawione obficie ziołami o walorach leczniczych, wyczuwała w synu zmianę, której nie potrafiła bliżej określić. Nic nie mówił, ale jego oczy wędrowały za nią pytająco. Podzieliła się tym spostrzeżeniem z Georgiosem, lecz zbył ją, nazywając to „rozpaloną wyobraźnią nadopiekuńczej matki”.

— Daj spokój, Despo. Chłopak ma dość problemów, nie stwarzaj ich więcej w swojej imaginacji.

Uważała wprawdzie, że mąż ma nie więcej intuicji niż kawałek drewna i zauważyłby problem dopiero wtedy, gdyby ktoś padł mu pod nogi, plując krwią, jednak odpuściła. Następnego dnia wszakże porozmawiała na osobności z Mariosem, prosząc go, żeby nie spuszczał młodszego brata z oczu.

— Bo co może zrobić?

— Nie wiem... coś niezwykłego.

— Mówimy o Loukisie —jęknął Marios. — Kiedy on robi coś zwyczajnego?

— Wiesz, o co mi chodzi — odpowiedziała z irytacją Despina, ale syn naprawdę nie wiedział.

— Jak długo mam go pilnować?

— Jak długo będzie trzeba.

Marios spojrzał na matkę pytająco, zastanawiając się, czy prosić ją o jakieś wyjaśnienia, ale odwróciła się plecami. Pogodził się więc z tym, że tylko tyle chciała powiedzieć. W duchu pomodlił się jedynie, żeby Loukis jak najszybciej zrobił coś bardzo niezwykłego, bo pracy na gospodarstwie Marios miał już dosyć. Miło było spędzać czas z młodszym bratem, cieszyło go także, iż pomaga przetrwać gospodarstwu Mehmeta i Pembe, ale tęsknił za jasną pracownią Christakisa i delikatnym stukotem jego młotka. Poza tym był pewien, że krzesła do nowego hotelu są gotowe, i bardzo chciał je zobaczyć. Miały być naprawdę super, nawet tato przyłożył do nich rękę, wycinając skórę na siedzenia. To, że robiła je jakby firma rodzinna, bardzo się Mariosowi podobało. Oczywiście kochał Loukisa, brat był ważniejszy niż krzesła, nawet skórzane, dlatego gdyby mama zażądała, by pilnował brata aż do śmierci, nie potrafiłby odmówić. Problem w tym, że nie mógł być naraz

w dwóch miejscach, więc gdy Loukis, wyruszając na spacer, zapytał, dlaczego się z nim wybiera, zamiast pracować, Marios wyjawiał, że mama mu to nakazała, bo jest zaniepokojona. - Czym? — zapytał Loukis.

- Nie chcę zmyślać, a dobrze nie wiem — odparł Marios. —

Pewnie sądzi, że znowu uciekniesz.

- Nigdzie się nie wybieram — rzekł Loukis.

- Może się boi, że padniesz martwy.

Loukis aż się zatrzymał.

— Dlaczego miałbym paść martwy?

— Nie wiem — wyznał Marios. — Byłoby to jednak coś niezwykłego, bo nie wyglądasz, jakbyś miał umierać.

— Raczej nie... — odparł Loukis.

Jakiegokolwiek pobudki kierowały matką, Loukis był pewien, że nie chodziło o lęk o jego życie. W każdym razie rozmowa z Mariosem wydobyła go z próżniactwa i w kolejnym tygodniu zgodził się mieć stróża u boku i razem ładowali pomarańcze do skrzynek na targ, sprawdzali też, czy nie chorują drzewa w sadzie oliwnym, co było jedynym zajęciem na gospodarstwie, które rzeczywiście podobało się Mariosowi.

— Podobno jakiś poeta w bardzo dawnych czasach nazwał oliwę płynnym złotem. — Marios podzielił się swoją wiedzą z bratem. — To oczywiście nieprawda, przecież gdyby tak było, każdy cypryjski gospodarz byłby bogaty jak król, a żaden nie jest.

Jak powiedziałaś, to tylko słowa poety — rzekł Loukis. Ale czy wiesz, że drzewa oliwne przynieśli ze sobą na wyspę Rzymianie?

Nie, o tym nie wiedziałem. — Marios pokręcił głową. Rozejrzał się po sadzie ze zdumieniem w oczach. — Chyba strasznie dużo czasu zajęło im posadzenie wszystkich.

Loukis stłumił śmiech, a Marios zabrał się do kontrolowania drzew. Badał gałęzie i pnie, czy nie zaatakowały ich wełnowce, podglądał liście od spodu, czy nie mają czarnego nalotu od groźnych sadzaków. Stwierdziwszy, że są zdrowe, odetchnął z ulgą. Nigdy by sobie nie wybaczył, gdyby drzewa umarły pod nieobecność pana Mehmeta i jego żony.

Następnego dnia, gdy wrócili z targu, Loukis dał mu dwadzieścia szylingów w nagrodę za ciężki trud. Kiedy jednak Marios usłyszał, że brat wybiera się do miasta, przestał mieć zachwyconą minę.

— Dobrze — rzekł Loukis, wznosząc ręce do góry. — Chodź ze mną, jeżeli to ma uszczęśliwić ciebie i mamę, ale to tylko wyprawa do banku.

Wybrali się do miasta na piechotę i zanim tam dotarli, słońce nieźle spiekło im szyje, jakby było już lato. Ulice były gwarne, ludzie siedzieli przy drinkach pod parasolami wystawionymi przed nowymi kafejkami i restauracjami na krętych uliczkach koło przystani. Od wszystkich biła taka radość, że Marios nie dałby sobie wmówić, iż może być lepsze miejsce na ziemi od Kyrenii.

W banku spotkała braci miła niespodzianka, bo przed nimi załatwiał sprawę tylko jeden klient. Był w połowie przeliczania pokaźnego stosu monet, które wyłożył z sakiewki, a już ciemna plama potu znaczyła mu koszulę na plecach. Gdy przyszła kolej na Loukisa, opróżnił kieszenie wypchane banknotami i zakomunikował kasjerce, że chce je złożyć w depozycie.

— Oczywiście, Loukisie — rzekła kobieta, a Marios zaczął się zastanawiać, kiedy brat się z nią zaprzyjaźnił, bo nie była z ich wsi. Schyliła się pod kontuar.

— Wypełnij te formularze i natychmiast otwieramy ci rachunek.

- Powiedziałem, że chcę oddać pieniądze do depozytu, nie zamierzam otwierać rachunku — sprostował Loukis tak ostrym tonem, że się zarumieniła.

- Przepraszam za pomyłkę. — Uśmiechnęła się, odkładając formularze na bok. — Zacznijmy od początku. Na czyje konto chcesz zdeponować pieniądze?

_Na nazwisko Mehmet Kadir — odparł Loukis, na co uśmiech zniknął z jej twarzy.

— To Turek?

— Tak, Turek.

Kobieta odwróciła się z krzesłem i podjechała do mężczyzny siedzącego przy jednym z biurek. Ten przechylił głowę, żeby mogła mu szeptać do ucha, a po chwili rzucił zaciekawione spojrzenie na Loukisa i wzruszył ramionami. Kobieta wróciła z przyklepionym do twarzy sztucznym uśmiechem.

— Dobrze, wszystko w porządku — powiedziała. Marios nie rozumiał, o co chodzi, dlaczego kasjerka musiała

się porozumieć z mężczyzną przy biurku, ale gdy Loukis skończył załatwiać sprawę i wyszli na załaną słońcem ulicę, wciąż czuł na sobie dziwne spojrzenia ludzi z banku. Z tego powodu zaczął się zastanawiać, czy brat zrobił coś niezwykłego, o czym należałoby powiedzieć mamie.

— Pewnie myślą, że ich obrabujemy — burknął Loukis.

— Przecież właśnie oddaliśmy pieniądze do banku, więc jak? Ci z banku są paranoikami. I w ogóle są podli, dlatego zatrudniają się przy pilnowaniu pieniędzy. A teraz zostaw mnie i wpadnij do Christakisa się przywitać.

Dlaczego? Co masz zamiar robić?

Przespaceruję się, łyknę trochę morskiego powietrza i wrócę do domu. Zobaczymy się jutro...

Ale mama...

— Mariosie! Rozumiem, że starasz się pomóc mamie, ma być spokojna, ale zastanów się, czy ja mogę się tu wpakować w jakieś kłopoty?

Marios był zdania, że brat może wpaść w kłopoty nawet wtedy, gdy siedzi u siebie w domu, lecz ugryzł się w język i nic nie odpowiedział.

— Zobaczymy się jutro — powtórzył Loukis i skręcił w najbliższą przecznicę.

Marios poszedł dalej główną ulicą, jednak po chwili owładnęło nim straszne poczucie winy. Odwrócił się, lecz Loukis już zniknął mu z oczu. Puścił się za nim biegiem i na końcu brukowanej uliczki dostrzegł brata wchodzącego do kawiarni Yiannisa i Praxi.

— Czyli wszystko w porządku — mruknął do siebie i zawrócił do pracowni Christakisa, ciesząc się, że zobaczy jego i Yianoullę, a także czterech małych bratanków. Dopiero co urodzonemu maleństwu jeszcze się nawet dobrze nie przyjrzał. Dojście zajęło mu nie więcej niż trzy minuty. Na miejscu ku swemu zdziwieniu zastał nie tylko tatę, ale również Michalakisa.

— A ty co tu robisz? — zapytał, podchodząc do brata, by go uściskać.

— Ładne przywitanie, a niech cię — parsknął Michalakis, mierzwiąc kędziory młodszego brata.

— Twój braciszek przyjechał się pochwalić nowym samochodem — wyjaśnił Georgios.

— Naprawdę? Ojej! Są piękne. Wyglądają wspaniale. — Marios patrzył z podziwem na krzesła zrobione przez ojca i Christakisa.

Georgios się rozpromienił.

— Jest na co popatrzeć. Nie to co jakieś stare auto.

— Zazdrościcie mi go wszyscy — skwitował Michalakis.

- Proszę, proszę, oto chłopak ze stolicy — odszczeknął Christakis, zanim zwrócił się do Mariosa. — A twoją wizytę czemu zawdzięczamy?

Marios wyjaśnił, że wpadł się przywitać, bo byli z Loukiszem w banku. Christakis się lekko nachmurzył.

— A co on sobie myśli, nie mógłby wpaść do mnie od czasu do czasu i osobiście powiedzieć „cześć”?

— Och, nie myślę, że nie chciał przyjść — usprawiedliwił brata Marios. — Na dworze jest piekielnie gorąco i chyba strasznie mu się chciało pić, bo zostawił mnie na ulicy i wszedł do kawiarni, do kawiarni Praxi.

— Co zrobił? — Ojciec wsparł się na nowiutkim skórzanym siedzeniu, dźwigając się z kolan.

— Poszedł do jej kawiarni — powtórzył Marios.

— Święta Maryjo! — ryknął Georgios, aż syn podskoczył. Marios nie rozumiał, dlaczego wszystkich to tak wzburzyło, ale gdy ojciec i starsi bracia wybiegli ze sklepu, popędził za nimi.

Pomimo swego wieku i szybkiego marszu Georgios dzielnie dotrzymywał kroku swoim chłopcom i wpadł do lokalu zaledwie sekundę za nimi. Loukis stał tyłem do drzwi. W rękę trzymał odłamaną nogę krzesła, na podłodze leżał jakiś mężczyzna, dwóch innych stało ze wzniesionymi pałkami, jeden miał na dodatek pogrzebacz. Gdy Marios, Michalakis, Christakis i Georgios zajęli niedwuznaczne pozycje po bokach Loukisa, tamci dwaj stracili pewność siebie.

Yiannis, spojrzawszy na mur obronny, który wyrósł przy Loukisie, opuścił rękę z pogrzebaczem. Serce waliło mu ^w piersi, a umysł nie ogarniał sytuacji. Pamiętał, że kiedy wszedł Loukis, oni we trzech grali w karty. Zdążył się nachylić do ucha Victora i wtedy w mgnieniu oka rozpętało się piekło.

Teraz jego przyjaciel czołgał się po podłodze, żeby zejść napastnikowi z oczu, ten drugi oficer dygotał z kroplami potu nad górną wargą. Ich bezradność zszokowała Yiannisa.

— No więc — dobitnie odezwał się Loukis — prosiłem o piwo.

— Radzę podać pięć — wtrącił Georgios.

Loukis odwrócił się do niego, ale nie było cienia rozbawienia na jego twarzy.

Yiannis spojrział pytająco na mężczyznę za sobą. Nie widząc żadnej reakcji, zwiesił głowę i podszedł do baru, a panowie Ekonomidou usiedli przy stoliku na zewnątrz. Kilka sekund później pojawił się Yiannis z dwiema półlitrowymi butelkami keo i pięcioma szklankami. Georgios lekceważącym gestem rzucił na stół pieniądze.

— Na koszt firmy — wymamrotał skonfundowany Yiannis.

— Mowy nie ma — ostro rzekł Georgios. Yiannis odszedł czerwony jak burak.

— Nie boisz się, że napluł do butelek? — zapytał Marios, gdy ojciec napełniał szklanki.

— Mało prawdopodobne — rzekł Michalakis. — Pewnie zaschło mu w gardle. Mokra to on ma teraz w gaciach.

Zarechotali, trącili się szklankami, krzyknawszy głośno *yiamas*.

— A teraz powiedz — Georgios zwrócił się do najmłodszego syna — co, do cholery, zamierzałeś zrobić?

— Dlaczego nie przyszedłeś po mnie? — syknął oburzony Christakis.

Loukis wyjął papierosa z paczki, którą Michalakis położył na stole.

— Nie przyszedłem się bić. Szukałem Praxi. Chciałem ją o coś zapytać. Zanim otworzyłem usta, jeden z tych greckich oficerów ruszył na mnie.

- Ten, który z zakrwawionym nosem leżał na podłodze? — spytał Marios.

- Tak. — Loukis rzucił okiem na swoje knykie, potem spojrział na okno na piętrze. — Tak czy owak, wygląda na to, że Praxi tu nie ma.

- Powiedziałbym ci o tym! — wykrzyknął Marios, kręcąc głową — Nie ruszyła się ze wsi, odkąd trafiła do matki.

- Przecież mama mówiła...

Georgios przymknął oczy i westchnął. Za chwilę wzniosł szklanę i objął wzrokiem czterech synów.

— Kończymy piwo i ruszamy do domu, zanim te kanalie ściągną posiłki.

Loukis siedział przy kuchennym stole i czekał, aż matka przestanie się krzątać i przysiadzie do niego. Powietrze było nieruchome, jakby nawet czas przestał płynąć.

— Idę do Nikosa — oznajmił Marios.

— Idę z tobą — mruknął Michalakis.

Georgios odprowadzał ich wzrokiem ledwie skrywającym zazdrość.

— Czy wiesz, co się w ogóle dzieje, o co chodzi? — spytał Marios brata, gdy szli do kościoła.

— Wiem tyle co ty — odparł Michalakis.

— A podobno jesteś dziennikarzem, tak?

— Od czasu do czasu.

Przy grobie zmarłego brata Michalakis nie zabawił długo, zostawił Mariosa, by odbył rytuały, jakie sobie na ten dzień zaplanował, a sam poszedł nad morze z nadzieją, że oddychając morską bryzą, przepędzi posępny nastrój, w jaki go wprowadzało życie w Nikozji. Parę miesięcy wcześniej generał brytyjski,

szukając sposobu na pohamowanie agresji nastawionych do siebie wrogo społeczności, przekroił stolicę na dwie części, oddzielając dwadzieścia tysięcy Turków od czterdziestu tysięcy Greków.

— Najpierw było dziel i rządź, teraz tylko dziel i miej nadzieję na lepsze. — Tak skomentował powstanie zielonej linii szef Michalakisa, a ten musiał przyznać, że to pierwsza tak uczciwa opinia, jaką od dłuższego czasu słyszał.

Chociaż „The Voice” w większości wyrażał podobne poglądy jak reszta greckiej prasy, gazeta utrzymała dawną integralność, kwestionując wypaczony obraz tureckiej rewolty przeciwko republice, przedstawiany w komentarzach pisanych przez akademików i komunistów. Przemocy zalewającej wyspę dopuszczały się obydwie strony, tymczasem media jednostronnie relacjonowały wydarzenia na użytek swoich uprzedzonych odbiorców i choć „The Voice” był pod tym względem mniej winny, Michalakis miał wrażenie, że jego palce splamione są krwią.

W ciągu ostatnich miesięcy był świadkiem plądrowania i podpalania tureckich domów; widział uzbrojone pojazdy z brytyjską flagą mknące na miejsce zamieszek, by zaprowadzić porządek; słyszał, choć o tym nie pisał, o imamie zamordowanym we własnym łóżku razem ze ślepym i sparaliżowanym synem. Sam przygotował długie relacje o porwanych i zabitych Grekach, choć dano mu także skąpy kawałek kolumny na doniesienie o odkryciu masowego grobu Turków cypryjskich w Ajos Vasilios, jednak tylko dlatego, że dowody były jednoznaczne i zarejestrowane przez kamery zagranicznych dziennikarzy. Następnego dnia otrzymał listy z pogrózkami.

W Nikozji i jej wiejskich okolicach toczyły się nieprzejednane walki, a samozwańcza policja występowała w roli sądu, przy-

sięgłych i katów. Setki ludzi uciekało ze swoich domów, płomienie nienawiści przerzucały się z jednej dzielnicy na drugą, a nowo utworzony korpus sił pokojowych greckich, tureckich i brytyjskich okazał się niestety żałośnie bezradny. Będąc obserwatorem jednego z krwawych incydentów, Michalakis przypadkowo usłyszał, jak jakiś brytyjski oficer nazwał to powrotem do „średniowiecza, kiedy jedna wioska zbroiła się przeciwko drugiej, spodziewając się ataku”. Na wyspie płonęły tureckie domy, a na południowym wybrzeżu Turcji zgromadzono dziesiątki tysięcy żołnierzy, co zmusiło ONZ do sformowania własnych oddziałów pokojowych. Mimo to okropieństwa nie ustały. Ze sklepów porywano klientów jako zakładników; oblegano całe osiedla; ginęli zarówno młodzi idealisci, jak i podżegacze wojenni. Kiedy siły pokojowe ONZ przybyły na wyspę, nie odegrały roli odstrasżającej. Niebieskie berety mogły używać broni tylko w obronie własnej, więc gdziekolwiek któraś ze zwaśnionych stron mordowała tę drugą, oni się wycofywali i jedynie obserwowali.

Jadąc tego dnia rano ze stolicy, Michalakis miał fińskie oddziały obsadzające punkty kontrolne na przełęczy kyreńskiej. Uprzejmie, ale szczegółowo go przepytawali i na koniec życzyli dobrej drogi. Za przełęczą zdany był na siebie. Do takiej sytuacji zdążył się już przyzwyczaić. Tym razem, zanim dojechał do celu, ratował Marię. Nie rozpoznał jej, bo była prawie dwieście metrów od brzegu i z twarzą zanurzoną w wodzie.

Michalakis zrzucił buty i dał nura w spiętrzone przy brzegu fale, nie wiedząc, kogo próbuje ratować. Widział tylko czerwoną plamę sukienki i rozłożony wachlarz czarnych włosów, toteż gdy dopłynął do unoszącego się na wodzie ciała kobiety i uniósł jej głowę, osłupiał.

- Maria! Co jest, do diabła?

Krztusiła się i charczała, najpierw wydawała się zdezorientowana, potem go rozpoznała i wtedy grymas rozpaczony pojawił się na jej wymizerowanej twarzy. Zanurkowała w lodowatą głębię, wciągając Michalakisa. Opasał ręką jej brzuch i wypłynął z nią na powierzchnię. Szarpała się z nim przez cały czas, tak że płynąc do brzegu, walczył i z falami, i z Marią. Była za słaba, żeby sprostać jego sile, więc udało mu się wyciągnąć ją na brzeg, gdzie osunęła się na ziemię.

Wymiotując słoną wodą, uderzała pięściami w ziemię z taką wściekłością, że zakrwawiła palce.

— Czemu nie pozwalacie mi umrzeć?! — krzyczała.

*

— Dlaczego powiedziałaś mi, że Praxi wróciła do Kyrenii? Despina próbowała wytrzymać wzrok syna, niewiele miała na swoją obronę.

Po krótkiej chwili szepnęła cichutko:

— Chciałam, żebyś wyzdrowiał. Georgios wziął ją za rękę.

Loukis powoli kręcił głową. Nie czuł gniewu. Był zdziwiony. Jak sięgał pamięcią, matka nigdy go nie okłamywała, ale teraz przyszło mu się zastanawiać: ile razy.

— Widziałem Elpidę — rzekł i miał świadomość, że ciężar tych słów zawisł w powietrzu. Rodzice szybko wymienili spojrzenia, co nie uszło jego uwagi. — Kiedy ona się urodziła? — spytał.

— Latem po twoim zniknięciu — odpowiedziała Despina.

— Tak, latem — odezwał się Loukis miękko, zachęcająco. — Kiedy dokładnie?

— Minęło osiem miesięcy od twojej ucieczki i siedem miesięcy od ślubu Praxi.

- I dziecko jest moje?

- Tak nam się wydaje, tak.

Loukis pokiwał głową.

— Dziękuję — rzekł tylko.

Michalakis pochwalił wspaniałą kawę, a pani Germanos w podziękowaniu pogładziła go po włosach i wycofała się do kuchni, gdzie mogła spokojnie popłakać.

Przed nim siedziała Maria przebrana już w suche rzeczy. Twarz miała bladą i apatyczne spojrzenie, lecz w oczach Michalakisa była niezmiennie wyjątkowo piękna.

— Schudłaś — zauważył, na co Maria nasunęła szal na ramiona.

— Nie odczuwam głodu — wyjaśniła.

Rzeczywiście tak było. Dławiła się przy jedzeniu. Odrobina czegoś na widelcu wydawała jej się wielkim kęsem nie do przełknięcia. Teraz, wpatrując się w okno, przez które słońce padało jej na twarz, i czując na sobie pełne współczucia spojrzenie Michalakisa, zdała sobie sprawę, że straciła nie tylko apetyt, lecz także poczucie własnej wartości, czego jej do niedawna nie brakowało. Michalakis patrzył na blizny po skaleczeniach na jej ramionach.

— Wiem — powiedziała. — Oszpeciłam się.

— To nieprawda, Mario *mou*. Jesteś piękniejsza niż kiedykolwiek.

Nie oczekiwała tak dobrych, ciepłych słów i zalała się łzami, wypłakując całą gorycz, gniew i upokorzenie, jakie ostatnio przeżywała. Michalakis podał jej chusteczkę i czekał, aż ta chwila rozżalenia nad sobą minie. Dwadzieścia minut później, obejmując ją ramieniem, próbował dociec, skąd ten ból.

— Czy twoje życie, Mario, stało się do tego stopnia nie do zniesienia? Patrząc mu w oczy, zmagając się z dramatyzmem tego pytania, po chwili się poddała i wypłynęły z niej słowa skargi uwięzione od czasu, gdy Loukis złamał jej serce. Mówiła o okrucieństwie, z jakim ją odtrącił; o znieważeniu za bezwzględne oddanie; o przerażeniu na myśl, że zostanie sama, okryta we wsi niesławą jako kobieta uganiająca się przez lata za mężczyzną, który jej nie chciał. Drapiąc blizny po samookaleczeniach, opowiadała, że wyśmiewały ją rówieśnice, a ich matki udawały współczucie, wdzięczne losowi, że to nie ich córki okrywają się taką hańbą. Mówiła, że nienawidzi siebie, pogardza własną słabością i głupotą. Pozwoliła się wystawić na pośmiewisko, ona, która mogłaby mieć każdego chłopaka na Cyprze, a w Kyrenii na pewno. Pragnęła teraz, o tak, pragnęła z całej duszy, żeby śmierć po nią przyszła, żeby ją zabrała i wyzwoliła z udręki potwornego, zżerającego od wewnątrz upokorzenia.

Kiedy skończyła wyczerpana po spowiedzi, która ją samą zdumiała, Michalakis zdał sobie sprawę, że targają nim jednocześnie współczucie, zazdrość i pożądanie. Skrępowany ujął jej rękę. Nie cofnęła jej, co go ośmieliło.

— Powinnaś stąd wyjechać — rzekł. Zaśmiała się gorzko.

— A niby dokąd?

— Do Nikozji. Ze mną.

Maria spojrzała na niego zelektryzowana, nie mogąc uwierzyć w to, co usłyszała. Michalakis przeżywał podobne zaskoczenie, chociaż propozycja wypłynęła z jego własnych ust. Następnego dnia wybrał się do Loukisa.

Zastał młodszego brata przy zrywaniu ostatnich pomarańczy z wiosennego zbioru w sadzie Mehmeta. Jest uderzająco podob-

ny do mnie, przynajmniej z takiej odległości, pomyślał, i na moment się zasępił, czy to dobrze, czy źle.

Loukis powitał go beztroskim uśmiechem.

- W samą porę — rzekł. — Napiłbym się piwa.

- Piwo o tej godzinie? Toż to za ledwie dziesiąta.

- Zniewieściałeś w stolicy, braciszku.

- O Chryste, znowu wypominanie stolicy.

Objęci poszli do chaty Loukisa, gdzie wyciągnęli z lodówki dwie butelki keo. Usiedli z piwem na słońcu i paląc papierosy, rozmawiali o pracy Michalakis, problemach w Nikozji i incydencie w kawiarni.

— Musisz być ostrożny — ostrzegł Michalakis. — Tu wszystko przechowuje się w pamięci długo, a przebaczenie to pojęcie mało znane.

— Sądzę, że przekonam się o tym we właściwym czasie — odpowiedział Loukis szczerze.

Jeżeli Michalakis podejrzewał, że brat się boi, to w każdym razie z jego twarzy i lekkiego wzruszenia ramion lęku nie wyczytał. Zapalił kolejnego papierosa i zdecydował, że najwyższa pora wyjawić, z czym naprawdę przyszedł. Nie spuszczać oka z twarzy Loukisa, zdradził, że zabiera Marię do Nikozji z błogosławieństwem jej rodziców.

Loukisowi nawet powieka nie drgnęła.

— Zwolniło się miejsce sekretarki w gazecie, a mieszkać będzie w żeńskim internacie.

Loukis przyznał, że wyjazd będzie dla niej dobry, ale Michalakis jeszcze nie skończył.

Nie ma co owijać w bawełnę. Mam nadzieję, że Maria zostanie w przyszłości moją żoną...

Uniesione brwi Loukisa wyrażały zdziwienie, lecz komentarza nie było.

— Oczywiście nie mogę z góry wiedzieć, że ona się na to zgodzi — ciągnął Michalakis — ale jeżeli tak, a mam nadzieję, że taki dzień przyjdzie, chciałbym też wiedzieć, jak to zniesiesz.

— Jak zniosę?

— Tak. Muszę mieć pewność, że to nie będzie dla ciebie problemem.

— Tylko gdyby to miał być problem dla ciebie, braciszku — odpowiedział Loukis, zaskakując Michalakisa lekkim tonem, ale też sprawiając mu wielką ulgę.

Trącił szklanką w szklankę brata.

— *Yiamas.*

— *Yiamas.*

*

Loukis nie zareagował od razu. Dał sobie czas na zastanowienie, jak najlepiej postąpić. Minał tydzień, a on nie był ani

0 krok bliżej od skonkretyzowania planu działania, w końcu zmęczony rozmyślaniami ogolił się, włożył najlepsze ubranie

1 i udał się do domu matki Praxi.

W ogrodzie, na huśtawce zawieszanej na konarze jabłoni, bawiła się Elpida. Przed wielu laty tak się huśtał on sam i jej matka.

— Wilk! — krzyknęła, gdy zbliżał się ścieżką.

Zeskoczyła z huśtawki, podbiegła do niego i za rękę poprowadziła do domu. Na widok wchodzącego Loukisa Elena upuściła szklankę, którą akurat wycierała, a Praxi zajęta szyciem sukienki dla lalki uniosła w zdumieniu głowę. Powoli uśmiech rozlał jej się po twarzy, poprosiła Loukisa, żeby usiadł, i przez chwilę zajęła się matką, by doszła do siebie.

Po męczącej godzinie wymiany grzeczności przy kawie i słodkiej baklawie Praxi oznajmiła matce, że pójdą z Loukiszem na spacer.

- Czy też mogę pójść? — spytała Elpida, a gdy Praxi wyraziła zgodę, Elena przycisnęła ręce do piersi.
- Czy zbiera ci się na atak serca? — zapytała Praxi.
- Zrobiłoby to jakąś różnicę? — mruknęła z pretensją w głosie matka.
- Nastąpiłaby pewna zwłoka.

Elena zgrzytnęła zębami.

- Nie zamierzam dostać ataku serca.

- Świetnie. Wobec tego do zobaczenia.

Natychmiast zapomnieli o hysterii Eleny i poszli spacerem nad morze. Wybraliby się chętnie do zamku Świętego Hilariona, jak to bywało ileś lat temu, ale stacjonujące tam oddziały tureckie wykluczały taką atrakcyjną możliwość.

Podeksytowana Elpida skakała całą drogę, zataczając wokół nich kółka, a gdy poczuła bliskość morza, pokłusowała naprzód. Usiedli na skrawku trawy i popatrywali na małą, która nad brzegiem wyławiała z wody kamyki i zbierała je do podkasanej spódniczki. Atmosfera gęstniała między nimi od niedoszłych rozmów, które powinny się odbyć dawno temu, i to Loukis przerwał wreszcie milczenie, nie przestając obserwować Elpidy.

— Czy ona jest moja?

— Tak, jest twoja — przyznała Praxi.

— To dobrze — powiedział ciepło.

Ledwie dostrzegalnym ruchem nakrył dłonią palce Praxi. Dalej przyglądali się, jak ich córka zbiera kamyki.

Rozmawiali już ponad godzinę, bardzo blisko musieli się znać, ich głowy niemal się dotykały i kiedy ten mężczyzna położył uspokajającym gestem rękę na ramieniu Victora, Yiannisowi zrobiło się niedobrze. Zżerany zazdrością ledwie słyszał składane przez klientów zamówienia, wciąż spoglądał w stronę stolika przy oknie, gdzie palce nieznajomego niechybnie pieściły skórę Victora, palce z brudem pod paznokciami, na co z niesmakiem aż się skrzywił, gdy ten brud zauważył.

To było irracjonalne i zdawał sobie z tego sprawę, choćby dlatego, że ten Cypryjczyk nie miał jednej nogi, ale mimo to żółć podchodziła mu do gardła. Zadręczał się, bo od czasu bójki w kawiarni Victor stał się hurnorzasty i zamknął się w sobie, jakby to Yiannis był odpowiedzialny za upokorzenie, jakie ich spotkało. Chociaż ostatnio oficer odpuścił i wrócił do wspólnego łóżka, jego dotyk przestał być czuły i brutalność wychodziła z niego wszystkimi porami. Podczas gdy Victor pochłonięty był myślami o zemście, Yiannis pragnął spokoju. Coś mu się w głowie przestawiło. W zaciśniętej pięści Loukisa wyczuł działanie potężnej siły, która powoduje mężczyznę, bo

teraz miał w sobie podobnie gorącą krew, ilekroć myślał o kochanku.

Yiannis z natury nie był skłonny do agresji i wspomnienie tego, co się działo w gospodarstwie Turków, kiedy adrenalina wzięła górę nad rozumem, wciąż go prześladowało. Od tamtego zdarzenia czuł się gorszym człowiekiem. To nie była uczciwa walka fair, tylko zasadzka na bezbronnego, hańbiąca pod każdym względem. Może dlatego, że tak to postrzegał, pogodził się z tym, iż później Loukis ich upokorzył: dzięki temu on sam poczuł się mniej winny. Zupełnie inaczej natomiast traktował Praxi. Jego żona, jeżeli w ogóle mogła za takową uchodzić, niechby sobie gniła w ponurej ruderze, jaką był dom jej matki, nią sobie głowy nie zaprzętała. Nigdy go nie kochała ani on jej, chociaż na początku próbował. Tamtej nocy, kiedy wybiegła z domu, żeby zhańbić ich małżeńskie gniazdo, stracił do niej cierpliwość, a nieoczekiwanie jego serce obudziło się dla kogoś innego. Do córki tęsknił, ale zadowalały go spotkania z nią dwa razy w tygodniu, czego pilnowała teściowa. Praxi mu w ogóle nie brakowało i ulga, jaką odczuł, gdy opuściła dom, jeszcze się spotęgowała, kiedy odkrył, co schowała w kuchennej szafce. To Victor znalazł te pestki.

— Zwariowała — orzekł Victor. — A gdyby tak dobrota się do nich dziecko?

— To tylko pestki z jabłek.

Yiannis pogmerał palcami w miseczkę, w żaden sposób nie mogąc wykombinować, na co Praxi były potrzebne te nasionka.

One są trujące, durniu. Ta miseczka zawiera tyle cyjanku, że wystarczy do zabicia konia.

Yiannis szybko odstawił miseczkę i umył ręce, a kiedy Victor wyszedł do swojej bazy, zaczął przeszukiwać pozostałe szafki. Zewsząd patrzyła mu w oczy śmierć: z butelek z wy-

bielaczem, pestycydów oznakowanych pszczelami, puszek ze zmywaczami do farb, pojemników z gazem do zapalniczek i oczywiście z szuflady pełnej błyszczących noży. Tamtego ranka stanęło mu przed oczami całe życie i na koniec zobaczył siebie leżącego twarzą na podłodze we własnej kuchni — powalonego trucizną, zwęglonego od płonących chemikaliów, zadźganego czterema ostrzami, których trzonki wystawały z jego pleców.

Wyczuł jakieś poruszenie za sobą i odwrócił się od zlewu. Do wyjścia zbierał się ten kaleka, przyjaciel Victora. Wstał, podali sobie ręce, mężczyzna wsunął kule pod pachy i podszedł do drzwi, gdzie czekał kierowca, który pomógł mu wsiąść do samochodu.

— Kto to był? — zapytał Yiannis Victora.

— Kolega.

— Paskudnie wyglądające biedaczysko.

Victor tak mocno trzasnął o kontuar szklankami przyniesionymi ze stolika, że jedna się rozbiła. Yiannis patrzył mu prosto w oczy, póki dawał radę wytrzymać oskarżające spojrzenie. Powrócił do zmywania.

— To paskudne biedaczysko jest najodważniejszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek poznałem.

— Przepraszam, ja...

— Nie chcę słuchać! Zmywaj brudne kubki, bo do tego się nadajesz, dziewczynko.

*

Loukis podniósł kamyk i wrzucił go do miseczki, którą wystrugał dla niego Marios. Zebrał już czternaście takich kamyków, każdy biały, starannie umyty i każdy po kolei pozostawiony pod jego drzwiami. Trzy tygodnie zabrało mu

wyśledzenie czarodziejki od kamyków, ale opłaciły się skurcze w nogach od siedzenia w kucki pod gankiem Mehmeta i Pembe, opłaciła się każda minuta bólu. To były sekretne dary od jego sekretnej córki.

Nie był pewien, dlaczego Elpida wymyśliła, żeby go obdarowywać i to w taki sposób, zwłaszcza że nie była teraz bliższa poznania prawdy niż miesiąc temu. Nie rozumiał również, jakie znaczenie kryją kamyczki, ale zawsze, kiedy znalazł nowy, rekompensowało mu to każdą frustrację. Do diabła, nie wykończyła go nawet ostatnia rozmowa z panią Televantos. Podrzucił dziś matce dwa obdarte ze skóry dzikie króliki i niestety trafił na starą panią Televantos, która złąkniona informacji zaczęła przypierać go do muru. Ciekawa była oczywiście, dlaczego Maria tak nagle wyjechała do stolicy i dlaczego pobyt Praxi u matki przedłużyła się w nieskończoność. Sondowała go podchwytliwie i kiedy to nie przyniosło rezultatów, pocieszyła się, przygważdżając Despinę i Loukisa do krzesel słowotokiem, który nie dawał chwili oddechu ani sposobności, by się pożegnać.

Pani Televantos z niecodziennym u niej entuzjazmem dla polityki komentowała doniesienia radiowe o szturmie greckiej Gwardii Narodowej na Kokkinę i próbie odbicia przełęczy kyreńskiej z rąk „niewiernych, tych psów w służbie Turcji”. Dowiedziała się też z radia, że Makarios wyraził zgodę na amnestię, a nawet gotów był zaspokoić roszczenia tak zwanych uchodźców, byle tylko przywrócić spokój na wyspie.

To absolutnie święty człowiek — trajkotała dalej, robiąc znak krzyża. Ten moment pobożności postanowił wykorzystać Loukis, by wstać z krzesła. Nie zdążył.

A teraz coś, co ci się szczególnie spodoba, Loukisie. — Staruszka zachichotała i rozpoczęła kolejny monolog, tym razem

poświęcony sąsiadom. Zaczęła od nieszczęsnego pana Christosa, któremu kolec wbił się w krocze, opuchlizna była podobno wielkości pomarańczy. — Jądro mu tak spuchło, Loukisie, jądro — mówiła rozbawiona. Potem narzekała, że los się uśmiechnął do budowlańca Kostasa, który kiedyś zażądał od niej zawrotnej sumy za spoinowanie tylnej ściany domu, a teraz trafiło mu się lukratywne zamówienie z armii. — Choćbyś mył i kąpał psa, nie przestanie śmierdzieć psem — podsumowała. Użaliła się wreszcie nad nieszczęściem rzeźnika, który stracił drugi palec. — Powinien nosić okulary — orzekła. — Żona błaga go, żeby sobie sprawił okulary, ale czy on jej słucha? Oczywiście nie. Uparty stary dureń. Mówię wam, że wieś będzie musiała zjeść jeszcze przynajmniej sześć jego palców, zanim on nabierze rozumu.

— Powinien jeść więcej warzyw i owoców — wtrąciła Despina, ale staruszkę tylko rozbawiła taka rada.

— Cóż to byłoby za rzeźnik!

Dopiero gdy panie zagłębiły się w temat ziół leczniczych, zachwycając się podwójnie korzystnym działaniem naparu z pokrzywy, bo staruszce dobrze robił na porost włosów, a jej mężowi przynosił ulgę w dolegliwościach z powodu przerostu prostaty, Loukis zdołał się wymknąć. Nie był w stanie słuchać dalej o coraz bardziej intymnych szczegółach z życia sąsiadów, z którymi prawie się nie stykał.

Gdy wrócił do domu, zrobiło mu się ciepło na sercu, bo znalazł pod progiem kamyk, a pół godziny później ku swemu zdumieniu przyjmował ducha.

Zjawa przyjechała samochodem i podpierała się dwiema kulami.

— Boże drogi! — wykrzyknął Loukis, wybiegając gościowi na powitanie. — Antoniou! Myślałem, że nie żyjesz.

- Byłem w objęciach śmierci, chłopcze! — Uwolnił się od krzepkich ramion Loukisa i pokręcił głową. — Matko Najświętsza, nie uwierzyłbym, gdybym cię nie widział na własne oczy, zrobiłeś się jeszcze większym olbrzymem!

_ Dziwić to się będziesz dopiero, kiedy zobaczysz moich braci.

— Loukis się zaśmiał.

- Po rozmowie, jaką odbyłem dziś rano, wydaje mi się, jakbym ich znał. Twoja rodzina ma kilka mostów do naprawienia w tym mieście, tak to wygląda. Ale nie martw się tym. Jesteś jednym z nas. A teraz pokaż mi ten swój wspaniały dom, nie wystoję długo na jednej nodze.

Loukis schylił się po kule Antoniou i poprowadził go do środka. Przy kawie i skąpanej w syropie baklawie od matki słuchał, milcząc, opowieści byłego oficera EOKA o tym, jak uszedł z życiem. Czas i brak aktywności rozmiękczył ostre rysy szczupłego niegdyś Antoniou i gdy mówił, jego nalane policzki drgały z emocji.

— Po tym, jak wybuchła bomba w rękach Steliosa, znaleziono mnie, aresztowano i oddano do szpitala wojskowego. Kiedy odzyskałem przytomność, okazało się, że nie mam nogi, za to jestem wolny.

Loukis powrócił myślą do stanu między jawą a snem, w jakim leżał w domu Hawy. Wciąż pamiętał smak gorzkości w ustach, gdy się dowiedział o odzyskanej wolności, która przyszła zbyt późno, by przeżyli jego przyjaciele. Pokręcił głową. Miał nadzieję, że przynajmniej tamta stara kobieta żyje.

To były ciężkie chwile — ciągnął Antoniou, przesuwając palcami po twarzy naznaczonej bliznami od odłamków. — Tak naprawdę przez długi czas nie widziałem sensu dalszego życia. Straciłem nogę i wraz ze śmiercią Harrisa wydawało mi się, że również prawą rękę. I chociaż Cypr był na pozór wolny,

mierziły mnie układy zawierane poza naszymi plecami. Makarios nas zdradził. Walczyliśmy o *enosis*, a on poszedł na kompromis, sprzedając nasze ideały za utrzymanie prezydentury. Twój dawny przyjaciel Demetris, chociaż na pół oślepiiony przez Brytyjczyków, widział, co się dzieje, i przepowiadał nastanie chaosu. Mówił, że rząd będzie niesprawny, i tak jest, otworzyliśmy jedynie drzwi przed Turcją. Jezu, Loukisie, czy wskażesz mi dziecko bardziej zdradzone przez ojca?

Loukis poruszył się niespokojnie na krześle. Powinien coś powiedzieć, ale nigdy nie czuł na swoich barkach takiej odpowiedzialności za marzenia o *enosis* jak Antoniou.

— Jest chaos — rzekł krótko.

— Sama prawda, jest chaos. — Antoniou wyjął papierosa i zapalił go nerwowo. — Obecnie Turcy cypryjscy wzmacniają swoje cywilne i wojskowe służby. W Famaguście zabili trzech naszych ludzi i nikt nawet nie mrugnął powieką, a nie ma miesiąca, żeby Turcja nie groziła inwazją. Jeśli chodzi o Ma-kariosa i jego flirty z Sowietami i Czechami, powiem tylko, że on musi odejść. Sprzedał nas i ktoś inny musi przejąć ster.

— Grivas? — spytał Loukis.

Chociaż polityka interesowała go chyba jeszcze mniej niż cudowne zioła matki, jako lojalny brat czytał „The Voice”, a gazeta Michalakisa pełna była informacji o przywódcy EOKA. Miał zamiar wrócić na Cypr, by objąć dowództwo greckich oddziałów.

— Nie kto inny, tylko Grivas — potwierdził Antoniou.

— Nie wydaje mi się, żeby jego obecność tutaj mogła jednoczyć — skomentował Loukis.

Nie było żadną tajemnicą, iż lansowany generał jest wrogo nastawiony do cypryjskich Turków i nikt nie uwierzy, że myśli inaczej, chociaż na wiecu wzywał do pojednania między dwiema społecznościami.

- Słuchaj, wiem, że jesteś... — Antoniou przerwał, szukając właściwego określenia. W końcu zirytowany machnął ręką. — Sympatyzujesz z nimi, Loukisie. Mimo że siedzisz na tym gospodarstwie, rozumiem, iż jesteś jednym z nas. I to powiedziałem tamtym ludziom dziś rano. Mieszkałeś z Turkami, to prawda. Wyjechali, masz to za sobą. Zostałeś na ich ziemi. Musisz jakoś zarabiać. Wszyscy musimy pracować na życie, ale byłoby lepiej, gdybyś skończył z tymi bankowymi depozytami. Bo widzisz, Turcy nie są naszymi wrogami, ale przez głupotę stali się... jak by to powiedzieć...? Stali się nam solą w oku. Wykorzystali nadmierną władzę, sami ją im daliśmy, a teraz się użalają i niecierpliwie dążą do rozdziału w takiej czy innej formie. W pewnym sensie to wszystko nasza wina. Nie musieliśmy być tacy hojni. Każdy jest mądry po szkodzie.

— Otóż to — zgodził się Loukis, ale miał na myśli zupełnie inne wydarzenia. Wstał i wyjął z lodówki jeszcze dwa piwa. Przez ten czas Antoniou rozglądał się po wnętrzu.

— Nie za dużo tu miejsca — zauważył. — Nie znalazłeś jeszcze jakiejś kochającej kobietki?

— Staram się — odparł Loukis.

— Nie wątpię. — Antoniou uśmiechnął się do niego. — Szkoda Toulli, wydawało mi się, że była napalona na ciebie.

Loukis się roześmiał i pokręcił głową.

— Potrzebowała mnie tylko po to, żeby być bliżej Steliosa. Nie wierzył w życie pozagrobowe, ale czuł się w obowiązku chronić uczucia przyjaciółki nawet po jej śmierci. — A co na tym polu u ciebie? Znalazłeś kobietę, która pierze ci gacie?

Antoniou uśmiechnął się chytrze.

Mogłem stracić nogę, ale nie wypadłem z gry i znowu jestem w siodle. Tak się zdarzyło, że moja pielęgniarka okazała

się gorącą sympatyczką ruchu oporu. Umówiliśmy się, że gdy wyspa obierze właściwy kurs, uczymy to przejściem główną nawą.

— Będzie chciała czekać tak długo? — spytał Loukis pół żartem, pół serio.

— Sądzę, że nasz problem rozwiąże się szybciej, niż myślisz — odparł Antoniou i stuknął szklanką o szklankę Loukisa, puszczając do niego oko.

*

We wsi, którą opuścili, nie było jeszcze tak źle, bo tam strach rodził się z poczucia niepewności. Ale tu, w Gónyeli, byli świadkami koszmaru.

Mehmet oddał swoje spodnie, najlepsze i ostatnie, jakie mu jeszcze zostały, kilkunastoletniemu chłopcu, który kołysał się w przód i w tył u jego nóg. Był jeszcze dzieckiem, chudymi rękami kurczowo obejmował ciało w instynktownej samoobronie. Pomieszał mu się umysł, stracił oczy.

— To dla ciebie, synu. — Mehmet ułożył spodnie u stóp chłopca. Widział, że są o wiele za duże, ale tylko to miał jeszcze do rozdania.

Ludzie wokół zajęci byli naprawianiem ścian i dachów czymkolwiek się dało. Dostawy towarów się skurczyły od czasu, gdy Grecy zablokowali drogi, a potrzebujących wciąż przybywało. Niektórzy sypiali w samochodach porzuconych z powodu braku benzyny, szczęśliwcy polegali na łaskawości krewnych, którzy jeszcze mieli jakiś wolny kąt. Ostatnia rodzina rozbitków przybyła z Erenkóy, miasteczka nazywanego przez Greków Kokkiną. Było ich czworo: ojciec, matka, dziadek i syn. Tydzień temu pięcioro.

Sevket Osman z rodziną pojawił się w nocy; byli zmęczeni,

głodni i w szoku. Wieś Gónyeli nie była odcięta od wiadomości, ponieważ Radio Bayrak na bieżąco informowało o okropnościach w Erenkóy, ale to działo się w odległości prawie pięćdziesięciu kilometrów, w północno-zachodniej części wyspy, więc dopiero naoczne świadectwo odebrało ludziom mowę.

Grecy prowadzili tam nieprzerwany ostrzał.

Nie było tajemnicą, że przez tamtą enklawę przetrucano z Turcji zarówno broń, jak i wyszkolonych ochotników, ale wiódł również tamtędy „szlak życia”, którym dostarczano żywność i leki. Mimo to sformowana z Greków Gwardia Narodowa przypuściła zmasowany szturm na port. Niezdolne do powstrzymania ich ataku siły ONZ wycofały się, pozostawiając enklawę samej sobie. Otoczona górami, mając z tyłu morze, mogła liczyć jedynie na boskie zmiłowanie.

— Zaczęło się od bitwy o główną drogę — opowiadał Sevket. — Potem zapanowała cisza, bo niebieskie berety doprowadziły do zawieszenia broni i nawet ściągnięto posiłki, żeby utrzymać spokój. Ale nic z tego nie wyszło. Kiedy przyszli Grecy z moździerzami i ciężką artylerią, obcy zostawili nas na pastwę losu. Atakowano nas przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, nie było snu, domy wylatywały w powietrze, nasi chłopcy łamali się jak gałązki i padali martwi u naszych nóg. A ci barbarzyńcy nacierali bezwzględnie, chociaż nic już nam nie zostało do obrony. Spychali nas do tyłu, póki nie znaleźliśmy się po kolana w morzu, a tam jak rekiny czekali ci z marynarki, przeganiając nas z wody. Byliśmy kompletnie bezsilni, to była rzeź. Zamordowali Yusufa, mojego pięknego syna, gdy usiłował nas bronić. I widziałem dzieci porozrywane na strzępy, niewiniątka, które już nigdy nie będą chodzić ani grać w piłkę. Dzieci, mówię wam! Co one złego zrobiły? Jakie zbrodnie mogły popełnić?

Gdy z oczu Sevketa polały się łzy, Mehmet nie wytrzymał tego dłużej i wymknął się z drewnianej szopy, która służyła nieszczęsnej rodzinie za dom. Na zewnątrz natknął się na imama, ten też płakał z twarzą w dłoniach.

— Co ja mogę uczynić? — pytał żałośnie, gdy Mehmet położył mu rękę na ramieniu. — Mogę ich tylko podtrzymywać w wierze, a jaki z tego pożytek w obliczu takiej masakry?

— Wiara to najlepszy dar, jaki mogą od ciebie otrzymać — powiedział Mehmet cicho.

— A jeżeli wydaje mi się, że mnie samego wiara opuszcza? Niech Allah wybaczy mi moją słabość, bo myślę, że nie zdaję wobec nich egzaminu.

Mehmet popatrzył w zaczerwienione oczy imama. Nie miał mu nic więcej do powiedzenia. Ten człowiek musiał stoczyć swoją własną walkę, tak jak wszyscy pozostali.

Gónyeli było zasiedlone wyłącznie przez Turków, ale ten akurat turecki bastion nie przedstawiał żadnej strategicznej wartości dla Greków, dlatego uniknął ataków. Mimo to mężczyźni byli w pogotowiu, a z rowów wykopanych wokół wsi wзираły lufy karabinów. Sprawnych fizycznie mężczyzn, młodszych i starszych, przydzielano do patroli, płacono im po dwa funty miesięcznie, pieniądze szły z Turcji, a dowódcami zostawali byli oficerowie tureckiej policji cypryjskiej i tureccy żołnierze zlikwidowanej cypryjskiej armii. Incydent zdarzył się tylko raz, niedługo po przybyciu Mehmeta. We wsi pojawił się Grek, Cypryjczyk, prawdopodobnie nieświadomy, na jakie terytorium wjechał, albo tak pijany, że się tym nie przejmował, w każdym razie został wyciągnięty z pojazdu i pobity na śmierć. Niektóre osoby we wsi były wstrząśnięte, że doszło do takiego morderstwa, ale większość przejmowała się jedynie tym, by w rewanżu nie napadli ich Grecy. Gdy upłynął mie-

siąc i nie pokazała się żadna zbrojna bojówka, panika ucichła i o mężczyźnie wszyscy zapomnieli, przynajmniej ludzie z tej wsi. Jeszcze nie tak dawno temu Mehmet domagałby się postawienia morderców przed sądem, teraz tylko dziękował losowi, że nie przyszło mu być świadkiem tej zbrodni, i leżąc u boku Pembe, żałował, że stracił nieposzlakowaną uczciwość, bo z nią czuł się lepiej.

_ Czy wiesz, że dzieciak był bliźniakiem?

Mehmet odwrócił się do żony. .

_ Nie, nie wiedziałem. Myślałem, że po prostu jednym z dwóch braci.

— Otóż byli bliźniakami, i to nierozłącznymi, tak mi powiedziała ich matka.

Kiedy Mehmet słuchał opowieści Sevketa, Pembe spędziła wieczór w towarzystwie jego żony.

— Ali, chłopiec, który przeżył, był od brata o pół dnia młodszy — mówiła dalej szeptem, żeby nie przeszkadzać synom jej kuzyna, bo spali obok za zasłoną. — Jego matka mówi, że on nie może jeść od tamtych wydarzeń, a gdy wmuszają w niego jedzenie, dławi się i wszystko wypłuwa. Przyjmuje tylko wodę, bo wciąż nie może się pozbyć okropnego smaku, gdyż owego dnia był tuż obok brata i kiedy kula roztrzaskała bliźniakowi głowę, trochę jego mózgu trysnęło mu do ust.

— Och nie, biedne dziecko.

W ciemności dwie ciche łzy pociekły z kącików oczu Mehmeta, gdy przedstawił sobie, jak straszne tortury przechodzi ten chłopiec. Zastanawiał się, czy młody człowiek znajdzie dość siły, żeby dalej z tym żyć. Następnego dnia przyszła odpowiedź na to pytanie. Zanim jeszcze zapiały koguty, rozległy się Przeróżające krzyki jego matki.

Ali, syn Sevketa i brat bliźniak Yusufa, popełnił samobójstwo, gdy reszta wsi spała. Użył płynu do akumulatora. Wypalił z gardła smak śmierci brata.

*

Prawie rok wcześniej Despina przystąpiła z ostrym nożem do setki obranych z łupin zielonych orzechów i odkroiła końce każdego z nich. Moczyła je potem przez siedem dni, codziennie zmieniając wodę, a ósmego dnia zalała wodą wapienną. Następnie umyła starannie orzechy, włożyła je do garnka z wodą i gotowała przez dziesięć minut. Potem osuszyła i znowu gotowała w świeżej wodzie, tym razem przez dwadzieścia minut. Po wyjęciu ich z garnka wzięła do ręki szpikulec i w każdym orzechu zrobiła dwa nakłucia, i znów gotowała dwadzieścia minut. Ostudziła je w garnku i dodała sok z dwóch cytryn. Następnie w obydwie końce każdego wsunęła po jednym migdale. Włożyła je znowu do garnka, dodała cukru i gotowała na wolnym ogniu, póki syrop nie zgęstniał. Po dodaniu soku z pół cytryny przełożyła orzechy do słoików, które odwróciła do góry dnem, przedtem zakręciwszy mocno pokrywki. Wreszcie ukryła słoiki w kredensie do nadejścia odpowiedniej okazji. To był długi i męczący proces, także dla orzechów, dlatego teraz Despina uważała, że ani im, ani jej nie oddano należnego hołdu.

— Proszę, jedzcie! — zachęciła stanowczo i wszyscy posłusznie wzięli do rąk małe srebrne widelczyki i nabijali na nie lepkie kulki ociekające na talerzykach syropem. Kosztowali w milczeniu, a Despina roznosiła szklanki z wodą.

— Nie smakują mi — mruknęła Elpida.

— Ciii... — napomniała ją Praxi.

— Jakbym miała kawałek drewna w buzi — narzekała Elpida.

- Mnie też nie smakują. — Loukis mrugnął do niej porozumiewawczo.

- ja uważam, że są wspaniałe — wtrąciła Lenia, rzucając siostrze ciepły uśmiech.

- ja je uwielbiam! — zawtórował Marios.

- Są bardzo dobre — dodał Georgios.

- Powinny mieć więcej goździków — wyraziła swoją opinię pani Televantos, krzywiąc się.

- Ma pani resztki jedzenia na włoskach na brodzie — poinformowała Elpida swoją sąsiadkę i zasłużyła znowu na reprimendę matki.

— Co będzie dalej? — zapytała rozdrażniona, ale na twarzy Despiny wywołała pełen wdzięczności uśmiech, przypominając, że jest powód, by się cieszyć z obecności tylu osób w jej salonie. Wizyta wnuczki była przecież niezwykłą okazją.

Jak kiedyś przepowiedział Georgios, prawda sama znalazła w końcu drogę i wyskoczyła na światło dzienne, pozwalając zachłysnąć się radością przez chwilę tylko, bo znowu musiała się skryć za zasłoną obyczajowej poprawności. Loukis mógł się wreszcie uważać za ojca Elpidy, okazało się, że Despina od początku miała rację, Georgios był wdzięczny żonie, iż nie odegrała w tym dramacie roli osoby przyspieszającej akcję, a Elena nabrała przekonania, że Praxi wydrażyła niestety pierwsze szczeliny w zaporze, która runie i wtedy fale zaleją ich wszystkich.

W nowej sytuacji Despina zaprosiła Praxi i Elpidę do swojego domu, gdy dwa dni wcześniej przypadkowo spotkała je w piekarni. Usłyszawszy o planowanej wizycie, Elena wymogła na Praxi, że z nimi pójdzie, bo przecież bez wątpienia trzeba będzie zatkać córce buzię, gdy przyjdzie jej ochota na kolejne wyznania. Ledwie weszły, otworzyły się drzwi i pojawił się

Loukis, niespodziewany, bo o tej porze nigdy nie wpadał do rodziców, więc wiedziony niechybnie nadnaturalnym zmysłem wynikającym z przywiązania do matki swojego dziecka. Despina pomyślała, że popołudnie nie może już być bardziej rodzinne ani bardziej tłoczne, a tymczasem pojawili się jeszcze Lenia i Andreas z córką Niki, by zakomunikować, że kolejne dziecko jest w drodze. Nie minęła chwila, a z pracy wrócił Marios. A wreszcie niczym cukier puder na tacy z *loukoumi* uświetniła swoją obecnością nieprzewidziane liczne przyjęcie pani Televantos, która „akurat przechodziła obok” i pomyślała, że goście zgromadzili się na coś w rodzaju czuwania przy zmarłych, żeby uczcić pamięć tych, co zginęli w Kokkinie.

— Te tureckie zwierzęta w odwecie użyły napalmu! — krzyczała. — Nasi synowie próbowali ich tylko powstrzymać przed przemycaniem broni zabijającej Greków, a Turcja wysłała odrzutowce, które zalały nas ogniem piekielnym!

Georgios podał starszej pani troszkę brandy na uspokojenie nerwów.

— Wiesz, nie powinnam — krygowała się, ale wypła porcję duszkiem i wyciągnęła rękę z kieliszkiem po następną „odrobinkę”. Z lewej jej strony siedziała Praxi, która patrzyła na Loukisa ze znaczącym uśmiechem i błyskiem w oku. Despina zauważyła, że Lenia przygląda się tej parze z lekkim zdziwieniem.

— A więc, Praxi *mou* — odezwała się pani Televantos, dzielnie żując za słabo przyprawione goździkami orzechy — kiedy zamierzasz wrócić do męża?

Siedząca obok Praxi Elena zakrztusiła się wodą.

— Pani Televantos, na to pytanie nie da się odpowiedzieć — rzekła Praxi spokojnie, odrywając wzrok od Loukisa i przyoblekając twarz w wyraz smutku. — Jak pani wie, bar ma wzięcie, na szczęście oczywiście, lecz to nie jest właściwe

środowisko dla małej dziewczynki, na pewno nie takie, jakie by pani akceptowała... smród piwa i hałaśliwi mężczyźni. Rozmawialiśmy o tym z Yiannissem i jesteśmy zgodni co do tego, że zdrowie i dobro Elpidy są najważniejsze.

- Ja bardzo lubię piwo — wtrąciła Elpida i Praxi rzuciła pani Televantos znaczące spojrzenie, na co staruszka współczująco pokiwała głową.

- Masz rację, Praxi, musisz myśleć o dziecku, a swoje potrzeby zepchnąć na drugi plan.

- A do tego czasu są trudne, Turcy grożą inwazją... — kontynuowała Praxi.

- No tak, masz absolutnie rację — przyznała pani Televantos. — Nie pora na romanse, kiedy jest wojna.

Loukis i Praxi wymienili się spojrzeniami, a Elenie zrobiło się duszno.

— To nie na moje nerwy — wymamrotała i odniosła swój talerz do zlewu.

— Mam ochotę zaczerpnąć trochę świeżego powietrza — powiedziała Praxi, wstając z krzesła.

— Mogę iść z tobą? — spytała Elpida.

— Tak, oczywiście.

— Przejdę się z wami — oznajmił Loukis.

— Ja też! — krzyknęła Elena pobudzona do działania na myśl o plotkarstwie pani Televantos.

Dojdę z wami do cmentarza — oświadczył Marios. Właściwie ja też chętnie się do was przyłączę — rzekł Georgios.

Doliczcie i mnie — mruknął Andreas. Papo, mogę iść z tobą? — spytała Niki. A jakże, chodź z nami, *mihi mou*. Wyszli wszyscy, zostawiając zaskoczoną panią Televantos,

by mogła bez skrępowania wysysać drobiny orzechów spod sztucznej szczęki. Despina z siostrą pozbierały pozostawione talerze. Wkładając je do zlewu, patrzyły na orszak gości wychodzących z ogrodu.

— Czy myślisz, że Praxi i Loukis... — spytała szeptem Lenia, nie kończąc.

— Nie, w żadnym razie — stanowczo odpowiedziała Despina. — Nie pozwoliliby sobie na to. Oni po prostu... Na miłość boską, przecież dopiero co zaczęli na nowo ze sobą rozmawiać. A poza tym kiedy by mieli znaleźć na to czas? Loukis ma swobodę, może sobie wychodzić, kiedy chce, ale Praxi pilnuje Elpidy jak samica jastrzębia swoich małych.

— Jasne, oczywiście. Przepraszam. Wiesz, wydawało mi się, że Elena umrze z zażenowania, kiedy pani Televantos zapytała o Yiannisa. — Lenia sięgnęła po ścierkę do naczyń. — Swoją drogą to dziwne siedzieć cały czas u matki w domu, kiedy do męża jest nie więcej niż dziesięć minut drogi, a przy tym ta historia Praxi i Loukisa... Naprawdę muszą być ostrożni, Despo. Ludzie będą gadać, słusznie czy niesłusznie. Praxi jest mężatką.

— Słucham, co mówisz, Lenio, ale czy coś ci w głębi duszy nie podszeptuje, że sprawy wracają do naturalnego porządku?

— Dlaczego? Bo ci dwoje znowu się przyjaźnią?

— No właśnie.

— Matko Najświętsza, Despo. Jesteś bardziej szalona niż oni. Nie, nie myślę, że to naturalny porządek. Loukis i Praxi nie są już dziećmi. Są dorośli i muszą być odpowiedzialni. I jeżeli nie poprzestaną na rozmowach i posuną się dalej, chociaż nie myślę, że tak będzie, ale na pokusę są narażeni, to popełnią najstraszliwszy grzech. Więc proszę cię, miej na nich oko, bo ludzie na pewno ich obserwują, tego możesz być pewna, jak ja jestem pewna, że będę miała drugie dziecko.

Blond włosy mignęły Loukisowi przed oczami. Dziewczynka pędziła z zawrotną szybkością.

— Czy to Niki?

Elpida zerknęła przez płot i kiwnęła głową.

— Dokąd ona tak biegnie?

— Ona donikąd nie biegnie — wyjaśniła Elpida z wahaniem. — Ona raczej ucieka.

Loukis przestał czyścić strzelbę i czekał na dalsze wyjaśnienia. Elpida wzruszyła ramionami i opuściła kąciki ust w grymasie, który już rozpoznawał.

— Powiedziałam jej, że tutaj są węże.

— Bo są — potwierdził Loukis.

— No tak, ale ja powiedziałam jej, że są okropnie głodne, a najbardziej lubią zjadać małe dziewczynki.

Ty też jesteś małą dziewczynką.

O nie, wilku Loukisie, za kilka miesięcy będę miała osiem lat, a Niki nie ma jeszcze sześciu.

No tak, racja, to ona jest małą dziewczynką. Ty dużą. — Loukis podniósł lufę strzelby i kontynuował czyszczenie broni,

zastanawiając się przez chwilę, co myśleć o tym, że jego własna córka dokucza młodszej kuzynce. Uznał, że to świadczy jedynie o temperamencie i wyobraźni, więc postanowił nie reagować.

— Miałam znowu ten sam sen dzisiaj w nocy. — Elpida usiadła przy nim na kamieniu i zaczęła splatać w warkocz zabrudzone prochem szmatki.

— Który?

— Ten, w którym chmury zakrywają mi twarz i chcą ukraść mój oddech.

— Co zrobiłaś w tym śnie?

— Jak mi radziłeś, mocno dmuchnęłam.

— Dałaś im radę?

— Tak, ale musiałam bardzo mocno dmuchać i strasznie się zmęczyłam.

— Hm, niektóre chmury są piekielnie gęste.

Uśmiech przemknął przez twarz Loukisa, gdy wyobraził sobie córkę, jak musi dmuchać, żeby się ukołysać do snu. Trudno było uwierzyć, że rok temu zatopiony w niespokojnych myślach błąkał się po okolicy niezdolny odnaleźć sensu życia. Teraz siedział w takim samym gorącym słońcu, ale miał cel w życiu, a była nim mała dziewczynka, która nie miała jeszcze ośmiu lat, lecz dużo więcej niż sześć.

Elpida nadal nazywała Yiannisa papą, ale to do niego, wilka Loukisa, przybiegała, kiedy chciała się pobawić, była znudzona lub wystraszona złymi snami. W ostatnie Boże Narodzenie przysłała w gości do domu jego matki z prezentem, małym pudełeczkiem starannie owiniętym w złoty papier. Gdy go wręczała, obserwowowała spod przymrużonych powiek jego reakcję. W środku, w gniazdku z waty, znalazł idealnie gładki biały kamyk. Powiedział jej więc oczami, co chciała wiedzieć.

- Kamyk? — dziwiła się Praxi, widząc taki prezent.
- To kamień księżycowy, mam, kamień księżycowy dla wilka.

Elpida wstała z kamienia, podciągnęła skarpetki i podeszła do palika, który Loukis wbił w ziemię.

- Cień prawie zniknął — zakomunikowała. — Chyba muszę wracać do domu. *Yiayia* czeka z zapiekanką, a po południu mam się zobaczyć z papą.

W jednej chwili dla Loukisa zgasło słońce. Słowa córki przywołały go do rzeczywistości, której próbował zaprzeczać.

Jeszcze dwadzieścia minut wcześniej Michalakis robił notatki w jasnym słońcu przed jedną z popularnych nikozyjskich kawiarni. Teraz znalazł się wewnątrz w rozpychającym się łokciami tłumie zaskoczonym przez deszcz. Przypomniał sobie ostrzeżenie mamy: „Trzymaj zapasy polan aż do końca maja”.

Kyriakos przepchał się do wolnego stolika przy automacie z napojami i zamówił dwie kawy. Schudł gwałtownie, policzki mu się zapadły i płat skóry wisiał z każdej strony twarzy. Michalakis zastanawiał się, czy to rezultat zarządzanej przez żonę polityka diety, czy brzemie odpowiedzialności rządowej. W ostatnim roku wojna z Turcją wisiała na włosku. Pięciokrotnie powtórzona groźba interwencji skutkowałą krańcowym poróżnieniem ludności na wyspie, a po dziewięciu miesiącach walk sto trzy wsie Turków cypryjskich zamieniły się w miejsca wymarłe. Ludzie ginęli po obydwu stronach i chociaż walki wygasły, sytuacja w dalszym ciągu była nieprzewidywalna jak wiosenna pogoda, bo nie zbliżono się do rozwiązania problemu.

Obecnie stoimy na skraju przepaści i mówię to jako polityk — oznajmił Kyriakos. — Turcja pręży muskuły, Grecja,

nasza macierz, okazała się niezdolna do rozgrywania partii jak równy z równym, a naszym wojskiem dowodzi człowiek, który z trudem ukrywa pogardę dla prezydenta.

— Dlaczego Makarios po prostu nie wykreśli Grivasa z gry? Kyriakos prychnął gorzkim śmiechem.

— A niby jak mógłby to zrobić? Grivas ma poparcie Grecji, i to on trzyma całą broń w garści.

— Jeżeli tak to widzisz... — Michalakis wysiorbał kawę do dna i skupił wzrok na Kyriakosie, by przedstawić mu prośbę z nadzieją, że zostanie odebrana jako bardzo ambitna, ale nie będzie z góry skazana na odrzucenie.

— Czy myślisz, że mógłbyś zaaranżować dla mnie spotkanie z prezydentem?

— Nie zapominasz przypadkiem, jaką reputację ma twoja gazeta? Wybij to sobie z głowy! — zachnął się Kyriakos. Przez ostatnich parę lat nie byliście najwierniejszymi sprzymierzeńcami.

— Może nie, ale staraliśmy się być uczciwi.

— Nie chcę akurat ciebie winić. — Polityk westchnął i rzucił Michalakisowi spojrzenie, w którym chciał wyrazić więcej sympatii niż litości. — Dobrze, bądź cierpliwy, zobaczę, co się da zrobić. Ponieważ prezydent coraz bardziej polega na wsparciu komunistów, być może masz cień szansy.

Michalakis podziękował. Zerknął na zegarek i wstał z krzesła. Nie chciał się spóźnić.

— Zatrzymuję cię, a masz coś pilnego? — zapytał Kyriakos.

— Ano tak — odparł Michalakis. — Miło było cię widzieć, mój drogi.

— Cała przyjemność po mojej stronie. I zapłacenie rachunku, jak widzę.

Burza ustąpiła, spadały jeszcze z nieba pojedyncze ciężkie

krople deszczu. Michalakis poszedł szybko do auta i pojechał do Ledra Palace Hotel. Matkę i Marię znalazł przy nowo otwartym basenie, popijały coca-colę. Despina w czarnej chustce na głowie i grubych pończochach nie pasowała do tego miejsca, za to Maria wyglądała jak bogini. Michalakis nie bez satysfakcji zauważył, że ma na sobie niebieską bawełnianą sukienkę, którą kupił jej przed tygodniem.

— Jak się mają moje dwie najdroższe panie? — zapytał, przysiadając się do nich. Delikatnie dotknął kolana matki. Despina rzadko wyprawiała się do stolicy, bo jak mówiła, od razu dostawała świądu, więc Michalakis doceniał, że na jego prośbę zadała sobie ten trud. Odkąd Maria przeniosła się do Nikozji, Michalakis powolutku wydeptywał boleśnie dłużącą się ścieżkę do jej serca i wreszcie uznał, że przyszła pora, by jego rodzina, matka przede wszystkim, zaakceptowała ją w zmienionej sytuacji.

— Czy udało ci się uzyskać, co chciałeś, od swojego przyjaciela z rządu? — spytała Despina.

— Czas pokaże, ale mam nadzieję, że tak. Czy opalałyście się cały dzień przy basenie?

— Skądże! Nie widziałeś burzy?! — wykrzyknęła Maria, pociągając za końce loków, które się poskręcały na deszczu.

— Chodziłyśmy po sklepach — dopowiedziała Despina.

— Dlaczego mnie to nie dziwi?

Maria ukarała go kopnięciem pod stołem, a Despina uśmiechnęła się na te gierki. Znaleźli się wszyscy w dziwnej sytuacji i jako matka starała się wymazać z pamięci obraz Marii wodzącej tęsknym spojrzeniem za innym jej synem. Jednakże nawet ślepiec by dostrzegł blask w oczach Michalakisa, więc pozostawało jej tylko modlić się, żeby taki sam sygnał uczucia pokazał się w przyszłości na twarzy Marii. Nie było to niemoż-

liwe. Wszystko jest możliwe. Szybkim spojrzeniem ogarnęła popijających koktajle gości hotelowych, bardziej i mniej skąpo odzianych, a ich oczy utwierdziły ją w tym przekonaniu. Bezwiednie podrapała się pod pachami.

Praxi kochała nieprzewidywalność wiosny, kiedy przegonione przez burzę słońce wyłaniało się wkrótce na niebie, odzyskując stracone pole. Po ostatnim deszczu czuła przypływ energii i była radosna jak niebo nad nią. Za długo tonęła w zimowej posępności, ale teraz witała się z nowym dniem, który mógł otworzyć kuszące perspektywy. Nareszcie Loukis wiedział, co wiedzieć powinien: że go zdradziła z konieczności, a nie z zemsty, i że córka, którą urodziła, jest jego dzieckiem. I chociaż pilnowana i śledzona przez matkę oraz ścigana podejrzliwymi spojrzeniami nieżyczliwych sąsiadów nie mogła poczuć jego oddechu na ustach, wiedziała też, iż żadnej innej nie rozgrzewa jego dotyk. Maria z krwawiącym sercem uciekła do stolicy odtrącona przez mężczyznę, który w ogóle jej nie chciał. Praxi bezwstydnie cieszyła się z takiego obrotu wydarzeń. Gdyby nie Maria, sunęłaby osiem lat temu główną nawą i padła w ramiona Loukisa, a byłby to najszczęśliwszy dzień w ich życiu. Tymczasem stali się ofiarami kapryśnego losu. Mimo to nie traciła nadziei. Udało im się uniknąć sideł zastawianych przez intruzów i znowu byli w tej samej wsi. Z pewnością los uśmiechnie się jeszcze bardziej. Bóg i wyspa czuwają nad nimi. Są dziećmi Jego i dziećmi Cypru, są deszczem i słońcem, ostrym wiatrem i kojącym zefirkiem, wszystkim i nikim. Czuła, że jej dusza zespoliła się z naturą, z każdym jej tchnieniem. W podskokach biegła do domu matki, u pasa dyndały jej dwa dzikie króliki odarte ze skóry. Kupiła je

u rzeźnika za bająską sumę, ale czuła, że to Loukis przyłożył rękę do ich śmierci, więc rozstawiała się z pieniędzmi bez żalu, żeby tylko dotykać, czego on dotykał.

Do domu zdążyła już wrócić Elpida po spędzonym z Yiannisem popołudniu. Gdy Praxi tanecznym krokiem wbiegła do środka, Elena obrzuciła ją zasługującym na zignorowanie podejrzliwym spojrzeniem. Nie przestając tańczyć, Praxi zbliżyła się do Elpidy, która nakrywała do stołu i z przejęciem zaczęła opowiadać o weselu widzianym w Kyrenii.

— Poznała ich swatka i dobrze ich dobrała, czy tak, *yiayia*? Odbierając króliki od Praxi, Elena kiwnęła głową i się uśmiechnęła.

— Było tam mnóstwo ludzi! — krzyczała Elpida. — To wyglądało jak najwspanialszy bal. A *yiayia* powiedziała mi, że wcześniej są różne mniejsze zabawy, bo na przykład trzeba naszykować łóżko dla młodej pary. Kiedy kobiety ścielą łóżko, to przez cały czas coś śpiewają i nawet tańczą. Potem na łóżku kładzie się pieniądze i malutkiego chłopczyka. Nie wiem, dlaczego chłopczyka, ale *yiayia* mówi, że to tradycja.

Elena i Praxi wymieniły rozbawione spojrzenia, dobrze znając tradycyjny rytuał mający sprzyjać płodności.

— A panna młoda była taka piękna, wyglądała jak anioł, miała prześliczną białą suknię. I wiem też, że gdy pójdzie do domu, będzie musiała zdjąć rano prześcieradło i wywiesić je na werandzie... chyba po to, żeby wszyscy wiedzieli, że nie mogła spać, bo taka była szczęśliwa po ślubie.

Elena i Praxi nie zdołały powstrzymać głośnego śmiechu.

Co śmiesznego powiedziałam? Co? Praxi podbiegła do córki, widząc, że jest zbita z tropu i rozżalona. Przytuliła ją mocno.

— *Elpido mou*, tak nam się podobało, co mówiłaś, słicznie opowiadałaś o tym weselu.

— Naprawdę?

— Naprawdę. I wiesz, nie mogę się doczekać dnia, kiedy dorośniesz i wyjdiesz za mąż, a jakaś dziewczynka, taka jak ty teraz, pobiegnie do swojej mamy i opowie jej, że wyglądałaś jak najpiękniejszy anioł.

Twarz Elpidy rozjaśnił promienny uśmiech, który sięgnął aż po głębię jej czarnych oczu.

— Będzie cudownie, prawda? Ale do mojego wesela to jeszcze chyba z tysiąc lat, za to wiem na pewno, kto zostanie moim mężem.

— Już teraz wiesz? — Praxi zaśmiała się, wstając z kucek. — A któż nim będzie?

— Wiadomo, wilk Loukis oczywiście!

Praxi usłyszała za plecami brzęk talerzy i głuchy odgłos. Odwróciła się i zobaczyła Elenę leżącą bez przytomności na podłodze.

Elenę wszędzie osaczały problemy. Córka schowała się we wsi przed ślubnym mężem, wnuczka planowała wyjście za mąż za własnego ojca, a teraz tu w Kyrenii pod mało używanym małżeńskim łóżem dostrzegła zapomniane męskie slipy o wiele za małe, by mogły należeć do jej zięcia. Wkopała je pod łóżko, by nie rzucały wyzwania. Stan jej nerwów nie pozwalał na zastanawianie się nad pytaniami, jakie się narzucały.

Czuła potrzebę porozmawiania z kimś, ale z kim? Despina, która przez lata była dla niej głosem rozsądku i na pół etatu lekarzem, zadowolona się chowaniem głowy w piasek, a nikt inny, komu mogłaby zaufać, nie przychodził jej do głowy. Mąż dawno zmarł, Bóg od dawna ogłuchł na jej modlitwy, żaden święty nie kwapił się z pomocą, a ksiądz... Nie mogła liczyć na jego dyskrecję, równie dobrze mogłaby poprosić panią Televantos, żeby nie rozgłaszała plotek o jej kłopotach przez megafon na rynku. Wyglądało więc na to, że jest pozostawiona sama sobie w walce o trzymanie się zasad i zachowanie resztek rozumu i przegrywa na wszystkich frontach, chociaż przez całe lato, które już przeszło w jesień, robiła wszystko, co było w jej

mocy, żeby sprowadzić rodzinę z powrotem na właściwą drogę. Zaganiała Praxi do domu, gdy tylko zniką u Despiny na dłużej, niżby to usprawiedliwiały sąsiedzkie kontakty, a wnuczkę zachęcała do zabawy z córeczką Lenii, żeby nie wymykała się przy każdej sposobności na gospodarstwo Turków. Ale Niki nie potrafiła chwili ustać w miejscu, tylko biegła, więc Elpida tłumaczyła, że nie ma ani cierpliwości, ani dość mocnych nóg do takiej przyjaźni. Elena próbowała porozmawiać z Praxi, lecz ta potraktowała ją niegrzecznie i zignorowała jej obawy, nazywając nienormalne uczucia Elpidy „cielęcym zadurzeniem”.

— A co powiesz o sobie? — spytała Elena.

— O mnie pytasz, mam? Wiek cielęcy mam za sobą, czekam na to, co mi przeznaczone.

Elena była nawet skłonna zgodzić się z córką — przeznaczenie znajdzie swoją drogę. Stawało się jednak całkiem jasne, że na jej rodzinie spoczęło spojrzenie „złego oka”.

Żeby przepędzić złego ducha, Elena zaczęła codziennie starannie sprzątać swój dom i okadzała pokoje, pałac susz z liści oliwnych, a gdy Elpida przyprawiała ze sobą samego diabła, po jego wyjściu posypywała solą fotel, na którym siedział, żeby już nigdy nie wrócił. Musiała przyznać, że Loukis miał trochę taktu, wchodził bowiem do salonu z przepaszającym wyrazem twarzy, ale jego mina niewiniątka nie rozpraszała jej obawy, że przyniesie nieszczęście. Elena nie wiedziała, co począć. Jeszcze niedawno uważała, że jej dom to twierdza, nie do zdobycia dla intruzów, zapewniająca wszystkim bezpieczeństwo, tymczasem ostatnio stała się Konstantynopolem. Wedle starej legendy to wielkie miasto miało pozostać niepokonane, dopóki okręty nie przepłyną przez łąd. Tysiąc lat później Turcy osmańscy zbudowali drogę z cieśniny Bosfor do Złotego Rogu

i na drewnianych platformach przeciągnęli swoje okręty lądem, a Konstantynopol tylko patrzył na to z przerażeniem.

Splunęła, żeby odegnąć zły omen przyciągany jej katastroficznym myśleniem. Na górę przyszedł Yiannis, zatrzymał się w drzwiach, rozglądając się po pokoju z teatralnym zdumieniem, jak to miał w zwyczaju.

- Odwaliłaś wielką robotę, Eleno! — Zaklaskał w dowód uznania.

Elena zaczerwieniła się, bo nie pierwszy raz wydawało jej się, że zięć, chociaż nierozgarnięty, potrafi czytać w jej myślach. Wypłukała ścierkę i powiesiła ją w szafce.

— Odwiozę cię do wsi. Kupiłem ci prezent, ale jest bardzo ciężki — rzekł i zbiegł na dół, zostawiając Elenę spekulacjom, jaką to nową intrygę wymyślił, która się przeciwko nim obróci. Szczodrością bowiem nie wykazywał się nawet z okazji Bożego Narodzenia.

W samochodzie Elpida siedziała mu na kolanach, udając, że to ona prowadzi. Zabawiali się tak jeszcze w domu, wreszcie Elpida się znudziła i zażądała, żeby rozpakował pudło, które ze sobą przywieźli. W środku był telewizor. Nikt nie mógłby być bardziej zaskoczony niż Elena, która patrzyła na prezent z podejrzliwością. Zanim złapali obraz, słońce zaszło, a Praxi z nieukrywanym znudzeniem bębniła palcami w stół.

Yiannis nie widział żony od ponad roku i po wejściu nie wiedział, czy ma ją pocałować, czy tylko uścisnąć jej rękę. W końcu nie zrobił ani jednego, ani drugiego, bo i to, i to wydawało się niezręczne. Do domu Eleny przestał przychodzić od czasu, gdy po raz pierwszy kochał się z Victorem. Obawiał się ze Praxi wyczuje zapach grzechu na jego ubraniu, a ponieważ z jej strony nie było zachęty do odwiedzin, więc pozwolił, by upływający czas całkiem ich od siebie oddalił,

i ostatecznie porozumiewał się z nią jedynie za pośrednictwem córki i teściowej. Był oczywiście ciekaw, co żona kombinuje, żadne jednak plotki nie dochodziły do niego ze wsi. Kiedyś tylko na pocztce przytrzymała go za klapy pani Televantos, gratulując mu, że zdobył się na wielkie poświęcenie, by ustrzec córkę przed siedliskiem grzechu, jakim niestety była jego kawiarnia. Yiannis poczerwieniał, słysząc te słowa. Nie miał pojęcia, o czym ona mówi, ale włos zjeżył mu się na głowie na myśl, że to może być aluzja do wyuzdania pod jego dachem.

Gdy wreszcie udało mu się ustawić jako taki obraz w telewizyjnym pudle, wstał z kolan.

— Zabierz się do pakowania, Praxi. Wracasz do domu — zwrócił się do żony, jakby ogłaszał koniec separacji.

Przed oczami Eleny telewizor migotał czarno-białymi plamami, współgrając z bulgotaniem w jej brzuchu. Z trwogą patrzyła, jak oczy Praxi się zwężają, ale ku jej zdumieniu córka nie wyraziła sprzeciwu. Spakowała spokojnie ubrania, kosmetyki i pocałowała matkę na pożegnanie. Elena nie czuła nic poza ulgą, gdy drzwi zamknęły się za tą trójką. Niech mi Bóg wybaczy, westchnęła, wreszcie mam spokój.

Yiannis wycofał chevroleta sprzed domu na ulicę. Jak się można było spodziewać, jazda upłynęła w milczeniu i napięciu. Nikt się nie odzywał, ale w niczyich oczach nie było wybaczenia. Każde spojrzenie w lusterko wsteczne wytrącało go z równowagi. Nie miał się czego bać, z tyłu wbijała w niego wzrok własna córka, a jednak ciarki przechodziły mu po karku.

W domu Praxi rzuciła bagaże na środek pokoju i powiodła po nim wzrokiem.

— Widzę, że matka się napracowała.

— Gdzie jest mój pokój? — zapytała Elpida. — Nie zamierzam znowu spać z mamą.

- Będziesz w moim pokoju — rzekł Yiannis. Widząc panikę w oczach Praxi, dodał: — Nie rób wystraszonej miny, nie zostaję na górze. Do wyjazdu zadowolę się miejscem na dole. Sam sobie również gotuję...

- Dokąd wyjeżdżasz, papo?

- Jadę służyć mojej ojczyźnie, Elpido *mou*. Wezwanie przyszło przez radio. Powołano mnie do Gwardii Narodowej i wyjeżdżam za dwa dni.

Despina zostawiła męża chrapiącego w łóżku. W domu było nieprawdopodobnie zimno. Wszystkie kominki wygasły i mróz wyrysował na szybach dekoracyjne wzorki. Spojrzała na męża z zazdrością. Zawsze dobrze sypiał, a Despinę obudził niespokojny umysł i niestety jasne światło dzienne nie pozwalało zaprzeczyć, że pora wstać. Wsunęła nogi w buty, zamierzając przynieść z szopy drewno. Gdy zrobiła krok za drzwi, serce jej zamarło. Kulił się zziębnięty przy drzwiach, a z nosa kapały mu łzy.

— Panie Televantos, a cóż pan tu robi?

Staruszek podniósł głowę i z trudem zaczął się dźwigać na nogi. Despina schyliła się, żeby pomóc.

— Despo, chodź szybko. Moja kochana żona, musisz coś zrobić.

— Co jej jest, co się stało?

Despina zawołała męża, który natychmiast wyszedł, przecierając oczy ze snu. Za nim pojawił się Marios.

Zrób panu Televantosowi coś ciepłego do picia — poleciła Despina mężowi. — Ty pójdziesz ze mną, Mariosie.

Ja nie zostanę, Despo, też chcę iść — upierał się staruszek i nie mogła mu odmówić.

Narzuciwszy na siebie okrycia, ruszyli wszyscy do małego, zbudowanego z kamienia domu usytuowanego w środku wsi. Pan Televantos wspierał się na ramieniu Despiny. Jak na nagłą sytuację szli za wolno i Despina się denerwowała. Gdy weszli do środka, Televantos poprowadził ich do sypialni. Powietrze było ciężkie, stara kobieta leżała nieruchomo pod grubymi kocami. Despina zbliżyła się do jej łóżka i zobaczyła oczy otwarte, ale bez żadnego blasku.

— Podaj jej coś, Despo — błagał Televantos. — Niech się obudzi, niech wstanie.

Usiadł na wiklinowym taborecie przy łóżku i ujął dłoń żony. Despina spojrzała na męża.

— Idę po księdza — szepnął.

Mariosowi poleciła, żeby wrócił do domu i przyniósł słoik z płatkami jaśminu. Nie mogła staruszki obudzić, to było oczywiste dla wszystkich, ale mogła przed przyjściem księdza zetrzeć zapach śmierci z jej skóry.

Podeszła od tyłu do Televantosa i objęła go ramionami.

*

Michalakis pobrał mundur, stanął w szeregu, wysłuchał mowy dowódcy, odebrał przydział puszek, cały czas dziękując w duchu Kyriakosowi.

— Zanim się stawisz, ostrzyż włosy na krótko — zalecał mu przyjaciel. — Kiedy już tam będziesz, nie dyskutuj, ale nie bądź cipą, nie wdawaj się w politykowanie, ale podkreślaj swój patriotyzm, a najważniejsze, wywalcz górną pryczę, bo nie masz pojęcia, jak wielu mężczyzn zapomina się obudzić, kiedy chce im się szczać.

To były dobre rady. Wojskowe nożyce strzygły brutalnie, poziom ignorancji zdumiewał, baraki były zatłoczone. Pięc-

dziesięciu mężczyzn spało w jednym pomieszczeniu na trójpoziomowych pryczach. Michalakis, który spędził kawał życia z czterema braćmi i dlatego doceniał potem własny kąt, prawie zapomniał, jak irytujące są odgłosy wychodzące ze wzdętych brzuchów.

Ogłaszając przez radio i telewizję, jaki rocznik się wzywa, rząd dał nowym poborowym dziesięć dni na stawienie się w British Military Hospital. Michalakis chyba jeszcze nigdy nie był taki wściekły, zwłaszcza że Kyriakos podczas ich ostatniego spotkania dawał do zrozumienia, iż pod ostrzałem jego próśb arcybiskup był bliski wyrażenia zgody na wywiad dla gazety. To, że umykał mu taki dziennikarski sukces, czyniło aktualną sytuację tym bardziej irytującą. Jedyną dobrą stroną wezwania do wojska było żywsze zainteresowanie, jakie zaczęła mu okazywać Maria. Chociaż zbliżyli się do siebie i poznały się ich usta, droga do prawdziwej intymności wciąż pozostawała zamknięta i dopiero, gdy Michalakis ujawnił, że ma iść do wojska, miał szczęście poczuć po raz pierwszy trochę namiętności w pocałunku Marii. Od tej niespodzianki zawirowało mu w głowie. Podjął decyzję. Kiedy skończy służbę, oświadczy się i z pewnością ona zgodzi się za niego wyjść.

Miał przed sobą osiemnaście miesięcy w wojsku, a już po pierwszej nocy spędzonej w baraku przy akompaniamencie chrapania, zgrzytania sprężyn, pojękiwaniach, a nawet podejrzanych krzykach jakichś mężczyzn zdał sobie sprawę, że w koszarach będzie przechodził ciężką próbę zmagania się z bezsennością. Niemal słyszał chichot Christakisa naigrawającego się z jego zniewieściałości. Naciągnął szorstki koc na głowę i spróbował jak mężczyzna zapaść w sen.

Z nastaniem ranka pogodził się z tym, że podobnie jak wszyscy inni niedospani mieszkańcy koszar nie steruje własnym

życiem, ale powszechna atmosfera apatii pozwalała wierzyć, iż wojskowe doświadczenie nie będzie aż tak bolesne, jak sobie początkowo wyobrażał. Z przypadkowych rozmów wynikało, że nikt się tutaj nie czuł szczególnie zobowiązany do manifestowania patriotyzmu, poza paroma zaciekłymi „braćmi w hellenizmie” albo „cheerleaderami imperializmu”, jak ich ochrzcił Sawas, kolega z koi obok, co wywołało aprobowany uśmiech Michalakisa.

Sawas był działaczem związkowym z Pafos, wyrobionym intelektualnie komunistą, z ciętym dowcipem. Nie rozstawał się z talią kart i to właśnie grając w *pilotta*, zbliżyli się do siebie. Pochodził z długiej linii zasłużonych komunistów. Dziadek walczył w Hiszpanii przeciwko frankistom, ojciec został zakatowany kolbą przez faszystów z EOKA, a sam Sawas przejął światopogląd dziadka i ojca i został aktywnym członkiem cypryjskiej AKEL, Postępowej Partii Ludu Pracującego.

— Jestem czarną owcą w rodzinie — ujawnił kiedyś przy kartach, śmiejąc się. — Jeszcze nie zostałem zastrzelony ani zatłuczony na śmierć.

— Nie upadaj na duchu — rzekł na to Michalakis. — To się zdarzy wcześniej czy później. Jesteś w wojsku. Jeżeli nie dopadną cię wrogowie, zrobią to oficerowie.

— Nie jest mi do śmiechu. — Sawas zrobił ponurą minę. Nie upłynął jeszcze tydzień od pewnego incydentu, jaki się zdarzył po zakończeniu trzydniowych ćwiczeń w lasach Troodos, kiedy to poborowi zwinęli już namioty, zasypali latrynę i zwalili się potwornie zmęczeni na platformy czterech ciężarówek, gotowi do powrotu do koszar. Gdy rozległ się pomruk włączanych silników, na platformę wskoczył dowódca. W kaburze u pasa miał raketnicę. Ciężarówka szarpnęła nieoczekiwanie

i pistolet wypalił, a nabój przebił podłogę między nogami Sawasa. — Niewiele brakowało, a w rodzinie byłoby więcej siostrzyczek — dodał, przypominając tamto zdarzenie. Bezwiednie opuścił rękę, jakby sprawdzając, czy wszystko ma na swoim miejscu.

-Być może to nie był przypadek — podpowiadał Michalakis. — Wiemy, jaki jest stosunek Grivasa do komunistów.

— Obracasz to w żart, wiem, a żyjemy w niebezpiecznych czasach i niestety tylko nieliczni odważni mężczyźni z jajami próbują ratować naród przed zniewoleniem. Grecy podkopują republikę jako taką od wewnątrz, jesteśmy wciągani w tryby faszystowskiej maszyny, kolego.

Rozglądając się po twarzach wokół nich, Michalakis zastanawiał się nad słowami kumpla. Nie chciało mu się wierzyć, że ich towarzysze broni, w większości nierozmowni, przejawiali motywację do podkopywania tych resztek demokracji, jakimi jeszcze mogli się cieszyć. Gwardia Narodowa, obecnie w drugim roku istnienia, składała się z robotników, chłopów, cieśli, hydraulików, elektryków, kucharzy, próżniaków, przedsiębiorców, nauczycieli i nielicznych dziennikarzy. Nikogo nie zwalniano z poboru, jedynie niesprawnych fizycznie, maronitów, Ormian, rzymskich katolików i wszystkich noszących szaty duchowne. Nie mógł się dziwić, że w takim zbiorowisku nie toczyły się debaty intelektualne. Nie zdziwił się także, gdy natknął się na Yiannisa, kolegę z tej samej klasy, więc i z tego samego rocznika.

Może i byli kiedyś kolegami, ale Michalakis nie miał ochoty wracać do tamtych wspomnień i starał się unikać Yiannisa. Do końca nie wiedział dlaczego. Może z poczucia lojalności wobec Loukisa. A być może dlatego, że w towarzystwie tego człowieka odczuwał skrępowanie. Nie mogąc znaleźć żadnych racjonal-

nych powodów, miał wyrzuty sumienia. Obiło mu się o uszy, że Yiannis spędza wolne wieczory w stolicy, nie wyprawiając się do domu, więc myśl o samotności byłego kolegi nieco go dręczyła. Ktoś o bardziej miękkiemu sercu pewnie wyciągnąłby do niego rękę.

Każdego środowego wieczoru żołnierze mogli wyjść poza teren British Military Hospital, żeby odwiedzić bliskich czy się zabawić za marne trzy cypryjskie funty, jakie dostawali. Większość jeździła do domów na krótkie chwile szczęścia z żonami lub dziewczynami, inni, jak Yiannis, wędrowali w miasto, chociaż nie bardzo mieli co tam robić, bo wojskowa żandarmeria obserwowała bary — tam wchodzić im nie było wolno. Poborowi z dalszych rejonów nie mogli się doczekać soboty, bo wtedy zwalniano ich aż do niedzieli rano. W jakiś sposób czyniło to pozostałe dni łatwiejszymi do zniesienia.

Michalakisa dzieliła od Marii tylko jazda autobusem, więc odwiedzał ją dwa razy w tygodniu, nie mogąc się oprzeć pokusie całowania jej wilgotnych ust. Poczyniwszy spostrzeżenie, iż jej oczy rozszerzają się na widok munduru, bardzo się starał, żeby za każdym razem wyglądać w nim nienagannie. Gdyby był wtedy zdolny do racjonalnego myślenia, mógłby wykorzystać swoją przejściową atrakcyjność i miałby to z głowy. W tamtych dniach jednak wciąż był na tyle otumaniony, że pożądanie mylił z miłością. Patrzył z wyższością na koszarowe zbiorowisko, ale nie różnił się tak bardzo od innych żołnierzy nie tylko pod tym względem.

Dla większości mężczyzn pobyt w wojsku stawał się karą jedynie w momentach nudy i Michalakis również polubił ćwiczenia. Miał szczęście, że trafił mu się niezwykle sprawny karabin Martini-Henry, a powtarzane w nieskończoność biegi i pompki wyrabiały mięśnie nóg i rąk, co mu się spodobało,

bo dotąd nie mógł się szczycić atletyczną sylwetką. Zastanawiał się czy Maria zauważyła jego mięśnie pod mundurem. Jednakże moment największego zaskoczenia przeżył, gdy włożył beret ozdobiony emblematem dwugłowego orła, mitycznego ptaka chroniącego Zeusa. Zupełnie nie był przygotowany na to, że ten emblemat napęłni jego serce taką dumą. Można by dyskutować, jakiego boga chronią żołnierze: Grecję, Cypr, Makariosa czy Grivasa? Zdania wśród poborowych byłyby podzielone.

Nie minęło kilka tygodni, a mógł podziwiać Grivasa w akcji. W piekielnie gorący dzień po obozie rozeszła się lotem błyskawicy wieść, że przybywa generał.

Otoczony strażą Grivas poruszał się z wyniosłością filmowego gwiazdora, a gdy stanął przed żołnierzami i przemówił, siła jego głosu zniwelowała zaskoczenie jego niewysokim wzrostem. Był po pięćdziesiątce, posiwały jego szerokie czarne wąsy, ale słowa nie straciły legendarnego młodzieńczego ognia i kiedy wezwał żołnierzy do zepchnięcia Turków do morza, wielki ryk aplauzu podniósł się w tłumie. Stojący obok Michalakisa Sawas cierpko zauważył, iż Turcy będą musieli poczekać w kolejce, bo na pierwszy ogień pójdą komuniści.

Czterdzieści minut po wejściu na scenę generał Grivas opuścił obóz i zapewne jeszcze jakiś czas dźwięczały mu w uszach wiwaty i okrzyki poparcia. Zwolnieni od stania w szeregach poborowi udali się do kantyny, a tam Michalakis znalazł w swojej porcji gulaszu robaka.

Antyturecka retoryka była codziennym pożywieniem w wojsku. „Wróg” znajduje się niecałe siedemdziesiąt kilometrów °d Cypru, a jego „uśpione komórki” czekają w gotowości w enklawach tureckich rozrzuconych po wyspie. Każdego dnia Przez dziesięć minut, zależnie od natchnienia mówcy i pogody,

wbijano im to do głów. Duma Grecji narażona jest na szwank, przyszłość Cypru zagrożona i tylko oni są zdolni ocalić własne rodziny i dziewictwo młodych kobiet. Nie było miejsca na dyskusję, bo różnić się znaczyło zdradzić. Turcy zostaną pokonani, ponieważ nie mieścili się w wielkiej idei *enosis*, a ich patroni z Ankary zdechną jak psy, jeżeli będą przeszkadzać w marszu ku spełnieniu helleńskiego marzenia. Michalakis nie potrzebował świątłych opinii Sawasa, żeby zdawać sobie sprawę, że to karmienie się złudą. Turcja pięciokrotnie oficjalnie zagroziła inwazją, Ateny reagowały gniewnym protestem, który nie miał żadnej siły odstraszającej. Gdy tureckie bomby zrównywały z ziemią domy, rozrywały na strzępy całe brygady i pozostawiały zwęglone szczątki niewinnych ofiar, Grecję paraliżował kryzys ekonomiczny. Nie miała ani ludzi, ani środków, żeby przyjść wyspie z pomocą. Co gorsza, Turcy o tym wiedzieli.

Jedną tego typu prelekcję o męstwie sprzecznym ze zdrowym rozsądkiem wygłosił były partyzant, ale w tak porywającym tonie, że niemal do głębi poruszył Michalakisa. Jego słowa miały w sobie moc prawdy wspartą osobistym doświadczeniem, a kule u jego boku potwierdzały, że poświęcił się dla sprawy. Kiedy aplauz ucichł i żołnierze przeszli do kantyny, zdarzyła się dziwna rzecz. Ten człowiek wstał z krzesła i podpierając się kulami, szedł w kierunku Michalakisa z wyrazem radosnego zaskoczenia na twarzy, ale gdy się zbliżył, w jego oczach pojawiło się rozczarowanie, odwrócił się i z powrotem dołączył do oficerów.

Chociaż treningi nie były szczególnie wyczerpujące, to nie uwzględniano indywidualnych możliwości i niektórzy rekruci nie dawali sobie rady. Kiedyś na strzelnicy pewien otyły rekrut, już na przegranych pozycjach, bo wciśnięty w zbyt opięty

mundur, zmoczył się, puściły mu bowiem nerwy ze wstydu, że nie trafia w tarczę. Większość ryczała ze śmiechu, ale Michalakis wczuł się w jego hańbę i zniesmaczony reakcją kolegów przylgnął tym chętniej do grona inteligentów i marksistów.

Daleki był od potępiania prymitywnych i rubasznych zachowań innych żołnierzy, lecz przystosowanie Yiannisa do otoczenia go dziwiło. Mimo że bywał obiektem żartów i niewybrednych kawałów z powodu tubalnego głosu i kobiecych rysów, szybko sięgnął po przywództwo i w miarę jak nabywał pewności siebie, rósł też w siłę jego głos, gdy wypowiadał opinie godne prawdziwego syna helleńskiej tradycji. Bóg jeden wiedział, skąd czerpał informacje, ale wydawał się świetnie obeznany z zawilnością wojskowej struktury i zależnościami między oficerami. Choć Michalakis nigdy nie odbywał w obozie rozmów z Yiannisem, odczuł wielką ulgę, gdy skończył się ich okres szkoleniowy i każdy dostał przydział do innej jednostki. On został włączony do oddziału piechoty w Nikozji, Yiannisa wysłano do Larnaki.

Kawiarnia zmieniła się w bar i była w opłakanym stanie. Zniknęły świece i obrusy, oświetlenie raziło w oczy. Praxi nie miała pewności, czy lokal może popadać w stan depresji, ale jeśli tak, to właśnie się zdarzyło. Przyjazny klimat tego miejsca, który niegdyś stworzyła, zniszczyły jarzeniówki, plastikowe kubki i pijani klienci. Nie czuło się ciepła, bar miał wątpliwy wdzięk wojskowej kafeterii. Na szczęście greccy oficerowie i ich podejrzani kompani musieli wyjechać. Praxi natychmiast wzięła się do roboty.

Od czasu pogrzebu pani Televantos — który choć sam w sobie smutny, dał jej sposobność wytłumaczenia ludziom

nagłego powrotu do domu, co nie miało aż tak katastrofalnych następstw, jak przypuszczała — panowie Ekonomidou zachodzili do baru dwa razy w tygodniu, a jeden z nich zostawał w nim kilka minut dłużej niż pozostali. Jak się tego troszkę spodziewała i o co się troszkę modliła, Bóg i wyspa zmówili się, żeby sprawy potoczyły się w dobrym kierunku. Co nie znaczy, że nie było męką mieć Loukisa blisko siebie, a jednak wciąż daleko. Na szczęście Georgios i Christakis, którzy równie dobrze jak oni obydwójce czytali w myślach mamy Loukisa, dyskretnie dbali o to, żeby miał pretekst do bywania w barze i kontaktu z córką. Słodkie było z ich strony, że po okrzyku „lokal się zamyka” zatrzymywali się pod drzwiami niby to pochłonięci rozmową, dając Loukisowi i Praxi czas na wymianę gorących słów i głębokich spojrzeń na pożegnanie.

— Czuję się jak strażnik więzienny — mruknął którejs nocy Christakis, gdy czekali na Loukisa. Georgios kiwnął głową, ale co miał do powiedzenia, zatrzymał dla siebie. Był rozdarty między pragnieniem, żeby syn dostał coś więcej z życia, a potrzebą chronienia go, bo nie wolno mu było po to sięgać.

Kiedy tylko Praxi udawało się oderwać myśli od Loukisa i marzeń o przyszłości z nim, skupiała energię na przywróceniu kawiarni jej dobrego wizerunku. Już po miesiącu od wyjazdu Yiannisa wprowadziła do menu przekąski, żeby przyciągnąć turystów, i zaangażowała piosenkarkę na wieczory, by zwabić z kolei miejscowych klientów szukających romantycznego nastroju. Gdy udało jej się zmienić atmosferę lokalu i ulotnili się żołnierze, podskoczyła do hotelu Dome usytuowanego po przeciwnej stronie ulicy. Ubrana w konwencjonalne szarości, z twarzą ożywioną tylko błyszczącą czerwoną szminką, zdołała namówić właściciela, by zawarł z nią układ o wzajemnej promocji. Klienci kawiarni mieli być kierowani do hotelu,

a goście Dome zachęceni do gaszenia pragnienia w jej barze. Zatrudniła także Christakisa i Mariosa do wykonania nowego szyldu, który powiesiła nad drzwiami. Nadała lokalowi dumną nazwę: Klejnot Kyrenii.

Chociaż niepokoje na wyspie niemal zabiły turystykę, czasy powoli się zmieniały i wyspiarze oraz obcokrajowcy pomału wracali, by zwiedzać śliczny port. Odważniejsi narażali się na ryzyko i pokonywali przełęcz w górach kyreńskich, inni wybierali dłuższą drogę, żeby uniknąć snajperów, chociaż teraz ci rzadko dawali znać o sobie. Wraz z powiększającą się liczbą turystów rósł optymizm w Kyrenii i coraz liczniejsze hoteliki oraz restauracje wyrastały wzdłuż brukowanych uliczek, dając świadectwo ufności w przyszłość. Miasto z determinacją dźwigało się z upadku, ale już bez Turków. Radio i telewizja wciąż nadawały relacje o incydentalnych aktach terroru, jednak w odróżnieniu od poprzednich lat takie doniesienia spychane były na drugi plan przez wydarzenia z areny światowej. Grecy cypryjscy przetrwali najgorsze i u większości poczucie ulgi dominowało nad frustracją z powodu politycznego impasu. Utrzymywał się względny spokój, więc duch przedsiębiorczości wziął górę nad duchem *enosis*.

Od momentu przejęcia kontroli nad lokalem Praxi działała tym prężniej, im więcej wyzwań stawało przed nią. Nie wyobrażała sobie nigdy, że może mieć głowę do interesów, ale księgi rachunkowe nie kłamały, a ona bardzo polubiła tę pracę. Smutek nachodził ją jedynie z tego powodu, że Loukis nie mógł stać u jej boku, tylko musiał się kryć w cieniu. To ją czasami doprowadzało do szału. Kochali się od dwudziestu czterech lat, a jeżeli wierzyć opowieściom Despiny o jej ciąży, to nawet od dwudziestu pięciu, tymczasem los sprzysiągł się przeciwko im obydwójgu, do tego jedno musiało poślubić idiotę.

Yiannis pokazywał się tylko dwa razy w miesiącu, żeby spędzić dzień z Elpidą, mimo to Praxi nie przestawała fantazjować na temat jego rychłej śmierci. Czasami miała go dosięgnąć kula, bo przecież służył w Gwardii Narodowej. Czasami w wyobraźni widziała wypadek samochodowy na drodze do Kyrenii. I wreszcie mógł mieć atak serca, bo dużo palił i był bardzo tęgi. Godziła się z tym, że pójdzie do piekła za takie myśli, jeżeli jednak miałyby spędzić resztę życia z Loukiszem, gotowa była ponieść taką karę. Niestety, upływały miesiące, a Yiannisowi nic złego się nie przytrafiało i jedynym pocieszeniem dla Praxi było jego rozdrażnienie z powodu zmian, jakich dokonała w wystroju baru. Kiedy przyniosła mu księgi, wzruszył ramionami, co odczytała jako oznakę aprobaty.

— Czy mam ci zrobić coś do zjedzenia? — zapytała.

— Nie, dziękuję, zaryzykuję gdzie indziej — odparł.

— Jak masz na imię?

— Jason. A ty?

— Artemis.

— Jak bogini.

— Dokładnie.

Elpida przysiadła obok, nonszalancko potrząsając włosami. Nie bardzo wiedziała, dlaczego skłamała temu chłopakowi, chyba chciała się popisać. Obserwowała go już niemal godzinę, zaintrygował ją. Miał skórę białą jak fartuch doktora i siedział nieruchomo jak posąg. Gdy podchodziła do niego, odczuła nieprzepartą ochotę, żeby zepchnąć go do morza. Mogłaby to zrobić z łatwością, lecz kiedy już stanęła za nim, zmieniła po namyśle zdanie, wiedząc, że przygląda się jej *yiayia* i pewnie uznałaby, iż takie zachowanie nie przystoi młodej damie, która ma już prawie dziesięć lat. Zamiast walnąć Jasona w plecy, usiadła obok niego na kamiennym molo.

— Na co patrzysz? — zapytała.

— Na nic — odparł. Dlaczego patrzysz na nic?

Chłopak odwrócił głowę w jej stronę. Oczy mu się zrobiły okrągłe ze zdumienia. Nie spodziewał się zobaczyć tak ślicznej dziewczynki.

— Mój tata, Jack, jest hen tam, nurkuje. ;

— Jest rybakiem?

— Nie, archeologiem.

Elpida nie za bardzo wiedziała, kto to jest archeolog, ale samo słowo zrobiło na niej wrażenie.

— Tam w morzu jest stary statek — mówił dalej Jason. — Mówią, że zatonął trzysta lat przed Chrystusem. Jack ogląda go na zlecenie muzeum uniwersyteckiego w Pensylwanii.

— Gdzie jest Pensylwania?

— W Ameryce.

— Jesteś Amerykaninem?

— Nie, Anglikiem. Powiedzmy pół-Grekiem — poprawił się. — Moja matka pochodziła z Aten.

— Dlatego tak dobrze mówisz po grecku?

— Dlatego.

— A gdzie jest teraz twoja mama? Jason spojrzał na Elpidę uważnie.

— Zwykle mówię ludziom, że umarła.

— To prawda?

— Nie.

— Więc dlaczego tak mówisz?

— Wolę to od prawdy. — Zamilkł, a Elpida czekała. Instynktownie zrozumiał, że się nie wykręci. — Moja mama uciekła z owłosionym jak małpa malarzem z Bułgarii.

Elpida odchyliła się do tyłu, zaświstała przez zęby, bo sztuki gwizdania jeszcze nie opanowała. Niełatwo pogodzić się z tym, że matkę zabiera ktoś podobny do małpy, pomyślała.

— Gdzie jest Bułgaria?

Cierpliwie jej wyjaśniał, poczęstowała go batonem czekoladowym i słuchała. Mówił z miękkim akcentem w odróżnieniu od ostrości jej głosu i to było czarujące: słowa opływały ją jak muzyka, więc bombardowała go pytaniami, żeby nacieszyć uszy melodią jego mowy.

Mówił, że Bułgaria graniczy z Grecją i Turcją, krajami znanymi jej ze słyszenia, a po drugiej wojnie światowej została państwem komunistycznym i nazywa się Ludowa Republika Bułgarii.

— Podoba mi się — skomentowała.

— Co?

— Republika ludowa — powtórzyła za nim. — My też mamy republikę, ale nazywa się tylko Republika Cypru i nikt nie przejmuje się tu ludźmi, jak mi się wydaje.

Jason spojrział na nią lekko zdziwiony, ale nie podjął tego tematu. Dziewczynka była naprawdę śliczna.

— Opowiedz mi o tym statku — zażądała. Posłusznie zaczął opowiadać.

Powiedział, że zupełnie niedawno jakiś poławiacz gąbek odkrył statek na dnie morza i kiedy się zorientowano, że może pochodzić z bardzo dawnych czasów, nawet z epoki Aleksandra Wielkiego, wszyscy się strasznie podniecili. Tata, teraz akurat nurkujący w wodzie z wykrywaczem metalu, przeszukuje to miejsce z grupą naukowców.

— Jeżeli znalezisko okaże się tym, co myślą, czyli najstarszym statkiem handlowym znanym ludzkości, w następnym roku przyjedzie tu duża ekipa, archeolodzy podwodni, studenci i technicy, żeby opisać pozycję każdego szczegółu przed wydobyciem całego statku z morza. Bo będą próbowali go wydobyć i potem wystawią go w jakimś muzeum. Dwa tysiące trzysta lat po tym, jak zatonął. To wszystko będzie trwało w nieskończoność.

— Więc stale będziesz w Kyrenii? — spytała.

— Na to wygląda — odrzekł.

Bardzo się tą wiadomością ucieszyła. Z tyłu dobiegł głos mamy wołającej ją na obiad.

— A myślałem, że masz na imię Artemis? — zdziwił się Jason.

Nie odpowiedziała, zachichotała tylko i pobiegła do domu.

*

Oficer zaprowadził ich trzech do domu w odległej północnej części miasta. We framugach okiennych nie było szyb, prąd został odcięty i posesja wyglądała na dawno opuszczoną. Pewnie w grudniu tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego trzeciego, domyślał się Sawas.

— Gdzie sąci Turcy?—pytał Pieris, syn rolnika z Trimiklini.

— Gdzieś tam. — Oficer machnął ręką w niewiadomym kierunku i zostawił ich samych. W nocy było ciemno choć oko wykol, więc jego „tam” nic im nie podpowiedziało.

Poruszając się na wyczucie wzdłuż ścian, weszli do pokoju skąpo oświetlonego połową tarczy księżyca. Oparli się plecami o ścianę, trzymając głowy poniżej otworu okiennego. Pieris pogrzebał w kieszeniach w poszukiwaniu papierosów i zapalek.

— Tego bym nie robił na twoim miejscu — doradził mu Michalakis.
— Mogą ci odstrzelić głowę.

— Za trzecim błyskiem zapalniczki — odparł Pieris.

— Aha, rozumiem — rzekł Michalakis. — Liczysz na to, że wypadnie na któregoś z nas, bo wszyscy palimy. Miło słyszeć, że nas wystawiasz.

— Nie to chciałem powiedzieć — zaprotestował Pieris.

— Nie złość się. — Michalakis się roześmiał. — Przekomarzam się tylko. Pal spokojnie. Poczekamy.

- Tak naprawdę, Pieris — odezwał się Sawas — nieświadomie stałeś się ofiarą kapitalistycznej pomysłowości.

- Niby dlaczego? — Pieris zapalił papierosa.

- Ano wierzysz zapewne w to — mówił Sawas — że gdy trzech mężczyźni zapalają papierosa od jednej zapalniczki, będzie nieszczęście. Jak rzekomo głosi przesąd z czasów pierwszej wojny światowej, jeden z nich zostanie zabity, ponieważ gdy pierwszy zapala zapalniczkę, nieprzyjaciel dostrzega błysk, gdy przypala drugi, nieprzyjaciel wycelowuje broń, a gdy przypala trzeci, wtedy dopiero strzela. Jednak to wszystko bzdura. Nie było takiego przesądu w czasach pierwszej wojny światowej. To fałszywka wymyślona dekadę później przez szwedzkiego króla zapalczanego Ivara Kreugera, żeby skłonić naiwniaków takich jak ty do zużywania większej liczby zapalek.

— No nie, to chore — rzekł Pieris.

— Taki jest biznes — dopowiedział Sawas, a Michalakis dostrzegł jakby figlarne błyski w oczach działacza AKEL i w tym momencie serce ścisnął mu żal. Za kilka miesięcy wszyscy trzej mieli włożyć cywilne ubrania, lecz ku swemu zdziwieniu Michalakis czuł coś w rodzaju smutku na myśl, że porzuci wojsko. Wbrew początkowej irytacji spodobała mu się zabawa w żołnierza. Poczł się sprawniejszy fizycznie, bardziej zdolny do tolerancji, a na szczęście nie musiał nikogo zabijać. W ostatecznym rozrachunku uznał, że będzie mu brakowało niektórych przyjaźni.

Może już dość gędzenia — oznajmił, wstając z podłogi- Chodźmy zobaczyć, gdzie jest tak zwany nieprzyjaciel, przynajmniej będziemy wiedzieli, w jakim kierunku strzelać.

Co racja, to racja, bracie. Bo tu go nie ma. — Sawas Podniósł się, a w ślad za nim niechętnie Pieris.

Z bronią gotową do strzału, cicho stąpając, posuwali się

krętymi uliczkami, które jeszcze niedawno były tętniącą życiem dzielnicą turecką. Panowała niezwykła cisza, widome świadectwa toczącego się na wyspie konfliktu poruszały do głębi i przygnębiały.

— To głupota, tutaj nie ma nikogo! — burknął Pieris, gdy już stracili z oczu opuszczony dom, który miał być ich „bazą”

— A niech mnie, ktoś tutaj jest — dobiegł z przodu szept Sawasa, który zatrzymał się na rogu dwóch wąskich uliczek. Michalakis stanął obok niego. Naprzeciwko za otwartymi drzwiami migotało jakieś światelko, najwyraźniej świecy.

Mocniej ścisnąwszy broń, popatrzyli na siebie i wszyscy trzej kiwnęli w milczeniu głowami. Pomalutku posuwali się po bruku, ręce trzymały karabiny tak, jak uczono ich na ćwiczeniach. Michalakis prowadził, za plecami miał Sawasa, Pieris został z tyłu, miał ich ubezpieczać. Nagle ciszę rozerwał czyjś okrzyk.

— Słyszę was!

Zaskoczeni znieruchomieli. Zostali wykryci przez nieprzyjaciela, ale ten mówił po grecku. Michalakis, obejrzawszy się na Sawasa, który szykował broń do strzału, wskoczył w krąg światła ze swoim martinimhenrym i z wycelowaną lufą stanął osłupiały na widok zgarbionej sylwetki przy laminowanym stole. Mężczyzna pożywiał się akurat, a był stary jak Matuzalem.

— Dziadku, a ty co tutaj robisz? — zapytał Michalakis, dysząc jeszcze, bo serce dopiero mu wracało do normalnego rytmu.

— A na co to wygląda? — burknął starzec. Michalakis usłyszał za sobą chichot Sawasa.

— Jesteś sam?

— Tak.

— Nie boisz się, dziadku?! — krzyknął Pieris zabezpieczający ich nadal z ulicy.

- A czego?! — odkrzyknął starzec. — Do towarzystwa mam tylko swój cień, chyba że policzycie też koty i szczury.

- A Turków tu nie ma?

Starzec kłapnął sztuczną szczęką.

-Nie ma tutaj Turków, synu. Rozejrzyjcie się naokoło!

A nawet gdyby byli, dlaczego mieliby się mną interesować? Nikomu nie robię krzywdy. — Wstał ze stołka i przeszedł ze świecą do sąsiedniego pokoju. Wychynał stamtąd z trzema szklaneczkami i do każdej nalał po kropelce brandy. Michalakis wziął jedną, podziękował, dwie podał Sawasowi i Pierisowi.

— A gdzie jest twoja rodzina? — zapytał.

— Od dawna ich tu nie ma.

— Nie masz dokąd pójść? — dopytywał się Michalakis.

— Dlaczego miałbym stąd odchodzić? — szczerze zdziwił się stary człowiek. — Tutaj jest spokojnie. Mam dom. Mam swoje życie. I odpukać, mam zdrowie. Codziennie chodzę do pobliskiej wsi po ogórki i pomidory, a raz na miesiąc zaopatruję się w brandy. Nikogo nie krzywdzę i zajmuję się tylko swoimi sprawami. Gdyby każdy tak robił, być może siedzielibyście dzisiaj w nocy w swoich domach, zamiast patrolować ulice... w poszukiwaniu duchów.

*

Dwudziestego pierwszego kwietnia 1967 roku Grecją wstrząsnął wojskowy zamach stanu dokonany przez pułkowników i generałów związanych z wywiadem wojskowym. Na czele junty stanął pułkownik Georgios Papadopoulos i Yiannis me bardzo wiedział, jak potoczą się dalej wypadki, póki Victor me uporządkował mu w głowie.

Teraz dopiero zobaczymy jakiś postęp — z pewnością siebie przepowiadał Victor, gdy w tawernie z malowniczym

widokiem na zatokę Famagusta zaczęli pałaszować mięsne *meze*, urozmaicone i w umiarkowanej cenie.

Yiannis mu przytaknął i wbił zęby w pikantną kiełbasę, ale po chwili musiał się poklepać po klatce piersiowej, czując narastający dyskomfort z powodu zgagi. Na odgłos nagle wypuszczonych gazów Victor wzdrygnął się z niesmakiem, a Yiannis oblał rumieńcem ze wstydu.

— Nie sądzę, żeby zakończenie twojej służby miało przyjść zbyt wcześnie — powiedział ze śmiechem Victor, więc Yiannis się odprężył, uznając tę dwuznaczność za potwierdzenie, że ktoś za nim tęskni.

Od szesnastu miesięcy kochankowie ograniczali się do spotkań co drugą sobotę w hotelach i gospodach w różnych miejscowościach, z ostrożności rezerwując zawsze dwa pokoje, żeby uniknąć podejrzeń. Jeśli pogoda sprzyjała, spędzali gdzieś noc pod gołym niebem. A kiedy Victor pojechał do Grecji na urlop, Yiannis wracał do wszystkich po kolei miejsc, gdzie się kochali. To było idiotyczne, miał tego świadomość, powinien raczej wykorzystać okazję i częściej odwiedzać córkę, ale myśl o stawianiu czoła fałszywej sytuacji zniechęcała go do podróży i pogłębiała jedynie poczucie zagubienia. Pod nieobecność Victora czuł się rozpaczliwie osamotniony. Od czasu do czasu targany rozterkami popadał w takie przygnębienie, że nie chciało mu się otwierać ust. Gdyby nie był w wojsku, prawdopodobnie podczas urlopu Victora nie opuszczałby łóżka. Oczywiście jedyną osobą, która mogła to zrozumieć, był on sam. Straszliwie brakowało mu rozmowy z kimś o skrajnych uczuciach, jakie budził w nim Victor — to głębokim smutku, to euforycznej radości — lecz nie byłby w stanie o tym mówić, sparaliżowany własnymi przesądami. Mimo wiadomej słabości wciąż uważał się za mężczyznę, a tylko kobiety rozprawiają o swoich uczuciach.

Ponad wszelką wątpliwość zakochał się w Victorze, ale wzajemności nie mógł być pewien. Modlił się, żeby Victor czuł choćby ułamek podobnego przywiązania. W ciągu tych kilku lat bycia ze sobą nigdy nie mówili o miłości. Rozmawiali o polityce i niemal o niczym więcej. Przestali nawet wspominać rodziny i fasadowe małżeństwa. Czasami spotykali się, by stwierdzić, że nie mają sobie nic do powiedzenia. Tego wieczoru jednak dwa dzbanki *kokinelli* i wiadomości o zamachu przywróciły pogodny blask oczom Victora i patrząc na niego, Yiannis utwierdzał się w przekonaniu, że nigdy nie pokocha innej istoty z taką siłą.

— Tylko patrzeć — mówił Victor między kąskiem wieprzowego kebabu i kęsem chleba *pita* — jak junta zacznie walczyć o Cypr. Obecnie mamy na wyspie dziesięć tysięcy żołnierzy i czasy płaszczenia się przed Castro w sutannie minęły. Pułkownicy zaraz udzielą wsparcia Grivasowi wbrew intencjom Makariosa. Pora ruszyć na tureckie enklawy.

— Niektórzy oficerowie w Larnace mówili między sobą o Kofmu. — Yiannis popisał się, że coś wie. Victor się uśmiechnął.

— Tam z całą pewnością się zacznie — potwierdził. — Tamte psy już za długo śmieją się nam w nos.

Drogi z Nikozji, Larnaki i Limassol zbiegały się pod okiem mieszkańców Kofinu i tamtejsi Turcy cypryjscy wzniesli blokady, żeby uniemożliwić policji przejazdu. Nie było tajemnicą, że Grivas zamierza złamać ich opór, a i z nastaniem rządów „czarnych pułkowników” nabierze pewności siebie i zaatakuje za zgodą prezydenta lub bez niej.

Nie wiadomo, co będzie z tobą, skoro trafisz do bazy w Larnace. Może się okazać, że odegrasz swoją rolę w historii. - Victor się uśmiechnął.

Yiannis zrewanżował się uśmiechem, już ciesząc się na myśl, że jego bohaterstwo dobrze wpłynie na ich związek. Podniósł szklankę.

— *Za enosis!*

— *Za enosis!* — przyłączył się Victor. Celując w Yiannisa widelcem, dodał: — Masz na zębach listek pietruszki, zróbże coś z tym.

... *

Loukis nie usiadł koło Praxi, bojąc się, że w chwili nieuwagi mógłby położyć rękę na jej kolanie. Ona zajęła honorowe miejsce pod szyldem Klejnot Kyrenii, on siedział wystawiony na palące słońce między mężczyznami, którzy dyskutowali o degradacji cypryjskiej piłki nożnej. Na początku roku narodowa reprezentacja fatalnie wystartowała w eliminacjach do mistrzostw Europy, przegrywając 0:2 z Włochami i 0:7 z Rumunią. Teraz oczekiwano, że się zrehabilituje w listopadzie, najpierw w meczu z Włochami, potem ze Szwajcarią.

— Niestety, mają grać poza krajem, chłopcy muszą sobie poradzić bez dopingu — lamentował Andreas.

— Asprou odrobi wszystko, nie martwcie się — przekonywał Georgios.

— Nigdy w życiu. — Marios się zaśmiał. — Jeżeli ktokolwiek coś zrobi, to Papadopoulos, on strzeli parę goli. Mogę się założyć o miesięczny zarobek.

— A ja stawiam równowartość waszych dwóch rocznych dochodów na to, że wrócimy do kraju z niczym — mruknął Christakis. — Z takim selekcjonerem jak Gavalas nie ma na co liczyć. Facet nie potrafiłby rozdzielić beli siana między dwa osły.

Siedząca u szczytu stołu Elena nachyliła się do Despiny.

- Czy oni wciąż mówią o futbolu?
- Hm, zdaje się, że zwycięża nad polityką.
- Mamo, możesz podać ziemniaki? — Niki wyciągnęła rękę. Siedziała na krześle po turecku z obawy, że kyreńskie węże nie robią przerw w polowaniu z powodu pory obiadowej.
- Nie sądzisz, że masz już dość? — spytała Lenia.
- Prawie — przyznała córka, a Elena uniosła brwi.
- To dziecko ma wilczy apetyt — rzuciła komentarz w przestrzeń i został podchwycony przez ojca Niki siedzącego przy drugim końcu stołu.
— Ona ma apetyt czempiona, Eleno! — Zwracając się do panów, Andreas wyjaśnił, że jego córka została wytypowana do reprezentowania szkoły w krajowych zawodach dzieci poniżej jedenastu lat w biegu na czterysta metrów. — Ma być najmłodszą zawodniczką — dodał z dumą.
— Jeżeli dalej będzie się zapowiadać tak obiecująco, powinna mieć profesjonalnego trenera, tak doradza szkoła — mówiła Lenia kobietom. — Andreas podejrzewa oczywiście, że to chytry chwyt, żeby nabić kieszeń nauczycielowi gimnastyki.
— Nie potrzebujemy trenera, Niki *mou*, prawda?! — krzyknął jej ojciec. — Masz tylko pamiętać o węzach na twoim torze.
— Papo! — zapiszczała dziewczynka.
Lenia przewróciła oczami, a współczujące kobiety natychmiast pocieszyły ją znanymi z własnego doświadczenia przykładami męskiej głupoty; wszystkie poza Praxi, której w ogóle nie interesowały te rozmowy. Spojrzała na Loukisa i stwierdziła, że on też na nią patrzy. Nawet po tylu latach jego wzrok palił ją jak ogień. To było spojrzenie, które rozbierało ją do naga, a co gorsza, widziała wtedy i jego nagość. Bez ostrzeżenia iskra pożądania wybuchła wulkanem chichotu. Co się z tobą dzieje? — spytała matka.

— Nic takiego — odrzekła Praxi i czule ją objęła. — Jestem po prostu szczęśliwa, że was tu goszczę.

— *Yiomas!* — Christakis wznosił toast ze swojego końca stołu, na co wszyscy wstali, by trącić się szklankami.

Po raz trzeci zbierali się w barze, a okazją do pierwszego spotkania było posmakowanie potraw nowego kucharza, którego zatrudniła Praxi. Przyjęcie okazało się tak udane, że postanowili przychodzić w każdą drugą niedzielę miesiąca i teraz, rozglądając się wokół, Praxi pomyślała sobie, że trudno o bardziej szczęśliwe chwile. Nawet jej matka, wciągnięta w pogaduszki z Despiną, Lenią i Yianoullą, zdołała się otrząsnąć z moralnych wątpliwości. A przy drugim końcu stołu Loukis gładko wszedł w rolę niemianowanego gospodarza, pilnując, by szklanki mężczyzn były zawsze pełne, i strzegąc butelek z piwem Keo przed czterema chłopakami Christakisa. Tak naprawdę jedyny cień na imprezę rzucało zachowanie jej córki, która odeszła od stołu i siedziała nadąsana w kącie. Wciąż się boczyła na matkę, chociaż minęły dwa dni, od kiedy ta ją zrugowała za znajomość z obcym chłopakiem.

Na początku tygodnia Elpida i Jason szukali na plaży monet i nagle rozmowa zeszała na kolor włosów. Włosy Jasona właściwie nie były blond, tylko prawie białe, raczej dziwne u pół-Greka, ale powoływał się na to, że Christakis i Niki też są jasnymi blondynami.

— To przynosi pecha — upierała się Elpida. — Tylko dlatego, że Niki jest dziewczyną, nie golą jej codziennie głowy, jak robili z Christakisem.

— A naprawdę to oznaka szlachectwa — powiedział Jason. Miał zaledwie dwanaście lat, lecz jego słownictwo budziło

jej podziw. Mówił jak dorosły. Do taty zwracał się po imieniu, ojciec był dla niego Jackiem, co pozwalało Elpidzie wytłuma-

czyć sobie, dlaczego matka Jasona uciekła. U nich nic nie odbywało się normalnie.

— Co to jest szlachectwo? — spytała.

— To klasa najwyższa, bogaci ludzie — wyjaśniał Jason. —

Zauważ, że starożytni bogowie, przynajmniej wielu z nich, mieli blond włosy, jak twoja Afrodyta.

— Bogini miłości. — Elpida westchnęła, patrząc szelmowsko na niego, na co spłonął rumieńcem.

— W gruncie rzeczy Afrodyta wcale nie była tak kochającą wszystkich boginią, jak wy, Cypryjczycy, chcecie to widzieć — sprzeciwił się Jason. — Potrafiła być okrutna dla tych, którzy jej się narazili. Ukarła Glaukosa za to, że nie dopuszczał ogierów do swoich klaczy, i spowodowała, że go rozszarpały. Synów Posejdona chciała zmusić do zgwałcenia własnej matki, a Ajgeusa uczyniła bezpłodnym, bo nie chciał oddawać jej czci. I zawsze jedno miała w głowie. Chociaż poślubiła Hefajstosa, kulawego kowala, romansowała z wieloma bogami: z Aressem, Hermesem, Dionizosem i Adonidem, a ilu było w jej łóżku zwykłych śmiertelników, trudno zliczyć. Ale czego można oczekiwać od bogini zrodzonej z krwi z odciętych genitaliów Uranosa?

Elpidę wprowadził w stan oszołomienia. Nigdy nie słyszała podobnych historii ani takiego drastycznego języka.

— Skąd wiesz to wszystko? — spytała.

— Mówiłem ci, Jack jest archeologiem, zajmuje się takimi sprawami i opowiada mi o tym wszystkim. Wiem, że w bardzo dawnych czasach kult Afrodyty na tej wyspie polegał na tym, że ludzie się zbierali w świątyniach ku jej czci i uprawiali seks każdy z każdym. Jej kapłani byli zwykłymi alfonsami.

Tego dnia Elpida, wstrząśnięta rewelacjami Jasona, po powrocie do domu rozmawiała z matką, która akurat przygotowywała z babką bar na przyjęcie wieczornych klientów.

— Afrodyta była najpiękniejszą istotą, jaka kiedykolwiek istniała, i potrafiła rozkochać w sobie każdego mężczyznę. — Praxi zbyła ją krótką informacją. — Wyłoniła się z morza i przyplęnęła w muszli na Cypr, dlatego na wyspie bardzo ją kochamy.

— Mamo, ty niczego nie wiesz. To była okrutna bogini!

— Co ci przyszło do głowy?

Elpida poprawiła się na krześle i pokręciła głową.

— Mamo, Afrodyta była zdziwą, cześć oddawały jej prostytutki. Ona powstała z męskich, no... jajek.

Ten jeden raz twarz Praxi stała się lustrzanym odbiciem twarzy jej matki. Kiedy przyszedł Loukis z „przyzwoitkami”, ojcem i Christakisem, i usłyszał, jaką wiedzą popisała się Elpida, śmiech wycisnął mu łzy z oczu.

— To prawdopodobnie najbardziej adekwatna charakterystyka naszej ukochanej bogini, jaką kiedykolwiek słyszałem — rzekł, rechocząc.

Nie widząc w zasięgu wzroku Elpidy, Praxi chętnie się z nim zgodziła.

— Udała nam się, jest wyjątkowa — szepnęła przez ladę baru, która ich rozdzielała.

— Tak, Praxi, powołaliśmy na świat dziewczynkę, która ma uderzającą urodę matki i ostry intelekt ojca.

— Czy naprawdę uważasz, że jestem piękna?

— Tak uważam. Nie ma na świecie kobiety, która by ci do pięt dorastała.

Praxi, rozrzewnionej komplementem, zaszklily się oczy, odwróciła się szybko, żeby ręce same nie wyciągnęły się do niego, bo mogłyby ich zdradzić. Jeszcze teraz, dwa dni później, wstając od stołu, żeby zebrać nakrycia, oblała się rumieńcem na wspomnienie słów Loukisa. Słońce powędrowało już nad

morze i pozostawione tu i ówdzie na talerzach *souvlaki* wystygły- Na znak dany przez Praxi wszystkie kobiety również się podniosły, żeby uprzątnąć resztki posiłku. Zniknęły w barze, a po kilku minutach pojawiły się znowu z tacami z kawą i deserem. Praxi, idąca za nimi z misą owoców w każdej ręce, pobladła nagle, gdy Elpida poderwała się za swego miejsca z okrzykiem: „Tato!”.

Yiannis pokotyśał Elpidę wysoko w górze i ucałował w policzki i czoło. Gdy się zbliżał, wzrok mu stwardniał, dawał o sobie znać instynkt terytorialny. Loukisowi naprężyły się mięśnie, a Despina natychmiast stanęła przy nim, chcąc go wesprzeć czy może powstrzymać.

— Posłuchaj mnie, lepiej będzie, jeżeli wrócimy do wsi — szepnęła.

Loukis zrobił krok do przodu, a Yiannis odruchowo się cofnął. Elpida odwróciła głowę z pytaniem w oczach. Loukis się pohamował i wyszedł z matką.

Praxi poczuła, że za chwilę pęknie jej serce.

We wsi leżącej mniej więcej w połowie drogi między Larnaką i Limassol młoda matka wsuwała na łopacie okrągłe bryły ciasta do pieca chlebowego. Zawsze godzinę później do domu wracał mąż ze strzelbą przewieszoną przez ramię, znużony, ale z bezwiednym uśmiechem młodości na twarzy. Wtedy wstawał najstarszy syn, żeby zająć miejsce ojca przy południowej bramie. Dopiero przed zachodem słońca reszta ich dzieci wracała do domu po zabawie na dworze. Kiedy już zatrzasnęli drzwi przed pierwszym chłodem nadchodzącej zimy, kobieta zabierała się do reperowania ubrań rzuconych w nieładzie w pokoju chłopców. Tak wyglądał w ostatnich latach ich normalny dzień i ten też się od nich nie różnił aż do za dziesięć trzecia po południu, kiedy to rozpętało się piekło.

Trzy tysiące żołnierzy uzbrojonych w karabiny, moździerze i pancernice zaatakowało Kofinu, ziejąc ogniem ze wszystkiego, co mieli. Po piętnastu minutach od pierwszej eksplozji oddziały pokojowe Narodów Zjednoczonych skapitulowały i wycofały się, a strzelanina objęła każdy kąt wsi. Kule i pociski odbijały się od ścian i przebijały żywe i martwe ciała. Matki,

krzycząc wniebogłosy, biegały w poszukiwaniu dzieci zagubionych na dworze, a ojcowie i starsze rodzeństwo stanęli na drewnianych barykadach, lecz ich archaiczne karabiny były w obliczu piekielnego ognia niczym dziecięce pukawki. Kofinu bombardowano z moździerzy i ciężkiej artylerii, póki każdej ulicy nie objęły trzaskające płomienie i nie ucichła każda matka. O dziewiątej wieczorem wieś padła — wyczerpana, zdziesiątkowana, pokonana. Chłopcy i mężczyźni leżeli martwi, ciała płonęły jak pochodnie na progach domów, a w samym sercu tego tureckiego siedliska greckie głosy wrzaskiem ogłaszały zwycięstwo.

Żołnierze szli od domu do domu, wygarniając wojenną zdobycz. Tę przerażoną resztę mieszkańców zagonili do przychodni i baru, gdzie przez całą noc trzymali ich na celowniku. O świcie, równie nagle, jak się pojawili, Grecy się wycofali. — Mogliśmy pochować naszych zmarłych — kobieta opowiadała cichym głosem Michalakisowi. Miała połamane paznokcie i zadrapania na szyi. — Przez wiele dni pragnęłam być martwa. Ból był zbyt wielki. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego nam to zrobiliście. Dopiero potem ogarnęła mnie nienawiść. Tego, co się stało, nie da się odwrócić, nigdy tego nie zapomnę i nigdy nie wybaczę. Mój mąż i syn zginęli, broniąc wsi. Są męczennikami, bohaterami. Wy chcieliście nas zniszczyć, a przyjdzie wam podziwiać naszą dumę i honor.

Kiedy kobieta skończyła mówić, Michalakis schował notatnik i podziękował. Jej oczy nie próbowały ukrywać pogardy, i wsunął głowę w ramiona pod jej wzrokiem. Wyszedł, myśląc z ulgą, że szczęśliwie nie brał udziału w tej masakrze, ale jednocześnie wiedział, że to zasługa opatrności boskiej, a nie jego świadomego wyboru. Czy gdyby nadal służył w Gwardii Narodowej, znalazłby w sobie dość odwagi, żeby powiedzieć

„nie”, kiedy pada rozkaz? Nie był pewien. Wszystko, co mógł teraz zrobić, to zrelacjonować opowieść tej kobiety jak najwierniej. Kilka tygodni temu byłoby to nie do pomyślenia, ale w mgnieniu oka wszystko się zmieniło.

Brawurowy atak na Kofinu okazał się katastrofalnym błędem Grivasa. Operacja była błyskawiczna, zaskoczyła Turcję, ale nie zmniejszyła jej furii mimo natychmiastowego zakończenia akcji. Cierpliwość Ankary się wyczerpała i zagrożeniem stała się nie tylko interwencja na Cyprze, lecz także wojna z Grecją. Na tłumnych demonstracjach rozbrzmiewały nawoływania do wojny, a ryk tureckich odrzutowców nad wyspą nie pozostawiał wątpliwości co do zamiarów Turcji. Jej groźby potraktowano bardzo poważnie, Anglia zabrała obywateli brytyjskich do bazy lotniczej w Dhekelii, licząc się z koniecznością ich ewakuacji. Rządy światowe zareagowały nerwowo, Grecja musiała się pohamować w obliczu groźby otwartej wojny, a Turcja zażądała wygnania Grivasa z wyspy, by w Atenach zżarła go nienawiść. Domagała się ponadto ograniczenia kontyngentu greckiego na wyspie do dziewięciuset pięćdziesięciu ludzi, jak stanowił traktat gwarancyjny, rozwiązania Gwardii Narodowej, objęcia kuratelą nielegalnych oddziałów czeskich i wypłacenia odszkodowań cypryjskim Turkom. Grecja nie miała pola do manewru: pogróżki Turcji były realne, a możliwości wywierania na nią presji — skąpe. Chcąc nie chcąc, Grecy wycofali żołnierzy do kraju, schowali w magazynach broń z przerzutów, zniesli sankcje wobec cypryjskich Turków, a ponownie wygnanego z wyspy Grivasa osadzili w areszcie domowym w Atenach. Jedyne Gwardia Narodowa przetrwała. Chociaż Turcy zgodnie z porozumieniem również musieli wycofać z wyspy swoje oddziały, cena, jaką zapłaciła Grecja za nierozwagę Grivasa, była wysoka. Junta musiała nakazać odwrót dziesięciu

tysiącom swoich żołnierzy i tym samym straciła oparcie i wpływy na wyspie, ale przede wszystkim została głęboko upokorzona. Jedyńm zwycięzcą okazał się Makarios, który dzięki deportacji Grivasa, niegdysiejszego sprzymierzeńca, mógł cieszyć się pełnią władzy.

Yiannis wprawdzie nie wymyślił jeszcze, w jaki sposób przekonać Praxi, żeby wróciła do matki, ale przypuszczał, że nie będzie robiła problemów. Podobało jej się zarządzanie barem, co wynikało jasno z wpływów kasowych, wiedział też, że polubiła ten biznes — ale pod warunkiem, że prowadziła go sama, bez niego. Głównym problemem była więc Elpida z powodu dziwnego przywiązania do nastoletniego Brytyjczyka.

— Nie sędę — ripostowała, gdy mimochodem wspomniał o powrocie do wsi.

— Zrobisz, co ci każą, młoda damo.

— Czyżby? — Odcień pogardy w jej głosie zbił go tropu. Zmieniła się pod jego nieobecność, stała się humorzasta.

Miała zaledwie dziesięć lat, więc hormony nie usprawiedliwiały takiej krnąbrności, lecz świadomość własnej winy powstrzymywała go od pokazania, co znaczy ojcowska ręka. Ku swemu przerażeniu w twardym spojrzeniu Elpidy zobaczył przeciwieństwo własnej słabości, której nie potrafiłby się wyprzeć. Kiedy głowił się nad znalezieniem takiego wyjścia, by zadowolić i córkę, i kochankę, obiekt dziecięcego zadurzenia Elpidy został nagle przeniesiony do bazy lotniczej w Dhekelii, a jednocześnie Victor wyspę opuścił, zatem nie było już powodu, żeby odzyskiwać dom i bar do swojej wyłącznej dyspozycji.

Victor przekazał mu wiadomość w krótkiej rozmowie zamiejscowej, która pozostawiła wrażenie dystansu również pod

każdym innym względem. Słyszał w głosie kochanka złość, irytację i ani cienia żalu z powodu rozstania. A kiedy ochłonął na tyle, by się odważyć zapytać, co dalej, Victora już nie było na linii.

— Kiedy cię znowu zobaczę? — spytał chrapliwym głosem. Odpowiedziało mu kilka sygnałów, a potem martwa cisza. Tydzień później pocztą nadszedł list.

A więc, stary przyjacielu, tak, to wygląda. Za godzinę wybywam i między nami oraz naszymi marzeniami o enosis będzie się rozciągać morze. Nie do uwierzenia, że do tego doszło. Wciąż jestem w stanie, jaki medycy nazywają szokiem, i to samo widzę w oczach wszystkich bez wyjątku tutaj. Cokolwiek, świat o nas mówi, walczyliśmy za sprawę, w którą wierzymy:

o wielkość Grecji oraz bezpieczeństwo Cypru i naszego narodu. Wiem, że Ty bardziej niż inni wczuwasz się w nasz ból i smutek, z powodu sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy. (Razem i oddzielnie szliśmy tą samą drogą, żeby nagle stwierdzić, że znika nam z oczu. Straciliśmy wszystko, chyba nigdy u życiu nie czułem się tak, przy bity i tak, niecznie zdradzony. I co dalej? Co może być dalej? To pytanie, na które nie mam odpowiedzi Na razie nie. Wykrwawiliśmy się, ale nie jesteśmy złamani. (Przyjdzie taki dzień, Yiannisie, kiedy znowu będziemy razem jako bracia i Grecy. Obecnie, choć rzeczywistość jest straszna, musimy wrócić do zwyczajnego życia i przeczekać ten mroczny czas w historii waszej i naszej. Iwierz mi, wybrniemy z tej sytuacji i zwyciężymy. Nie trać wiary, Grecja i ja pamiętamy o Tobie, kiedy piszę te słowa, mam przed oczami twoje tak, często ściągnięte brwi (Być może mi nie uwierzysz, bo nie zawsze traktowałem cię taki jak, byś oczekiwał czy sobie życzył, a czasami bywałeś nawet

dotknięty ostrością moich słów, ale pamiętaj, że spędzałem czas z Tobą, ponieważ tego chciałem. Najszczęśliwszym moim wspomnieniem z tej wyspy jesteś właśnie Ty.

Twój Victor

Yiannis starannie złożył list, włożył go do kieszeni koszuli na sercu, czule poklepał i spróbował wrócić do zajęć. Po sekundzie zapragnął znowu czytać te słowa i po trzech dniach papier w miejscach zgięć zaczynał się rwać w jego mało delikatnych rękach. Po każdym odczytaniu listu rosła jego determinacja i wreszcie postanowił zjeść obiad wspólnie z Praxi i Elpidą, by im oznajmić, że przenoszą się do Grecji, co wywołało przerażenie jednej i drugiej.

Tej nocy, gdy zmęczona płaczem Elpida zasnęła i Yiannis poszedł w jej ślady, Praxi zdjęła z haka na drzwiach swój czerwony szal i wyszła z Klejnotu Kyrenii zewnętrznymi schodami. Na ulicy uderzył ją nocny chłód, owinęła się szczelniej szalem. Miękka wełna pachniała jej perfumami i poczuła, że włosy, które specjalnie rozpuściła, wchłaniają ten zapach.

Nie biegła tak jak kiedyś, szła wolno, lecz zdecydowanie. Tym razem nie popychał jej huraganowy wiatr. I nie czuła lęku. A co najważniejsze, nie przypominała sobie, by kiedykolwiek miała większą jasność umysłu. Obawa przed oskarżeniami, która ją niegdyś dręczyła, wygasła i poczucie wstydu straciło tamtą straszliwą moc. Skoro miała wybierać między niczym i wszystkim, choć z piętnem hańby, wybierała to drugie.

Podeszła do drzwi, nacisnęła klamkę; wiedziała, że drzwi me są zamknięte na klucz. Gdy weszła do pokoju, jego sylwetka w mroku poruszyła się gwałtownie na metalowym łóżku przy przeciwległej ścianie. Raczej słyszała, niż widziała, że jego ręka sięga po strzelbę.

— Praxi?!

Błysnęła zapalniczka. Płomyk zamigotał i zgasł w jego palcach, gdy do niej podchodził. Poczula piżmowy zapach snu na jego nagiej piersi i bezwiednie przeciągnęła zębami po dolnej wardze. Z ciemności wyłoniły się jego rysy i oczy, które obiecywały wszystko po wieczność. Błyskawicznie poodpinała górne guziki sukni, zanim sięgnęła rękami do jego twarzy.

— Już się niczym nie przejmuję — szepnęła. — Zrobię, cokolwiek zechcesz.

*

Despina podniosła mu głowę, by mieć jego oczy na wprost swoich. Bładość okrywała twarz Loukisa, pulsowały zaciskane szczęki. Dotknęła ustami jego czoła.

— Oddychaj mocno, Loukisie, oddychaj równo ze mną. Jestem przy tobie. Zawsze będę.

Wydał jęk zamiast odpowiedzi.

Godzinę wcześniej Despina ścierała kurze na werandzie Mehmeta i Pembe, leniwie rozmyślając, jak Maria wpasuje się w rodzinę, bo Michalakis się oświadczył. I nagle, słaniając się, przyszedł do niej Loukis.

— Nie możemy na to pozwolić — powiedział krótko. Despina tym razem nie pobiegła po wiaderka i zioła, tylko

zaprowadziła Loukisa do jego chaty, zasunęła zasłony i próbowała znaleźć rozwiązanie.

W półmroku panującym w pokoju usiedli na podłodze i Despina poprosiła o wyjaśnienia. Ponaglany, by wyjawiał przyczynę napadu lęku, Loukis zapanował nad oddechem i postarał się skupić wzrok na matce. Nie była zdziwiona, gdy zaczął od Praxi.

— Całe życie ją kochałem — mówił z trudem. — Chętnie będę pozostawał w cieniu jej życia, byle być blisko niej.

- Kiedy wyjeżdża do Grecji?

- Nie wyjedzie.

Loukisie, ona musi. Wcześniej go zabije. Spojrzała na syna. Twarz miał ściągniętą, ale nie było w niej gniewu. I mówił kategorycznie, z jasnością umysłu. Uwierzyła w to, co powiedział.

_ Nie możesz zamordować Yiannisa — rzekła.

_ Dlaczego nie, ty wolisz to zrobić?

— Loukisie! Nie możesz zabić człowieka tylko dlatego, że stanął ci na drodze. Chcesz spędzić resztę życia za kratkami?

— To jest Cypr, mamó. Zabójcy każdego dnia unikają więzienia. — Despina chwyciła go za ramiona i potrzęsła nim ze złością. — Litości, mamó, wiem, że nie wolno mi zabić Yiannisa — warknął. — Ale nie mogę żyć bez Praxi. Bez niej w ogóle nie chcę żyć. Jeżeli wyjedzie... jeżeli oni wyjadą... to mnie zniszczy.

— Co możecie zrobić?

— Zniknąć.

Na te słowa serce jej zamarło. W głębi duszy zawstydziała się, że przeraziło ją to bardziej niż zapowiedź morderstwa. Walczyła ze łzami, które napływały do oczu i piekły.

— No dobrze, znikniecie — zgodziła się. — Ale dokąd się udacie?

— Do Anglii?

Myślę, że to jest do załatwienia — przyznała.

Mimo burzliwej historii wzajemnych stosunków między wyspami tysiące Cypryjczyków wybrało się w ostatnich latach w tak daleką wyprawę, w tym nawet kuzyn Georgiosa.

Pod dotknięciem jej rąk Loukis się uspokoił. Powoli podniósł głowę. Wpatrzył się w matkę z taką intensywnością, że wyda-

wało się jej, iż słyszy jego słowa, zanim wypłynęły z ust. W tym momencie zdała sobie sprawę, że napad lęku nie był jednak wywołany przez Praxi.

— Nie mógłbym wyobrazić sobie życia bez ciebie, mamo.

— A ja bez ciebie, synu.

Serce jej zadrżało, uniosła głowę Loukisa i ułożyła sobie na kolanach, głaskała go po włosach, odpędzała z czoła troski, póki nie zauważyła, że panika wypęła i zostawia go w spokoju. Despina nie potrafiła jeszcze odejść, została, póki nie zasnął. Wyglądał na wyczerpanego i zdawało się, że ma więcej niż dwadzieścia sześć lat. Ale dla niej wciąż był chłopcem. Och, Boże! Jest moim chłopcem! — krzyknęła w duchu. Chwyciła chustkę i zatkała nią usta, żeby nie krzyczały.

Kiedy ta chwila minęła, ostrożnie się podniosła. Podłożyła Loukisowi poduszkę pod głowę i przyniosła koc z łóżka, żeby go nakryć, tak jak leżał na podłodze. Zanim z oczu polały się łzy, wymknęła się, by wrócić do domu.

Wysoko na niebie świecił księżyc, ale zaskoczyło ją światło w oknach domu Mehmeta i Pembe. Wiedziała, że to nie ona je zapalała, gdyż był jeszcze dzień, kiedy zjawił się Loukis, szukając jej. Cichutko, z walącym sercem, wślizgnęła się na werandę i zajrzała przez okno. Na krześle siedział stary człowiek i wpatrywał się w fotografię w ramce. To był Mehmet. I był sam.

Mehmet poruszył się, słysząc głośniejszy oddech Pembe.

— Widzę białego konia — wymamrotała, przysunęła się bliżej i zapadła znowu w sen.

Po raz pierwszy od czasu, kiedy opuścili swoją wieś, wspomniała o koniu, który odegrał tak niezwykłą rolę na ich weselu. Niestety rano, kiedy się Mehmet obudził, z rozpaczą stwierdził, że biały koń ze snów żony tym razem pojawił się, żeby ją zabrać ze sobą. Nie chorowała, nie było preambuły cierpienia. Pembe umarła we śnie z uśmiechem na ustach. Odeszła z subtelnością właściwą jej naturze i nie mógłby życzyć żonie lepszego rozstania z życiem, ale zostawiła go samego.

W Gónyeli Mehmet pozostał jeszcze przez miesiąc, żeby dopełnić rytuałów pożegnania zmarłej. Ich córka Ayse przyjechała z Limassol z czwórką dzieci, a dwaj synowie przyплыnęli statkiem z Turcji. Ich ból i poczucie winy osaczyły go, więc poczuł ulgę, kiedy wyjeżdżali, choć ociągali się, chcąc go namówić, żeby się do nich przeniósł. Po ich wyjeździe mężczyźni, którzy zbierali się codziennie w kafejce Uncle Cavus, postanowili zająć Mehmeta wymagającą skupienia grą w tawli,

a nawet skłonili go do obejrzenia filmu w jednym z dwóch małych kin w Gónyeli. To była love story i z trudem wysiedział do końca, niekoniecznie z tego powodu, że przypominała o stracie, raczej dlatego, że od migotania obrazów na ekranie rozboleła go głowa.

W jego życiu zapanowała pustka, natomiast wokół niego świat normalniał. Barykady, które chroniły i więziły zarazem, powoli rozbierano i chociaż żołnierze tureccy nadal stacjonowali w starej szkole, atmosfera strachu i oporu wygasła. Jak można się było spodziewać, po odejściu Pembe Mehmet bardziej niż przedtem tęsknił za domem. Kiedy więc zrobił wszystko, co był jej winien, wyruszył. Nie mogąc namówić go do pozostania, jego kuzyn zaproponował, że zorganizuje transport, ale Mehmet pokręcił głową, mówiąc, iż chce tę podróż poczuć w nogach. Nie zabierając nic poza tym, co miał na grzbiecie, i zawiązawszy na szyi ulubiony szalik Pembe, opuścił Gónyeli. Siedem godzin później wszedł do własnego domu. Gdy tylko nacisnął kławkę, wyczuł, że żona jest właśnie tutaj. Plecy same się wyprostowały na wspomnienie chwil szczęścia, a także ze zdumienia. Mimo paru lat ich nieobecności dom pozostał nienaruszony i wyglądał na nieskazitelnie czysty. Wszystko było na swoim miejscu, czego może pół na pół oczekiwał, ale po takim czasie nie witał go nawet pyłek kurzu. Ktoś dbał o ten dom. Kroki z tyłu na schodach ganku odłoniły tajemnicę. Wziął Despinę w ramiona, wypłakał ból i wdzięczność w jej włosy.

Następnego dnia Mehmet siedział na ganku i cierpliwie czekał, aż Loukis podniesie się z łóżka. Przespacerował się po gospodarstwie i zorientował, że jest dobrze utrzymane, więc chciał mu podziękować. Słońce było wysoko, kiedy Loukis się pokazał z twarzą naznaczoną niespokojnym snem. Mehmet poczuł ukłucie żalu, że nie był świadkiem przeobrażania się

młodzika w mężczyznę. Loukis stał się olbrzymem, twarz miał chmurną, ale zawsze czaiło się w nim coś ponurego, nawet gdy był dzieckiem. Jak to miał w zwyczaju, nie objawił żadnych emocji, choć powrót Mehmeta musiał go zaskoczyć. Tylko w kącikach jego ust pojawił się cień uśmiechu. Bez słowa zawrócił z powrotem do siebie i po chwili znowu przyszedł z małą książeczką w rękę. Podał ją Mehmetowi. Na okładce widniało nazwisko Mehmeta, a kolejne strony wypełniał długi ciąg liczb.

_ Pieniądze brałem jedynie na swoje wynagrodzenie i na bieżące koszty — wyjaśnił.

— Nie było żadnej pewności, że wrócę. .

— Wiedziałem, że pan wróci.

Mehmet, wzruszony do głębi, szukał słów, by podziękować, ale Loukis odwrócił się na pięcie, by wybawić ich obydwu z krępującej sytuacji.

Mehmet był pewien, że słyszy z domu radosny śmiech żony.

*

Autokar, torując sobie drogę klaksonem, przedzierał się przez wąskie uliczki zawałone plastikowymi workami, z których wysypywały się śmieci, i mijał podniszczone domy z zardzewiałymi ze starości rynnami. Ze swego miejsca Yiannis patrzył z góry na nędznie ubranych ludzi i miał wrażenie, że oddycha wonią rozpadu. Dopiero gdy mignęła mu przed oczami najdoskonalsza budowla wzniesiona przez najbardziej zaawansowaną cywilizację świata, powróciło poczucie dumy z matki ojczyzny. Widok Akropolu zaparł mu dech w piersiach. Mimo że wiele o nim czytał, nie był przygotowany na coś takiego¹ nagle zapragnął wspiąć się na wzgórze i nasycić olśniewającą bielą kamieni. Niestety, nie miał czasu... i nie czuł się wart tego, by tam stapać. Z mitologii wiedział, że w starożytności

miasto nazywało się Kekropia od jego legendarnego założyciela Kekropsa, pół człowieka, pół węża. W tym momencie w autokarze jadącym dalej na południe Yiannis sam czuł się jak podstępny wąż.

Po trzech godzinach zapadania w niespokojny sen i raptownego budzenia się, co zmusiło pasażera obok do zmiany miejsca, Yiannis znalazł się w Tolo na Peloponezie.

Malownicza zatoka, nad którą leży miasteczko, po raz pierwszy wspomniana w relacji Homera z wojny trojańskiej, była portem pośrednim dla niejednej wyprawy wojennej, a po rewolucji greckiej osiedliło się nad zatoką wielu uchodźców z Krety. W 1916 roku wioska rybacka została nazwana Tolo i z czasem rozrastała się wzdłuż linii brzegowej, bogacąc się dzięki turystom z północy Europy, przybywającym w poszukiwaniu ciepłego morza, piaszczystych plaż i atrakcyjnych stanowisk archeologicznych. Wyciągnąwszy z autokaru jedyną walizkę, jaką wziął ze sobą, Yiannis dał sobie chwilę na zapalenie papierosa. Zatokę okalał opiekuńczy łańcuch wzgórz, czyniąc ją ustronną i otwartą zarazem, toteż Yiannisa przepełniło poczucie bezpieczeństwa. Było tutaj bardzo pięknie, dokładnie tak, jak to opisywał Victor.

Po sprawdzeniu dwóch hoteli nad samym morzem wycofał się w górę wzgórza, dalej od widoków drenujących kieszeń. Znalazł w końcu podupadający trzypiętrowy pensjonat oferujący skromne warunki, ale ze śniadaniem i za umiarkowaną cenę. Zmienił koszulę i poszedł spacerem w kierunku morza, mijając po drodze nabazgrane ręcznie reklamy wycieczek promem na wyspy Hydra, Spetses i Poroś. Pokręcił się trochę po miasteczku i dał się zwabić gwarnej knajpce o nazwie Paradise Bar, skąd miał panoramiczny widok na zatokę, a co ważne, także na mieszkańców.

Następnego dnia rano samotnie, ale z wilczym apetytem zjadł na śniadanie ser *halloumi*, oliwki i czerstwy wiejski chleb, po czym zajął się poszukiwaniem jakiegoś miejsca na prowadzenie biznesu. Kupując gazetę, wdał się w rozmowę z tęgim, przyjacielskim mężczyzną noszącym popularne imię Panos. Okazało się, że szwagierka brata Panosa ma wuja, który zna kogoś, kto działa w nieruchomościach. Panowie uścisnęli sobie ręce na pożegnanie i umówili się na najbliższy poniedziałek. Nie mając się czym zająć, Yiannis znowu poszedł do Paradise. Czwartego dnia pobytu w Tolo, zamroczony wieczorem metaxą, przeklinał własną głupotę, wściekły, że nigdy nie przyszło mu do głowy, by zapytać o adres.

Chociaż Victor często mówił o swoim domu, Yiannis słuchał tylko jednym uchem, ponieważ nie pasowało mu, że kochanek ma też inne życie z dala od niego. Teraz starał się odgrzebać w pamięci jakikolwiek szczegół wzmiankowany przez Victora: może zadrzewiona ulica, a może róże na werandzie, widok na morze czy jakiś sklep w pobliżu — cokolwiek. Nawet nie mógł sobie przypomnieć nazwy knajpy, jaka padła, a mógłby się tam przyczaić i czekać. Na odwiedzanie wszystkich po kolei lokali i rozpytywanie o Victora nie miał ochoty. Humoru nie poprawiła mu pomarszczona i skrzywiona gospodyni.

— Jak długo pan zostaje?

— Nie wiem, może kilka tygodni.

— Dlaczego pan nie wie?

Zależy pani na moich pieniądzach czy nie? Baba przyjrzała mu się podejrzliwie, ale jej paluchy chciwie sięgnęły po banknoty za ostatnią noc. Schowała je do kieszeni. Przeprać pościel? Spał pan w niej dobre parę dni. Czy będzie mnie to dodatkowo kosztowało? A czy ja wyglądam na filantropkę?

— W takim razie niech zostanie, jak jest. Yiannis skierował swe kroki do Paradise.

Rano spotkał się z człowiekiem, który znał wuja szwagierki brata Panosa. Ten też miał na imię Panos. Pokazał Yiannisowi rudere, która z punktu widzenia turystów mogła mieć tyle atrakcyjności, co chlewnia, czym zresztą była.

— Nie przedstawia się teraz okazale — przyznał mężczyzna — lecz niech pan spojrzy perspektywicznie.

Yiannis popatrzył raz jeszcze, przymrużywszy oczy, jednak perspektywa była niewiadomą niepozwalającą jeszcze na negocjacje.

— Przede wszystkim to wspinała lokalizacja blisko miasteczka i z możliwością dalszej zabudowy — mamił go Panos. — A kiedy gospodarz wyprowadzi się stąd ze świniami, na tym terenie wyrosną hotele. To już pewne, za parę lat będzie się tu roiło od turystów. Niech mi pan wierzy, kupuje pan kopalnię złota, interes rozkwitnie, jeżeli tylko ma pan do tego głowę.

Yiannis powiedział Panosowi numer dwa, że musi się z tym przespać, i umówił się z nim na kolejny poniedziałek. Powlókł się do Paradise i w przystępie rozpaczy, a opanowywała go coraz częściej, zamówił od razu całą butelkę metaxy, żeby się nie bawić w płacenie po każdym kieliszku. Kiedy ocknął się następnego ranka, wczorajsza brandy rozsadzała mu głowę, a na pościeli zauważył krew. W pierwszym odruchu przesunął rękami po klatce piersiowej przekonany, że został dźgnięty nożem podczas snu. Gdy łomotanie serca zwolniło i wróciła pamięć, przypomniał sobie, że potknął się na schodach prowadzących z rynku w górę i zważył się na twarz.

Poczuł wstyd, ale również ulgę. Zwlókł się z niewygodnego materaca i pokuśtykał do łazienki. Ochlapawszy twarz zimną wodą, spojrział w lustro. W miejscu, gdzie powinny być dwa

przednie zęby, ziała czarna dziura. Zwymiotował głośno do umywalki.

Stan żołądka i uzębienia nie zachęcał do śniadania, Yiannis trudem zmusił drżące ręce do pozapinania guzików czystej koszuli. Przechytrzając gospodynię, która czekała na schodach na zapłatę, wyszedł przez okno i ruszył szukać ratunku. Po dwóch godzinach upokorzeń nie do opisania znalazł wreszcie w centrum miasteczka dentystę, a ten zagwizdał, gdy obejrzał paskudną szczerbę, uśmieł się, wysłuchawszy historii, przyrzekł wstawić zęby następnego dnia i zrobić to w miarę swoich możliwości jak najlepiej. Z prawdziwą ulgą Yiannis wracał do wynajmowanego kąta. Po drodze wstąpił do 7-Eleven, żeby kupić chleb i ser. Stracił darmowe śniadanie, był głodny jak wilk i pilnie potrzebował aspiryny. Gdy przy kasie podawał bilon, od drzwi rozległy się wściekłe wrzaski dziecka. Odwrócił się, krzywiąc się z bólu i irytacji. Matka dała chłopcu klapsa, ten się uciszył, za to Yiannisowi żywo zabiło serce. Zanim zdał sobie sprawę z tego, co robi, stał przed tą rodziną z wyciągniętymi ramionami. Zaskoczony i przerażony Victor zbladł, grdyka mu drgała, był w szoku. Poniewczasie Yiannis zacisnął mocno usta.

Po krępującej prezentacji żona Victora zaczęła nalegać, by Yiannis odwiedził ich następnego dnia wieczorem. Stawił się z butelką wina i niefachowo wstawionymi zębami, co wprawiało go w zażenowanie. Wieczór okazał się męką na każdy możliwy sposób. Radość ze wspaniałej uczy, na którą składały się *souvlaki*, wiejska sałatka i opiekane ziemniaki, została mocno zmażona trudnościami z gryzieniem, a także niedyspozycją żołądkową. Zanim jeszcze jedzenie pojawiło się na stole, zdał sobie sprawę, że popełnił poważny błąd. Cierpiał okrutnie, bo przez większość wieczoru Victor był opryskliwy i podświado-

mie niegrzeczny. Niewiele miłsza była jego żona. Wysoka, atrakcyjna kobieta wydawała się równie mało tolerancyjna wobec męża i dzieci, a dociekliwe indagowanie gościa granoczyło z wrogością. Yiannis zaczął mówić o polityce, żeby jakoś wyjaśnić znajomość z Victorem. Sprawiało to niestety wrażenie, jakby miał za co przepraszać. Victor nie pomagał mu wybrnąć z kłopotliwej sytuacji. W gruncie rzeczy wyglądał na znudzonego, nie potrafił lub nie chciał docenić ogromnego wysiłku, z jakim kochanek usiłował go chronić. Gdy przyszła pora na kawę, Yiannis był potwornie zmęczony, piekły go dżiąsła i czuł się jak idiota. Kiedy żegnał się uściskiem dłoni z Victorem, był pewien, że ich ręce spotykają się po raz ostatni, i nie mógł znieść tej myśli.

Następnego dnia wsiadł do autobusu do Aten. Wściekły na wszystko, zemścił się na gospodyni, wynosząc się cichaczem z resztą należności za wynajem w kieszeni. Zakrwawioną koszulę i pościel zostawił zwinięte na łóżku. Autobus toczył się powoli przez malownicze miasteczko i przejechał blisko owego chlewu, który miał się stać zaczynem fortuny. Gospodarz wciąż trzymał świnie w obejściu.

— Kochałeś ją?

— A ty zakochałaś się w Yiannisie?

— Loukisie, to śmieszne pytanie.

— Wobec tego pomyśl, jak głupie było twoje.

Praxi uśmiechnęła się i przytuliła mocniej z głową w zagłębieniu między jego ramieniem i klatką piersiową. W gruncie rzeczy wiedziała, dla kogo bije serce Loukisa, ale jej własne było zazdrosne, a myśli wciąż niespokojne. Maria z pewnością z nim spała, mimo że to grzech, ale ona robiła to samo i znowu

grzeszyła. Jeżeli nawet Maria była dla Loukisa tylko deską ratunku i została wyrzucona z łóżka, kiedy przestała być potrzebna, to przecież musiały być między nimi chwile bliskości, kiedy pozwalał jej się przytulić i słuchać jego oddechu. Wyobraźnia nie dawała Praxi spokoju.

_ Czy myślisz o niej czasem? — Poczwała wzbierającą w jego piersi irytację. — Nie złość się, to pytanie jest w porządku.

_ Owszem, czasami ją wspominam — przyznał, siadając i zapalając papierosa. — Nie w taki jednak sposób, jak myślisz.

Praxi usiadła na trawie, chcąc coś wyczytać z jego twarzy. Ale oczy miał wlepione w kółka dymu nad nimi.

— Zależało ci na niej? — nie ustępowała.

— Nie, tego nie mogę powiedzieć. Co nie znaczy, że jej dobrze nie życzę.

— Ja nie mogę powiedzieć, żebym dobrze życzyła Yian-nisowi — wyznała Praxi. — Czy to nie straszne?

— Byłoby straszne, gdybyś miała coś złego na myśli. Zaśmiała się. Loukis wyciągnął marynarkę, na której leżeli, i zarzucił jej na ramiona.

— Boże, jest mi tutaj cudownie. — Westchnęła.

— Mnie również.

— Więc jak dasz radę wyjechać?

— Bo bardziej kocham ciebie. — Odwrócił głowę w Jej stronę, żeby wyczytała prawdę w jego oczach.

Czy będziesz mnie kochał zawsze i nigdy mnie nie opuścisz?

Praxi! — Objął ją w pasie, przyciągnął, uwięził w ramionach. — Nigdy cię nie opuszczę. Jeżeli to prawda, przysięgnij.

— Przysięgam.

— Przysięgnij na Biblię.

Loukis bliski załamania patetycznym gestem wznosił ramiona ku niebu.

— Dobrze — rzekła Praxi. — Teraz przysięgnij na moje życie!

— Przysięgam na twoje życie, na swoje życie, na życie każdego, kto ci przyjdzie do głowy.

— Przysięgnij, że mnie nigdy nie opuścisz, choćby cały świat stanął w ogniu.

— Składam przysięgę, że cię nie opuszczę, choćby świat stanął w ogniu i ty zamieniłabyś się w spalony tost. Jesteś nareszcie zadowolona?

— Tak, jestem. Dziękuję. Kocham cię, Loukisie.

— Kocham cię, Praxi.

Trzymając się za ręce, patrzyli na pchane lekkim wiatrem szare i białe chmury przesuwane nad ich głowami w kierunku południowym. Słońce mocno grzało, wokół drzewa pistacjowego wiosenne kwiatki wdzięczyły się do nich różnorodnością kolorów jak na powitalnej paradzie. Daleko w dole lśniło morze, mieniły się jego błękitne fale całowane złotymi promieniami. Spadły pojedyncze krople deszczu, wsiąkając w ubrania, ale nie odbierając nic z uroku pięknego dnia, więc siedzieli dalej w milczeniu, chłonąc wszystkimi zmysłami dźwięki, zapachy i oddechy ojczystej wyspy, bo nie wiedzieli, kiedy ją znowu zobaczą.

Od ponad dziesięciu lat nie byli pod zamkiem Świętego Hilariona, ale przez ten czas nic się tu nie zmieniło. Tureccy żołnierze stacjonowali w pobliżu, lecz nie rozstawiali snajperów i nie stanowili zagrożenia. Zmora strachu i niepewności zniknęła, ponieważ po brutalnym ataku Gwardii Narodowej na

Kofinu większość wojsk została z Cypru wycofana i wyspa zatętniała życiem. Perspektywa opuszczenia jej stawała się dla nich tym większą tragedią.

-Wrócimy któregoś dnia — szepnął Loukis, odczytując jej myśli.

Praxi nie miała tej pewności. Obydwoje wiedzieli, że uciekinierom niełatwo jest wrócić.

-Nigdy bym nie pomyślała, że kiedykolwiek powiem, iż będzie mi brakowało mojej mamy — odezwała się.

-Nigdy bym nie pomyślał, że kiedykolwiek powiem, iż mnie będzie jej brakowało — rzekł Loukis i się roześmiał.

Wykorzystując pobyt Yiannisa w Grecji, Praxi i Loukis dopracowali plan ucieczki w najdrobniejszych szczegółach. Ustalili, że wyjadą za parę tygodni, po Wielkanocy. Podczas świąt bez wzbudzania podejrzeń mogliby się spotkać z rodzinami, gdy wszyscy zgromadzą się razem. Tylko Despina była wtajemniczona, reszta dowiedziałyby się po fakcie. Elpidę zabierali rzekomo na wyjazd turystyczny i dopiero w bezpiecznym miejscu zamierzali wyjawić jej prawdę. Praxi spodziewała się, że rozpęta się wtedy piekło, Loukis uspokajał ją, że córka przystosuje się szybciej niż oni. Praxi przytaknęła mu wprawdzie, ale w głębi duszy wiedziała swoje. Co więcej, ze wstrętem myślała o tym, że będą się wykradać nocą jak złodzieje, chociaż ich jedyną zbrodnią jest to, że się kochają. Loukis nie podzielał tych rozterek. I było mu wszystko jedno, czy będzie na Cyprze, czy w Anglii. Zmieni się jedynie barwa ziemi, po której będą stapać. Żeby jednak zmniejszyć ból Praxi, obiecywał, że po osiedleniu się na stałe sprowadzą Elenę.

Nie będziesz tęsknił za swoją mamą? — spytała. Będę — odrzekł i by o tym nie mówić, pocałował ją w usta.

Od momentu podjęcia decyzji o wyjeździe dręczyły go bolesne myśli, a im bliżej było Wielkanocy, tym trudniej przychodziło mu je tłumić. Właściwie nie wyobrażał sobie życia bez obecności matki i ilekroć przyszłość próbowała się jawić w konkretnym kształcie, tracił pewność siebie.

— Czy to nie piękna nazwa? Angel Islington?

Loukis przyznał, że wyjątkowo piękna, chociaż wypytywany przez niego kuzyn ojca nie opisywał tej londyńskiej dzielnicy jako siedliska aniołów.

— Kiedy się tam znajdziesz, będą musieli przemianować ją na Dwa Anioły z Islington — zażartował, pobudzając Praxi do radosnego śmiechu. Wciąż z taką łatwością udawało mu się owinać ją wokół palca, że stawało się to aż śmieszne i nie omieszkała tego powiedzieć.

*

Trzej starsi chłopcy Christakisa przywiązali najmłodszego do płotu. Elpida zastanawiała się, czy go nie uwolnić, ale wydawał się zupełnie zadowolony, więc tylko go obserwowała z huśtawki na jabłoni. Za bramą tam i z powrotem biegała Niki dopingowana zdobytymi medalami i sławą, a także nadzieją na przyszłe osiągnięcia. Wszyscy byli z niej dumni. Elpida osobiście uważała, że dziewczyna ma źle w głowie.

W domu panował metodyczny chaos. Despina nadzorowała przygotowanie głównego dania, pomagała jej Lenia, która zonglowała garnkami i patelniami, trzymając na biodrze swojego malucha o dźwięcznym imieniu Erado i kasztanowych włosach. Yianoulla dopieszczała desery, a Praxi i Maria kroili warzywa na sałatkę, tłumiąc ochotę pokrojenia się nawzajem. W salonie Michalakis i Andreas dolewali piwa do opróżnianych szklanek, a Georgios i Marios domagali się od Christakisa

równowartości swoich rocznych zarobków. Nie mogąc dojść do porozumienia, wzywali na arbitra Loukisa, ponieważ był świadkiem zakładu. Mimo powszechnej nadziei Cypr wylądował na końcu swojej grupy, zdobywając tylko dwa punkty w eliminacjach do mistrzostw Europy. Serce każdemu się krajało, a światełko radości rozbłysło jedynie na stadionie GSP w Nikozji, kiedy Asprou i Papadopoulos strzelili po jednej bramce szwajcarskiej drużynie gości, a były to gole, które przepowiedzieli Georgios i Marios. Christakis, który nie był w stanie się wypłacić, utrzymywał, że zakład dotyczył następnych eliminacji. Skoro narodowa reprezentacja patrzyła bezradnie, jak osiemnaście piłek wpada do ich bramki, argumentował, to w żadnym wypadku nie można tego uznać za sukces.

— O czym oni dyskutują? — zapytał Televantos Mehmeta.

— O euroniedojdach.

— Miałem kiedyś kilka! — krzyknął staruszek. — Niech się zgłoszą po maść do Despiny.

— Nie o hemoroidach! — odkrzyknął mu w ucho Mehmet. — Idzie im o zakłady. Porobili zakłady.

— Mnie okłady nie pomagały — mruknął Televantos, kręcąc głową, że tacy młodzi chorują.

Mehmet nie podtrzymał rozmowy, tylko się pomodlił w duchu, żeby i jego słuch nie zaczął zawodzić po śmierci żony. Nieświadomy nieporozumienia pan Televantos kontynuował spożywanie stosu jajek, które wygrał w wielkanocnej zabawie stukaniem jajkiem o jajko. Chociaż tradycyjnie tę zabawę pozostawiano dzieciom, podczas tej Wielkanocy wszyscy wzięli ^w niej udział, a staruszek okazał się mistrzem. Mehmet zostawił go z jajkami, a sam podszedł do stołu, żeby się podelektować widokiem świątecznych wypieków, a była ich różnorodność: *flaounes*, *koulouria* i *tyropittes* — wszystko upieczone na

początku tygodnia. Mimo wyznawania innej religii Mehmet lubił grecką Wielkanoc. Z kuchni dochodził go zapach gorącego mięsiwa. Zapowiadało się na prawdziwą ucztę, Praxi i Maria już nakrywały do długiego stołu, nie odzywając się do siebie. Despina tylko przewróciła oczami, gdy koło nich przechodziła, by zawołać dzieci do domu. Normalnie dzieciaki jadłyby w ogrodzie, ale zachmurzone niebo groziło deszczem.

— Do domu, dzieci! — krzyknęła w drzwiach. Z przerażeniem zauważyła, że najmłodszy wnuk jest przywiązany do płotu. — Elpido, pomóż małemu się uwolnić! — rozkazała.

Wnuczka z ociąganiem zeszła z huśtawki, ale wykonała polecenie. Dwóch starszych chłopców Christakisa chciało przemknąć obok Despiny do środka, lecz złapała ich za głowy i stuknęła jedną o drugą.

— Gdzie Niki?

— Biega wte i wewte po drodze jak zawsze — poinformowała babkę Elpida.

Despina wyszła na ulicę; na rogu o mało nie zderzyła się z Niki. Ta zatrzymała się, ale przebierała nogami w miejscu, a jej blond włosy sprężynowały wokół ślicznej buzi. Zapytała babkę, czy wie, dlaczego tata Elpidy płacze w swoim samochodzie przy drodze."

— Co ty opowiadasz? — chciała się dopytać Despina, lecz dziewczynka tylko machnęła ręką, wskazując na drogę w głąb wsi, i pobiegła do domu. Despina poszła odszukać Yiannisa.

Nie widział jej, gdy się zbliżała, bo miał głowę schowaną w dłoniach, a gdy delikatnie otworzyła drzwi i wślizgnęła się na siedzenie pasażera, nie zareagował. Łzy i gluty miał rozmazane na twarzy, dostrzegła też, że coś dziwnego stało się z jego zębami. Sięgnęła do kieszeni fartucha i wręczyła mu

czystą chusteczkę do nosa. Wytarł w nią nos i brudną oddał skonsternowanej tym Despinie.

- To już koniec — chlpał, a ona z obrzydzeniem trzymała chusteczkę za jeden róg.

- Z czym koniec? — spytała. Była zdziwiona, że on już wszystko wie, i przerażona, co jeszcze od niego usłyszy, zwłaszcza że czuła się trochę winna tragedii tego chłopca.

_ Z moim życiem! — wykrzyczał i nowy potok łez zalał mu twarz.

Despina wręczyła mu z powrotem chusteczkę.

— Uspokój się, Yiannisie. Nikt nie chce cię skrzywdzić...

— A co pani o mnie wie? — przerwał z taką złością, że aż się wzdrygnęła. — Nie ma pani pojęcia, co przeżywam. Nikt nie wie. Pani najmniej! Siedząc w swoim ślicznym domku, ciesząc się dorodnymi, silnymi synkami, kochającym mężem i sąsiadami, którzy chętnie zachodzą, co pani może wiedzieć o moim życiu?

Despina słuchała w milczeniu, nie znajdując słów. Nie było jej miło patrzeć, jak Yiannis cierpi. Cokolwiek by mówić, ten człowiek wplątał się w nieszczęśliwe małżeństwo. Nie był zły. Nie zasługiwał na to, żeby w Wielkanoc siedzieć samotnie w swoim aucie i rozpaczać.

— Kocham go. — Yiannis pociągnął nosem.

— Jestem pewna, że ona też ciebie na swój sposób kocha. — Despina świadomie skłamała.

Yiannis spojrzał na nią zaskoczony.

Nie mówię o niej. O nim mówię! Nie obchodzi mnie Praxi. Kocham Victora.

Powietrze stężało wokół nich, jakby próbując udźwignąć ciężar tego wyznania. Despina nie wiedziała, co powiedzieć. Wprawilem panią w szok — rzekł beznamiętnie.

— Tak, trochę tak — przyznała i popatrzyła na niego świeżym okiem. Nie wyglądał na homoseksualistę, choć po prawdzie nigdy żadnego nie znała. Jednak ten gruby kark i konwencjonalny strój trochę jej nie pasowały i jakby poczuła rozczarowanie, bo w jej wyobrażeniu homoseksualista powinien wyglądać bardziej ekstrawagancko. W każdym razie teraz, gdy wyjawiał prawdę, wszystko zaczęło mieć sens: brak kolejnych dzieci w ich małżeństwie i przymykanie oczu przez te wszystkie lata na to, że żona wyprowadziła się z domu do tej samej wsi, w której mieszkał jej były chłopak. Wszystko to musiało być dla niego okropne, żył w straszliwym osamotnieniu.

— Powiedz coś o tym Victorze — rzekła cicho. Niczego bardziej nie pragnął, niż o nim mówić. Trochę mu ulżyło po wybuchu, więc szczerze i bez żenady zaczął opowiadać o miłości do innego mężczyzny, a Despina ku swemu zdziwieniu zdobyła się na to, żeby w tej spowiedzi dostrzec nie tylko wymiar grzechu. Yiannis był w tym samym wieku co Michalakis, równie młody, ale obarczony ciężarem homoseksualizmu i do tego kochanek go rzucił.

— Yiannisie, cóż mogę ci powiedzieć? Nie jest łatwo znaleźć w sobie dość determinacji, żeby żyć ze złamanym sercem. Musisz się okazać silny. Musisz dalej żyć.

— Tak jak Loukis? — zadrwił. Kiedy zobaczył, że Despina sposepniała, natychmiast pożałował cierpkiej uwagi. — Przepraszam. To było nie na miejscu.

Nic nie powiedziała, bo nie mogła z nim mówić otwarcie.

— Przez długi czas — ciągnął Yiannis — nienawidziłem pani syna. Potem się go bałem. Stopniowo jednak zaczynałem go rozumieć. Nie mogę powiedzieć, że lubię Loukisa, nie polubiłem go, ale w jakimś sensie go szanuję. Nigdy nie

zrezygnował z kobiety, którą kocha, nawet gdy została moją żoną. Gdybym kiedykolwiek ją kochał, nie rozmawialibyśmy ze sobą tak jak teraz. Ale ja Praxi nigdy nie kochałem. Robiło mi się niedobrze na myśl, że mam jej dotykać. I nie chcę dłużej udawać, że jest inaczej, ani uchodzić w ludzkich oczach za głupca. Większość z nas spędza życie w zakłamaniu. I czy ktokolwiek jest dzięki temu szczęśliwszy? Ja z radością pozwolę Praxi odejść. Nie obchodzi mnie, czy resztę życia spędzi z Loukiszem, czy nie. Naprawdę. Ale to nie jest Ameryka. Nie możemy, ot tak sobie, dostać rozwodu. No i trzeba wziąć pod uwagę moją córkę...

Umilkł, a Despina wyczytała w jego oczach niewyartykułowane pytanie. Twarz jej nie drgnęła, ale sumienie tak, gdyż jego twarz rozbliła rozrzewnieniem.

— Córka jest teraz najważniejsza w moim życiu — mówił. — Jest wszystkim, co mi pozostało.

— I zabierasz ją do Grecji?

— Chciałem — wyjaśniał Yiannis. — Ale ścigałem marzenie, a marzenie mnie nie chciało. Moje życie jest tutaj... tutaj z moją córką.

Despinie znowu zabrakło słów. Po raz pierwszy jednak od tygodni jej serce zatrzepotało z radości.

— Chodźmy — powiedziała, klepnąwszy się w kolana na znak determinacji. — Zasiądziesz z nami do obiadu. Jest Wielkanoc, czas zapomnieć o przeszłości i dawnych nieporozumieniach. Yiannisie, synu, wszyscy musimy spojrzeć w przyszłość. Jeżeli będę mogła ci pomóc, zrobię to.

Potulny jak owieczka, spragniony życzliwości Yiannis wysiadł za Despiną z auta. Przede wszystkim umierał z głodu,^a żołądek oraz zbolące serce nie sprzyjały trzeźwemu myśleniu. Ocknął się, gdy już przekroczył próg domu rodziny Ekonomidou

i powitało go mnóstwo osłupiałych z wrażenia twarzy. Na szczęście ciężką ciszę, jaka zapanowała, przerwał radosny pisk Elpidy. Gdy podniósł ją wysoko, brzemień nieszczęścia zsunęło mu się z ramion i po raz pierwszy od wyjazdu z Aten uśmiechnął się szeroko.

— Na Boga! — krzyknął pan Televantos. — Coś ty zrobił ze swoimi zębami?

Raczyli się przedweselnym drinkiem w Klejnocie Kyrenii, ale na widok sylwetki w białym bikini ulotnili się z krzesłami na kamienne molo. Ustawili je w rzędzie i usiedli jeden obok drugiego. Paczka papierosów powędrowała z rąk do rąk, tręcili się szklankami i czekali na widowisko. Kobieta zauważyła, że ją obserwują, bo jakżeby inaczej? Czterej nieprzeciętnie wysocy mężczyźni, wyjątkowo przystojni, elegancko ubrani w ciemne garnitury, wyprasowane koszule, lśniące buty i z gładko zaczesanymi włosami. Wciągnęła brzuch i z wdziękiem zanurkowała. Bracia unieśli brwi z aprobatą.

Dobiegł do nich Angelis.

— Mama każe natychmiast przyjść do domu. Robi się zła, że się spóźnimy.

Christakis złapał najstarszego syna za rękę i wciągnął go na kolana.

Twoja mama powtarza zawsze, że edukacja jest najważniejsza. Siedź i się ucz.

Chłopak był w wieku, w jakim zainteresowania mężczyzn mają znacznie większą siłę przyciągania niż pokój pełen kobiet, więc nie protestował.

— Na co patrzymy?

— Na kobietę — odpowiedział mu Loukis, kiwając leniwie palcem w stronę zatoki.

— Co w tym ciekawego? Pływa sobie.

— Przyjrzyj się — przekomarzał się ojciec.

W odległości około siedemdziesięciu metrów od nich kobieta sunęła przez wodę, znikając od czasu do czasu za jakąś łodzią rybacką lub większą falą. Długie zwinne ramiona wyrzucała łukiem w górę, a smukłe nogi ledwie widocznie rozpryskiwały wodę. Lśniła biel bikini.

— Nie wytrzyma długo — skomentował Michalakis zadowolony z chwili oddechu w dniu ślubu.

— Najwyżej kilka sekund — zgodził się Christakis. Majowe słońce dogrzewało mocno, ale woda w morzu była

lodowata i z własnego doświadczenia wiedzieli, że to zmusi kobietę do wyjścia. I rzeczywiście okrążyła pomarańczową boję i nawracała. Kiwnęli jednocześnie głowami. Gdy zbliżyła się do pierwszych kamieni, zaczęła szukać dogodnego oparcia dla nóg, jeszcze utrzymując się na wodzie. Zaledwie się wynurzyła, z krzykiem opadła z powrotem na plecy, raz po raz uderzając jak szalona w swoją lewą pierś, na której zacisnęła się macka zdeterminowanej ośmiornicy.

— Szybko, Mariosie! — rozkazał Christakis.

Stojąc na kamiennym murze, Marios wyciągnął rękę do spanikowanej kobiety. Wciąż desperacko młóciła rękami, ale zdołał złapać jej dłoń i jednym zręcznym ruchem wyłowić ją z wody. Głowę ośmiornicy przekłuł dźgnięciem kciuka, pechowy stwór zwolnił uchwyt, a wtedy pod kobietą ugięły się nogi i z wdzięczności, i z zażenowania.

Christakis zwrócił się do syna:

— Ośmiornice dają się przynęcić jasnymi kolorami i dawniej

rybacy rzucali na wodę białe chusty, żeby wywabić je z kryjówek między głazami. Więc jak widzisz, kobieta sama się prosiła o kłopoty, wypływając w białym bikini.

Jeszcze się śmiali ubawieni spektaklem, gdy nadszedł Marios z miną zwycięzcy.

— No i? — zapytał Michalakis.

— Umówiliśmy się na jutrzejszy wieczór — oznajmił Marios, szczerząc zęby.

— Wspaniale! — z uznaniem wykrzyknął Christakis. Wstał i zmierzwił dłonią włosy Angelisa. — I to byłoby tyle nauki na dzisiaj, synu. Teraz idziemy się przyglądać nie byle widowisku, bo twój wuj się żeni.

Gdy bracia odnosili krzesła do baru, z piskiem opon zatrzymał się przed nimi poobijany ford cortina. Z otwartych kopnięciem drzwi wychynał z uśmiechem na ustach Sawas.

— Zaczynałem się bać, że nie zdążysz! — przywitał go Michalakis.

— Czy mógłbym przepuścić okazję przyczynienia się do przemiany dziennikarza w porządnego człowieka? Raczysz chyba żartować.

Michalakis przedstawił swojego drużbę. W innych okolicznościach wolałby poprosić Loukisa, żeby wystąpił w roli jego *koumbaro*, ale musiał wziąć pod uwagę wrażliwość panny młodej, no i ewentualne rozżalenie pozostałych braci. W tej sytuacji najlepszą osobą do pełnienia honoru drużby wydał mu się były kolega z wojska.

Zdenerwowany? — spytał Sawas.

Odpowiadając twierdząco, Michalakis dziwił się sam sobie, gdyż nie spodziewał się, iż będzie aż tak przejęty, a gdy znalazł się przed wejściem do kościoła i odbierał bukiet kwiatów od matki, zdumiał się jeszcze bardziej, widząc, że trzęsą mu się ręce.

— Zdenerwowany? — zapytała matka, a on, próbując odpowiedzieć, nie mógł oderwać języka od podniebienia i zbierało mu się na wymioty. W milczeniu zajął miejsce przy wejściu. Mniej więcej piętnaście minut później pojawiła się Maria w olśniewającej kreacji z białej satyny i błyszczącym diademem na głowie, spod którego wylewała się kaskada loków.

— Boże, wyglądasz oszałamiająco — wykrztusił Michalakis, wręczając jej bukiet kwiatów przygotowany przez mamę. Uśmiechnęła się z fałszywą skromnością; dobrze wiedziała, że wygląda wspaniale, ale pamiętała, iż lekkie onieśmienie u panny młodej robi dobre wrażenie. Michalakis poczuł uszczyplenie w ramię.

— Masz szczęście, chłopie — rzucił mu Christakis. Michalakis oczywiście się z tym zgadzał.

Państwo młodzi weszli do kościoła, za nimi szli goście, głośno rozmawiając i krytykując strojną suknię Marii. Wewnątrz był już pan Televantos, który wślizgnął się wcześniej i zajął najlepsze do obserwacji miejsce. Niektórzy za jego przykładem usiedli w ławach, inni woleli stać, a wokół biegały hordy dzieci. Ksiądz jeszcze nie rozpoczął ceremonii, a już były znudzone.

— To najdziwniejszy ślub, jaki kiedykolwiek widziałem — szepnął Jason. Wrócił z tatą Jackiem krótko przed Wielkanocą, gdy tylko Brytyjczycy ogłosili, że Cyprowi nie grozi już inwazja, która wisiała w powietrzu.

— Dlaczego dziwny? — pytała Elpida.

— Rozejrzyj się tylko. — W teatralnym geście rozłożył ręce. — Każdy siada, gdzie chce, niektórzy w ogóle nie siadają dzieciaki biegają i wszyscy tak głośno mówią, że nie słychać księdza. Nie zdziwiłbym się, gdyby ten stary gość w pierwszym rzędzie wyjął za chwilę kanapkę.

- Ale dlaczego to ma być dziwne? — nie rozumiała Elpida na wszelki wypadek obrzucając jednak wzrokiem pana Televantosa.

- No dobrze, nie dziwne, ale inne niż u nas. W Anglii siadamy na wyznaczonych miejscach i nikt się nie odzywa poza panną młodą i panem młodym oraz pastorem. Tutaj wszyscy się przekrzykują, nie słysząc młodej pary!

-Boże, to musi być nudne... taki ślub w Anglii to żadna uroczystość — skomentowała Elpida.

— Rzeczywiście, chyba nie — zgodził się Jason. — Jack mówi, że ślub to zbrodnia przeciwko mężczyźnie i forma zalegalizowanej kastracji.

— Co to znaczy „zalegalizowana”?

— To znaczy dozwolona przez prawo.

— A kastracja?

— To odcięcie mężczyźnie kutasa.

Zszokowana Elpida zawiesiła wzrok na ołtarzu i próbowała się skupić na ceremonii, modląc się w duchu, żeby policzki nie zdradziły jej zakłopotania i żeby Bóg okazał łaskawość i nie ukarał Jasona za grzech uderzeniem pioruna. Przyjaciel Michalakisa z wojska dokonywał właśnie rytualnej wymiany obrączek między panem młodym i panną młodą.

Sawas utrzymywał powagę na twarzy, gdy trzykrotnie, bo w imię Trójcy Świętej, przekładał obrączki. Kiedy się z tym uporał, ksiądz odmówił głośno modlitwę i złączył dłonie Michalakisa i Marii. Potem znowu trzykrotnie nakładano im na głowy i zdejmowano korony ślubne ozdobione białymi wstążkami symbolizującymi jedność. Następnie ksiądz mówił ° weselu w Kanie Galilejskiej, kiedy to Jezus dokonał pierwszego cudu, przemieniając wodę w wino. Michalakis i Maria trzy razy podnosili do ust kielichy z winem, a potem ksiądz

oprowadzał ich też trzy razy wokół ołtarza, a za nimi niczym cień podążał Sawas, trzymając nad głowami młodej pary korony i jednocześnie bacząc, by nie rozdeptać któregoś z ganiających swobodnie dzieciaków. Tak Michalakis i Maria stawiali pierwsze kroki jako małżeństwo. Kiedy się zatrzymali, przyszła pora na obsypanie ich ryżem, a ksiądz podniósł Biblię, dyskretnie chroniąc za nią twarz.

Po tym zamieszaniu wrócił względny spokój, ksiądz rozłączył ręce małżonków, a zrobił to Biblią, by pamiętać, że tylko w Bożej mocy jest przerwanie tego związku, który właśnie zawarli. W tym momencie Praxi opuściła głowę, przez twarz Yiannisa przebiegł lekki skurcz, Loukis zaś obserwował ceremonię bez emocji.

Po jej zakończeniu parafianie wylali się z kościoła i mrużąc porażone słońcem oczy, hurmem ruszyli do gminnej sali bankietowej. Uściskawszy przy wejściu ręce nowożeńców, goście przepychali się do miejsc przy stołach ustawionych najbliżej podwyższonego parkietu i usadowiwszy się, czekali. Przy bufecie Georgios z synami nakładali na talerze zakąski i obracali na grillu kawałki jagnięciny, bo tradycyjnej *souvla* nie mogło zabraknąć. Kobiety, które poprzedniego dnia obierały ziemniaki, kroiły cebulę i inne warzywa oraz szykowały sałatki, zwolnione były tego wieczoru z obowiązków. Gdy brzuchy się napełniły i podchmielone towarzystwo wybuchło radosnym gwarem, rozbrzmiała muzyka i na parkiet wkroczyli Michalakis i Maria. Goście ustawili się w kolejce i oddając pierwszeństwo rodzicom szczęśliwej pary, w ślad za nimi przypinali banknoty do pięknej sukni panny młodej, robiąc to mniej lub bardziej ostentacyjnie w zależności od nominału.

Kyriakos, przypiawszy do sukni Marii hojny dar, uściskał rękę Michalakisa i nachylił się do jego ucha.

— Dla ciebie mam inny prezent. Na początku przyszłego miesiąca arcybiskup udzieli wywiadu twojej gazecie. Zadzwoń do mnie, kiedy ochłoniesz z pierwszych mężowskich zapałów, i ustalimy termin.

Michalakis nie wiedział, co powiedzieć, spływało na niego zbyt dużo szczęścia tego dnia. Ucałował Kyriakosa w obydwa policzki, porwał na ręce pannę młodą i kołysał ją w górze na wyciągniętych ramionach przy głośnym aplauzie zgromadzonych. Zarażeni radością syna i zachęcani dźwiękami *bouzouki* Georgios i Despina weszli na parkiet. Za nimi ruszyły kolejne pary, młodzieńcy zapraszali do tańca dziewczyny, a one ostentacyjnie się krygowały. Stopniowo utworzył się wystarczająco duży krąg, żeby zaczął się tradycyjny taniec *syrtos*. Gdy muzyka nabrała tempa, Christakis rozpiął koszulę na piersi i z papierosem w zębach wkroczył na podium. Natychmiast dołączyli do niego Michalakis, Marios i Sawas, po czym pochylili się, przeciągając palcami po podeszwach butów. Przy okrzykach i oklaskach pozostałych tancerzy złączeni ramionami rozpoczęli we czterech wspólny taniec, od czasu do czasu strzelając palcami, czym wywoływali jeszcze gorętsze wiwaty już rozentuzjzmowanego tłumu. Tymczasem Loukis, Praxi i Yiannis siedzieli pod ścianą wśród geriatrycznej widowni, wyraźnie od niej odstając.

Po bulwersującym wielkanocnym wyznaniu Yiannisa ta trójka zawarła milczące porozumienie. Praxi i Elpida spędzały nocę u matki, a dni w Kyrenii. Po powrocie z Grecji Yiannis przestał żywić niechęć do żony. Mimo jej wszystkich przewinień, a tych było niemało, nigdy nie skaleczyła mu serca. W jej obecności czuł się źle, nieraz doprowadzała go do łez, lękał^{S1} ę przy niej o życie, ale ona nie była w stanie go zniszczyć. Z kolei Praxi spojrzała na męża świeżym, łaskawszym okiem.

Uważała dotąd, że przez niego znalazła się w pułapce, tymczasem spośród nich trojga to on tak naprawdę żył w klatce, uwięziony w niej przez jej kłamstwa i własną seksualność.

— W gruncie rzeczy żał mi go — szepnęła do Loukisa. — A ty co o tym wszystkim myślisz?

— Co ja myślę? — Zamilkł na chwilę, wyobrażając sobie te wszystkie noce, które Yiannis spędzał w ramionach greckiego oficera, podczas gdy on, Loukis, drapał pazurami ściany. — Myślę, że sobie zasłużył na jeszcze parę klęsk w życiu, oto co myślę.

Choć żadne z nich nie oceniłoby sytuacji jako zadowalającej, żadne nie chciało również opuścić własnego kraju, jedyne, jaki znali. Odpowiadał im zatem rodzaj rozejmu, szlachetnego kompromisu, który zakładał, że dopuszczalna jest miłość dwojga, wymagany szacunek dla wszystkich trojga i zachowywanie pozorów z uwagi na Elenę i opinię. Cicha ugoda to było jednak za mało, żeby mieli teraz ochotę na przyłączenie się do radosnego tłumu na parkiecie, więc razem z emerytami oklaskiwali tańczących, mając nadzieję, że ludzie powstrzymają się dzisiaj od komentarzy.

*

Elpida podniosła łyżkę i ją odłożyła. Miała wszystkiego dość. Znudzona nieustannym zrządzeniem babki oparła się policzkiem o stół i zamknęła oczy.

— Pospiesz się, bo spóźnisz się do szkoły — naskoczyła na nią Praxi.

Elpida przeciągnęła się demonstracyjnie i ziewnęła szeroko.

— Nie wybieram się dzisiaj do szkoły.

— Jesteś chora? — Elena dotknęła jej czoła.

— Nie, czuję się dobrze.

. — Więc dlaczego opowiadasz, że nie pójdziesz do szkoły? — spytała matka.

_ Ponieważ nie jest mi potrzebna — odrzekła Elpida.

_ Czy dobrze słyszałam?

— Jason nie chodzi do szkoły, a jest najinteligentniejszą osobą, jaką kiedykolwiek poznałam.

— Masz zaledwie dziesięć lat, Elpido, i nie poznałaś jeszcze wystarczająco wielu ludzi, żeby wydawać podobne sądy.

— Mamo, szkoła nie uczy, tylko ogłupia.

— Przypuszczam, że to mądrość nabyta od Jasona, tak? Elpida zacisnęła usta. Wiedziała, kiedy mama próbuje podstępnie coś od niej wydobyć.

— O co ona się wyklóca? — spytała Elena córkę.

— Nie chce iść do szkoły, bo Jason nie chodzi.

— Ten brytyjski dzieciak?

— Tak.

— Czy przypadkiem nie rzucił szkoły? — pytała Elena. — Słyszałam o takich gagatkach w telewizji. Mówią o sobie hoppisi.

— Hoppisi — poprawiła Praxi.

— Hoppisi, hoppisi. Jest w tym ręka diabła, te długie włosy i wolna miłość.

— Co to jest wolna miłość?

— Elpido! Więcej nie będę powtarzała! Idź na górę i przyszykuj się do szkoły, zanim sprawię ci lanie.

— Och, naprawdę jesteś taka... drobnomieszczańska. — Elpida zerwała się z krzesła, zanim dopadła ją matka.

Co znaczy, do diabła, drobnomieszczańska? — spytała Elena.

Praxi zlekceważyła pytanie częściowo dlatego, że czuła narastającą złość, ale głównie z tego powodu, że sama dobrze nie wiedziała.

— To wina szkoły — orzekła Elena. — Za moich czasów uczono nas o Matce Grecji i Bogu Ojcu. Teraz słuchają The Mamas & the Papas i kochają Wujka Sama.

— Skąd wiesz o tym zespole? — Praxi spytała z niedowierzaniem.

— Mówiłam ci... ta telewizja... chociaż oglądam ją tylko dla arcybiskupa Makariosa, niech Bóg go błogosławi i chroni przed nieszczęściem.

— Jasne, mamó. Oczywiście tylko jego oglądasz.

Wprowadzono Michalakisa do niedużego pokoju pozbawionego sznytu prezydenckiego gabinetu, wyjąwszy pozłacane oparcie fotela błyszczące za solidnym biurkiem. Ręce mu się spociły ze zdenerwowania i właśnie wycierał je o spodnie, gdy wszedł arcybiskup Makarios, a za nim niewysoki mężczyzna z imponującym stosem papierów. Michalakis podszedł i pocałował arcybiskupa w rękę. Zdziwił się niepomiernie, gdy dostojnik pogratulował mu ożenku. Nieprzygotowany na taką uprzejmość Michalakis zaplątał się w długie i niezborne podziękowanie, a zaraz potem wylał niekontrolowany potok słów na temat tamtego dnia. Nieproszone a dziwne szczegóły cisnęły mu się na usta i nie zdołał ich powstrzymać. Arcybiskup słuchał z cierpliwym uśmiechem, wreszcie wskazał mu krzesło, przepraszając, że czasu mają niewiele, bo czekają na niego inne obowiązki. Nieszczęsnemu Michalakisowi jeszcze trochę czasu zabrało przepaszanie.

Nie po raz pierwszy miał okazję oglądać Makariosa: słuchał go niejednokrotnie na wiecach w Nikozji; widział na ruinach pozostałych po starciach w stolicy; kiedyś poczuł na dłoni szorstką materię jego sutanny, gdy mijali się na ministerialnym

korytarzu. Mimo to w tej kameralnej sytuacji zaskoczyło go, że czuje aż tak wielki respekt dla polityka. Arcybiskup był politycznym i duchowym przywódcą wyspy. Mężem stanu i ojcem. I w bezpośrednim kontakcie też zdumiewał. Nad czarną brodą przyprószoną lekką siwizną błąkał się uśmiech graniczący z szelmostwem, a czarne oczy pod nawisem ciężkich powiek błyszcząły i bystrością, i dystynkcją. Spod sztywnego jak cylinder *kalimafi* prezydent spozierał z pewnością siebie, i nic dziwnego, skoro przed czterema miesiącami został wybrany, uzyskawszy pięćdziesiąt sześć procent głosów.

— Czy Jego Ekszelencję zdziwiło, że front *enosis* wypadł tak źle w wyborach? — spytał Michalakis.

Makarios dał sobie chwilę na namysł, ale w istocie odpowiedź miał gotową.

— Na obecnym etapie ludzie rozumieją potrzebę utrzymania republiki jako odrębnego i jednolitego państwa. Musimy znaleźć sposób na rozwiązanie zaistniałych problemów konstytucyjnych drogą pokojową, tak żeby chronić interesy społeczności Turków cypryjskich, a jednocześnie zapewnić efektywność rządu zgodnie z demokratycznymi regułami. W moim przekonaniu Ateny są gotowe do złożenia części tej wyspy Turcji w ofierze w zamian za zjednoczenie reszty z Grecją. To jest oczywiście nie do zaakceptowania nie tylko przeze mnie, lecz również przez cypryjskich Greków. To byłaby cena za *enosis*, jakiej nikt nie chce zapłacić. Więc jeżeli *enosis* jest do osiągnięcia jedynie przez podział wyspy, to należy ten cel na razie odłożyć.

Są tacy, którzy mówią, że odstąpienie Jego Ekszelencji od idei *enosis* na rzecz niepodległości Cypru wynika z pragnienia utrzymania się u steru w roli prezydenta.

— Czyli miałbym przedkładać osobiste ambicje nad dobro kraju? — spytał Makarios. Zachował spokojną i poważną twarz, ale oczy mu się śmiały.

— Takie oskarżenia padają — powiedział Michalakis ostrożnie.

— Z Cypru czy z Aten? — spytał Makarios, po czym nie czekając na odpowiedź, machnął ręką i wyjaśniał dalej: — Nie jestem głuchy na pretensje innych, powiedzmy, zainteresowanych stron, ale ciąży na mnie odpowiedzialność za Cypr i nie mogę dać się manipulować, wychodząc naprzeciw niezadowolonym siłom czy mniejszościom. W tym akurat momencie w naszych dziejach musimy się zdecydować na wymagający odwagi kompromis. Musimy przyjąć jedyne realne rozwiązanie i chociaż, owszem, zgadzam się, że nie spełnia ono naszych pragnień, to w obecnej chwili nie ma innej drogi dla Cypru i cypryjskich Greków.

Choć było aż nadto oczywiste, że gotowość arcybiskupa do kompromisowego wyjścia wynikała z braku entuzjazmu dla politycznych układów z wojskowym dyktatorem, żaden z nich nie ujął tego w słowa.

— Więc dokąd od dzisiaj zmierzamy? — zapytał Michalakis.

— Wkraczamy na długą i najeżoną trudnościami drogę. Wierzę, że w dobrym kierunku, i otwieram ten nowy rozdział w naszej historii, nakazując wszystkim jednostkom greckich sił bezpieczeństwa Cypru zlikwidowanie swoich fortyfikacji oraz blokady wokół tureckiej dzielnicy Nikozji. Za niewiele ponad tydzień rozpoczniemy negocjacje w sprawie przesiedleń. Głęboko wierzę, mimo tragedii, jakie dotknęły obydwie społeczności, w dobrą wolę po obydwóch stronach i na tym musimy budować realne i trwałe rozwiązanie, które umożliwi posuwanie się do przodu bez ingerencji takiej czy innej strony trzeciej.

Wkrótce po tym, jak Amerykanie stanęli na Księżycu, Elena przyłączyła się do grupy zagorzałych parafian modlących się codziennie o zapobieżenie apokalipsie. Chłopcy Christakisa zaczęli nosić wiadra na głowie i tak przemierzali miasto wolnym, sztywnym krokiem, co miało zwrócić uwagę na ponaddźwiękowe przyspieszenie Niki. Yiannis kupił forda torino cobrę z nadwoziem fastback i składanym sztywnym dachem oraz pełnym wyposażeniem. Chevroleta postanowił podarować Praxi, co oznaczało udzielanie jej lekcji jazdy.

— Jeden mały krok kobiety, wielki skok na pobocze dla ludzkości — trawestując słowa Armstronga, zażartował Yiannis, gdy zajmowali miejsca w aucie.

— Bardzo zabawne — odszczeknęła Praxi ze złością, ale to z powodu zdenerwowania, a nie gniewu. Mimo braku wzajemnego zrozumienia i obustronnego lekceważenia przysięgi małżeńskiej, która niegdyś ich wiązała i dusiła, Praxi i Yiannis zaprzyjaźnili się, w co im obojgu trudno było do końca uwierzyć. Dawne urazy dryfowały w niepamięci odrzucone przyływem szczerości, częściowej, gdyż prawda o ojcu

Elpidy została przemilczana. Żyli obok siebie, nie wypominając sobie nawzajem przeszłości. Praxi miała Loukisa, a Yiannis wyjazdy raz na tydzień do stolicy. Nie pytała, co go ciągnie do Nikozji, ale cokolwiek tam robił, miało to wpływ na długość jego włosów i szerokość nogawek dżinsów. Wydawał się niemal szczęśliwy, z czego była zadowolona, chociaż musiała się bronić przed wyobraźnią podsuwającą konkretne obrazy kryjące się w tle tej szczęśliwości.

Auto szarpało, to stawało dęba, to kangurowym skokiem rwało do przodu, i w takim stylu wyjeżdżali z portu, a po drodze minęli Elpidę. Praxi nie zauważyła córki, bo ze strachu wlepiła oczy w drogę przed sobą jak w tunel, za to Yiannis pomachał jej radośnie ręką, a potem zrobił minę zgrywusa. Elpida odwróciła się plecami zniesmaczona, że rodzice robią z siebie widowisko.

— Powinni się wstydzić — jęknęła, rozbawiając Jasona.

— Dla mnie to całkiem *cool*, że twoja matka uczy się prowadzić samochód.

— Jasne, mogłam się spodziewać, że to powiesz, nie masz bladego pojęcia o tym, co uchodzi, a co nie.

— A to uchodzi?

Jason podskoczył do niej i poderwał jej sukienkę wysoko w górę, aż oczom wszystkich ukazały się jej majtki, na co zareagowała piskiem śmiertelnego przerażenia. Instynkt podpowiedział mu, że lepiej uciekać, i pognął sprintem po wybrukowanej ulicy, a za nim, wrzeszcząc, popędziła wściekła Elpida. Potracając pieszych i turystów, a w pewnym momencie omal nie rozdeptując kota, wbiegli na główną ulicę, narobili wrzasku na placu przed kościołem i zatrzymali się wreszcie przed jego wrotami.

— Kiedy złapię oddech, zapłacisz mi za to — wysapała Elpida.

— Nie wątpię — odparł Jason i poraził ją uśmiechem, pod którym jej wściekłość stopniała jak masło.

Leniwie wyciągnął przed siebie nogi. Wydawały jej się strasznie długie. Przed rokiem myślała, że wkrótce dogoni go wzrostem, ale gdy wrócił z Krety, gdzie matka odbywała „wiosenne rekolekcje”, był o głowę wyższy i w głowie miał odpowiednio więcej opowieści.

— Miejscowość, w której byliśmy, nazywa się Matala — opowiadał. — Spotykaliśmy się z jakimiś brytyjskimi gwiazdami rocka, oni palili trawę i gadali głupoty, ale w sumie było fajnie. A legenda mówi, że kiedy Zeus pod postacią białego byka usidlił Europę, to z nią na grzbiecie przepłynął morze i dotarł właśnie do Matali. Na plaży zamienił się w orła, zabrał ją do Gyrtos i tam miał z nią stosunek.

— Dlaczego we wszystkich twoich opowiadaniach jest tak dużo o seksie?

— Bo wydaje mi się, że tylko o tym myślę — odpowiedział Jason ku jej zmieszaniu.

— To niezdrowo — rzekła, powtarzając jak echo wypowiedzi babki niezmiennie potępiającej cielesność.

— Jak seks może być niezdrowy? — zaprotestował Jason. — Jest tak naturalny jak jedzenie i któregoś dnia będziesz uprawiała seks, chcąc czy nie chcąc. Mam nadzieję, że ze mną.

— Jasonie!

— Elpido! — przedrzeźniał ją, ale uszczypnął też delikatnie w ramię, dając do zrozumienia, że na nich jeszcze nie Przyszła pora.

Z placyku przed kościołem dostrzegli Mariosa idącego podękę z niską kobietą z długimi rudymi włosami, w które miała wplecione mnóstwo kwiatków.

Jest tu nowa — skomentował Jason.

Elpida kiwnęła głową i machnęła do Mariosa, gdy ich zauważył.

— Kto to? — zapytała po angielsku kobieta u boku Mariosa.

— Elpida — odparł Marios.

Powiedziałyby więcej, ale miał trudności z angielskim, chociaż wcale mu to nie utrudniało zawierania znajomości z turystkami. Walki przestały targać wyspą, turyści napływali tłumnie i Mariosowi coraz więcej czasu zajmowały kobiety. Greczynki nie okazywały mu większego zainteresowania, ale dziewczyny z obcych krajów, ze spaloną skórą i jasnymi oczami, chętnie się wieszały u jego ramienia. Ku jego wielkiej uldze nie zależało im szczególnie na rozmowach. Marios zdawał sobie sprawę ze swojej odmienności. Nie był tak inteligentny jak jego bracia, ba, nawet jak reszta mężczyzn w jego wieku, i ludzi nudziła rozmowa z nim. Kiedy zaczynał miejscowe dziewczyny, w ich oczach szybko pojawiała się rozczarowanie, a potem każda zachowywała się, jakby była jego matką. Za to rozochocone wakacjami turystki, choć mówiły innym językiem, doceniały jego towarzystwo.

— Wpakujesz się w kłopoty — surowo ostrzegła matka, natomiast ojciec dodawał mu odwagi, nie bacząc na jego ograniczenia. Przez ostatnie dwa lata Marios w miarę nabierania doświadczeń zrozumiał, że dziewczęta, nawet te z zagranicy, są bardziej skomplikowane, niż na to wyglądają. Zauważył, że przyjaźnienie się z kilkoma naraz jest ryzykowne. Podczas jednej z randek w barze u Praxi dwie jego sympatie zetknęły się twarzą w twarz, co skończyło się nieoczekiwanymi wrzaskami, rzucaniem drinkami i szarpaniem za włosy. Marios uczył się wolno, ale dość szybko się zorientował, że jedynym sposobem na zadowolenie dziewczyny jest trzymanie się z dala od innej. Dlatego pozwalał sobie na poznawanie nowej co dwa

tygodnie. Kiedy wracała do swojego kraju, całował ją na pożegnanie, obiecywał wysyłanie listów i natychmiast rozglądał się za nową. Życie wydawało mu się słodkie i ta ostatnia dziewczyna, która wisiła u jego ramienia, też była słodka. Miała na imię Karina, mieszkała w Niemczech z rodzicami i kotem Remo. Młodsza o dziesięć lat od Mariosa, zachowywała się poważnie i chociaż wpięła we włosy kwiatki, była bardziej zasadnicza niż nauczycielka. W odróżnieniu od jego dotychczasowych dziewczyn nie pozwoliła na nic więcej niż trzymanie się za ręce, a znali się dobrze ponad tydzień. Marios był trochę sfrustrowany tym dystansem, jednocześnie jednak Karina wprowadziła go w bardzo dobry nastrój i nawet martwił się, że kiedy wyjedzie, będzie za nią tęsknił. Toteż gdy pojawiła się miesiąc później, był nie tylko zaskoczony, ale i ucieszony. Akurat w południe jadł kebab z Virginie i wtedy zmaterializowała się przed nim Karina. Bez słowa wyciągnęła z kieszeni chusteczkę, otarła mu tłuszcz z kącików ust, po czym przepędziła Francuzeczkę. Gdy usiadła na zwolnionym przez nią miejscu, Marios jakby wyczuł, że odtąd tak będzie wyglądało jego życie, podzielił kebab i podał jej połówkę.

Z błogosławieństwem rodziców Karina zatrudniła się w małym hotelu na obrzeżach Kyrenii, wieczorem pomagała w restauracji, a za dnia w księgowości, ponieważ skończyła szkołę biznesu. Przywiozła większość swoich ubrań, a po jakimś czasie kupiła rower. We wtorkowe i w czwartkowe wieczory pobierała lekcje greckiego. Ponieważ porozumiewała się w tym języku coraz lepiej, Marios tylko czekał, kiedy dziewczyna się nim znudzi, a jednak ku jego zdumieniu tak się nie stało. Przeciwnie, ^{lm} ^{wl}Ćcej ze sobą rozmawiali, tym lepiej się czuli w swoim towarzystwie, aż w końcu — trzy miesiące po przyjeździe Kariny do Kyrenii, kiedy jej hotel zamykał się po sezonie

Marios poprosił ją, żeby została na Cyprze i wyszła za niego za mąż. Zdziwił się, gdy zgodziła się na obydwie prośby.

Następnego dnia trochę zdenerwowany zabrał ją do rodziców. Despina była niezwykle podniecona przybyciem gościa, uraczyła ją tuczącymi ciastami, a Georgios podtrzymywał lekką rozmowę o tym i owym. Dziewczyna ujęła ich obydwój. Despina wyraziła wprawdzie zaniepokojenie z powodu czerwonych włosów, ale Marios uciął temat, informując o zaręczynach.

Despina spojrzała na Georgiosa, ten podniósł się z krzesła.

— Marios, synu, idziemy przekazać nowinę Nikosowi. Gdy mężczyźni wyszli, Despina nie przestała się uśmiechać

do dziewczyny, mając nadzieję, że to, co za chwilę powie, zostanie dobrze odebrane, zabrzmii prostodusznie, a nie protekcjonalnie. Odkasznawszy lekko, spróbowała podejść do tematu z jak największą delikatnością.

— Po pierwsze, chcę powiedzieć, jak bardzo mnie cieszy, że Marios jest dzięki tobie szczęśliwy — zaczęła.

Karina bez zmruczenia oka wytrzymała jej spojrzenie i odparła, że ona też czuje się z nim szczęśliwa. Despina przyjęła to do wiadomości.

— Widać, że polubiłaś naszego syna — mówiła. — Porzucenie domu i przyjazd do Kyrenii to śmiały krok, ale życie to nie wakacje i prawda jest taka, że nie znacie się dobrze.

— Wiem — przyznała Karina. Dwie malutkie zmarszczki pojawiły się między jej brwiami, bo brakowało jej słów. — Marios to mój przyjaciel od pięciu miesięcy. Nie jestem na wakacjach. Tu mieszkam.

Despina uśmiechnęła się dla dodania jej odwagi, ale słowa prawdy wciąż nie padły.

— Karino, martwię się, że za wcześnie mówicie o małżeństwie, zanim się dobrze poznaliście. Marios jest...

— Upośledzony? — skończyła za nią dziewczyna.

— Hm, powiedziałałabym raczej „inny” — zdenerwowała się Despina, ale jednocześnie poczuła ulgę, że nie musiała sama mówić o ułomności syna.

— Pani Ekonomidou, nie jestem małą dziewczynką. Miałam sympatie, mieli duże mózgi i małe mózgi. Widzi pani moje ucho? — Karina wskazała na lewy płatek. — Ono nie słyszy. To mi zrobił facet z dużym mózgiem. Marios jest małym chłopcem w dużym mężczyźnie, ale jest dobry. Łagodny, sympatyczny i przy nim dobrze mojemu sercu i głowie... on... — Dziewczyna znowu zmarszczyła nos, szukając słów. — On jest jak mur zamku. Bardzo solidny, bardzo silny, bardzo piękny... i bardzo zabawny, kocham Mariosa. Będzie nam dobrze, szczęśliwie i bezpiecznie.

Despina uśmiechnęła się dobrotliwie, trochę pokrzepiona, ale jeszcze nieprzekonana, że przywiązanie dziewczyny do Mariosa nie osłabnie, gdy rozszerzy się jej greckie słownictwo. Karina najwyraźniej jednak wiedziała, czego chce. Od dnia, kiedy Despina zrozumiała naturę swego chłopca, zadręczała się myślami o jego przyszłości. Teraz siedziała przed nią młoda kobieta z głową na karku, proponując, że oszczędzi jej zgryzoty.

— Dobrze, jeżeli obydwoje jesteście pewni, że tego chcecie, zacznijmy przygotowania do uroczystości — powiedziała, wstała od stołu i gorąco uścisnęła dziewczynę.

Niedaleko od nich Georgios, siedząc przed niedużym nagrobkiem, na którym zostały wyryte z miłością słowa ku pamięci Nikosa Ekonomidou, położył rękę na ramieniu Mariosa.

Jest piękną dziewczyną, Mariosie. Ale czy jesteś gotowy do małżeństwa?

Syn

spojrzał ojcu w oczy. Zobaczył w nich ciepło i wyrozumiałość.

— Wiem, wszyscy uważacie, że jestem za głupi, by mieć żonę...

— Nie, synu, absolutnie nie to chciałem powiedzieć...

— W porządku, tato. Naprawdę się nie przejmuj. Wiem, że nie jestem zbyt mądry. Ale mam dobrą pracę u Christakisa. Zarabiam pieniądze, potrafię o siebie zadbać i będę umiał zadbać o Karinę. Wiem, jestem pewien, że będziemy szczęśliwi. Chcę, żebyś i ty to wiedział.

Georgios kiwnął głową i grzbietem dłoni otarł łzę.

— Jestem dumny z ciebie, synu. I uważam, że dokonałeś wspaniałego wyboru. — Przerwał na chwilę i podniósł brew. — Czy Karina jest w ciąży, hę?

Marios uśmiechnął się szeroko.

— Jeszcze nie, tato.

— Chcesz to zobaczyć?

Zanim Michalakis zdążył się przyznać, że to ostatnia rzecz, jaką chce oglądać, Sawas oderwał plastry przytrzymujące opatrunek. Ostrożnie odwinął bandaż. Michalakis aż gwizdnął.

— Ponieważ lufę przytknięto do skóry, gazy wyzwolone wystrzeleniem naboju spowodowały, że szarpana rana ma kształt gwiazdy. Zauważ również ciemnoszare zabarwienie od prochu i bledszy pierścień naokoło.

Michalakis posłusznie przyjrzał się gwieździe i pierścieniowi.

— Czy cię boli?

— Czy arcybiskup chodzi w czerni? Jasne, że boli. Strzelono mi w nogę.

— Tak, oczywiście. Przepraszam.

Działacza AKEL zaskoczono i postrzelono, kiedy pracował późnym wieczorem w swoim biurze. Porzucony kanister z benzyną wskazywał, że napastnicy planowali podpalenie, lecz nie przewidzieli, że będą mieli do czynienia z samym Sawasem w szale wściekłości. W szarpaninie, jaka się wywiązała, padł strzał. Związkowiec upadł na podłogę, brocząc krwią, ale biuro

ocalało. Stracił mnóstwo krwi, sama rana nie była jednak aż tak groźna, na jaką wyglądała. Chociaż Sawas niechętnie by się do tego przyznał, czerpał satysfakcję z faktu, że dzięki temu wydarzeniu wpisał się w poczet swoich bohaterskich przodków, ofiar polityki. Michalakis natomiast był wstrząśnięty i zaniepokojony. Napad uznał za symptomatyczny dla nowej fali przemocy przelewającej się przez wyspę. Łamy jego gazety znowu zapępiały się doniesieniami o wybuchach bomb, pobiciach i strzelaninach, tyle że tym razem Grecy nie występowali przeciwko Turkom, lecz przeciwko Grekom.

Michalakis podsunął ramię przyjacielowi, gdy ten dźwigał się ze szpitalnego łóżka, uległszy namowie na mały spacer po terenie. Przechodząc obok przełożonej pielęgniarek, pani w średnim wieku, Sawas mrugnął do niej łobuzersko, ona przewróciła oczami, ale Michalakis dostrzegł również rękę, która pogładziła ją po włosach.

— Czy bohater ma adoratorkę? — zapytał, a Sawas się uśmiechnął.

— Robię, co mogę, żeby pozyskać ją dla sprawy.

— To widać. Mam jedynie nadzieję, że jej mąż nie jest jeszcze jednym zwolennikiem *enosis* biegającym z bronią w rękę.

— Znając moje szczęście, prawdopodobnie jest zasłużonym członkiem junty z własnym czołgiem.

Zostawili za sobą sterylne wyziewy szpitalnego oddziału i gdy przechadzali się po ścieżkach okalających porządnie utrzymane trawniki, nadeszła radośnie uśmiechnięta Varnavia, siostra Sawasa. Miała na sobie jaskrawożółtą sukienkę, zielone buty i niebieską opaskę zawiązaną na niesfornych, kręconych włosach. Michalakis niemal usłyszał drwiący śmiech Marii i poczuł w sobie dziwny odruch opiekuńczy w stosunku do Varnavii.

— Braciszku — powitała Sawasa i pocałowała go w policzek, a już po chwili promiennym uśmiechem obdarzyła jego przyjaciela.

— Cześć, Michalakisie!

— Cześć, Varnavio! Miło cię znowu widzieć.

— Pojawiasz się niczym anioł śmierci, co?

Sawas zachnął się na jej śmiałość, ale Michalakis wiedział, że to żarty. Poznał ją pięć miesięcy wcześniej po próbie zamachu na prezydenta. Helikopter arcybiskupa zasypano gradem kul, gdy startował z pałacu na nabożeństwo żałobne. Pilot został poważnie ranny, ale Makarios, co było aż nie do uwierzenia, wyszedł z tego bez szwanku. Policja znalazła potem stena i dwa karabiny na dachu pobliskiej szkoły. Varnavia, która uczyła w tej szkole, zdała dziennikarzowi na prośbę Sawasa ceną, bo z pierwszych ust, relację z tego wydarzenia.

— Wciąż udzielasz gościny zabójcom? — spytał Michalakis.

— Już nie. — Roześmiała się. — My rozwalamy system od wewnątrz.

Poprzedniego miesiąca mimo powszechnej sympatii dla prezydenta z powodu zamachu na jego życie lewicowcy uzyskali aż trzydzieści procent głosów w wyborach do parlamentu, więc nie można było wykluczyć, że któregoś dnia komuniści po prostu zwyciężą. Sawas z dziurą po kuli w nodze był ofiarą wzburzenia wywołanego przez wyniki wyborcze wśród zwolenników zbrojnych rozstrzygnięć, którzy obawiali się, że Cypr wpadnie w przyszłości w ręce Moskwy, a nie Grecji.

Matka, z którą tak usilnie chcemy się zjednoczyć, okazała się podłą, niemoralną dziwką — rzekł Sawas z typową dla siebie bezkompromisowością, podsumowując pogląd, że jest

mało prawdopodobne, by lewica zaakceptowała zjednoczenie z faszystami, którzy przejęli władzę w Grecji bez wyborów.

— Demokracja, nigdy autokracja! — krzyknęła Varnavia, a jej entuzjazm spodobał się Michalakisowi.

Tego wieczoru, patrząc na żonę na tle wzorzystych obić i kryształów, zapytał ją, czy opowiedziałaby się za demokracją, czy autokracją. Maria zerknęła na niego znad kolorowego czasopisma z modelkami eksponującymi wystrzałowe, ostre jak brzytwy paznokcie i sztywne od lakieru włosy. Zaskoczona, że mąż jest w tym samym pokoju, już nie mówiąc o tym, iż się do niej odzywa, zastanawiała się przez moment nad niezrozumiałym dla niej pytaniem i uznała je za jakiś podstęp. Gdyby Michalakis drażył temat, przekonałby się, że żona obawia się zabawy jej kosztem. Ona zaś odkryłaby, iż zwyczajnie chciał nawiązać z nią rozmowę. Żadne z nich niestety nie dostrzegło nic poza próbą znieważenia przez drugą stronę, więc Maria wróciła do swego czasopisma, a Michalakis sięgnął po gazetę.

Piętnaście minut później, gdy żona wychodziła z pokoju, Michalakis obrzucił wzrokiem jej szczupłą, kształtną pupę, czekając na zwykłą u siebie reakcję. Ku jego przerażeniu nic takiego nie nastąpiło i aż ciarki mu przeszły po grzbiecie. Byli przecież jeszcze bardzo młodzi, mieli spędzić ze sobą całe życie, ale bez pociągu seksualnego ta perspektywa wydała mu się wiecznością.

Przerażony oziębłością Marii i własnym brakiem pożądania Michalakis z trudem wyobrażał sobie, że uda mu się przetrwać monotonię lat przed nimi. W konsekwencji rzucił się w wir pracy jak desperat. W następnym roku jego zaangażowanie zostało wynagrodzone wyjazdem prasowym do Moskwy, gdzie Makarios spędził osiem dni, romansując z Rosjanami, a z tego dwa dni Michalakis zabiegał o tłumacza.

Poczucie winy, jakie znowu dręczyło go po powrocie, kazało mu szukać coraz absurdalniejszych powodów unikania żony, co jeszcze bardziej obarczało go psychicznie. Ratunek przyszedł nieoczekiwanie. Grivas uciekł z aresztu domowego w Atenach, więc dłuższe przesiadywanie w pracy zostało usprawiedliwione zapotrzebowaniem na pierwszostronicowe artykuły. Powołując się na wiarygodne źródła, Michalakis donosił, że generał powrócił na Cypr głuchą nocą w przebraniu księdza i od razu przystąpił do organizowania zbrojnych grup, nowej EOKA, której nadał nazwę EOKA-B. Jego celem miało być obalenie prezydenta.

*

Pojawiła się krew, więc poczuła ulgę i jednocześnie wielki smutek. Miesiączka spóźniła się tylko kilka dni, ale to wystarczyło, żeby wywołać skrajne stany: napady paniki na zmianę z chwilami słodkich rojeń. Dostawała palpacji na myśl, że kolejne nieplanowane dziecko zniszczy ich wszystkich. W marzeniach pozwalała sercu tęsknić w cichości za drugim dzieckiem.

Z pustym brzuchem opłakiwała dziecko, które nie istniało. Pragnęła obdarzyć Loukisa tak liczną rodziną, w jakiej się chował, ale marzenia były nierealistyczne. Wiedziała, że i tak powinna być wdzięczna losowi za ofiarowane szczęście. Gdy jednak woda głośno splukiwała sedes, Praxi poczuła się absolutnie i totalnie nieszczęśliwa. Żeby się otrząsnąć z żalu, poszła sprawdzić, co robi dziecko, którym los ją wcześniej pobłogosławił.

Elpida była u siebie w pokoju i apatycznie wyglądała przez okno. Twarz miała bladą i szklane oczy. Mijał tydzień od ^wX)azdu Jasona z wyspy. Zamierzał zwieńczyć swoją niekonwencjonalną edukację egzaminami w zaprzyjaźnionej prywatnej

szkole w Edynburgu i zostawiał za sobą pogrążone w rozpacz serce. Inni rodzice przeszliby do porządku dziennego nad dziewczęcymi łzami jako przelotną manifestacją cielecego zadurzenia, ale Praxi pamiętała, że była zaledwie o rok starsza, gdy po raz pierwszy kochała się z Loukisé. Rozumiała ból Elpidy i wręcz czuła smak jej uczucia.

— Wróci na święta — pocieszała córkę, gładząc ją po gęstych czarnych włosach.

— Jeżeli nie znajdzie innej — rzekła Elpida i łzy ciurkiem spłynęły jej po policzkach, a lały się przez większość tygodnia.

— Jason nie znajdzie sobie innej, Elpida *mou*. On ciebie uwielbia.

— Naprawdę tak myślisz, mamó?

— Wiem, że tak jest. Mogę się założyć o telewizor twojej babci.

Elpida zdobyła się na wąły uśmiech. Przez ostatni rok obydwie zbliżyły się do stanu bliskiego obłądu z powodu telewizora, w którym natężenie głosu rosło o stopień z każdą kolejną zniewagą rzuconą pod adresem uwielbianego przez Elenę arcybiskupa. A ponieważ ataki na niego powtarzały się coraz częściej, migoczące czarno-białe obrazy były obecne w domu na okrągło wraz z rykiem ostrzegających i grożących komentatorów, rozlegającym się na cały dom i pół wsi. Niektórzy sąsiedzi, jeszcze niewyposażeni w nową zdobycz techniki, nabrali zwyczaju spacerowania ulicą wte i wewte, niby dla sportu, a tak naprawdę wyłącznie po to, żeby wysłuchać bieżących wiadomości.

— Czy uda ci się zjeść cokolwiek na kolację? — zapytała Praxi.

— A co mamy?

— *Kleftiko*.

— Możesz wstawić do piekarnika? Później sobie wezmę.

— Dobrze, ale nie zwlekaj za długo, bo nie będzie soczyste. Elpida kiwnęła głową i Praxi zostawiła ją z jej smutkiem.

Kiedy wieczór przeszedł w noc, zaniósła jedzenie do pokoju córki. Elpida leżała już zwinięta w kłębek na łóżku, ale Praxi postawiła talerz na podłodze, na wypadek gdyby dziewczyna obudziła się w nocy głodna. Potem chwyciła płaszcz i wybrała się do Loukisa.

Po wejściu do domu zastała go w łóżku, więc szybko się rozebrała i przytuliła do niego. Poruszył się i objął ją ramionami. Na parapecie paliła się samotna świeca obok miski z białymi księżycowymi kamykami.

— Elpida wciąż jest zrozpaczona — szepnęła Praxi.

— Z powodu chłopaka?

— Tak.

Loukis westchnął i usiadł. Przetarł oczy i przeciągnąwszy ręką po twarzy, sięgnął po papierosa.

— Przejdzie jej.

— Niekoniecznie. — Praxi miała odmienne zdanie. — Wydaje mi się, że ona jest poważnie zakochana w Jasonie.

— Dobry Boże! — Loukis się zaśmiał. — Przecież to jeszcze dzieciaki.

— Być może są dziećmi, ale my byliśmy niewiele starsi, kiedy...

— Nie myślisz chyba...

Nie! Nie! — uspokoila go czym prędzej Praxi. — Boże, zabiłabym ją! Chciałam tylko powiedzieć, że nasza miłość jest równie silna dzisiaj jak wtedy, kiedy mieliśmy tyle lat co oni. To wszystko.

— Prawda — przyznał Loukis. — Wynika z tego, jak sędzę, że będę musiał mieć oko na chłopaka, kiedy wróci tutaj latem.

— Obydwoje będziemy mieć ich na głowie — rzekła Praxi. — Boże, będziemy chodzić jeszcze bardziej niewyspani niż dotąd.

— Nawet o tym nie mów. Wiele bym dał za spokojne noce przy tobie, mam dość krycia się przed ludźmi.

Przytuliła go mocno, ile jej sił starczyło. Ceniła te parę godzin, jakie im darowywał księżyc, ale marzyła o tym, by budziło ich ranne słońce i by nie musiała uciekać do domu z pierwszym paniem koguta. Noce i dni następowały szybko po sobie, okradając ich z czasu dla siebie. W poszerzającej się talii czuła gromadzący się ciężar mijających lat, widziała go w coraz bardziej żyłastych ramionach Loukisa i ostrzejszym zarysie jego podbródka. Minęła młodość, wkraczali powoli w wiek średni. Za parę tygodni miała skończyć trzydzieści lat, a ich córka wkrótce miała się stać młodą kobietą.

— Nienawidzę świadomości, że się starzeję — jęknęła z głową na jego piersi. Wyczuła, że zatrzęsł się od śmiechu.

— Nie jesteś stara, na Boga.

— Ale tak się czuję.

— W każdym razie staro nie wyglądasz.

W odpowiedzi dała mu łokciem kuksańca w brzuch. Pocałował ją w czubek głowy. W jego oczach Praxi z latami wręcz wypiękniała. Uwielbiał coraz widoczniejszą pulchność ud i brzucha, kochał leciutkie linie wokół jej oczu wydobywane przez ostre światło dnia i żłobione uśmiechem pierwsze zmarszczki. Kochał ją całą za to, że nie bacząc na zmęczenie, przybiegała do niego do łóżka, choć mogła się spokojnie wysypiać w swoim.

— Nie martwię się, że będę się starzał — rzekł. — Martwię się o naszą przyszłość.

Praxi uniosła głowę, żeby skupić się na jego słowach. Loukis rzadko zdradzał, co go gryzie, i chciała, by wiedział, że go słucha.

— Nasza córka dorośleje — ciągnął. — Kocha się w chłopcu, który chyba odwzajemnia jej uczucie, i prawdopodobnie się pobiorą. Nawet jeżeli ta miłość nie przetrwa, a życzę Elpidzie, by nie wygasła, to przecież obydwójce wiemy, że dziewczyna w przyszłości wyjdzie za kogoś za mąż i kiedy ten dzień przyjdzie, ja go nie przeżyję. Nie chcę patrzeć, jak moja córka wchodzi do kościoła we wspaniałej sukni, ze swoim uroczym uśmiechem, a ja stoję na uboczu, podczas gdy inny mężczyzna zajmuje miejsce, które mnie się należy jako prawdziwemu ojcu.

— Boże, jeszcze nigdy nie wybiegałam myślą tak daleko do przodu.

— Kiedy leżę, czekając na ciebie, przychodzi mi to do głowy i różne inne myśli także.

— Loukisie, kochanie...

Praxi wtuliła głowę w zagłębienie jego szyi zawstydzona własnym egoizmem. Kiedy dla niej dzień wciąż miał za mało godzin, kiedy ścigała się z czasem, miotając się między Kyrenią i wsią, między domem matki i łóżkiem w jego domu, dni Loukisa wypełniała praca, podczas której czekał i myślał. Nie wahał się dopasować swojego życia do jej życia, jakby nie miał innej możliwości. Poczwała się strasznie winna, że wepchnęła go w ślepy zaułek i tak wegetował. Gdyby go naprawdę kochała, powinna pozwolić mu odejść. Czy nie na tym polega miłość, jedyna siła zdolna przezwyciężyć egoizm? Nie wyobrażała sobie jednak, że mogłaby pokochać kogoś innego i oddać Loukisa innej, zrezygnować z jego dotyku — tego nie mogła serio rozważyć. Nigdy nie opuści Loukisa. Nigdy. Nie będąc

w stanie rozproszyć jego zmartwień, zamknęła oczy, próbując zasnąć. Rano po nocy wypełnionej smutnymi snami wstała późno i do domu biegła szybko, modląc się, żeby dotrzeć, nim wstanie Elpida. Po drodze musiała się schować za żywopłotem na widok biegnącej Niki i jadącego za nią rodzinnym autem ojca. Dwa miesiące wcześniej wytypowano dziewczynę do narodowej reprezentacji i mówiło się nawet o tym, że kiedyś weźmie udział w olimpiadzie. Andreas, który uświadomił sobie, że córka jest bardziej utalentowana, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać, zaczął traktować bardzo poważnie jej zamiłowanie do biegu. Odkładał pieniądze na indywidualnego trenera i wstawał razem z nią przed świtem, by ją wspierać. Gdy Niki i Andreas znikali jej z oczu, Praxi nie po raz pierwszy przecierała oczy ze zdumienia, podziwiając bieg Niki.

W domu zjawiła się za późno, matka już była na zewnątrz i z wściekłością odrywała ulotki wczepione w żywopłot.

— Czy Elpida wstała?

— Nie — uspokoiła ją Elena z przyganą w głosie. — Widziałaś coś podobnego?

Rzuciła w stronę córki garść ulotek. Praxi wzięła kilka do ręki. Druk był prymitywny, ale przesłanie jasne. Tekst pod znakiem EOKA-B wzywał do broni. Apelowwał do niegdysiejszych bohaterów ruchu oporu przeciw Brytyjczykom, by przyłączyli się znowu do walki o *enosis*.

— EOKA-B. — Elena splunęła. — Co jeszcze wymyślą? Mam wielką ochotę chwycić za karabin i nazwać siebie EOKA-C.

Praxi nie mogła się powstrzymać od śmiechu, słysząc płomienne słowa matki, ale ten wybuch to było nic w porównaniu z długą wiązką przekleństw, jaką się popisała Elena cztery

miesiące później, gdy trzech popierający *enosis* biskupi wystąpili z żądaniem ustąpienia arcybiskupa.

Na sesji Synodu Świętego biskupi z Kition, Kyrenii i Pafos przedstawili wniosek, w którym proponowali, aby ich brat Makarios zrezygnował z prezydentury, jako że pełnienie świeckiego urzędu nie jest zgodne z kanonem Kościoła ortodoksyjnego. Siedemnaście dni później Makarios oskarżył trzech biskupów o zawiązanie spisku z ludźmi spoza Kościoła. Dodał, że gdyby został zmuszony do ustąpienia, doprowadziłoby to do narodowej tragedii.

Elena niezachwianie jak zawsze popierała arcybiskupa. Pomstowała, wygrażając pięścią w stronę telewizora.

— Najpierw próbują zastrzelić go w jego siedzibie, a teraz przekłete łajdaki inscenizują zamach stanu w wykonaniu eklezjastów.

Zza okna do wtóru jej pomstowaniu dobiegał nieco cichszy aplauz podsłuchujących sąsiadów.

W redakcji brzmiała symfonia stukotu w klawiatury, dzwonekó w telefonów, wyszczekiwanyc poleceń i darcia papieru. Reporterzy o ziemistyc twarzach żyli kawą, papierosami i adrenaliną. Michalakis nie był tak podekscytowany od epokowego dnia ogłoszenia niepodległości. Cypr wrzał w gorączce prezydenckich wyborów.

Pod ostrzałem z za niemal każdego węgła Makarios wzywał swoich zwolenników do udziału w wyborach, prosząc o poparcie, a materiały do artykułów na pierwszą stronę wyciekały obficie z pałacowego wnętrza. Za milczącą zgodą rządu media wyszczerzyły wreszcie zęby i przypuściły atak na Ateny. Nagłówki znieważały juntę, komentatorzy domagali się wydalenia z Cypru przysłanych tu oficerów. „The Voice” przebił wszystkich — wzywał przebywającego poza krajem byłego greckiego premiera do utworzenia rządu na uchodźstwie. To była ryzykowna strategia, każdy dziennikarz z zespołu mógł się stać celem zamachu, ale wszyscy przystali na nią bez mruknięcia. Z Michalakisa i jego kolegów zdjęto jakiegokolwiek krępujące pęta.

— Zdesperowane dranie.

Naczelny rzucił komunikat prasowy na biurko Michalakisa. To było kolejne żądanie zwolenników *enosis*, domagających się zamiany wyborów prezydenckich na plebiscyt w sprawie zjednoczenia z Grecją.

— Trochę poniewczasie, co? — zauważył Michalakis. Wybory miały się zacząć za niespełna dwadzieścia cztery

godziny i tylko wjazd do stolicy czołgów junty mógłby je powstrzymać. Przy sąsiednim biurku reporter kryminalny Tassos trzasnął słuchawką o widełki. W pomieszczeniu zaległa cisza, jakiej oczekiwał.

— Kolejne napady! — ryknął z wściekłością.

— Gdzie? — spytał naczelny.

— Dwa w Pafos, jeden w Limassol i trzy w okolicach: Larnaki.

Szef gwizdnął przez szczerbę w zębach.

— Dobra, zamieszczamy. Michalakis uzyskuje potwierdzenie i komentarz z pałacu, produkcja zrobi nowy skład.

Po tych słowach wszyscy w redakcji znowu rzucili się do roboty. Mimo trzasków na linii Michalakisowi udało się zweryfikować liczby podane przez Tassosa. Okazało się, że napadów było osiemnaście. Zaatakowane zostały posterunki policji, szacowano, że w akcjach wzięło udział około stu pięćdziesięciu bojowników, w kilku miejscach użyto dynamitu. Michalakis ułożył w zdania słowa potępienia z pałacu i Tassos zamieścił ten komentarz jako trzeci akapit przed listą łupów zdobytych przez napastników. Umknęli z mundurami, wieloma sztukami broni i amunicją, a wszystko miało być użyte przeciwko swoim, przeciwko cypryjskim Grekom.

Następnego dnia na ulicach nagłówki „The Voice” krzyczały:

„Bandyci wzięli na cel demokrację”. Makarios zwycięskim marszem po raz trzeci wygrał wybory.

*

Georgios popatrzył na Mehmeta maksymalnie skupionego na grze. Wokół nich panował gwar, przy stolikach rozmawiano o tym i owym, dowcipkowano, późne popołudnie nie różniło się od innych, tyle że Georgios pił kawę z cukrem, czyli *sade*, a nie jak zawsze *sketto*.

Horror lat sześćdziesiątych zamazywał się w pamięci i połowa tutejszych Turków wróciła do wsi, odbudowując poprzednie życie. Hańby nie mogło zmasać z siebie kilku greckich mieszkańców, przez których nieliczni z powracających znowu wyjechali, zastawszy swoje domy doszczętnie splądrowane. Większość została i przyjęła postawę stoicką, choć nie zawsze wybaczącą. Swoje podwoje po cichu otworzyła opuszczona podczas exodusu turecka kafejka, bo gości nie brakowało i biznes się opłacał.

Kiedy Georgios zaprosił Mehmeta na kawę, staruszek zgodził się niezbyt chętnie, niepewny, gdzie przebiega granica zdrady i jak godzić pamięć o dawnych zniewagach z aktualnym pojednaniem. Dumając nad tym, był wyraźnie zaskoczony, że Georgios nie wszedł do greckiej kawiarni, lecz skierował się do tej naprzeciwko. Po obu stronach ulicy zareagowano z cichą dezaprobatą, która po chwili przeszła w obojętność — większość mieszkańców znużyła się wzajemnymi małostkowymi pretensjami. Właściciel kawiarni zaś stanął na wysokości zadania i podszedł do obydwu panów z małą filiżanką w ręku.

— Wspólne wypicie jednej kawy to gwarancja przyjaźni na czterdzieści lat — rzekł, przysiadając się do nich. Georgios powitał te słowa z ulgą, Mehmet przewrócił oczami.

Jeszcze cztery lata temu Georgios nie miałby żadnej refleksji, ale dziś pomyślał, że wypił z nowymi znajomymi tyle kaw, że potrzebowałby drugiego życia na spełnienie się tej przepowiedni. Niechętnie o tym myślał, ale wszyscy się postarali. Rano bolały go stawy, oddech miał coraz krótszy i linia włosów przesuwiała się do tyłu. A Mehmet w galopującym tempie zbliżał się do schyłku życia.

Początkowo to był przyjaciel jego ojca, więc zawsze wydawał mu się stary, ale ostatnimi czasy skurczył się, drżały mu palce, stawał się staruszką. Mehmet był chyba najstarszym człowiekiem, jakiego w ogóle kiedykolwiek znał Georgios. Zaliczył dziewięćdziesiątkę i pysznił się swoją długowiecznością, żartując, że podarowałby ciało naukowcom, gdyby nie zabraniała tego jego religia. Zadziwiające, że pomimo tak zaawansowanego wieku zachował umysł i dowcip człowieka, którego Georgios od dawien dawna pamiętał, co czasami było nawet irytujące, zwłaszcza gdy rozgrywali partyjkę szachów. Kiwając głową, Mehmet ustawił swoją królową na wprost ostatniego gońca Georgiosa.

— Szach-mat — rzekł.

Przyjrząwszy się szachownicy, Georgios z rezygnacją przewrócił swojego króla.

— Mehmet cię dopadł, tato. — Marios się uśmiechnął. Georgios powstrzymał się od zbesztania go za zbędny komentarz.

— A powiedz mi, synu — Mehmet już odsapnął i mówił z miną zwycięzcy — jak ci odpowiada małżeńskie życie?

Marios wzruszył ramionami.

— Jest inaczej.

Z pewnością. — Staruszek się zaśmiał. — Czy ona gotuje?

— Tak.

— Pierze twoje rzeczy?

— Tak.

— Grzeje ci łóżko?

Marios zachichotał, zanim przyznał, że dobrze mu z Kariną w łóżku.

— To znaczy, że wybrałaś właściwą kobietę — podsumował Mehmet.

— Tak. Myślę, że tak — zgodził się Marios.

I to wszystko była prawda: Karina gotowała, prała i była gorąca, ale robiła o wiele więcej, a mianowicie wciąż coś planowała. Po kilku zaledwie miesiącach małżeństwa Marios czuł się zmęczony. Ledwie kończył pracę, już pokazywała mu jakieś ciągi liczb. Zazwyczaj trzymała w ręku notes ze świeżymi zamówieniami, więc Marios, chociaż przyzwyczajony pracować wolno i dokładnie, musiał przyspieszyć, żeby nadążyć za inicjatywami żony.

Z Kariny jak z worka wysypywały się zaskakujące pomysły. W tym momencie była już z powrotem w domu i suszyła Christakisowi głowę, bo miała projekty ulotki reklamowej. W odróżnieniu od Mariosa Christakis nie ustępował Karinie w przedsiębiorczych zapałach. Marios natomiast marzył o spokoju i nocnych czułościach. Niestety, nawet gdy gasło światło, usta się Karinie nie zamykały, a głowa wciąż pracowała nad planem wyprowadzenia się z domu jego rodziców. Mariosowi w ogóle się do tego nie spieszyło, czuł się w nim szczęśliwy, ale Karina potrzebowała przestrzeni i po wizycie u jej rodziców zrozumiał dlaczego. Ich dom był większy od pałacu, na podjeździe stało wielkie auto, a po padoku biegał koń. Następnego roku wybierali się z Kariną do Niemiec i Marios z przyjemnością większą, niżby chciał to przyznać, myślał o chwilach

samotności w przestronnej posiadłości teściów. Z tyłu za nim do stolika przysunął krzesło Christakis.

— Udało ci się wyrwać z rąk mojej żony? — zapytał Marios.

— Jak widzisz — odparł ze śmiechem brat. — Ale powiem ci, że Karina ma niezwykle pomysły!

— Mnie to mówisz?

Georgios zmierzwił włosy Mariosa i zamówił kawę dla starszego syna. Czuł się śmiesznie dumny, siedząc z synami tutaj, po złej stronie ulicy. Dobrze ich wychowałem, pogratulował sobie.

— Czy słyszeliście nowiny? — zapytał Christakis. — Mamy sądny dzień.

Mehmet odwrócił głowę, żeby się rozejrzeć.

— Nie tutaj. — Christakis na pół się uśmiechnął i zatoczył ręką szerokie koło. — Gdzie indziej. Mówiono przez radio, że dzisiaj były trzydzieści dwie eksplozje w Pafos, Limassol i Larnace.

— Mój Boże! — wykrzyknął Georgios.

— Grivas? — domyślał się Mehmet. Christakis kiwnął głową.

— Trudno być zaskoczonym — mruknął staruszek. Zaraz po wyborach zawiedziony wynikiem generał ostrzegł

Makariosa, że ten stanie się celem zamachów terrorystycznych, podobnie jak Brytyjczycy, jeżeli zdradzi *enosis*. Najwidoczniej jednak generałowi nie starczyło cierpliwości, by czekać na zdradę, i wszczął wojnę partyzancką, jaka osiemnaście lat wcześniej rozsławiła jego nazwisko. Organizował napady na Posterunki policji i zamachy na polityków. Rozsierdzony Makarios utworzył policyjną jednostkę rezerwy taktycznej, żeby Grivasa unieszkodliwić.

Chcę powiedzieć, że mielibyśmy więcej sympatii dla

waszego arcybiskupa, gdyby przekreślił *enosis* jako swój dalekosiężny cel — burknął Mehmet.

— To niemożliwe — rzekł na to Christakis, ścisząc głos, żeby nie urazić innych gości. — Cypryjscy Grecy mają problem z juntą, lecz nie z Grecją jako taką. To wciąż nasza matka.

— Ty tak myślisz — odpowiedział mu Mehmet. — Czasami jednak dziecko potrzebuje pójść własną drogą.

Elpida po raz któryś czytała list, ale wiadomości nie stawały się lepsze przez to, iż znowu przetrawiała je w głowie. Jason donosił, że lato spędzi z matką. Podkreślał, jak bardzo się starał, żeby było inaczej, ale musiał ulec naciskom ojca. Jack, zaniepokojony przemocą na Cyprze, nie mógł mimo dobrej woli pozwolić synowi na to, by narażał się na niebezpieczeństwo. W związku z tym nie było nadziei na jego przyjazd tego roku i w ogóle w najbliższej przyszłości, jeżeli sytuacja się nie poprawi.

Patrząc na pisane wściekłą ręką gryzmoły, Elpida mogła sobie wyobrazić frustrację Jasona, bo na tej czterokartkowej diatrybie przeciwko ojcu roilo się. od typowych dla chłopaka niestosownych epitetów. Wyczuwała jego rozpacz i wybuchała łzami za każdym razem, gdy jej oczy spoczęły na kilku fragmentach mówiących o ich miłości. W Kyrenii Jason niekoniecznie był miły i lubił ją drażnić, ale na odległość jego serce zmiękło i Elpidzie marzyło się, żeby słowa, które nagryzmołił, usłyszeć z jego ust. Zrozpaczona zaapelowała do matki.

— Pozwól, że powtórzę — rzekła Praxi. — Chcesz, żebym pozwoliła ci wyjechać za granicę bez opieki, do siedemnastoletniego chłopaka, który zadaje się ze zgrają palących trawę hippisów? Chyba postradałaś rozum.

— Tata powiedział, że to rozważy.
— Rozpaskudza cię, Elpido.
— Ale...
— Ani słowa więcej. Nie pojedziesz i pogodzisz się z tym. Elpida nachmurzyła się, ale wstała z krzesła i postanowiła się wykazać, więc wypluła ziemniaki i obrała marchewkę. Uznavszy, że na pomoc poświęciła dość czasu, ponowiła prośby.
— Mogłabyś pojechać ze mną.
— Muszę prowadzić lokal — odrzekła Praxi, która z góry przewidziała kolejną falę przemyślanych argumentów i była przygotowana także na sceny i emocjonalny szantaż.
— *Yiayia* może ze mną jechać — zaproponowała Elpida.
— Nie zaciągniesz mnie do jaskini grzechu! — wykrzyknęła Elena.
— Daj spokój, *yiayia*, tam nie jest aż tak źle... Elena z powątpiewaniem uniosła brwi.
— Zło jest złem, dziecko. A poza tym jestem tu potrzebna.
— Do czego? Nic innego nie robisz, tylko oglądasz telewizję!
— Elpido! — zganiała ją Praxi.
— Przecież to sama prawda! — burknęła córka.
— Czuwam nad naszym arcybiskupem, to mój obowiązek — broniła się Elena.
— Przecież jest zwycięzcą! — argumentowała Elpida.
— Diabeł nigdy nie śpi i ja też nie będę.
Elena znowu wlepiła wzrok w ekran telewizora, na co wnuczka rzuciła się na podłogę, bijąc w nią pięściami, i ogłosiła, że skoro nikt nie chce jej pomóc, to ona z pewnością umrze. Praxi tylko się uśmiechnęła. Elena podkręciła głośność^w telewizorze.

W obliczu zagrożeń dla życia i władzy jej duchowego przywódcy Elena rygorystycznie przestrzegała codziennej modlitwy w kościele, wypełniła swój obywatelski obowiązek przy urnie wyborczej i oblepiła okna swojego domu podobiznami arcybiskupa. Makarios miał przeciwko sobie nie tylko Turcję, cypryjskich Turków, Grecję, Grivasa, lobby zwolenników *enosis*, policję mu podległą i dwie z trzech prywatnych, ale również członków swojego Kościoła. Dzięki Bogu arcybiskup był przebiegły. Kiedy biskupi zażądali jego rezygnacji, zwołał synod nadzwyczajny, na którym buntownicy zostali oskarżeni o inicjowanie schizmy i ukarani suspensą.

— W dawnych dobrych czasach zostaliby również ukamienowani — oświadczyła Elena.

— Co należałoby się także hippisom? — spytała Praxi. Elena nie zaszczyliła dowcipu odpowiedzią. Przyszłość arcybiskupa nie mogła być przedmiotem żartów.

Nie chcąc dalej prowokować matki, bo wszystkie trzy były wystarczająco zdenerwowane, Praxi ogłosiła, że wychodzi zaczerpnąć świeżego powietrza. Była przy drzwiach, gdy Elpida podniosła smutny wzrok znad listu.

— Poszłabym z tobą, mamó, ale ciężko spacerować ze złamanym sercem.

Praxi przewróciła oczami. Czasami widziała w córce własne odbicie. Uwolniwszy się od domowego teatru, oddaliła się od wsi i skierowała kroki do domu Loukisa. Zastała go przy lekturze artykułu brata.

— No tak, dopadli go — powiedział krótko.

— Kogo?

— Antoniou Charalambousa.

— Tego twojego kolegę z jedną nogą? — spytała. Kiwnął głową. — Cóż, mówiłeś, że to tylko kwestia czasu — wyrwało

jej się, zanim uświadomiła sobie, jak niesympatycznie to zabrzmia. — Ale czy wiesz, że Elpida chce pojechać do Jasona na Kretę?

— I co ty na to?

— Nie pozwalam, to oczywiste.

Loukis uśmiechnął się, wyobrażając sobie sfrustrowaną córkę, gniewnie zmarszczone brwi w proteście na strasznie niesprawiedliwe potraktowanie jej prośby.

— W normalnych okolicznościach zgodziłbym się z tobą, ale tutaj rozpęta się piekło. Może byłoby lepiej, gdyby stąd wyjechała.

— Daj spokój, Loukisie, nie jest aż tak źle. Przeżyliśmy gorsze rzeczy. Poza tym dwa tygodnie to za mało czasu, żeby na wyspie sytuacja się zmieniła na całkowicie bezpieczną.

— To prawda — przyznał Loukis. Odłożył gazetę. Konflikty narastały, nie zanosilo się na ustanie przemocy.

Chociaż nigdy nie akceptował drogi, jaką wybrał Antoniou, to do pewnego stopnia go rozumiał i było mu go straszliwie żal. Antoniou nie był człowiekiem złym, tylko motywowanym chęcią odwetu i niezachwianą wiarą w sprawę, dla której stracił nogę. Tymczasem prezydent pod presją sytuacji działał zdecydowanie. Kiedy bojownicy EOKA-B rozpoczęli swoją grę, jednostka rezerwy taktycznej dostała zadanie likwidowania takich grup i podczas jednej z akcji złapali zastępcę Grivasa oraz dwudziestu innych weteranów, a wśród nich Antoniou.

Gazeta podawała, że ci ludzie zostali oskarżeni o spisek mający na celu obalenie rządu. Cytowała oświadczenie zwolenników *enosis*, którzy odpierali zarzuty. Loukis osobiście uznawał słuszność oskarżenia. Nie tak dawno Antoniou pojawił się u J^ego drzwi i namawiał go do przyłączenia się do nowo

powstałego ruchu, ale Loukis, wiedząc o wykryciu kolejnego spisku na życie prezydenta, czuł się lekko zniesmaczony tą wizytą.

*

Michalakis czekał akurat z Marią w poczekalni u lekarza, który miał dociekać, dlaczego ona nie zachodzi w ciążę, kiedy oszołomiona recepcjonistka podzieliła się wiadomością o ostatniej próbie zamachu na prezydenta. Michalakis poprosił o możliwość skorzystania z telefonu, żeby zadzwonić do gazety. Słuchawkę podniosła sekretarka redakcyjna, w tle słyszał odgłosy prawdziwego pandemonium. Powiedziała, że podłożono cztery miny i wybuchły parę minut przed przejazdem limuzyny z Makariosem, który był w drodze do Famagusty, gdzie miał odprawić nabożeństwo.

— Ten człowiek jak kot zawsze spada na cztery łapy — skomentował Michalakis i usprawiedliwiając się przed żoną, ruszył do redakcji. Ledwie wyszedł, Maria wstała z krzesła i powiedziała recepcjonistce, że wizyta nie będzie potrzebna.

W domu postawiła tygielek z kawą na ogniu, a z jej oczu polały się gorzkie łzy. Płakała nad zmarnowanym życiem. Bóg tylko wiedział, ile nadludzkiej siły potrzebowała, żeby zachować dziewictwo do nocy poślubnej, i wiedział także, jak bardzo czuła się dotknięta, gdy dowód jej czystości zaskoczył męża. Próbowwała zapomnieć o palącym jak żądło upokorzeniu, ale nie potrafiła i już nie mogła się kochać bez przywoływania twarzy tamtego. W ostrym kuchennym świetle, przy pustym stole, ze sterylnymi blatami przed oczami, uświadomiła sobie z absolutną jasnością, że niemożność poczęcia dziecka wynika z jednego elementarnego błędu: mąż nie był swoim bratem.

Michalakis wrócił do domu dopiero po zamknięciu wydania,

było późno i zastał żonę w łóżku. Na prześcieradle zauważył ciemne plamy zaschniętej krwi, a na ramionach Marii linie nacięć. Nie wiedział, co o tym myśleć ani co miałby jej powiedzieć. Cichutko wślizgnął się do łóżka. Po jej oddechu domyślił się, że nie śpi, ale nie miał odwagi o nic pytać ani nawet objąć jej ramieniem. Rano, gdy się obudził, Maria była już na nogach i szykowała śniadanie. Ramiona zakryła długimi rękawami. Udawał, że nie wie, o co chodzi. Jakby nigdy nic zapytał o wizytę u lekarza, odpowiedziała, że nie mają powodów do zmartwienia.

— Niektóre pary muszą po prostu dłużej czekać — wyjaśniała. — Zwłaszcza gdy stosunki są nieregularne.

Michalakis nie zareagował na uszczypliwość.

— Lenii i Andreasowi zajęło to trochę czasu, a teraz dorasta im przyszła mistrzyni olimpijska.

— Powinnam chyba zażywać jakąś miksturę twojej mamy i zacząć chodzić w majtach.

— Większych niż te, które już nosisz?

Maria postawiła na stole miskę z sałatką owocową dla siebie i wzięła do ręki widelec. Milczała. Michalakis westchnął. Jego pytanie miało być żartem, ale ostatnio nie udawało mu się wywołać uśmiechu na twarzy żony. Wciąż miała skwaszoną i nieszczęśliwą minę, a on nie potrafił sprostać jej wygórowanym oczekiwaniom. Bezpośrednio po ślubie wydawało mu się, że trudno być bardziej szczęśliwym. I przez jakiś czas nie bez racji. Kiedy wprowadzili się do niedużego domku na przedmieściu od strony Larnaki, Maria zrezygnowała z pracy, żeby zająć się urządzaniem domu. Podobały jej się rzeczy delikatne¹ kosztowne, wtedy zaczęły się jednak kłótnie, bo zarobki Michalakisa nie spełniały jej oczekiwań. Kiedy wreszcie wystrój domu Maria oceniła jako dokładnie odpowiadający jej es-

tetycznym wyobrażeniom, przerzuciła się na przedpołudniowe kawy w damskim gronie, co musiało ją narazić na pytania z powodu szczupłej figury i bezdzietnego statusu. Uznała, że zatroskane panie trafiły w sedno jej małżeńskich problemów, i zabrała się do ich rozwiązania ze skrupulatnością, z jaką przystępowała do każdego projektu. W rezultacie seks między nimi ewoluował w kierunku aktywności prokreacyjnej pozbawionej zmysłowości. Michalakis doszedł do wniosku, że ożenek był kardynalnym błędem, a w każdym razie nie powinien się żenić z Marią. Za piękną fasadą ich związku kryła się pustka. Nic ich nie łączyło.

Któregoś dnia po uświadomieniu sobie tej smutnej prawdy siedział zadumany nad zimną kawą i w chmurze papierosowego dymu w Zach's Café blisko redakcji, gdy nagle ktoś trzepnął gazetą o blat stolika. Podniósł głowę pewien, że to jakiś oburzony parlamentarzysta, tymczasem patrzyły na niego ciepłe brązowe oczy siostry Sawasa.

— Miło wiedzieć, że czytasz dobrą gazetę — powitał ją żartobliwie, a dawno zapomniane uczucie gorąca rozeszło mu się po łądźwiach.

— Wykładam nią pojemniki w stojaku na warzywa — rzekła na to, przysiadając się bez zaproszenia. — Trzeba przyznać, że „The Voice” ma przynajmniej tę zaletę, że jest drukowany na papierze dobrej klasy.

Michalakis uniósł brwi, mając nadzieję, że daje tym wyraz pobłażliwemu zdziwieniu. Nie był drażliwy na punkcie gazety; wiedział, iż wyrosła na godny zaufania dziennik oferujący w miarę bezstronny obraz złożoności światowej polityki. Mimo wszystko Varnavia zelektryzowała go, próbując wsadzić mu szpilę. Poczł przy tej kobiecie przyplw pozytywnej energii, więc zaproponował wspólną kawę w następnym tygodniu. Po

paru spotkaniach zaczęli się regularnie widywać co tydzień w Zach's Café, łącząc zażarte polityczne polemiki ze szczyptą flirtu. Obydwoje zdawali sobie sprawę z wzajemnego przyciągania, ale żadne nie miało odwagi, żeby ujawnić uczucie albo się opamiętać i wyzwolić spod uroku. Właśnie podczas randki z Varnavią Michalakis dowiedział się o tym, że przywódca greckiej junty Papadopoulos został odsunięty od władzy przez żandarmerię wojskową.

Obydwoje słuchali z szeroko otwartymi oczami włączonego w kawiarni radia, które donosiło, że dowódca żandarmerii, generał Joannidis, wyznaczył Fedona Gizikisa na nowego prezydenta Grecji.

— Wyznaczył to właściwe określenie — mruknął Michalakis.

— Czy to ten sam generał, który zgłosił Makariosowi plan wyeliminowania naszej tureckiej społeczności?

— Wydaje mi się, że tak — odrzekł Michalakis, niejasno sobie przypominając incydent z tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego czwartego roku z udziałem greckiego generała Joannidisa i Nikosa Sampsona, jednego z przywódców cypryjskich wojowników. — O ile mnie pamięć nie myli, Makarios pokazał wtedy Grekowi drzwi.

— Nieźle się to wszystko zapowiada — rzekła Varnavia i gwizdnęła.

Dwudziestego siódmego stycznia 1974 roku zmarł Georgios Grivas. Dla niektórych urzeczywistniał marzenia narodu odłączonego od matki. Dla innych był upadłym bohaterem, przywódcą dzielącym kraj, bojownikiem prześladowanym przez fatum, który zginął nie w walce, lecz na atak serca w Limassol, gdzie się ukrywał.

Dwa dni po jego śmierci odbył się pogrzeb w ogrodzie domu, który kiedyś, podczas kampanii przeciwko Brytyjczykom, był jego ostatnią kryjówką. Przyciągnęły dziesiątki tysięcy ludzi, żeby oddać mu hołd, więc pod presją opinii rząd ogłosił trzydniową żałobę. Makarios nie przybył na uroczystości pogrzebowe niegdysiejszego sprzymierzeńca, a Michalakis z niedowierzaniem obserwował, jak Nikos Sampson zawłaszcza ceremonię.

Brutalny i ambitny przywódca prywatnej armii owinał się grecką flagą, głośno manifestując wściekłość i żal nad zamkniętą trumną Grivasa. Wezwał żałobników do kontynuowania walki o *enosis* i pomszczenia śmierci ich lidera, jakby nieświadomy tego, że odejście generała spowodowane było przyczynami

naturalnymi. Sporządzając w redakcji relację z pogrzebu, Michalakis czuł w ustach metaliczny smak bezsilnego gniewu. Śmierć Grivasa mogła sygnalizować koniec pewnej epoki: heroicznego etosu, który już dawno utracił blasku. Niestety, Michalakis przeczuwał nadejście czegoś jeszcze gorszego.

Despina instynktownie uchyliła głowę atakowana przez dwie jaskółki, które z trzepotem skrzydeł to wzbijały się w górę, to pikowały, zmuszając ją do ucieczki. Mimo irytacji rozumiała pilnujące gniazda ptaki i odłożyła strzyżenie żywopłotu na później. W domu nie poczuła odprężenia zdeprimowana ciszą nie do zniesienia. Wydało jej się, że nie dalej niż wczoraj miała obok siebie pięciu synów, młodzieńców czyniących rwetes, który niósł się od kuchni do salonu i schodami w górę do ich pokojów. Zostały po tym tylko wspomnienia. Christakis był panem w średnim wieku i walczył z chaosem u siebie, nieuchronnym w domu z pięcioma żywiołowymi chłopakami; Michalakis nie widział świata poza pracą; Nikos leżał na cmentarzu i niech spoczywa w pokoju; Marios poleciał z żoną do Niemiec, gdzie miał spędzić lato w domu teściów; a Loukis żył pogrążony jak zawsze we własnym świecie. Czekając w nieprzyjaznej ciszy na powrót Georgiosa, Despina z rozpaczki zateęskniła za towarzystwem Televantosa, ale staruszek był ostatnio przykuty do łóżka i raczej wątpiła, by jego córka, która na jakiś czas zostawiła dzieci w Pisuri, żeby zaopiekować się umierającym ojcem, uznała samotność sąsiadki za wystarczający powód do wyciągania własnego ojca z pościeli. Jak Loukis znosił samotne życie, tego Despina nie pojmowała. Choć rozumiała go lepiej niż wszyscy inni, niektóre cechy jego osobowości stanowiły dla niej zagadkę i napawały smut-

kiem. Za plecami usłyszała otwierane drzwi i odetchnęła na widok wkraczającego z uśmiechem Georgiosa.

— No i jak? — spytała.

— Szlag mnie trafił — rzekł. — Nie wierzyłem własnym oczom. Widziałem namalowany wzdłuż kościelnego muru, tak, na kościele, Despino, napis szkalujący Makariosa. Nie jestem nawiedzonym księżulkiem, ale mówię ci, że jeżeli wpadną mi w ręce te dranie, poukręcą im łby.

Despina była równie wzburzona tym aktem wandalizmu, ale w tym momencie bardziej martwiła się o zdrowie męża.

— Co powiedział doktor, Georgiosie?

Zrzucił buty i ściągnawszy skarpetki, zwinął je w kłębek.

— Niewiele — odparł.

— Georgios! — Zabrzmiała groźnie.

Odpowiedział ciepłym uśmiechem. Podeszedł do niej na bosaka, chwycił za ręce i przycisnął je do piersi, jakby mieli rozpocząć powolny taniec.

— Moja słodka, kochana Despino, wszystko będzie dobrze.

— Och, dzięki Bogu — szepnęła.

— Taką przynajmniej nadzieję wyraził lekarz, bo rozpoznania nie ma — uzupełnił ze śmiechem Georgios. — Kieruje mnie do Nikozji, mam mieć wizytę u kardiologa w lipcu.

Despina zalała się łzami.

*

Loukis ładował pomarańcze na traktor, Mehmet się przyglądał. Jeszcze niedawno mógłby mu pomóc, teraz nie miał siły w rękach. Gdyby żyła Pembe, przyszłaby z zimnym sokiem z melona, który gasi pragnienie i dobrze robi na nerki, a gdyby cofnąć się jeszcze dalej w przeszłość, traktor byłby oślicą o imieniu Afrodyta. Lata mijały szybko i Mehmet, rozglądając

się wokół siebie, konstatował ze smutkiem, że tak niewiele przy nim pozostało. Wygląda na to, pomyślał, że im dłużej się żyje, tym więcej śmierć zabiera.

W oddali zobaczył nadchodzącą Praxi. Uwolniła włosy z opaski i wiatr igrał z końcami jej długich pukli. Loukis podniósł głowę, jakby wywęszył jej nadejście, na co Mehmet pokręcił głową. Niektóre rzeczy jednak się nie zmieniały. Przynajmniej tę łaskawość losu potrafił docenić.

Nie każdy we wsi patrzył tak przychylnie na zażyłość tej pary, lecz Mehmet nie wyobrażał sobie, że mogłoby być inaczej, musiał nawet sobie przypominać, iż to dwie odrębne osoby, bo dla niego mieli wprawdzie dwa imiona: Praxi i Loukis, ale stanowili jedność. Odkąd pamiętał, jedno chodziło za drugim jak cień, obserwował nieraz, jak kłóć się niczym wściekłe psy, a po chwili wpatrują się w siebie z religijnym niemal nabożeństwem. Zawędrowali w dorosłość, jednak dla Mehmeta wciąż byli dziećmi, dziećmi zakochanymi w sobie beznadziejnie, ktoś powiedziałby, że niemądrze, lecz przecież z równie płomienną determinacją jak w latach młodzieńczych. Chociaż Praxi wyszła za mąż za innego, Mehmet — stary, ale nie ślepy — wiedział, że dziewczyna przychodzi nocą do łóżka Loukisa. A chłopak, który wyrósł na silnego i przystojnego mężczyznę i mógł być ceną zdobyczą dla każdej panny na wydaniu, nie wyobrażał sobie życia z żadną inną. Ich związek obciążony był grzechem, Mehmet jednak nie widział nigdy miłości, która aż tak zasługiwałaby na to miano. Nic nie mówił, ale gdy patrzył na córkę Praxi, żywił podejrzenie, że nie wszystko było tak, jak opowiadano. Zrób sobie przerwę — rozkazał.

Loukis dźwignął jeszcze jedną skrzynkę z pomarańczami na traktor i obiecał wrócić za godzinę. Gdy doszedł do Praxi,

rozejrzał się, czy nie ma ciekawskich oczu, i pocałował ją delikatnie w usta. Zapytał, dlaczego nie musi być w barze.

— Zepsuł się samochód — wyjaśniła. — Yiannis dał mi dzień wolny.

— Miło z jego strony. A co się zepsuło w aucie?

— Czy wyglądam na mechanika?

Loukis przyjrzał się stojącej przed nim kobiecie. Miała na sobie jasnoniebieską sukienkę, która subtelnie uwydatniała jej krągłości. Włosy miała długie i gęste, piękne czarne rzęsy. Jedynym mechanikiem, jakiego znał Loukis, był Theoris Moustakas i rzeczywiście Praxi w ogóle nie była do niego podobna.

— Dokąd chcesz pójść? — zapytał.

— Mam skórę suchą jak pieprz.

— Nad morze?

— Świetny pomysł.

— Masz ze sobą kostium?

— Nie mam. — Mrugnęła znacząco i pobiegła w stronę morza, a Loukis za nią. Gdy dotknęli stopami nadmorskich kamyków, zrzucili z siebie ubrania, chichocząc jak dzieci.

W tym samym czasie dobre kilka kilometrów dalej, w Klejnocie Kyrenii, Yiannis powoli przychodził do siebie po nieprzyjemnym incydencie. Ścianę baru za jego plecami udekorowała grecka flaga, a dwaj mężczyźni, którzy wymogli na nim, żeby ją eksponował, zasiedli przy stoliku na zewnątrz pod parasolem i pili zimne piwo na koszt firmy.

Jak zwykle tchórzliwy w pojedynkę, bez gości w barze czy choćby żony, Yiannis przychylił się do ich prośby, a właściwie żądania, chociaż dawno temu stracił entuzjazm dla matki Grecji. Nie było bezpośrednich gróźb, nie widział konturu broni pod ubraniem, lecz sygnały ewentualnych kłopotów były aż nadto oczywiste, gdy tylko mężczyźni się zbliżyli z sugestią, że

dobrze by wyglądało, gdyby miał nad głową błękit i biel greckiej flagi.

— Idą nowe czasy — powiedział wyższy z nich dwóch. — Trzeba być po właściwej stronie, czy nie tak?

Prezenter mówił spokojnym, miarowym głosem i Elena nie mogła wyjść z podziwu dla jego samokontroli, gdy czytał list Makariosa do prezydenta Grecji. Nigdy, ale to nigdy nie przypuszczała, że dożyje dnia, kiedy będzie coś takiego oglądać.

Z najgłębszym żalem czuję się w obowiązku poinformować Pana Prezydenta o niedopuszczalnym rozwoju wydarzeń na Cyprze, za które czynię odpowiedzialnym rząd grecki...

— Czy musimy tego słuchać? — jęknęła Elpida.

— Oczywiście, że musimy — zachnęła się Elena.

Od czasu potajemnego przybycia generała Grivasa na wyspę we wrześniu tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego pierwszego roku krążą wieści wsparte konkretnymi dowodami, że przybył tu z inspiracji i za zachętą pewnych kół w Atenach, a utworzył tutaj organizację o nazwie EOKA-B, która jest źródłem poważnych kłopotów na wyspie. Gwardia Narodowa, w której służą i którą dowodzą oficerowie greccy, jest od samego początku głównym dostawcą ludzi i uzbrojenia dla EOKA-B. Proszę zrozumieć, Panie Prezydencie, jak bardzo gorzkie myśli muszą mnie dręczyć od czasu, kiedy sobie uświadomiłem, że członkowie rządu w Atenach konspirują przeciwko mnie, a co gorsza, dzielą cypryjskich Greków, wciągając ich w bratobójcze przelewanie krwi. Niejeden raz wyczuwałem

niewidzialną rękę wyciągającą się z Aten, żeby przeciąć mój ziemski żywot, a w niektórych sytuacjach niemal mnie ona dotykała...

— Muszę się napić czegoś zimnego — znowu jęknęła Elpida.

— Wiesz, gdzie jest lodówka — burknęła Elena.

— A ty masz na coś ochotę?

— Dziecko, proszę! — zaklinała Elena. — Zupełnie nie ogarniasz niezwykłości tego, co słyszysz.

Elpida westchnęła, ale nie ruszyła się z miejsca. Uspokojona Elena wpatrzyła się w ekran, nie chcąc uronić ani jednego słowa z porażającego swą wymową listu arcybiskupa do prezydenta macierzy.

Przykro mi, Panie Prezydencie, lecz uznałem za niezbędne poruszyć tak nieprzyjemne sprawy i opisać w języku brutalnej szczerości godną pożałowania sytuację istniejącą od dawna. Dyktuje mi to jednak wzgląd na interes narodowy... Nie jest moją intencją zerwanie współpracy z rządem greckim. Zwracam jednak uwagę, że nie jestem komisarycznym zarządcą Cypru wyznaczonym przez rząd grecki, lecz przywódcą znacznego odłamu helleńskiej wspólnoty, wybranym w wyborach powszechnych, więc mam prawo się domagać, by mnie jako takiego traktowano. Treść tego listu nie jest poufna.

Trzydzieści dni później pułkownicy greccy odpowiedzieli na ten list ogniem.

Maria potrząsnęła Michalakisem, wyrywając go ze snu, i oznajmiła rzeczowo z miną „to było do przewidzenia”, że

znowu ponieśli porażkę. Jęknął w głębi ducha, bo czekał ich kolejny miesiąc wyzutej z miłości mordęgi w łóżku.

— Ja się nie spóźniłam, ale ty tak — dodała Maria.

Złapał do ręki budzik i odstawił go z dosadnym przekleństwem. Pobiegł do łazienki, lecz była zajęta przez ojca, który przyjechał poprzedniego wieczoru przed umówioną wizytą w najlepszym stołecznym oddziale kardiologicznym.

— Dwie minuty! — krzyknął Georgios.

Ze względu na stan zdrowia ojca Michalakis nie miał serca go popędzać. Poszedł do kuchni wypić kawę. Ku jego zaskoczeniu i uldze już krzątała się tam matka, jakby wyplacała się za gościnę, więc zamiast zimnego tostu, rzuconego na talerz obok porcji dżemu, na stole pachniał ser *halloumi* i bekon z grilla. Maria przysiadła się z kwaśną miną i zaczęła dziobać widelczykiem sałatkę owocową.

— Łazienka wolna — rzekł Georgios, przyłączając się do śniadania.

Michalakis wepchnął do ust kilka plasterów bekonu, żeby go przeżuwać podczas ablucji. Pojawił się w kuchni siedem minut później w czystej koszuli i z wacikiem na brodzie, kryjącym drobne skaleczenie po goleniu. Pocałował żonę, potem matkę.

— Zobaczmy się o drugiej — przyrzekł.

— Tylko się nie spóźnij — poprosiła Despina. Zapewnił, że sprawa w pałacu zajmie mu nie więcej niż

godzinę i będzie z powrotem wystarczająco wcześnie, żeby ich spokojnie zawieźć do szpitala.

Nie denerwujcie się — rzekł stanowczo.

Ja się nie denerwuję — skłamała Despina, a za chwilę łza pociekła jej po policzku. Georgios mrugnął znacząco do syna i położył rękę na dłoni żony. Maria zajęła się sprzątaniem ze stołu.

Jak tylko Michalakis się zjawił w pałacu, pospiesznie poprowadzono go pustymi korytarzami do sali recepcyjnej zalanej rannym słońcem i rozbrzmiewającej dziecięcym gwarem. Arcybiskup już tam był, stawiał się do pracy punktualnie o godzinie siódmej czterdzieści pięć i teraz z żartobliwą przyganą wskazał na zegar ścienny. Zawstydzony Michalakis uśmiechnął się przepraszająco i wyjął notes. Włączył dyktafon. Była godzina ósma trzydzieści.

Dzieci, uczniowie z jakiejś kairskiej szkoły, przybyły na wyspę na specjalne zaproszenie arcybiskupa. Były jego pierwszymi gośćmi tego dnia, odpowiednio do okoliczności miały eleganckie mundurki, wypucowane buzie oraz prezentowały nienaganne maniery. Michalakis, który nie dość, że się spóźnił, to jeszcze zapomniał przed wejściem oderwać przyschnięty do brody wacik, czuł się jak niechluj na ich tle. Chociaż impreza nie miała wielkiej rangi, samo zaproszenie na obsługę prasową było ze strony Makariosa miłym gestem, którym dziękował „The Voice” za konsekwentne poparcie w obliczu nasilających się ataków wewnętrznych i z oddali, z Grecji. Te wydarzenia, co bystrze zauważył Michalakis, posrebrzyły tu i tam do niedawna całkiem czarną brodę arcybiskupa. Michalakis usiadł z boku. Rzucił mu się w oczy chłopak do tego stopnia przejęty sytuacją, że aż walczył z napływającymi łzami. Nachylała się nad nim troskliwie kobieta, jak można się było domyślić, nauczycielka. Ze swego miejsca wstał stremowany lider grupy, odchrząknął i zwrócił się do arcybiskupa. Michalakis zapisał sobie w notesie, że po części oficjalnej ma zapytać o jego nazwisko.

Lekko drżącym głosem reprezentant grupy zaczął od podziękowania za zaproszenie, niezwykle znaczące dla młodzieży, ich szkoły i rodziców. Makarios dla dodania mu odwagi pokiwał

głową. W tym momencie dotarły z oddali pierwsze odgłosy wystrzałów. Przemawiający opuścił rękę z kartką, dzieci poruszyły się niespokojnie na krzesłach, zaczęły szeptać między sobą, niektóre trącały w łokcie opiekunów, pytając, co się dzieje. Makarios siedział nieporuszony. Tylko jego oczy pobiegły za jednym z jego ludzi, który zniknął w drzwiach.

— Proszę kontynuować — rzekł spokojnie do mówcy.

Ten podniósł kartkę do oczu i mówił dalej, ale ręce mu drżały, gdyż echo strzelaniny rozbrzmiewało coraz głośniejsze i częściej, tak że w końcu musiał je przekrzykiwać. Kiedy wybuchła pierwsza rakietą, wypuścił z rąk notatki i rozkazał dzieciom położyć się na podłodze. Przerażone dzieciaki legły na niej plackiem, kuliły się pod krzesłami. Przez drzwi wpadła prezydencka ochrona z wiadomością, że przed bramą pałacu stanęły czołgi. Michalakis podbiegł do okna. Dziedziniec był jeszcze pusty. Odwróciwszy się do sali, zobaczył, że ochroniarze nakłaniają prezydenta do ucieczki, ale Makarios sprawiał wrażenie całkowicie oszołomionego, niezdolnego pojąć realności tego, co się dzieje, niedającego wiary, że greccy pułkownicy zdecydowali się dokonać zamachu stanu.

Na zewnątrz coraz więcej wystrzałów wstrząsało powietrzem, więc Michalakis powrócił do okna i wtedy dopiero zrozumiał ogrom grożącego im niebezpieczeństwa. W murach wybito otwory w kształcie litery V, a z zewnątrz dobiegał chrzęst gąsienic. Czołgi parły naprzód, w samo serce pałacu. Po Makariosa. Nie mając innego wyboru, ponaglany przez ochronę arcybiskup skierował się do zachodniego wyjścia, rzucając w przelocie słowa pocieszenia dzieciom. Pilnowało go trzech ochroniarzy, jeden szedł przodem, dwaj zasłaniali Jego plecy. Broń mieli wyciągniętą, twarze napięte, ale nerwy pod kontrolą.

Michalakis przyczaił się na podłodze jak reszta przerażonych gości arcybiskupa. Uniósł jednak głowę nad parapet i doliczył się kilku czołgów i tyłuż uzbrojonych pojazdów będących tuż-tuż. Czarny dym buchał z płonących budynków i nagle od murów znowu odbiła się rykoszetem seria pocisków. To straż prezydencka próbowała dawać odpór. Mimo że krew waliła mu w skroniach i czuł strach, jakiego jeszcze w życiu nie doświadczył, Michalakis wciąż był świadom ciężającej na nim odpowiedzialności dziennikarskiej: mógł być ostatnim, który widzi prezydenta żywego. W drugim końcu sali kula przebiła jedno z wysokich okien, rozległ się ogólny wrzask przerażenia, lecz Michalakis poderwał się na nogi i pobiegł w stronę zachodniego wyjścia w ślad za Makariosem i ochroniarzami.

Na zewnątrz dostrzegł czterech mężczyzn znikających w bocznej furcie. Zbiegł za nimi w dół i dalej między rzędami młodych drzewek do drogi. Ochroniarze zatrzymali przejeżdżające auto, kierowca wygramolił się z niego z podniesionymi rękami, a oficerowie i prezydent wskoczyli do środka. Michalakis ruszył za nimi, ale głowa siedzącego na tylnym siedzeniu Makariosa szybko zniknęła mu z oczu, więc zwalczył chęć gonienia samochodu i zawrócił do pałacu.

W sali recepcyjnej przyłączył się do dorosłych uspokajających wystraszone dzieci. Wyrównał przepustkę prasową zawieszoną u szyi i czekał wraz z resztą na przybycie rebeliantów.

*

Elena wyła z żalu i wściekłości. Z zapłutą brodą dzielnie stawiała opór córce i wnuczce, które starały się ją opanować. Drapała i gryzła je w ręce w niepohamowanym żalu nad sobą i Cyprem. Wszystko było stracone, serce jej krwawiło. Zginął Makarios.

Z muzyką żałobną w tle cypryjskie radio nadawało ten komunikat od dziewiątej piętnaście. Już po drugim powtórzeniu Elena знаła zdradziecki tekst na pamięć, kołatał się jej w głowie szyderczo triumfujący:

Podkreślamy, że to wewnętrzna sprawa między Grekami i Grekami. Makarios nie żyje. Wszyscy mają obowiązek zdać broń. Zakazuje się ruchu ulicznego. Każdy, kto będzie stawiał opór, zostanie na miejscu rozstrzelany.

O godzinie czternastej pięćdziesiąt Nikos Sampson został zaprzysiężony jako nowy prezydent Republiki Cypru.

Gdy Praxi i jej córka prowadziły Elenę do łóżka, niecałe dwa kilometry dalej Loukis i Mehmet siedzieli na ganku i słuchali wiadomości przy butelce keo. Na deklarację Sampsona, że Cypr pozostanie państwem niepodległym i neutralnym, obydwaj spojrzeli na siebie i jeden w oczach drugiego wyczytał sceptycyzm. Sampson był przed laty członkiem EOKA, przywódcą grupy egzekucyjnej, a obecnie przyjacielem aktualnego greckiego dyktatora wojskowego. Zhańbił się jako komendant oddziału, który w 1963 roku bezwzględnie rozprawiał się z cypryjskimi Turkami. Taki człowiek w żadnym razie nie mógł zapewnić spokoju na wyspie. Wszystko, co przeżyli Loukis i Mehmet, szło na straty i wszystko, co osiągnęły obydwie społeczności, ulatywało w niebyt porwane w ciągu sekund wichrem straszliwej zmiany. Gdy otwierali drugą butelkę, godzinę drogi od nich Michalakis jechał do domu.

Strzelanina w pałacu trwała trzy bolesne godziny. Dzieci wraz z opiekunami zwolniono, ale resztę dorosłych zatrzymano na kolejne cztery godziny. Umundurowani napastnicy przejęli kontrolę i rozbroili gwardię Makariosa. Michalakis klęczał

w rogu sali i z rękami założonymi na karku słuchał pokrzykiwań greckich oficerów, którzy usiłowali ustalić, gdzie jest zaginiony prezydent, a ich głosom towarzyszyły lamenty i płacz pałacowej służby. Choć Michalakis miał legitymację prasową, zdobywcy pałacu najwyraźniej nie cenili jego gazety i jak reszta przetrzymywanych poczuł na sobie pięści zwycięzców. Zauważył wszakże, iż cypryjscy żołnierze odwracali się plecami, gdy Grecy wyładowywali swą wściekłość, okładając go po ciele i twarzy. W końcu, gdy ogłosili sensacyjną wiadomość, że Makarios został zabity, puścili Michalakisa wolno. Jechał do domu, płacząc, oszołomiony i dręczony poczuciem winy, że być może nie zrobił wszystkiego dla ratowania prezydenta, że mógł chwycić za karabin, zrobić cokolwiek, a nie tylko obserwować.

Zerknął w lusterko wsteczne. Prawe oko miał zapuchnięte, dolną wargę rozciętą w dwóch miejscach, był tak oszpecony, że ledwie mógł uwierzyć, iż patrzy na własną twarz. Nic jednak nie wydawało się realne i w czasie jazdy przez puste ulice stolicy wciąż musiał sobie powtarzać, co się stało. Oto na duchowego i politycznego przywódcę kraju zrobili obławę nasłani przez matkę Grecję wojskowi agenci, dopadli go i zabili. Podświadomie uciekając od rozmyślania nad potwornością tego zdarzenia, Michalakis martwił się przede wszystkim tym, że się spóźnił i nie odwiózł ojca do kardiologa.

Gdy dotarł do domu, nie zdziwił się, że to matka, a nie żona, rzuciła się w jego ramiona z płaczem i pytaniami. Za nią stał ojciec z wyraźną ulgą na twarzy. Gdzieś w tle majaczyła Maria, widział nieostro, niczego z jej twarzy nie wyczytał.

— Co te potwory ci zrobiły? — Despina płakała, ciągnąc go do kuchni, żeby mu obmyć pokiereszowaną twarz. — Kiedy usłyszeliśmy, że zginął arcybiskup, pomyśleliśmy, nie, o Boże...

— Nie mogę w to uwierzyć — wymamrotał Michalakis. — Makarios martwy. — Wreszcie ten fakt dotarł do niego i serce mu się boleśnie ścisnęło.

— Arcybiskup był martwy — sprostował Georgios i odczekał chwilę, by te słowa zrobiły wrażenie na synu. — Był świętej pamięci arcybiskupem Makariosem Trzecim jeszcze dwie godziny temu. Gość przechytrzył ich wszystkich, najpierw uciekł w góry Troodos, a potem do Pafos, skąd przez radio nadał wiadomość.

— Boże. — Michalakis wstrzymał oddech. — Czy jesteś pewien?

— Słyszałem go na własne uszy.

Szeroki uśmiech powoli zagościł na twarzy Michalakis. Człowiek w czarnej sutannie znowu pokrzyżował plany wrogów. Jak tylko Despina skończyła zabiegi, a utyskiwała przy tym, że niewiele może zdziałać bez swoich ziół, natychmiast zadzwonił do redakcji. Próbował zrozumieć coś z tego, co mówiła sekretarka, gdy nagle i na szczęście jej rozemocjonowany, piskliwy głos zastąpił spokojny bas naczelnego. Michalakis szybko zdał mu relację z przebiegu wydarzeń w pałacu i poprosił o przełączenie do maszynistki. Ku swej konsternacji usłyszał, że może sobie zaoszczędzić trudu, ponieważ gazeta nie wychodzi następnego dnia. „The Voice” zawiesza działalność z nakazu rządowego — do odwołania.

— Nasz czas nadejdzie. — Naczelnny podniósł głos o ton. — Zwolennicy Makariosa walczą w głównych miastach. Ludzie się buntują. Te dranie... te psy, które się tego dopuściły... nie mają w sobie greckiej krwi. Opisz, co widziałeś, a za kilka dni...

Nagle bez ostrzeżenia połączenie zostało przerwane.

Yiannis odłożył słuchawkę zaskoczony prośbą i niezdecydowany, co zrobić. Do baru zadzwoniła Despina z nadzieją, że zastanie Praxi lub Elpidę, a gdy się okazało, że ich nie ma, błagała Yiannisa, by zawiadomił Christakisa i Loukisa, iż ona i Georgios są bezpieczni w domu Michalakisa. To był prawdziwy tupet kazać mu biegać do kochanka żony i do brata kochanka żony, by uspokajać ich, że rodzicom nic złego się nie stało, ale z drugiej strony czasy były wyjątkowe, tłumaczył sobie. Gdy szykował się do wyjścia, znowu odezwał się telefon. Dzwonił Jason, do Elpidy. Yiannis zapewnił chłopaka, że córka jest bezpieczna, i wziął od niego numer, by mogła oddzwonić. Idąc do samochodu, z rozżaleniem myślał, że nikt nie zatelefonował, żeby sprawdzić, czy on żyje.

W miarę jak torino nabierało szybkości, irytacja Yiannisa z powodu narzucenia mu roli bohaterskiego posłańca malała. Na bezinteresowną brawurę mógł sobie ostatecznie pozwolić, bo wcześniej słyszał odgłosy zamętu, gdy greckie czołgi i inne wojskowe pojazdy z dudnieniem i warkotem opuszczały tę okolicę, włączając się na gorąco w pościg za Makariosem. W duchu dumny był z arcybiskupa, że okazał się tak trudnym przeciwnikiem dla Greków, chociaż on sam nie wykrzesał z siebie dość odwagi, by zwinąć w barze grecką flagę. Nie należy się spieszyć, myślał.

Po przekazaniu wiadomości od Despiny Christakisowi, który nieco zakłopotany odwdzięczył się szklaneczką brandy, Yiannis pojechał do wsi z posłaniem od Jasona dla Elpidy. Dom Eleny zastał zamknięty na klucz i gdy Yiannis zaglądał przez okna, wydawało mu się, że nie ma nikogo. Zaczął go powoli ogarniać niepokój. Odczuł ulgę, ale i lekkie zażenowanie, gdy znalazł córkę, jej matkę i babkę w towarzystwie Loukisa na gospodarstwie Turka. Siedzieli u Mehmeta na werandzie przy włączonym Radiu Bayrak, staruszek tłumaczył nadawane wiadomości.

— Nie można wierzyć Radiu Cypr— bezwiednie usprawiedliwiła się Praxi, a Elpida przycisnęła do serca kartkę z numerem telefonu Jasona. Loukis podał Yiannisowi szklanekę piwa i ten gest został zaakceptowany.

— Gwardia Narodowa okrążyła Makariosa w Pafos — przekazywał nowiny Mehmet. — Sampson przerzucił tam swoich ludzi, helikoptery bojowe ostrzeliwały pozycje lojalistów. Wtedy do akcji włączyli się Brytyjczycy. W sam środek ognia wysłali helikopter. Mimo ostrzału nie został trafiony. Przewiózł waszego arcybiskupa do bazy brytyjskiej w Akrotiri. Jak podaje radio, stamtąd Makarios poleciał prawdopodobnie na Maltę i wedle domniemań uda się dalej do Londynu.

Elena poderwała się z miejsca z okrzykiem wdzięczności i uścisnęła Mehmeta.

— Dziękuję — rzekła, a staruszek poklepał ją po ręce.

— Nie mogę w to uwierzyć — szepnęła Praxi, ściskając kurczowo rękę córki. — Pomyśleć, że to zrobili nam Grecy.

— Jesteśmy jak córka, którą uderzyła w twarz własna matka — zgodziła się Elena, całując Praxi we włosy, by zademonstrować sprzeciw wobec zdrady, którą wspólnie przeżywali.

— Czy Turcja zareaguje? — spytał Yiannis Mehmeta, który przyznał, że taka możliwość istnieje.

— Boże, miej nas w swej opiece. — Elena westchnęła. Ponieważ w grupie czuli się różnie, nikt się nie ruszał mimo

nadciągającej nocy. Jako że głód doskwierał, kobiety zakrzętały się w kuchni Mehmeta i ugotowały prosty, ale pokrzepiający gulasz z soczewicy. Gdy żołądki się napełniły i nocne powietrze ukoilo ich ciszą, zapadli w sen, nie schodząc z werandy, a włączone radio pełniło straż. Rano Yiannis i Loukis Pojechali do domu Eleny po telewizor, żeby mogli oglądać także grecką wersję wydarzeń. Obrazy na ekranie nie były

przyjemne, gdyż przed kamerami maszerowały szeregi zwolenników Makariosa zakuty w łańcuchy. Elena się rozszłochała z żalu nad nimi, a mężczyźni pomrukiwali pod nosem.

— Wyłączcie to — zaapelowała Praxi i tym razem Elena się nie sprzeciwiła. Elpida wcisnęła wyłącznik, obraz zamigotał i ekran pokrył się nieużyteczną czernią. Nikt nie powiedział ani słowa, ale wszystkich dręczył taki sam niepokój o przyszłość, która dopiero miała się przed nimi odsłonić.

Niepewność kołatała w piersiach i sen wydawał się niedościgłym marzeniem, chociaż szykowali się na kolejną spędzaną razem noc. Yiannis nie mógł nie zauważyć, że z każdą godziną Praxi i Loukis byli coraz bliżej siebie, więc w końcu wstał z zamiarem zażądania od żony i córki, by pojechały z nim do domu. Mehmet nalegał, żeby został, i ostatecznie Yiannis uznał, że w tych okolicznościach byłoby grubiaństwem wyciągać stąd rodzinę, skoro obydwie dobrze się czuły na werandzie Mehmeta. Osobiście czuł się niezręcznie w tym gronie i wrócił do Kyrenii, obiecawszy córce, że zajrzy znowu do nich za kilka dni. Loukis na pożegnanie uścisnął mu rękę, co wywołało u Yiannisa refleksję nad niezwykłością czasów, jakie nadeszły.

Trzy dni po zamachu Elena, Praxi i Elpida uznały, że jest na tyle bezpiecznie, a one są tak niedomyte, że warto zaryzykować powrót do domu. Dwadzieścia cztery godziny później Makarios odwołał się do opinii międzynarodowej. Wprost i dobitnie oświadczył Radzie Bezpieczeństwa Narodów Zjednoczonych, że grecka junta rozciągnęła dyktatorską władzę na Cypr bez cienia poszanowania dla niepodległości i suwerenności wyspy. Zamach stanu to nie sprawa wewnętrzna, lecz inwazja z zewnątrz, grzmiał.

Świat debatował nad właściwą reakcją, ale na wyspie wszystkie oczy zwróciły się na Wielką Brytanię, jedno z trzech

państw uprawnionych do interwencji w razie naruszenia postanowień traktatu gwarancyjnego. Ku powszechnemu oburzeniu Brytyjczycy ograniczyli się do wysłania komandosów z zadaniem ewakuowania swoich obywateli i obrony własnych baz. Poza tym politycy brytyjscy zachowali bezczynność, gdy tymczasem Turcja gromadziła dziewięćdziesiąt tysięcy armię na południowym wybrzeżu.

*

Niki wsunęła blond włosy pod elastyczną opaskę i przystąpiła do serii ćwiczeń rozgrzewających mięśnie przed biegiem i kształtujących sylwetkę. Przed rokiem, gdy jej ciało zaczęło się rozwijać, niepokojono się, czy dojrzewanie nie zahamuje postępów w sporcie, szczęśliwie jednak krągłość kształtów w górnych partiach, odziedziczona po matce, nie zwolniła szybkości nóg. Doceniając ten dar niebios, Niki z tym większą determinacją dbała o kondycję, a Lenia mawiała żartobliwie, że gdy patrzy na córkę przygotowującą się do biegu, sama natychmiast odczuwa zmęczenie.

Dziewczyna wyciągała rękę do zamka w drzwiach wyjściowych, gdy usłyszała suchy kaszel.

— Dlaczego mnie nie obudziłaś? — zapytał Andreas, gdy już wyczyścił gardło z zalegającej wydzieliny po wczorajszych papierosach.

Niki spojrzała na worki pod oczami ojca i mocno przerzedzone włosy. Wzruszyła ramionami, co przyszło jej łatwiej niż powiedzenie prawdy: był za stary na tak wczesne wstawanie.

Od kiedy sięgała pamięcią, tata zawsze ją wspierał, dopingując i potem opłacając trenera, bo sam w takiej roli mimo najlepszych chęci nie mógłby się sprawdzić. Gdy nabrała nawyku trenowania przed świtem, zafascynowana upiorną ciszą

na pustych ulicach, zaczął nalegać, by jej towarzyszyć. Nie miała w sobie egoizmu, więc czuła się winna, narażając go na poranny wysiłek. Poświęcał nie tylko pieniądze, ale i sen, żeby mogła realizować swoje marzenia.

— Mam zamiar biegać tylko po wsi — zełgała. — Myślałam, że poleżysz dłużej.

Andreas potarł ręką czubek łysiny.

— Jestem już na nogach. Daj mi pięć minut na obmycie twarzy ze snu.

— Tato, proszę, nie martw się o mnie...

— Sza, Niki — uciął dyskusję. — Jesteś moją córką i nie pozwolę, żebyś biegała sama w nocy nawet tylko po wsi.

Po niecałych trzech minutach przekręcał klucz w zamku i ruszał za Niki w stronę głównej drogi do Kyrenii. Jadąc za nią, widział ją w światłach datsuna, a wyglądała jak balerina w reflektorach scenicznych. Zapalił pierwszego tego dnia papierosa i oparł rękę na krawędzi odkręconej szyby. Zimne powietrze ocuciło go zupełnie i nie spuszczał oka z Niki, gdy odbijała się miarowo od jezdni, zadziwiając go jak zawsze naturalnym talentem, a ostatnio także tym, iż tak szybko rosła. A miał wrażenie, że zaledwie wczoraj się urodziła. Jego mała, długo wyczekiwana córeczka. Tymczasem lada dzień zostanie kobietą, i to powszechnie znaną. Czy którykolwiek ojciec może mieć więcej powodów do dumy?

Dziwiło go i musiał przyznać, że początkowo nawet przerażało, iż Niki zrywała się do biegania przed świtem. Mówiła, że kocha ciszę. Przyznała się, że gdy na jej oczach brzask rozrywa ciemności nocy, ona lubi sobie wyobrażać, że przerywa taśmę na mecie biegu po olimpijski medal. Andreas uważał oczywiście, iż to romantyczna wyobraźnia, ale po jakimś czasie, gdy tylko zajaśniało wschodzące słońce, sam zaczął słyszeć

tłumy wiwatujące na cześć jego córki bijącej kolejny rekord świata. Przed nim Niki zmieniała jakby dla zabawy tempo, z odprężającego joggingu przyspieszając do sprintu, zależnie od fantazji. Gdy pokonali wzniesienie, Andreas zgasił silnik i auto toczyło się cicho w ślad za nią. Na lewo wzdłuż widnokregu blakła czerń nocy, wyrzucił przez okno niedopałek papierosa, żeby skupić się na budzących się w wyobraźni owacjach. Tym razem, chociaż promienie słońca rozjaśniły mrok, nie rozbrzmiały ogłuszające wiwaty. Usłyszał za to ryk przecinającego niebo bojowego odrzutowca. Potem serię eksplozji i nim zdążył pomyśleć, zobaczył, że rozstępuje się ziemia. Samochód wyrzuciło w górę, koziółkował i Andreas stracił przytomność.

Godzinę później ręce obcych ludzi wyciągały go z wraku samochodu. Wykrzyknął imię córki i ponownie jego umysł ogarnęła ciemność. Miał się znowu obudzić w jakimś szpitalu na południu kraju, by się dowiedzieć, że żona i najmłodsze dziecko zaginęły, a Niki nie żyje. Oszczędzono mu prawdy, że Niki zabił jego samochód, że datsun spadł na nią, miażdżąc jej głowę i ciało. Tylko jej szczupłe nogi nie doznały szwanku i wystawały poza zgnieciony dach nienaruszone.

*

Kiedy Yiannis poczuł, że ziemia drży pod nim, pierwszą myślą było zdarcie greckiej flagi ze ściany za barem. Drugą odszukanie rodziny.

O pierwszym brzasku ludzie wylegli na ulice i jeszcze otumanieni snem próbowali ocenić, czy i jakie grozi im niebezpieczeństwo. Jakby w odpowiedzi zaryczał nad ich głowami drugi odrzutowiec, jakaś kobieta zaczęła przeraźliwie krzyczeć. Ruszyli w stronę morza. W zwartym szyku podpływały na ląd

opancerzone transportery, a za nimi widać było sylwetki dryfujących okrętów wojennych. Wśród mieszkańców wybuchła panika.

— Matko Najświętsza — mruknął Yiannis i pobiegł do samochodu. Naciskająca sprzęgło noga mu dygotała, a trzęsącą się ręką nie mógł trafić kluczykiem do stacyjki. Wreszcie torino zawarczało, wcisnął gaz. Podskakując po kocich łbach, skręcił w prawo w wąską uliczkę prowadzącą do głównej drogi. Ludzie biegali we wszystkich kierunkach, kurczowo trzymając za ręce dzieci i dźwigając pospiesznie spakowane walizki. Gdy nacisnął na hamulec, żeby nie potrącić jakiejś młodej dziewczyny, za klamkę auta od strony pasażera szarpnęła czyjaś ręka. Przechylił się i z trzaskiem zamknął drzwi z powrotem. Spojrzały na niego przerażone oczy starej kobiety.

— Mam rodzinę! Muszę zabrać swoją rodzinę! — krzyknął, usprawiedliwiając się.

Gdy z piskiem opon wjeżdżał na szosę, nad drogę przed nim nadleciał odrzutowiec, bomby rozrywały nawierzchnię, grad odłamków betonu i asfaltu leciał w kierunku auta. Gwałtownie skręcił kierownicą, rozpędzony samochód wjechał w pole, ścinając bezlitośnie krzaki bakłażanów. Oczyszczeni wycieraczkami szybę z liści, zobaczył słup ognia nad uderzonym przez bombę opuszczonym budynkiem, który walił się w stos gruzu i powykręcanych dźwigarów. Na prawo gniewne płomienie wyrzucała z siebie stacja benzynowa. Ponad dachami Kyrenii unosiły się kolumny czarnego dymu, który wzbijając się w błękit nieba, wił się i bladł jakby w śmiertelnej agonii. Samoloty myśliwskiej eskadry bombardowały miasto z nurkowego lotu, niczym czarnowrony, które znalazły żerowisko.

We wsi mieszkańcy byli na tyle oddaleni od atakowanego portu, że mieli czas na zebranie myśli i części dobytku.

W każdym domu było włączone radio, a cypryjska rozgłośnia zareagowała szybko, nazywając wieści o inwazji „nieodpowiedzialnymi”. Mimo to po trzydziestu minutach od pierwszej eksplozji sznur samochodów wił się drogą w kierunku zachodnim, ludzie wiedzieli swoje i uciekali przed wojną, by nie dać się jej połknąć.

Co dziesięć minut samoloty rozpruwały niebo i Loukis czuł wężem śmierć w powietrzu. Złapał strzelbę, wpadł do Mehmeta, a ten kazał mu uciekać.

— Zaczęło się — powiedział. — Radio Bayrak zapewnia, że to operacja pokojowa, ale nie wiem, co myśleć, synu. Będę czuł się lepiej, gdy znikniesz.

Loukis miał opory, ale zdawał sobie sprawę, że w razie wkroczenia do wsi Turków szansa starszka na przetrwanie jest znacznie większa niż jego i wzrośnie jeszcze bardziej, gdy jego przy nim nie będzie. Powinien może powiedzieć coś więcej, ale tylko objął starego i wyjął „dziękuję”. Pognał do Praxi. Rozrywało mu płuca, gdy dobiegał. Przy drzwiach frontowych Praxi tarmosiła się z matką, która nie wypuszczała z objęć ściągniętych ze ścian ikon.

— Nie mamy czasu! — krzyczała Praxi.

— Nie mogę ich zostawić! — upierała się Elena.

Na widok Loukisa zdesperowana Praxi wzniosła ręce do nieba. Ujął w dłonie jej twarz i wycisnął mocny, lecz pospieszny pocałunek na ustach. Wszedł do domu i zdjął z haka przy drzwiach skórzaną torbę, by włożyć do niej bezcenne obrazy. Za nim wyszła Elpida z małą walizką i plikiem listów w garści.

— Listy? — jęknęła Praxi.

To od Jasona — wyjaśniła Elpida, a Loukis wziął plik z jej rąk i włożył do torby razem z ikonami Eleny.

Muszę jeszcze zamknąć drzwi na klucz— mruknęła Elena.

— Nie sędę, żeby to miało jakieś znaczenie — rzekł Loukis szczerze.

Zza rogu wypadł z piskiem opon ford torino Yiannisa. Gwałtownie zahamował przed żywopełtem. Yiannis wyskoczył z auta, chwycił walizkę córki, jedyną, jaką zabierały, wrzucił ją do bagażnika i popędzał wszystkich, żeby wsiadali. Elena i Elpida natychmiast wślizgnęły się na tylne siedzenie. Przez chwilę zapanowała konsternacja, Praxi z wahaniem spojrzała na Loukisa, a potem obydwójce na jej męża.

— Jezu! Wsiadajcie, szybko! — krzyknął Yiannis.

Praxi zajęła miejsce z tyłu obok córki i matki, Loukis fotel pasażera. Opuścił szybę. Koszulę miał mokrą od potu, kostki palców zbieleły od ściskania strzelby.

Gdy skręcili na główną ulicę prowadzącą przez wieś, wyrosła przed nimi nagle potężna sylwetka córki pana Televantosa. Ze strachu i niedowierzania dygotała jej pulchna twarz i także ramiona, gdy bębniła w blachy przejeżdżających aut, błagając o pomoc uciekających w panice sąsiadów ojca.

— Proszę! — krzyczała. — Na miłość boską, niech ktoś nam pomoże! — W rozpacz rzuciła się na maskę samochodu Yiannisa, zmuszając go do zatrzymania się. Praxi wyskoczyła, nim ktokolwiek spróbował ją powstrzymać.

— Gdzie jest twój ojciec?

— Jest w domu. Na Boga, musicie nam pomóc.

— Pomożemy.

Loukis już wysiadł z auta, ruszył się również ponaglany przez Elpidę Yiannis. W piętrowym domu z kamienia znaleźli Televantosa na górze. Loukis delikatnie wydobył go z pościeli.

— Nie chcę się stąd ruszać! — krzyczał staruszek, a strumyki łez ciekły mu po twarzy. — Pozwólcie mi umrzeć we własnym

domu! Nie zabierajcie mnie. Tu jest mój dom! Nie chcę wyjeżdżać!
Błagam, zostawcie mnie w spokoju!

Nie mieli czasu na tłumaczenie staruszkowi, dlaczego powinien opuścić dom, w którym się urodził i który zbudował jego ojciec, więc Loukis po prostu zaniósł pana Televantosa do samochodu. Ostrożnie usadowił go na przednim siedzeniu i przypiął pasami. Jego córka już wcisnęła się na tył auta, Elena siedziała ściśnięta w środku obok wnuczki. Loukis otworzył bagażnik i powiedział Yiannisowi, żeby włączył do niego.

— Ty musisz prowadzić — rzekł do Praxi.

— A ty?

— Pójdę swoją drogą — odparł i chwycił strzelbę leżącą pod nogami Televantosa.

— Nie, Loukisie — szepnęła Praxi. — Bez ciebie nie odjadę.

— Pojedziesz — rzekł stanowczo.

— Nie.

— Tak.

Gdy się kłócili, Yiannis potulnie wgramolił się do bagażnika.

— Posłuchaj, Praxi, dam sobie radę, dostanę się do domu Michalakisa w Nikozji. Jak tylko będziesz mogła, zadzwoń do jego redakcji, powie ci, gdzie jestem. Będę na ciebie czekał.

Zanim zdążyła powiedzieć słowo, złapał ją z tyłu za włosy i przycisnął jej wargi do swoich. Pił płynące z jej oczu łzy i gdy ją puścił, czuł smak jej śliny w ustach. W bagażniku upokorzony Yiannis przymknął oczy. Z tylnego siedzenia patrzyła na nich ze zdumieniem Elpida. Loukis wyrwał się wreszcie z ramion Praxi i uciekł.

Praxi, jedź! — usłyszała wrzask Eleny. Wślizgując się za kierownicę, biła się po klatce piersiowej, żeby nie dopuścić do napadu spazmów.

Nie chcę wyjeżdżać — zawodził Televantos.

— Nikt z nas nie chce — powiedziała szorstko.

Przekręciła kluczyk w stacyjce i spojrzała w lusterko wsteczne, ale widok zasłaniała pokrywa bagażnika. Bardzo ostrożnie wykonała manewr cofania, a potem zawracania na trzy, by wreszcie znaleźć się na końcu kolumny samochodów kierujących się na zachód.

*

— Muszę wracać — mruknęła Despina.

— Pozwól działać Michalakisowi — rzekł na to Georgios. Starał się mówić spokojnie, ale serce miał ściśnięte i to było

inne odczucie niż przez cały ostatni rok. Nie wypowiedział tego głośno, ale był wdzięczny losowi, że Marios znalazł się za granicą i nie grozi mu niebezpieczeństwo. Chociaż radio z uporem podawało, że rozpowszechnianie plotek o inwazji to zwykły skandal, Georgios z każdym przeciekiem ze stolicy odczuwał coraz większy niepokój. Jeżeli te pogłoski były prawdziwe, to Gwardia Narodowa posuwała się na północ wyspy, dziesięć tysięcy zwolenników Makariosa zostało zwolnionych z więzień, a niebo nad masywem Pentadaktylos ciągnącym się wzdłuż północnego wybrzeża było czarne od tureckich spadochroniarzy.

— Nadal nikt nie odbiera — poinformował rodziców Michalakis.

Wydzwaniał do Kyriakosa prawie od godziny i Despina nie dziwiła się jego zdenerwowaniu, gdyż jej również odpowiadała na drugim końcu linii cisza w Klejnocie Kyrenii i w domu jej siostry.

— Zawieź mnie do domu — zaczęła błagać syna. Michalakis przeproszał i tłumaczył że nie może spełnić prośby.

— Aresztują nas, zanim wjedziemy na równiny — perswadował.

- Albo zabiją — mruknęła Maria za jego plecami.

Rzucił jej ostrzegawcze spojrzenie, więc poszła do sypialni w samotności martwić się o los swoich rodziców. Gdy nadeszło popołudnie, nikt nie miał wątpliwości, co się dzieje, gdyż tureckie odrzutowce nadleciały nad stolicę i na północną część zrzuciły bomby, które zmieniły greckie domy w kratery, a dzieci w sieroty.

*

— Czy wiesz, dokąd jedziesz? — zaniepokoiła się Elena. Wychyliła się do przodu, żeby dać oddech ciału przyduszanemu fałdami cielska córki Televantosa.

— Domyślam się, że skręcimy na północ za Panagrą i Mirtu — odpowiedziała Praxi.

— Co znaczy „domyślam się”?

— Mamo! Jadę za innymi samochodami.

— Więc będziesz miała kłopot, jeśli zostaniesz za daleko w tyle. Już ledwie widać tamto czerwone auto.

Elena pokazywała palcem znikający im z oczu tył czerwonego nissana, ale przestała marudzić, gdy rozległo się terkotanie karabinów.

— Snajperzy! — wykrzyknął Televantos.

Jego córka wydała trwożliwy jęk, bez wątpienia świadoma, że stanowi wyjątkowo duży cel. Na poboczu kule wyrywały grudki ziemi.

O Matko Boża! — Elena zaczęła się modlić, a wszyscy jednogłośnie krzyknęli, gdy trzasnęła szyba przy głowie Televantosa. Z tyłu Yiannis walił pięściami w pokrywę bagażnika. Praxi wcisnęła gaz do dechy, czując większy strach przed

kulami niż przed utratą kontroli nad samochodem. Odgłosy łomotania z bagażnika się nasiliły.

— Dobrze! Dobrze! — krzyknęła Praxi. — Powiedz ojcu, że jadę najszybciej, jak mogę!

Elpida wystawiła głowę przez okno.

— Mama nie może już szybciej jechać, tato!

— Słyszał cię? — pytała Praxi, gdy córka bez tchu i czerwona na twarzy schowała głowę do środka.

— Skąd mogę wiedzieć? — warknęła Elpida. — Nie widziałam i nie słyszałam więcej niż ty!

— Zabiją nas wszystkich! — wydarła się nagle córka pana Televantosa.

— Mówiłem, żebyście mnie zostawili — złościł się Televantos. — Mogłem spokojnie dokończyć swoich dni we własnym łóżku.

— Cicho! — rozkazała Praxi. — Nikogo nie zabijają!

I rzeczywiście ku zdumieniu wszystkich uszli ze strefy ognia jedynie z przebitą oponą, na której dojechali, ignorując dym i iskry spod koła, do bezpiecznego Mirtu.

Gdy się zatrzymali obok kilku innych aut chowających się w cieniu na skraju sadu, tylko Televantos nie ruszył się z siedzenia, Praxi i pasażerki wysiadły rozprostować zdrętwiałe od strachu nogi. Nad morzem krążyły ciemne sylwetki tureckich samolotów, ale z tej odległości nie słychać było warkotu silników. Praxi wciągała z ulgą powietrze, choć kolana jeszcze się pod nią trzęsły. Elena pokuśtykała do najbliższego drzewa, żeby nazrywać pomarańczy, jako że trochę cukru dla pokrzepienia każdemu się należało, a córka pana Televantosa zebrała o wodę u innych parkujących tu uciekinierów. Nagle rozległ się alarmujący krzyk Elpidy. Praxi podbiegła do niej. Skulony w bagażniku Yiannis krwawił, klatka piersiowa wzno-

siła mu się i opadała w spazmatycznych oddechach. Z zastygłej w bólu twarzy patrzyły na Praxi oczy błagające o pomoc.

— O mój Boże, Yiannis, o dobry Boże... — Zaczęła go wyciągać z samochodu, prosząc Elpidę, by podtrzymywała mu nogi. Próbował mówić, ale już nie był w stanie.

— Biegnij po pomoc! — rozkazała córce Praxi i przywołała matkę.

— Mamo, potrzebna jest woda!

Gdy obydwie odbiegły, ułożyła głowę Yiannisa na swoich kolanach. Brzegiem sukienki otarła mu twarz z krwi. Był strasznie blady i miał dreszcze mimo lejącego się z nieba żaru.

— Yiannisie — przemawiała jak do dziecka. — Yiannisie, biedactwo. Jak to możliwe? Nie martw się, pomoc nadchodzi, kochanie. Pomoc już nadchodzi.

Wyciągnął rękę do żony i z jej oczu spadły na nią łzy.

— Niech mi Bóg przebaczy — szeptała z ustami w jego włosach. — Tyle razy pragnęłam twojej śmierci. Ale przysięgam, Yiannisie, tak naprawdę nigdy nie chciałam cię widzieć cierpiącego. Nigdy. Nawet wtedy, gdy zbierałam pestki, żeby cię otruć, i spędzałam dni na fantazjowaniu o twojej śmierci z rąk Turków. A teraz nie mogę patrzeć na tę ranę od tureckiej kuli, nie mogę tego znieść, wierz mi, nie mogę.

Zalała się łzami ogarnięta szczerym i nieoczekiwanie głębokim bólem. Wróciła Elpida z jakimś mężczyzną, który niósł apteczkę samochodową. Jej ojciec, bo taką prawdę знаła, oddał ostatni oddech z wyrazem absolutnego zdumienia w oczach.

Kyriakos wyglądał jak śmierć. Nie spał od czasu, gdy odwiózł żonę i malutkie dziecko do krewnych na południe. Nic również nie jadł, strach i głód obniżyły niebezpiecznie poziom cukru,

trzęsły mu się ręce. Wprowadzając Michalakisa do swojego gabinetu, przeproszał za to, że był nieuchwytny. Michalakis rzekł, iż przeprosiny są zbędne, i czekał cierpliwie, aż przyjaciel dojdzie do siebie, gdyż stres ostatnich dwudziestu czterech godzin objawił się gwałtownym szlochem.

— Jest gorzej, niż możesz sobie wyobrazić — zaczął wreszcie Kyriakos i Michalakis wyciągnął notes. — Walka jest zażarta. Odnieśliśmy małe zwycięstwa, zmuszając do poddania cypryjskich Turków w Pafos i Limassol, ale Kyrenia padła. Dzisiaj rano Turcy przyплыли na wybrzeże i wyładowali z okrętów czołgi. Nasze oddziały nie miały wyboru. Musiały się wycofać. Nie było innej opcji.

Na biurku polityka rozdzwonił się natarczywie telefon. Dwie sekundy później weszła sekretarka Kyriakosa z wyrazem przejęcia na twarzy.

— To Głafkos Kleridis — szepnęła.

Kyriakos natychmiast chwycił za słuchawkę, więc Michalakis wstał i tylko gestem wyraził podziękowanie. Szybkim krokiem udał się do redakcji „The Voice”, bo gazeta w związku z inwazją wznowiła działalność. Przed wejściem oparł się o mur, czując, że robi mu się niedobrze. Kyriakos nawet nie próbował złagodzić szoku. Kyrenia została zdobyta. A Michalakis nie miał wiadomości od żadnego z braci. W środku nocy pojawiła się tylko Yianoulla z dwoma najmłodszymi chłopcami, Christakis i trzej starsi zostali, żeby bronić biznesu i miasta. Słyszając to wszystko, Georgios walnął pięścią w stół, ale Despina milczała. Ułożyła przybyłą rodzinę syna do snu w ostatnich wolnych w domu Michalakisa łóżkach i czuwała przy nich do świtu.

— Chłopcy wkrótce tu przybędą — oświadczyła przy śniadaniu wyzywającym tonem, więc nikt nie ośmielił się zgłosić wątpliwości.

A teraz niestety Michalakis miał wrócić do domu z wiadomością o zajęciu Kyrenii przez Turków. Czyjaś ręka dotknęła delikatnie jego ramienia. To był naczelny.

— Jest jak jest, Michalakisie, ale gazeta musi wyjść. — Zapalił papierosa i ruszył na górę. Michalakis poszedł za nim, wiedząc, że nic lepszego w tej sytuacji nie może zrobić.

W newsroomie reporterzy wyrywali kartki papieru z maszyn do pisania i oddawali je do zredagowania. Przy biurku Michalakisa siedział student, który zgłosił się ochotniczo do pracy i nie bardzo radził sobie z zapisywaniem wykrzykiwanych przez telefon komunikatów. Denerwował się, że nie nadaża, nanosił poprawki i co chwila rozmówcę przepraszał. Michalakis w miarę grzecznie odsunął chłopaka od maszyny i przejął telefon.

— Tu Michalakis — poinformował reportera po drugiej stronie linii.
— Leć jeszcze raz od początku.

— Cześć, Michalakisie. Tu Yiannakis. Gotowy?

— Gotowy.

— Jednostki cypryjskie wspierane przez dwustu komandosów greckich odparły próbę przejścia przez Turków lotniska w Nikozji. Kropka, akapit. Walka była zażarta, obydwie strony donoszą o dużych stratach w ludziach. Kropka, akapit. Drugiego dnia bezprawnej inwazji tureckiej Brytyjczycy wynegocjowali przerwanie ognia, żeby móc ewakuować ze stolicy cztery tysiące obcokrajowców. Kropka, akapit. Wyjeżdżali ciężarówkami, autokarami i samochodami udekorowanymi flagą brytyjską. Kropka, akapit. Greckim Cypryjczykom takiej możliwości nie zaoferowano i wciąż giną w mieście demolowanym przez Turków. Kropka. Koniec.

Michalakis podziękował reporterowi za cierpliwość i oddał spisana na maszynie notę stażyście, by ją zaniósł, gdzie trzeba.

Przy biurku za nim Sortis tłumaczył dla naczelnego ostatni biuletyn Radia Bayrak.

— Nadają, że Gwardia Narodowa wypędza cypryjskich Turków z ich wiosek oraz z tureckich dzielnic w Larnace, Pafos i Famaguście — dzielił się informacjami Sortis. — Twierdzą, że uciekinierzy są zatrzymywani jako zakładnicy, a kobiety i dzieci rozstrzeliwane.

— A co z naszymi kobietami i dziećmi? — ze złością pytał Tassos, redaktor działu kryminalnego.

Naczelny zignorował pytanie i kazał Sortisowi mówić dalej.

— Premier Turcji mówi: „To nie jest inwazja, lecz reakcja na inwazję. To nie agresja, lecz reakcja na agresję. To operacja pokojowa, która zakończy najczarniejszą kartę w historii Cypru”.

— Gówno prawda! — wrzasnął znowu Tassos.

Koło ręki Michalakisa zadzwonił telefon. To był Kyriakos.

— Mam dla ciebie garść informacji — rzekł. Michalakis chwycił długopis. — Po pierwsze, napalm. Dotarła do nas wiadomość, że na wioski na północy Turcy zrzucali bomby z napalmem, także na uciekinierów. Po drugie, wiemy, że Turcja jest zdecydowana kontynuować ataki, póki nie opanuje całej północnej części wyspy. W tym Kyrenię, część Nikozji i Famagustę.

— Urzeczywistniają *taksim* — stwierdził Michalakis.

— Sam to powiedziałeś. Zadzwonię, gdy będę wiedział więcej. Michalakis podziękował Kyriakosowi po raz drugi tego dnia

i siadł do maszyny, żeby wystukać artykuł. Kiedy wrócił do domu późną nocą, Yianoulla i rodzice nie spali, czekając na niego. Pokręcił głową w odpowiedzi na ich pytające spojrzenia. Matka jakby nigdy nie powiedziała, że przyjechali rodzice Marii i zajęli małżeńskie łóżko gospodarzy, a Maria położyła

się obok na podłodze. Michalakis ucieszył się nowiną ze względu na żonę i poszedł do niej wyrazić radość.

Następnego dnia w biurze gazety zastał w lobby czekającą na niego Praxi. Nie mógł przed nią ukrywać prawdy, rozszlochała się. Wprowadził ją do jednego z pokoi do rozmów z gośćmi i poprosił sekretarkę o kawę. Wysłuchał jej historii. Zaczęła od pocałunku Loukisa, opowiedziała potem o wymianie opon w Mirtu i podróży do Pisuri z ciałem Yiannisa włożonym do bagażnika i owiniętym w stare prześcieradło.

— Irene nalegała, żebyśmy się u niej zatrzymały, ma dobre serce — skończyła Praxi.

— Irene?

— To córka pana Televantosa. , Michalakis przyznał, że to szlachetny gest, ale zaproponował

miejsce u siebie, choć już tylko na podłodze. Praxi pokręciła głową, mówiąc, że do przybycia Loukisa zostaną w Pisuri. Dała mu numer telefonu Irene i powiedziała, że na wszelki wypadek chciałyby następnego dnia znowu do niego przyjść, jeżeli nie ma nic przeciwko temu.

— Czy czegoś potrzebujesz? — spytał Michalakis, odprowadzając ją na dół.

— Potrzebuję tylko Loukisa — rzekła, nie zatrzymując go dłużej.

Wrócił do newsroomu, gdzie panowało rozgorączkowanie wiadomością o rezygnacji Nikosa Sampsona. Prezydent ustąpił z urzędu o godzinie szesnastej. Kilka godzin później upadł rząd wojskowych w Grecji i Turcja zgodziła się na zawieszenie broni.

*

Po dziesięciu dniach od inwazji rozpoczęły się w Genewie rozmowy pokojowe ministrów spraw zagranicznych Grecji,

Turcji i Wielkiej Brytanii. Nie było reprezentanta Cypru i gdy to ujawniono, oburzony Georgios nazwał rokowania szopką.

— Autopsja prowadzona przez kryminalistów na trupie leżącym na zewnątrz — mruczał pod nosem. Pan Germanos przyznawał mu rację, ale matkę Marii raziła wulgarność porównania. Sam Georgios mimo wyrażonego dosadnie sceptycyzmu w głębi duszy modlił się, żeby dyplomaci wypracowali jakieś rozwiązanie. Był zmęczony, czuł się w mieszkaniu syna jak sardynka w puszcze. Chciał wrócić do domu. Chciał odnaleźć synów.

Zirytowany przymusową bezczynnością wstał od stołu i podszedł do okna. Na krawężniku chodnika Despina pocieszała Praxi, która codziennie przychodziła do miasta z nadzieją, że będą wieści od Loukisa, i codziennie wracała do tymczasowego domu bez niczego. Schudła, a kolorową sukienkę zamieniła na czerń żałoby. Georgios nie był pewien, kogo Praxi opłakuje: jego syna czy swojego męża.

— Czy czujesz, że on żyje? — pytała Praxi Despinę.

— Tak, czuję go — odpowiadała, ale brzmiało to jak kłamstwo. I niech Bóg mi je wybaczy, myślała, gdyż od pierwszego dnia inwazji była przy niej śmierć i szponami ścisnęła jej gardło. Ogłuszała ją cisza tam na północy. Ani słowa od Christakisa czy Loukisa, żadnej wiadomości od siostry. Nie wiedziała, jak długo będzie w stanie wytrzymać narastający w niej lęk. Dopóki jednak oddychała, nie chciała stracić nadziei. Niech Turcy zabiorą jej wszystko — ukochany dom i godność — byleby nie zabrali Loukisa, byleby nie zabrali Christakisa. Niech synowie znajdą drogę. Niech do niej wrócą.

*

Rozmowy pokojowe się toczyły, a Turcja nie przestała wysyłać żołnierzy i czołgów na wyspę, po cichu umacniając

się na północy, gdzie miała przyczółek w Kyrenii. Pod pozorem zawieszenia broni oddziały tureckie wypęły korytarzem od morza coraz dalej, zajmując kolejne wsie, miasteczka i drogi. Pod ciężarem zniszczeń wyspa Afrodydy zaczęła tonąć w nędzy.

Pierwszego dnia inwazji Lenię z najmłodszą córką wypłoszyły z domu odgłosy strzałów i panika sąsiadów. Tureckie buty wkroczyły na cypryjską ziemię, krzyczeli wszyscy i wzywali do ucieczki. Ulegając powszechnej panice, przerażona opowieściami o krwawych mordach i gwałtach, Lenia chwyciła drobną rączkę córeczki i uciekała razem z innymi od grożącego niebezpieczeństwa. Serce jej pękało z poczucia winy, ale Erado miała zaledwie sześć lat i musiała ją chronić. Pocieszała się myślą, że przy Niki jest Andreas i że pewnie też uciekają, może są nawet gdzieś przed nimi. We dwoje powinni być bezpieczni. Trzeba tylko uzbroić się w cierpliwość, myślała, rozglądając się po namiocie, do którego trafiły. Na sąsiedniej pryczy płakała wdowa, nieco dalej apatyczny stary człowiek rozpamiętywał śmierć synów, więc one dwie mogły się wciąż uważać za szczęściary. Gdy jednak patrzyła na córeczkę, nie potrafiła jej tego wytłumaczyć żadnymi słowami.

Od dnia przybycia do obozu uchodźców Lenia przemierzała spieczoną ziemię i nawoływała starszą córkę i męża, przekrzykując lamenty innych nieszczęśników i unikając spojrzeń dzieci, które z szeroko otwartymi oczami i zaciśniętymi ustami błękały się po terenie jak duchy. Wokół były wdowy i sieroty oraz ludzie ciągle czekający na bliskich. Od czasu do czasu Pojawiał się reporter, żeby uchwycić kamerą ich ból, a funkcjonariusze Czerwonego Krzyża zbierali nazwiska i sprawdzali na swoich listach. Gdy słońce się zniżyło, Lenia na chwilę przerywała poszukiwania i ustawiała się wraz z innymi żałośnie wyglądającymi ludźmi w kolejce po jedzenie wydawane z plas-

tych pojemników i kubłów. Dla kobiet, które przez całe życie troskliwie prowadziły kuchnię dla swoich rodzin, było to straszliwe upokorzenie i Lenia upadłaby na kolana, błagając Boga o litość, gdyby nie to, że wszyscy byli w takiej samej sytuacji.

Dopiero po upływie ponad trzech tygodni od inwazji reprezentanci dwóch cypryjskich populacji, greckiej i tureckiej, dołączyli do stołu negocjacyjnego w Genewie, gdzie znaleźli okazję do wysuwania wzajemnych oskarżeń o dopuszczanie się zbrodni i branie zakładników. Podczas gdy negocjacje kulały, tureckie oddziały już całkiem otwarcie ruszyły z kyreńskiego przyczółka, posuwając się na wschód, zachód i południe wyspy. Minister spraw zagranicznych Turcji powiedział reporterom wprost: „Skoro dyplomacja milczy, odezwały się armaty”.

Od świtu tureckie samoloty F-4 Phantom latały nad Cyprzem, koncentrując swoje ataki na Nikozji i Famaguście. Ponad trzysta czołgów posuwało się z Kyrenii na południe, zajmując kolejne miasta: Mia Milię, Kitrę, Chatos. Przy wsparciu nieustannych nalotów, artyleryjskiego bombardowania i ostrzału z okrętów wojennych wojska tureckie odcięły od wyspy jedną trzecią jej terytorium, całą północną część. W południe oddziały cypryjskich Greków wycofały się z Nikozji i Famagusty; podziurawione blachy czołgów były świadectwem stoczonych walk. Turcy, prąc na południe, zostawiali za sobą płonące domy i fabryki. Ogromne pióropusze dymu unosiły się nad wyspą, a sznury samochodów obładowanych materacami i walizami ciągnęły się kilometrami, gdyż rosła liczba uciekinierów szukających schronienia w brytyjskiej bazie w Dhekelii. A Turcy wciąż posuwali się naprzód. Ich samoloty zrzucały dwustu-

kilogramowe bomby na pozycje Gwardii Narodowej, a ostrzał nadbrzeżnych miast nie ustawał również w nocy. W ciągu dwóch dni zamienili wyspę w spaloną ziemię. Despina straciła kontrolę nad sobą i dostała napadu furii.

Przez ostatnie tygodnie zachowywała spokój w obliczu katastrofy, jaka ich dotknęła. Czekwała, modliła się, wyglądała przez okno. Wojna pożerała jednak wszystko i gdy nagle do Despiny dotarło, że nie ma ani drogi powrotu, ani ucieczki, zareagowała wybuchem wściekłości. Zaczęła rzucać wszystkim, co wpadło jej w ręce, darła włosy na głowie i Georgios nie zdołał jej powstrzymać przed roztrzaskaniem o ścianę ozdobnego dzbanka do herbaty, który przeleciał milimetr od głowy pani Germanos. Maria, nie panując nad sobą, podskoczyła i uderzyła teściową w twarz. Michalakis zareagował błyskawicznie, wymierzając żonie siarczysty policzek. Wszyscy oszołomieni znieruchomieli, Despina uspokoiła się tylko na moment.

Po chwili zalała się łzami i kiwając się na piętach, zaczęła lamentować. Co złego zrobili jej synowie? Jeden jest stolarzem, drugi robotnikiem rolnym. To dobrzy ludzie, mają złote serca i zasługują na to, żeby żyć i być z tymi, którzy ich kochają i za nimi tęsknią. Zamknięta w tym maleńkim domu, który nie był jej własnym, komu miała się poskarżyć i kogo przekonywać? Nie mogła się stąd ruszyć i bronić rodziny. Rozpacz wezbrała w jej sercu, Despina otworzyła szeroko usta i zawyła. Przełamała wreszcie ciszę, którą się osłoniła niczym welonem, i wyła przeciągle, bo nic innego nie mogła zrobić. Tym razem nikt jej nie powstrzymał.

Michalakis zadzwonił do lekarza, który zalecił wypoczynek i tabletki nasenne. Dodatkowo przyrzekł się skontaktować z Czerwonym Krzyżem, gdzie mogą ewentualnie wiedzieć coś

o zaginionych. Tysiące ludzi trafiło do obozów dla uciekinierów, do szpitali, a także do więzień w Turcji. Miał sprawdzić wydłużające się ciągle listy nazwisk. Michalakis podziękował.

Następnego dnia rano Andreas wybudził się ze śpiączki i wolontariuszom Czerwonego Krzyża udało się odnaleźć jego żonę, której podali adres szpitala. Siedząc przy łóżku Andreasa, Lenia delikatnie trzymała go za rękę, bacząc, żeby go nigdzie nie urazić, i tak razem opłakiwali utraconą córkę. Erado milczała, próbując sobie wytłumaczyć, jak siostra mogła tak po prostu zniknąć. Dwadzieścia cztery godziny później Ankara ogłosiła po raz kolejny przerwanie ognia i oficjalne zakończenie operacji wojskowych.

Cypr został podzielony, jedna trzecia wyspy, od Famagusty po Kato Pirgos, znalazła się pod okupacją turecką, co pociągnęło za sobą przesiedlenie jednej trzeciej ludności. Wyznaczono granicę, lecz osób zaginionych były wciąż tysiące, wśród nich Christakis i Loukis.

Dopiero po dwóch miesiącach jeden z nich powrócił.

CZĘŚĆ TRZECIA

Dla rasy greckiej to największy kataklizm od czasu wysiedleń Z Azji Mniejszej w 1922 roku. Doliczamy się około sześciu i pół tysiąca ofiar, w tym trzy i pół tysiąca osób zginęło, a trzy tysiące to ciężko ranni. Spośród tych drugich tylko nieliczni przeżyją. Zgodnie z posiadanymi przez nas świadectwami większość osób uważanych za zaginione została jednak zabita z zimną krwią. Gdyby porównywać nasze straty z innymi krajami, to w Stanach Zjednoczonych musiałyby zginąć dwa miliony osiemset tysięcy ludzi, w Anglii czy we Francji ponad siedemset tysięcy, w Związku Radzieckim więcej niż trzy miliony, a w Grecji sto dwadzieścia tysięcy.

Arcybiskup Makarios III, 1974

Pisuri, 2007

Angielka chichotała, naradzając się z mężem już prawie dwadzieścia minut. Praxi zaczynała tracić cierpliwość. Jak długo można deliberować nad małą figurką z gargantuicznym penisem? Kobieta, pozorując zawstydzenie, podeszła nareszcie z bibelotem do kasy. Oczywiście owo zażenowanie nie przeszkadzało jej targować się o cenę i powoływać się na to, że „nieprzyzwoite statuetki” w sklepie z pamiątkami za rogiem są znacznie tańsze. Praxi rzeczowo wyjaśniła, iż pamiątki w tamtym miejscu są głównie z plastiku, u niej zaś wszystko jest z wysokogatunkowego drewna.

— Ten mały facecik ma twardy kawałek drewna, to fakt — zażartował mąż Angielki, a Praxi zrobiła minę, jakby po raz pierwszy usłyszała tak dowcipny komentarz. Kiedy Anglicy wyszli, opuściła żaluzje.

Zanim zamknęła sklep, ogarnęła wzrokiem kolekcję mis na owoce, rzeźb, szkatulek na biżuterię, ozdobnych ław i komódek, a wszystko to wypracowane z sercem przez Mariosa i jego bratanków w pracowni w Limassol. Większe i droższe wytwory swoich rąk przeznaczali dla sklepu w Nikozji. Dzięki smykałce

Kariny do interesów oraz wspaniałomyślności jej rodziców, którzy udzielili pożyczki, rodzina zbudowała kwitnącą i renomowaną firmę. Christakis byłby niewypowiedzianie dumny.

Spojrzała na zegarek. Była dziewiętnasta, a więc później, niż zaplanowała. Oparła tablicę reklamową o drzwi i szybkim krokiem ruszyła brukowaną uliczką między rzędami hałaśliwych tawern, anektujących chodniki dla rozpartych na krzeselkach spalonych słońcem gości. Młodszy już śpiewali.

Wczasowicze ją irytowali, w większości byli niewłaściwie ubrani. Musiała jednak przyznać, że dla republiki byli zbawieniem. Ponieważ Turcy rozdeptali swoimi buciorami północ wyspy — zagrabiając dwie trzecie uprawianej na wyspie ziemi i sześćdziesiąt procent zasobów wodnych — rząd postawił na turystów. Żeby ich przyciągnąć, zakleiono bolesne rany plakatami Afrodyty z nagimi piersiami, wynurzającej się z krystalicznie czystych wód Morza Śródziemnego, i do połowy lat osiemdziesiątych wyrosły jak grzyby po deszczu setki apartamentowców, restauracji, barów i hoteli przygotowanych na napływ pękających portfeli. Południe prosperowało.

Praxi jak wszyscy inni doceniała taki obrót spraw, ale dziwiła się, że gośćmi w większości byli Brytyjczycy, których jako nastoletnia dziewczyna widziała uciekających w popłochu z wyspy. Zastanawiała się, czy należy to przypisać niezwykłej zdolności do wybaczenia, czy zbiorowej amnezji, czy po prostu nieznajomości historii. Jakakolwiek była przyczyna, nie pojmowała tego. Grecy znają swoją historię jak własne dłonie.

My nie zapominamy.

Ponad trzydzieści trzy lata temu mieszkańcy północnego Cypru stracili wszystko. Ich domami stały się podłogi u krewnych i przyjaciół, budynki publiczne, kościoły, klasztory, szopy, namioty i skrawki ziemi pod gołym niebem. Organizacje

humanitarne nadsyłały żywność i leki. Nie do uwierzenia był ogrom ludzkiego nieszczęścia wylewający się z północy. Uciekających ludzi zabijano z zimną krwią, strzelano do mężczyzn niosących w ramionach dzieci. Pomordowanych kryły masowe groby. Ginęli żołnierze, pasterze, kamieniarze, hydraulicy, niedołęzni i naiwni — nikogo nie oszczędzano. Schwytanych traktowano pięściami, kopniakami, pałkami elektrycznymi. Gaszono na ich ciele papierosy, dźgano ich nożami, oblewano substancjami łatwopalnymi. Ofiarami zbiorowych gwałtów były kobiety młode i stare, ciężarne i niedorozwinięte, a gdy przyniosły swą hańbę na południe, rząd wniósł poprawkę do ustawy aborcyjnej.

Miesiąc po utracie północy ciągnął się przez Nikozję sznur autobusów. Przywiozły jeńców wojennych i chyba wszyscy cypryjscy Grecy przybyli, żeby ich powitać. Gdy się zatrzymały i umilkły silniki, Praxi złapała Despina i Yianoullę za ręce.

— Wychodźcie, wychodźcie, wychodźcie — szeptała Despina w chusteczkę.

Jeden za drugim wysiadali z autobusów mężczyźni, których zabrano do Turcji i przetrzymywano w więzieniu w Adana. Byli oszołomieni i wzruszeni odzyskaniem wolności i tak tłumnym powitaniem. Gdy z mechanicznym westchnieniem otworzył drzwi czwarty autobus, Despina wyrzuciła ręce w górę i zaczęła się przepychać do przodu, gotowa niemal pazurami wydrapywać sobie drogę.

— Mój syn. Dajcie mi przejść. Przyjechał mój syn!

Inne czekające rodziny natychmiast rozstały się na boki, dzieląc jej radość mimo zazdrości i własnego nieszczęścia. Despina wbiegła w ten przesmyk i rzuciła się na syna, a on podniósł ją w górę.

— Mama...

Christakis trzymał Despinę w ramionach, a tymczasem jego dwaj synowie wyskoczyli z autobusu i szukali wzrokiem własnej matki, która jeszcze przebijała się do nich przez ciżbę.

*

Praxi wyjęła z lodówki pomidora i reszkę szynki. Posypała pomidora solą i skropiła oliwą, nalała do szklanki wina i z taką kolacją wyszła na werandę. Ciepły wietrzyk powiewał od zatoki, igrał z brzegiem jej czarnej spódnicy i wywoływał wspomnienia o rodzinnym mieście.

Jedną z niewielu przyjemności, za które ciągle mogła być losowi wdzięczna, był widok morza. Chociaż z uwagi na wiek wstydziła się pluskać na falach, ich szmaragdowe piękno dodawało jej odwagi. Łąd osaczał i usidlał komplikacjami mogącymi osłabić podjętą decyzję, lecz morze nigdy jej nie zawiodło. Ono było życiem, inspiratorem, potęgą i wolnością. Praxi nie pojmowała, jak Despina i jej rodzina mogli się obywać tak długo bez oddychania słoną bryzą. To musiała być codzienna walka między nadzieją i rzeczywistością. Niestety, Georgios odszedł, zanim wzięła górę tęsknota za wybrzeżem. Jego schorowane serce przestało bić dwa miesiące przed przeprowadzką do Limassol i Despina nie mogła sobie darować, że wcześniej nie uciekli przed smogiem w stolicy. To nie była jednak jej wina. Georgios umierał latami, czekając jak wszyscy na powrót do domu. Kiedy umilkły działa, tysiące walizek postawiono przy drzwiach i przy wyjściach z namiotów. Od ludzkiej nadziei zgęstniało powietrze. Wszyscy byli zgodni, że to tylko kwestia czasu. Potem, gdy tygodnie zamieniały się w miesiące, walizki bez słowa wsunięto pod łóżka i pryce. Kiedy miesiące przeszły w lata, walizki pozostały schowane, ale nie zapomniane.

My nie zapominamy.

Bez pieniędzy i żadnych na nie nadziei Praxi tułała się przez dwanaście lat, zanim wprowadziła się do własnego lokum. Trzypokojowe mieszkanie dostała za darmo od rządu. Przyzwyczajona była niegdyś do innych warunków, ale to i tak było lepsze od tego, co dotąd znosiła. Mimo wszystko nie mogła narzekać na brak szczęścia: do dziś wilgotniały jej oczy na wspomnienie szlachetności córki pana Televantosa. Za jedną jazdę samochodem odpłaciła się tysiąckrotnie.

Przez te pierwsze straszne miesiące Praxi, Elena i Elpida zajmowały pokój dzieci Irene i czekały na możliwość wyjazdu. Kiedy stało się oczywiste, że Kyrenia nie będzie dla nich dostępna i mają status „przesiedleńców”, mąż Irene uprzątnął szopę i zaadaptował ją na prowizoryczne schronienie do czasu znalezienia innego rozwiązania.

Po paru latach dotacja rządowa umożliwiła urządzenie kuchenki i łazienki, ale szopa wciąż pozostawała szopą, i było w niej ciasno, póki Elpida nie wyfrunęła z gniazda do Jasona, do Anglii. Praxi i Elena pojechały oczywiście za nią, lecz w torebkach miały bilety powrotne i pod bezlitośnie zamglonym tamtejszym niebem spędziły tylko dwa tygodnie.

— Nic dziwnego, że marzyła im się nasza wyspa — poburkiwała Elena, gdy piąty dzień deszczu ostatecznie rozpędził jej umiarkowane pozytywne nastawienie do gościny w Anglii. — To miejsce jest straszne.

Praxi podzielała opinię matki, ale nawet najpiękniejsze słońce nie zdołałoby złagodzić bólu, który ścisnął im serca podczas ceremonii w najszcześniejszym dniu w życiu Elpidy. Nie udawało się zaprzeczyć rzeczywistości: na ślubie młodej pary kładła się cieniem rozłąka z nimi, ponieważ ani histeria panny młodej, ani delikatne perswazje jej męża nie mogły przekonać

Praxi i Eleny, żeby dłużej zostały. Nigdy nie pogodziłyby się z myślą, że przez Turków byłyby jeszcze dalej od domu, więc skryły ból w sercu i oznajmiły młodej parze, iż są szczęśliwe tam, gdzie teraz mieszkają. To było kłamstwo, wszyscy o tym wiedzieli. Sześć miesięcy po tym, jak Praxi otrzymała klucze do nowego mieszkania, Elena zmarła.

— Przykro mi, Praxi *mou*. — Westchnęła głęboko. — Nie podoba mi się tutaj.

Gdy składali Elenę do grobu na wieczny spoczynek, Praxi modliła się o to, żeby wbrew uwięzieniu kości matki „tutaj” jej dusza znalazła się na moment „tam” podczas swojej wędrówki do nieba.

Następnego roku Praxi uczestniczyła w kolejnym pogrzebie. Christakis zasłabł nagle w swoim warsztacie i chociaż lekarze robili wszystko, żeby go uratować, Yianoulla została wdową. Nikt tego nie mówił głośno, ale wszyscy byli przekonani, że należy winić przeszłe wydarzenia. Christakis nie mówił o okresie internowania, lecz został nieodwracalnie naznaczony tamtym doświadczeniem, jego potężna sylwetka przygarbiła się pod ciężarem okropności, jakich był świadkiem i jakie sam przeżywał. Jego synom zdarzało się opowiadać o szpalerach żołnierzy z pałami w rękach, natomiast Christakis napomknął jedynie raz czy drugi o „ogromie nienawiści”. Dusił w sobie bolesne wspomnienia i z czasem go zabiły.

My nie zapominamy.

*

Zadzwoił telefon, to był Michalakis. Praxi usiadła na taborecie w przedpokoju przygotowana na dłuższą rozmowę. Przejście na emeryturę nie było dla dziennikarza łatwe, potrzebował urozmaicenia, o czym świadczyły częste telefony do

niej. Cieszyły ją, gdyż z upływem czasu przeżyła tyle strat, że zainteresowanie ze strony pozostałych przy życiu stawało się coraz cenniejsze.

Owijając sznur telefonu wokół palców, Praxi zapewniła Michalakisa, że czuje się dobrze, i podziękowała mu za troskliwość. Przeprosiła, że nie odwiedzi ich w najbliższy weekend i przesłała całuski dla małego Christakisa. Kiedy piętnaście minut później odkładała słuchawkę, szarpnęło ją poczucie winy. Wzruszyła ją pamięć Michalakisa, miała jednak inne plany i nie zamierzała ich zmieniać, chociaż urodziny jego wnuka byłyby bezsprzecznie przyjemnością, zwłaszcza po dręczącej ją przez dwa miesiące depresji.

Praxi uważała, nie zapominając oczywiście o Mariosie i jego licznej trzódce dwujęzycznego potomstwa, że Michalakis przetrwał być może jako najszczęśliwszy z nich wszystkich. Obyczajowość zmieniła się przez lata — zapewne wpłynął na to ogrom cierpień — i akceptacja rozwodów pozwoliła mu odnaleźć szczęście w trwałym związku z siostrą Sawasa, drużby na jego pierwszym ślubie. Varnavia nie mogła wprawdzie rywalizować z Marią pod względem urody, ale pospolitość rysów równoważył umysł ostry jak brzytwa i Michalakis został usidlony, podbity i stracony, zanim wysechł atrament na jego rozwodowych papierach. Z Marią nie miała Praxi kontaktu, lecz słyszała, że przeniosła się do Stanów Zjednoczonych, gdzie wyszła za mąż za chirurga plastycznego. Nie mieli dzieci, jednak co pięć lat drugi mąż rekompensował jej i sobie ten brak, uszczęśliwiając Marię nową parą piersi.

Bez Marii zatruwającej domową atmosferę Michalakis nauczył się doceniać życie poza redakcją. Z gazetą pozostał oczywiście związany, ale mając u boku właściwą partnerkę, odnalazł równowagę między domem i pracą. W 1977 roku po

przejściu szefa na emeryturę z uwagi na swe zasługi został mianowany redaktorem naczelnym, a nastąpiło to już po śmierci Makariosa. Zwieńczającą karierę reporterską misją Michalakisa była relacja z pogrzebu arcybiskupa, a że był świadkiem ostatniej próby zamachu na życie prezydenta, w jakiś sposób to ze sobą współgrało.

Arcybiskup Makarios III był pierwszym prezydentem republiki i gdy zmarł, połowa cypryjskich Greków przedefilowała przed jego trumną. Oddawało mu też hołd stu osiemdziesięciu dwóch dygnitarzy z pięćdziesięciu dwóch krajów. Lekarze zabrali jego serce do zbadania na obecność trucizn, a Elena przepowiadała z góry, że od toksyn okaże się wolne, za to nieodwracalnie pęknięte. Wtedy Praxi nie mówiła, że to nonsens. Minęły jednak trzydzieści trzy lata i niejedyn raz pękało jej serce z rozpacz. Z własnego gorzkiego doświadczenia wiedziała, że póki serce ma isierkę nadziei, nigdy się nie poddaje — żywi się wspomnieniem zapachu, śliny, oddechu, banalnego słowa — i ciało nie przestaje oddychać. Przed czterema laty, gdy pojawił się cień szansy, znalazła się znowu w Kyrenii.

W kwietniu 2003 roku po niejednej negocjacji i zwłoce oraz ciągłych rozczarowaniach została wreszcie otwarta granica. Po raz pierwszy od prawie trzydziestu lat ludzie z obydwu stron kontrolowanej przez siły ONZ strefy buforowej uzyskali możliwość przemieszczania się. Kiedy Michalakis dowiózł matkę, Mariosa i Praxi do głównego przejścia granicznego w Ajos Dometios, wszyscy czworo doznali mieszanych uczuć radości, gniewu i frustracji.

Despina, siwa i zgarbiona, oczy miała otwarte, a usta zamknięte. Jej sercem targały skrajne i silne emocje, tak że czasami z trudem łapała powietrze. Gdy wreszcie wbito do jej paszportu

pieczęć Tureckiej Republiki Północnego Cypru, miała wrażenie, że popełnia zdradę, jakby zgadzała się na legitymizację zbrodni. Przed nią jakiś starszy człowiek popłakał się ze wstydu. Był tak oślepiiony łzami, że z powrotem do auta musiała go prowadzić towarzysząca kobieta, prawdopodobnie córka.

Sceneria po przekroczeniu granicy wpędziła Despinę w jeszcze większe przygnębienie. Na wyschniętej i pożółkłej ziemi wyrosły pozbawione wdzięku prostokąty apartamentowców. Wzdłuż całej drogi na północ widok zasłaniały ogromne tablice reklamujące kasyna. Przed archaicznymi światłami sygnalizacyjnymi zatrzymywały się stare samochody. Nędza objęła we władanie ten wypalony słońcem krajobraz, a nad wszystkim powiewały flagi: turecka czerwień i biel oraz biel i czerwień reprezentująca turecką północ Cypru.

— Turcy zabrali nam naszą ziemię, ale zapomnieli się o nią zatroszczyć — zauważyła ponuro Praxi. Nikt w aucie się nie odezwał, tylko Marios delikatnie uszczypnął ją w rękę.

Gdy jechali dalej przez masyw górski i mijali zamek Świętego Hilariona, Michalakis spojrział z niepokojem w górę, raczej z nawyku niż z obawy. Wiedział, że snajperzy dawno się wynieśli, ale starych nawyków niełatwo się pozbyć.

My nie zapominamy.

Gdy wyjechali z zakrętu, powitał ich bezkres błękitnego nieba i lśniąca tafla morza. Despina jęknęła z nagłej, niewypowiedzianej tęsknoty, a Michalakis, oślepiony blaskiem, nacisnął na hamulec. Ponad trzydzieści lat czekali na ten moment i chociaż wzdłuż wybrzeża ciągnęły się nowe bloki, a na tablicy drogowej widniała turecka nazwa Girne, to przecież mieli przed oczami Kyrenię, klejnot Cypru.

Minęli port i kontynuowali jazdę do miejsca, na które padał długi cień kyreńskiego zamku. Skręciwszy z głównej drogi

w prawo, znaleźli się we wsi i Michalakis zwolnił. Ciekawe, że wszystko wydawało im się takie samo, tylko jakby mniejsze. Jak można było przewidzieć, zniknęła grecka kafejka, zamieniono ją w sklep spożywczy. Ale została piekarnia i sklep rzeźnika. W gruncie rzeczy niewiele się zmieniło poza twarzami ludzi, którzy mieli teraz rysy anatolijskie.

Gdy auto stanęło, wszyscy czworo wstrzymali oddech. Mimo swego wieku to Despina pierwsza zdobyła się na odwagę. Powolutku wysiadła z samochodu i przetarła chusteczką policzki. Rozejrzawszy się, stwierdziła, że rośliny są wprawdzie suche, ale sprawiło to raczej upalne lato niż niedbalstwo, tak czy owak musiała stłumić odruch sięgnięcia po wiadro z wodą. Niepewnym krokiem ruszyła ścieżką w stronę domu. Chrząst żwiru był boleśnie znajomy, drzwi wejściowe otwarte. Stała w nich elegancko i czysto ubrana kobieta i obserwowała przybyszów.

— Spodziewałam się, że przyjedziecie — powiedziała po prostu. Mówiła po grecku, więc Despina odczuła pewną ulgę, że jej dom został zasiedlony przez rodzinę z wyspy.

Nie było powitalnych uśmiechów, ale kobieta zaprosiła gości do środka i wskazała krzesła, które niegdyś im służyły. Zostawiła ich na chwilę, żeby zrobić kawę, a na ogniu postawiła miedziany rondel należący przedtem do Despiny. W kącie stał wielki telewizor, naprzeciwko jaskrawoczerwona kanapa, a pod jedną ścianą tania serwantka z dekoracyjnymi talerzami. Poza tym wszystko pozostało bez zmiany. Pogłębiało to wrażenie zaboru cudzego mienia.

Przy kawie i ciasteczkach cypryjska Turczynka zapytała, jak przebiegła podróż i skąd przyjechali. Sama była uciekinierką więc w oczach gości siedzących w należącym przedtem do nich domu widziała odbicie własnego smutku, ale za nic nie przeproszała.

- Lepiej o pewnych sprawach nie mówić — rzekła ze smutkiem i zażenowaniem.

Kiedy żadna z pięciu osób nie podtrzymywała już rozmowy, kobieta podeszła do kredensu i wyciągnęła z niego nieduże pudło. Podała je Despinie. Znajdowały się w nim ikony, obrazki i fotografie, które dekorowały przedtem ściany, oraz artykuły Michalakisa. Wszystko starannie ułożone i przechowywane dla kogoś, kto się po to zgłosi. Na wierzchu było zdjęcie matki Despiny, które niegdyś czuwało nad werandą zawieszona na wewnętrznej stronie tylnych drzwi. Drżącymi rękami Despina przeszukiwała pamiątki, póki nie znalazła zdjęcia Loukisa. Nieostrą i ziarnistą fotografię zrobiono w oliwnym sadzie Mehmeta, a na twarzy Loukisa, który ocierał przedramieniem pot z czoła, błąkał się lekki uśmiech z domieszką irytacji. Despina pokazała zdjęcie Turczynce.

— Czy widziałaś gdzieś mojego syna? — spytała.

— Czy widziałaś gdzieś mojego ojca? — ripostowała kobieta.

Spojrzały na siebie nawzajem i jedna w oczach drugiej zobaczyła absurdalność sytuacji. Despina westchnęła i podała zdjęcie Praxi. Loukis wydał jej się nawet piękniejszy niż w jej wspomnieniach, ale natychmiast jego twarz się zamazała przesłonięta potokiem łez.

Kiedy już zostało powiedziane wszystko, co było można powiedzieć bez obrażania kogolwiek i prowokowania emocji, rodzina podziękowała kobiecie za poświęcenie im czasu i dbałość o pamiątki. Jazdę kontynuowali w milczeniu.

Ujechali około półtora kilometra i zatrzymali się przy gospodarstwie Mehmeta. Dom staruszka został rozbudowany wzdłuż i w górę, dwa samochody tarasowały podjazd, a stary traktor rdzewiał pod szopą. Gdy podchodzili do domu Loukisa, drzwi

się nagle otworzyły, a Despina zamarła. Na progu pojawił się jednak obcy chłopak, Loukis musiałby być dużo starszy, do tego nastolatek był o wiele niższy i szczuplejszy. Krzyknął coś po turecku. Nikt mu nie odpowiedział, więc poszedł do domu Mehmeta. Po chwili pojawiła się starsza, postawna kobieta.

— Pani Ekonomidou? — spytała.

Despina kiwnęła głową, na co kobieta uśmiechnęła się przyjaźnie.

— Wiem, że mój ojciec był zaprzyjaźniony z waszą rodziną — wyjaśniła.

Chociaż żadne z czworga nie miało złudzeń, użycie czasu przeszłego przez córkę Mehmeta ukłuło ich w serca. Odporność Praxi się wyczerpała. Zbyt wiele zmian, czas był bezlitosny. Chwyła kobietę za rękę, błagając o wiadomość o Loukisie. Zdziwiona i wyraźnie wstrząśnięta córka Mehmeta spuściła głowę.

— Myśleliśmy... mieliśmy nadzieję... że wszyscy odnaleźliście się na południu... — Więcej nie zdążyła powiedzieć, gdyż Praxi odwróciła się na pięcie i zażądała, by Michalakis natychmiast zawiózł ją do portu.

— Nie chodzi o panią, to... — próbowała się usprawiedliwić przez ramię, ale zabrakło jej słów. Despina pogładziła ją po ramieniu.

Michalakis zaparkował w niewielkiej odległości od portu. Ulica przed nimi miała chodniki i była bezpieczna dla pieszych.

— To ma sens — przyznał Michalakis, ale Praxi już w ogóle straciła poczucie sensowności poszukiwań i mało co słyszała poprzez walenie krwi w skroniach.

Miała wrażenie, że strach przed ostatecznym zawodem ją udusi. Uziemionej na południu wyspy łatwiej było wierzyć, że

Loukis żyje, znalazł się może w jakiejś pułapce bez wyjścia, może milczy z powodu amnezji lub kalectwa, którym nie chce swoich bliskich obciążać. Stojąc przed restauracją rybną, gdzie mieścił się niegdyś jej własny bar, rozglądała się po tłumie żyjącym teraźniejszością, a nie przeszłością, i traciła resztki nadziei, a słońce wydobywało głębokie bruzdy na jej twarzy. Wciąż jednak pamiętała tamten zapach, ślinę, oddech i najbanalniejsze słowa, więc wzięła zdjęcie, z którego szlachetnie zrezygnowała Despina, i trzymała je przed sobą, a morze obojętnych ludzkich twarzy przepływało obok. Błagała obcych ludzi, by choć na chwilę spojrzeli, a oni odwracali wzrok bądź zażenowani, bądź bezduszni. Od czasu do czasu ktoś wymamrotał przepaszające słowo, ktoś inny rzucił gniewne. W pewnym momencie jakiś wyrostek splunął jej na rękaw i musiała powstrzymać Michalakisa od interwencji. Wycierając ślinę nienawiści, rozumiała chłopaka, ponieważ w niej samej była nienawiść. I dławiła ją coraz mocniej, bo coraz większą obojętność okazywali przechodnie, aż wreszcie ugięły się pod nią nogi i dała się Michalakisowi odprowadzić do auta.

Do wsi wrócili w milczeniu. Słońce zniżało się już nad morze, na cmentarzu Despina i Marios jeszcze porządkowali zaniedbany grób Nikosa. Michalakis pokręcił głową w odpowiedzi na pytanie w oczach Despiny. Zmówili ostatnią modlitwę przy grobie i ruszyli, żeby zdążyć przed zamknięciem granicy. Zabierali ze sobą na południe frustrację i gniew.

W drodze powrotnej Despina podała Praxi list od Mehmeta. Zapomniała wziąć w podróż okulary, a chciała wiedzieć, jakimi słowami, spisany przez córkę przy łóżku umierającego ojca, pożegnał ich Mehmet. Mimo zmęczenia Praxi rozłożyła poźółkłe kartki i z trudem odcyfrowywała wyblakły atrament.

*Do Despiny, Georgiosa i chłopców
Styczeń 1975*

Leżę zżarty wiekiem i goryczą, modląc się, żebyście Wy byli bezpieczni. Chociaż mam smutek w sercu, krzepiąca jest myśl, że skoro czytacie ten list, to na pewno wróciliście tutaj i to mnie uspokaja.

Trudno uwierzyć, że tak wiele straciliśmy w czasie, który odpowiada zaledwie sekundom w długiej historii naszej wyspy. Pragnę szczerze, żeby w tych następnych pojawili się ludzie wybitniejsi od tych, którzy nam dotąd służyli, i żeby jakoś zdołali naprawić straszliwe błędy popełnione przez innych w przeszłości. Trudno mi sobie wyobrazić, w jaki sposób będzie to możliwe, i nawet nie ośmielam się żywić takiej nadziei, chociaż wciąż mam przekonanie, że człowieczeństwo zwycięży.

Bez Was tutaj — bez Ciebie, Georgiosie, w Twoim warsztacie, bez Ciebie, Despino, na werandzie i bez Was, chłopcy, zawsze w pobliżu, bez Waszej siły i życzliwości, które dodawały otuchy — otworzyła się czeluść w moim sercu i zaginęło w niej poczucie przynależności do czegokolwiek, co było istotne. Dzięki Bogu, choć strata pozostała, tę głęboką czeluść wypełniła moja rodzina. Nie przybyli wszyscy od razu, pojawiali się grupkami, uciekając od chaosu, jaki zapanował na południu. Zakładam, że ich opowieści i opowieści moich rodaków są lustrzanym odbiciem Waszych przeżyć, więc nie muszę Wam opisywać morderstw, gwałtów i brutalności, których ofiarami stawali się cypryjscy Turcy, pozwólcie jednak że opiszę historię mojej wnuczki. To tylko kropelką w morzu nieszczęść, jakie nas spotykają, ale nie jest przez to mniej tragiczna. Moja słodką Ayse bawiła się na plaży, gdy rozpoczęła się operacja sił pokojowych. Kiedy trzy dni później mała

dotarła do naszej wioski, nadal miała na sobie tylko kostium kąpielowy, w którym uciekała z plaży. Ona ma, czy miała, trzynaście lat, śliczna dziewczynka zbliżająca się do kobiecości. I musiała uciekać prawie naga. Dla każdej nastolatki musiałyby to być upokarzającym doświadczeniem, lecz dla muzułmanki jak, moja Ayse to nie do wyrażenia słowami koszmar. Speszona i zawstydzona została wsadzona do autobusu, który przedzierał się do bezpiecznej strefy przez agresywne szpalery. Ludzie rzucali w niego kamieniami i obelgami. Uciekinierzy nie wierzyli, że przeżyją. Czuję wdzięczność dla człowieka, który ze zrozumieniem dla dziewczęcej wstydlivosti dał mojej wnuczce swoją koszulę, ale pod nią wciąż miała tylko kostium. Do dzisiaj wstyd i lęk, „jaki w tamtych dniach przeżywała, prześladowają ją w snach. Tłumię szloch, kiedy słyszę, jak, ona krzyczy w nocy. Uwierzcie mi, staram się pamiętać, że monopolu na cierpienie nie ma jedna tylko strona, lecz przychodzi mi to z trudnością, i niech mnie Allah za to osądzi.

Musicie wiedzieć, że operacja pokojowa całkowicie nas zaskoczyła. Zdaję sobie sprawę, że to paniką i strach pchnęły Greków do agresji przeciwko sąsiadom, jednak, wybaczyć nie potrafię. I w tym leży problem. Nie widzę obecnie żadnych możliwości pojednania. Z Turcji do Was przybyli wrogowie, do nas zbawcy. Tureccy żołnierze przyszli tu, żeby nas uwolnić od grozy przeszłości i przyszłych nieszczęść pod dyktaturą Çrekw. Obecnie po raz pierwszy od dwóch dekad Turcy cypryjscy czują się bezpiecznie w swoim własnym kraju. Czy potraficie zrozumieć, że odczuwam ogromną ulgę mimo wciąż towarzyszących nam cierpień i bólu? Nie zapominamy tego, co przeżyliśmy.

Pozwoliłem sobie na dygresję. Ten list wszakże nie miał być próbą argumentacji, tylko pożegnaniem z tymi, których uważam za część

mojego życia równie ważną jak, rodzina. Znam Was, od kiedy byliście dziećmi, i kochałem Was wszystkich jednakowo. Modłę się o Waszą pomyślność i bezpieczeństwo. Jeżeli taka będzie wola Allaha, spotkamy się w przyszłym życiu.

Wasz kochający sąsiad i przyjaciel

Mehmet Kadir

Praxi złożyła list i wsunęła go do koperty, którą po zaklejeniu ucałowała. Prościej byłoby zadzwonić do córki, jednak miał swoje znaczenie wysiłek włożony w pisanie i trwałość dam, jakim był zapisany papier. Gdyby Loukis zrobił to samo, być może nie musiałyby walczyć tak ciężko, by przez te wszystkie lata wciąż pozostawał jak żywy w pamięci. Chociaż się starała i przez głowę przy każdym wspomnieniu przewijały się strzępy dawnych obrazów i dźwięków, człowiek będący miłością jej życia stawał się coraz bardziej płaski: dwuwymiarowa namiastka mężczyzny, którym był Loukis. Z tego powodu Praxi lubiła pióro i papier. Dzięki nim jej córka nie pozna udutki zmagania się z blaknącą pamięcią.

My nie zapominamy.

*

Gdy odkładała kopertę na parapet, zaskoczyło ją nagle własne odbicie w lustrze. Zszokowało i przeraziło. W wyobraźni zachowała wdzięczny wizerunek z młodości i nie mogła pojąć, kim jest ta stara kobieta natrętnie w nią wpatrzona. Piękne czarne włosy posiwiały, oczy się cofnęły w głąb pod ciężarem obrzękłych powiek, policzki obwisły. Co Loukis pomyślałby teraz o niej, o takiej szkaradnej staruszce? Czy nazwałby ten pomarszczony wrak kobietą swojego życia? Czy raczej spędzał-

by wspólne wieczory, marząc o Marii i jej nadmuchanych piersiach, zaprzeczających wiekowi i grawitacji? Jak mogła zmienić się tak bardzo i tak szybko, skoro lata pełzały w niemiłosiernie wolnym tempie? Czy Bóg nie zna litości? Świat wziął się, żeby ograbić ją ze wszystkiego, nawet z urody, a przecież nie zasłużyła na to.

Połknęła łyżę i wytarła głośno nos, kończąc z samoudręczaniem. Odwróciła lustro do ściany i zabrała się do sprzątanego mieszkania. Przynajmniej ono musiało dobrze wyglądać. Nie mogło być inaczej. Kiedy się z tym uporała, starannie opłukała w zlewku przygotowane białe kamyczki, które Elpida nazwała księżycowymi. Praxi zamierzała ułożyć je na grobie Despiny jako skromny dar od siebie i córki, od rodziny, którą oficjalnie dla zmarłej nigdy nie były.

Dwa tygodnie przed dziewięćdziesiątymi urodzinami Despina zmarła cichutko we śnie. Żadna choroba nie sygnalizowała odejścia, po prostu przyszedł jej czas. Przez tyle lat czekała na Loukisa i kiedy wreszcie wiedziała, gdzie go znajdzie, zamknęła oczy i odeszła. Po niecałych dwudziestu czterech godzinach od momentu, kiedy okazano jej syna na nieskazitelnej bieli, na której leżała kość przy kości, żebro przy żebrze, kosteczka przy kosteczce, wszystko od czaszki po stopy.

Grupa śledczych ONZ dotarła do jego grobu. Tak naprawdę to była dziura w ziemi, nędzna jama wykopana poniżej zamku Świętego Hilariona, tak płytka, że mogłaby zachęcić jakiegoś psa do jej rozgrzebania. Obok Loukisa spoczywały szczątki jeszcze dwóch mężczyzn. Wszyscy trzej mieli dziury po kulach w roztrzaskanych czaszkach.

Chociaż oczywiste było, w jaki sposób zginęli, okoliczności pozostały tajemnicą i tak już miało być, chyba że znalazłby się ktoś, kto chciałby je ujawnić. Praxi rozpaczliwie chciała

wierzyć, że śmierć nastąpiła szybko, ale wyobraźnia podsuwała jej obrazy tak straszne, że torturowana nimi nie mogła spać. Odkrycie, zamiast położyć kres niepewności, przyniosło tylko jeszcze więcej pytań, które można by mnożyć bez końca. Odpowiedzi nie będzie, sprawiedliwości nie stanie się zadość, prześladowcy za to nie zapłacą. Zostały tylko kości, pożółkłe relikty skradzionego życia.

Gdy Komitet ds. Osób Zaginionych skontaktował się z Despiną, Michalakis zawiózł matkę do prowizorycznego laboratorium ONZ na starym lotnisku w Nikozji. Identyfikacja szczątków zajęła ekspertom dziesięć miesięcy. Kiedy Michalakis przekazywał później wiadomość Praxi, potrzebowała jeszcze dziesięciu minut, żeby ją przyswoić.

My nie zapominamy.

Po ułożeniu na grobie kamyków księżycowych i odmówieniu krótkiej modlitwy Praxi wsiadła do autobusu jadącego do Limassol, gdzie nadała list do Elpidy. Kupiła małą butelkę wody i kolejnym autobusem dojechała do stolicy. Nie minęła jeszcze godzina dziesiąta, a zrobiło się piekielnie gorąco.

Wysiadła na głównym placu i powitało ją smutne spojrzenie Dionisiosa Solomosa. Czowała jego kamienne oczy odprowadzające ją do ziemi niczyjej, bo taką była teraz ulica Ledra. Praxi pamiętała z czasów młodości, że ulicę nazwano Miłą Morderców po serii snajperskich zamachów, które odebrały życie iluś brytyjskim żołnierzom. Bezpośrednio po ogłoszeniu niepodległości podzielono ją na pół zieloną linią i jedna strona została zabudowana eleganckimi hotelami. Obecnie opustoszała i z budynkami zeszpeconymi ospowatymi dziurami po kulach straszyla jako świadectwo burzliwej przeszłości.

Praxi podeszła do punktu kontroli i podała paszport. Gdy wkładała dokument z powrotem do torebki, zagrzechotały

w plastikowym pojemniku tabletki. Poszła dalej do kantoru wymiany walut, a potem kupiła sobie lody. Zatrzymała pierwszą taksówkę, usiadła na tylnym siedzeniu i poleciła kierowcy jechać do Kyrenii. Gdy ruszyli, opuścił swoją szybę i zapalił papierosa, klimatyzacja przestała mieć rację bytu. Praxi zrobiło się słabo z gorąca, a do tego taksówkarzowi nie zamykała się buzia. Powiedział, że jest z Bułgarii. Narzekał, że życie jest ciężkie, zarobki marne i że tęskni za rodziną. Praxi potakiwała głową, ale nie miała nastroju do rozmowy motywowanej nadzieją na napiwek i nie chciało jej się gadać z kolejnym obcokrajowcem, który nie znał greckiego. To miała być jej pielgrzymka, poświęcona jej przeszłości, jej bliskim, jej wspomnieniom i w jej własnym języku. Rozdrażniona ingerencją z zewnątrz kazała taksówkarzowi się zamknąć.

Do celu dotarła wdzięczna za błogosławione, chociaż może niezręczne milczenie, poleciła zatrzymać taksówkę i dała kierowcy tureckie liry, na które ze smutkiem wymieniała cypryjskie funty.

— Czy mam tu po panią wrócić za jakiś czas? — zapytał.

— To nie będzie potrzebne — odrzekła.

Widząc jego zdziwienie, wyjaśniła, że poradzi sobie z drogą powrotną. Gdy auto odjechało, spojrzała na wijący się w górę szlak i pomodliła się do Boga, by nie zabrakło jej sił. Skalista ścieżka wydawała się nieprawdopodobnie stroma.

Podpierając się znalezionym kijem, zaczęła się wspinać zboczem góry. Gdy oddech stał się ciężki i w klatce piersiowej zapiekło, zdumiała się, jak silną była kiedyś dziewczyną. **Z** Loukischem wchodziła na sam szczyt, pod zamek Świętego Hilariona, w ciągu dwudziestu minut. Teraz, starej i samotnej, zajęło półtorej godziny dotarcie do płaskiego fragmentu zbocza, gdzie rosło drzewo pistacjowe, świadek ich pierwszego aktu

zbliżenia. Opierając się na kiju, wygrzebała z torebki butelkę wody. Powietrze było nieruchome, marzył jej się lekki wietrzyk, jakiego się tu spodziewała.

Usiadłszy na ziemi, próbowała się odprężyć, ale nie mogła się wygodnie umościć na twardych kamieniach. Sucha trawa była nieprzyjazna w dotyku, a stare drzewo wyglądało posępnie i przygnębiająco. Nieproszone łzy polały się z oczu, bo to miejsce miało inaczej wyglądać. Nie tak je zapamiętała z czasów, gdy tu przychodziła. Wszystko stało się twarde, odpychające, okrutne. Zupełnie inne niż niegdyś.

Płakała ze zwieszoną głową, gdy nagle jakieś poruszenie w pobliżu zwróciło jej uwagę, a kiedy podniosła wzrok, zobaczyła gapiącego się na nią dzikiego królika.

— Loukis zabiłby cię i zjadł na obiad — powiedziała do biedaka.

Królik rzucił się do ucieczki i jego drwiący śmiech powrócił echem z leciutkim powiewem wiatru, który połaskotał jej policzki, ochłodził czoło i przywołał wspomnienie pocałunku. W jednej chwili wszystko wokół zrobiło się bardziej przyjazne, delikatniejsze, wybaczące. Praxi podniosła ramiona na powitanie, a nad nią suche liście drzewa pistacjowego westchnęły do utraconego szczęścia. Praxi czekała na przybycie z wiatrem Loukisa.

My nie zapominamy.

— Kochałam cię przez całe swoje życie — wyszeptała. — Będę cię kochała aż do śmierci i dłużej. Przybyłam tutaj, żeby cię odnaleźć i powiedzieć ci, że się bardzo boję, ale nie widzę innej drogi. Uwierzyłam, że po mojej śmierci znowu będziemy razem, ale co, jeżeli się mylę, Loukisie, bo przecież niejedną raz zbłądziłam? Jeżeli nie ma nic poza tym, co tu i teraz, i żywot wieczny nie czeka po drugiej stronie? Tyle mamy za

sobą zmarnowanego czasu i tyle zniszczonego piękna. Aż nie chce mi się wierzyć, że więcej życia spędziliśmy oddzielnie niż razem, i nie mogę sobie darować naszej głupoty. Gdybym mogła żyć jeszcze raz, urodziłabym nasze dziecko z dumą i nie wstydziłabym się prawdy. Czekałabym na twój powrót i zniosłabym niesławę, ponieważ nie miałyby żadnego znaczenia, gdybyś był u mojego boku. Głęboko się wstydzę tamtej słabości, sprawiła, że ty uciekłeś, a ja się ciebie wyrzekłam. Dobry Boże, ciebie się wyrzekłam, Loukisie! Spośród wszystkich ludzi ciebie właśnie! Jedyne go mężczyzny, którego kochałam i z którym chciałam być. Sumienie mówi mi, że jestem odpowiedzialna nie tylko za twoją samotność, lecz również za twoją śmierć. Gdybyśmy wtedy byli razem, porzucilibyśmy razem wyspę i nie stałoby się tak, że jedno z nas się obwinia, a drugie jest duchem. Czy pamiętasz popołudnie, które spędziliśmy w tym miejscu, planując ucieczkę, gdy Yiannis miał plan wywiezienia mnie i Elpidy do Grecji? Ja pamiętam. Pamiętam bardzo dobrze i wspominam to każdego dnia, bo przyrzekałeś wtedy, że nigdy mnie nie opuścisz, nawet gdy już się zamienimy w spalone tosty. Może to głupie, ale wierzę, że dotrzymałeś słowa. Chociaż cię zabili, ja niezmiennie czuję, że jesteś przy mnie. A to mignie mi twoja twarz, gdy przechodzę koło lustra, a to czaisz się gdzieś w cieniu. Czerpałam pociechę z takich momentów, naprawdę, lecz Boże, czego bym nie dała za jedną chwilę, w której mogłabym cię dotknąć. Życie między realnością i iluzją wykończyło mnie, Loukisie, nie mogę mieć cię przy sobie i być od ciebie tak daleko. Jestem zmęczona. Bardziej niż możesz sobie wyobrazić. A może takie są naturalne koleje miłości: zawirowania i rozłąki. Poddani zostaliśmy testowi wiary i prawdy, a nagroda ma spotkać nas w niebie. Ja, Loukisie, przeszłam test i moja samotna starość jest świadectwem prawdziwego do

ciebie przywiązania. Niczego więcej nie muszę udowadniać. Jestem gotowa być z tobą.

Skończyła szeptany monolog i zrzuciła z głowy czarny szal, by wiatr poigrał z włosami. Z torebki wyciągnęła plastikowy pojemniczek. Wysypała na dłoń garść białych tabletek, wrzuciła je do ust i popiła wodą. Kiedy położyła się na plecach na spieczonej, twardej ziemi, poczuła, że Loukis się przybliżył i wziął ją w ramiona.

My nie zapominamy.

Turystka nie wierzyła własnym oczom, więc zawołała przewodnika, żeby popatrzył. Wbiegł szybko po kamiennych schodach na zamkowy mur. Stał na samej krawędzi na długich i silnych nogach i wziął z jej ręki lornetkę z miną człowieka pewnego siebie. Po kilku sekundach zniknął z jego twarzy półfiglarny uśmieszek, podejrzenia kobiety okazały się słuszne.

Ratownicy przybyli bardzo szybko, ale to nie miało znaczenia. Wstępne oględziny wskazywały na to, że Greczynka nie żyje od ponad doby.

— Wydaje się, że ta stara kobieta się uśmiecha — zauważył jeden z sanitariuszy.

Lekarz kiwnął głową, nie był zdziwiony, ponieważ nie z pierwszym samobójstwem miał tu do czynienia od czasu otwarcia granicy.

— Może odnalazła spokój — mruknął.

Następnego dnia po potwierdzeniu tożsamości zmarłej na podstawie dokumentów znalezionych w torebce ciało Praxi zostało przewiezione na południe. Elpidę i Jasona powiadomiono telefonicznie i natychmiast przylecieli z Anglii. Kilka dni później odbył się pogrzeb z udziałem tych członków rodzi-

ny i jej przyjaciół, którzy jeszcze żyli. Ponieważ czas zrobił swoje i pamięć się zatarła, a ci, którzy pamiętali, zawiedli, Praxi nie spoczęła obok ukochanego człowieka, tylko złożono ją do grobu jej męża Yiannisa Christofiego.

Gdy skończyła się ceremonia pogrzebowa, niebo rozdarła błyskawica.

Podziękowania

Zanim przystąpiłam do pisania *Wojny Afrodyty*, czerpałam informacje z wielu stron internetowych, książek, dokumentów i artykułów oraz korzystałam z licznych konsultacji. Najbardziej pomocne wymieniam poniżej, lecz nie znaczy to, iż autorzy i konsultanci akceptują opisaną na stronach tej książki wersję wydarzeń. Wskazuję wszakże na owe źródła dlatego, że były pomocne, i po to, żeby zachęcić Czytelnika do dalszej lektury.

Książki i artykuły

Echoes from the Dead Zone: Across the Cyprus Divide, Yiannis Papadakis (I.B. Tauris); *Healthy Living in Cyprus*, Mariam Khan (dostępna w księgarni Moufflon w Girne); *The Cyprus Conspiracy: America, Espionage and the Turkish Invasion*, Brendan O'Malley i Ian Craig (I.B. Tauris); *Hostage to History: Cyprus from the Ottomans to Kissinger*, Christopher Hitchens (Verso); *Imagining the Modern: The Cultures of Nationalism in Cyprus*, Rebecca Bryant (I.B. Tauris); *The Cyprus Problem: Notes to History*, dr Latife Birgen (Rustem); *Divided Cyprus: Modernity, History and an Island in Conflict*, Papadakis, Peristianis and Weltz (Indiana); *Place of Refugee: A History of the Jews in Cyprus*, Stavros Panteli (Elliott & Thompson); *Persecution of Islam in Cyprus*, Oktay Oksiizoglu; *A Business of Some Heat: The United Nations Force*

in Cyprus Before and During the 1974 Turkish Invasion, Brigadier Francis Henn (Pen & Sword); *Bones Don't Speak*, Angélique Chrisafis („Guardian"); *Cyprus Visitors Guide 2008* (Cytamobile — Athk Cyta); *Cyprus* (APA Insight Guides).

Internet i film

www.britains-smallwars.com

www.visitcyprus.com

www.missing-cy.org

www.cyprusnet.com

www.athimedia.com

www.bbc.co.uk

www.time.com

www.cypnet.co.uk

www.akel.org.cy

www.greeknewsonline.com

www.country-data.com

www.ebos.com.cy

www.lobbyforcyprus.com

film *Attila 1974*, reżyseria Michalis Kakoyiannis

Osoby i inspiracje

Moja „druga rodzina” (Lenya, Kypros, Erato/Toulla, Marios, Kypros, Sotiris, Christos, Charis, Niki, Elena i Varnavia), Sotiris Petrakkides, rodzina McMillanów (Honor, Ava, Sam i Steve), Tim Stear, David Carter, Mickey Burke, Mandalena wraz z rodziną, pan Theofanis, pan Charalambous, Mithat Rende, Arif Altay, Panicos Kyriacou, Marios Kyriakides, Amir, Namik i Rafet.

Na koniec

Mama, Tata, Lorenz, Jane Lawson, Madeline Toy, Charlie Campbell i zespół w Ed Victor Ltd., Varnavia (po raz drugi) i moi przyjaciele Hélène i Matthew — im wszystkim należą się podziękowania za wsparcie, wnikliwe czytanie tekstu, życzliwe rady i miłość.